

Ryszard Kiersnowski  
Tam i wtedy  
W Podweryszkach, w Wilnie i w puszczy  
1939-1945  
EDITIONS SPOTKANIA

## Sam środek nieba

Ponad pół wieku temu, pewnego wieczoru pod koniec sierpnia 1939 roku spacerowałem z Ojcem w lipowej alei, długiej, lecz zaledwie na kilka metrów szerokiej, utworzonej z gęsto rosnących drzew, których gałęzie łączyły się nad głową na niezmierniej wysokości niczym łuki sklepienia wąskiej nawy w gotyckiej katedrze. Aleja, rozpoczynająca się o kilkadziesiąt kroków od ganku, załamywała się pod kątem prostym, stanowiąc obrzeże parku z dwóch stron, od wschodu i od południa. W środku, pomiędzy tymi ramionami, był okrągła altana złożona z takich samych lip - ich stykające się ze sobą, rozchylone nieco ku górze pnie i osłaniające je u szczytu gałęzie przypominały z daleka olbrzymi bukiet. Taki układ alei lipowych z altaną pośrodku zdarzał się i w innych dworach kresowych, upowszechniony tam - sądząc po przypuszczalnym wieku drzew - w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, ale takich lip, a zwłaszcza takiej altany jak w Podweryszkach nie widziałem gdzie indziej ani na własne oczy, ani choćby na fotografii. Toteż i dla fotografa był to przedmiot szczególnej uwagi. Sam Jan Bułhak, przyjaciel domu i daleki powinowaty, spędzał w altanie długie godziny pisząc przy ogrodowym stoliku opowiadania z cyklu Wędrówek fotografa, a urodę drzew, pni i konarów utrwalił na mnogich zdjęciach, które ułożone w gruby album ofiarował któregoś roku na imieniny mej Matce. Album ten, przedziwnych losów koleją, ocalał i leży dziś na moim stole, więc gdy to piszę, chociaż tych alei już nie ma, mam je nie tylko w oczach, ale i przed oczami.

Szczególnym upodobaniem artysta zaszczycił lodownię - sześćo- boczny budynek z grubych bali składanych na zrąb, przykryty stożko-watą strzechą jak czapą futrzaną. Niskie drzwi prowadziły do ciemnego wnętrza, skąd bił chłód od wielkich brył lodu leżących w głębi dołu i przysypanych paździerzami. Lód pochodził ze stawu przy młynie, cięty i zwożony saniami pod koniec zimy, gdy grubość tafla sięgała kil-kudziesięciu centymetrów. Przechowywał się przez całe lato tym lepiej, iż lodownia była otoczona ścisłym wieńcem cienistych lip, takich sa-myh jak w alei, z którą sąsiadowała, a nawet, rzec można, tworzyłaorganiczną całość. Pnie przylegały do ścian budowli, wgrzyzały się w jej dach i niejako ją podtrzymywały, z czego wypadało wnioskować, że lodownia i drzewa były równie stare. Niektórzy powiadali, że przypomina ona jakąś pogańską gontynę, inni dziwili się, co też w tej budzie widzi zacny fotograf, że tak ją ze wszystkich stron zdejmuje. A on ocalał od zapomnienia zabytek, którego już nie ma, pod koniec bowiem wojny z płonącej opodal stodoły ogień przeniósł się na słomiany dach, pochłoniął lodownię i osmalił otaczające lipy.

Dom mieszkalny był nowy, murowany, kryty czerwoną dachówką. Rodzice wzniesli go w roku 1930 w miejsce dawnego dworu, który spłonął podczas Pierwszej Wojny przez niedbalstwo stacjonujących w nim Niemców. Nie udało się go wykończyć, bo przyszły lata kryzysu, a potem, gdy zaczął się rozkwit, pilniejsza była budowa czworaków, a także spichrza, stajni i odryny, którą w Polsce centralnej nazywają sianiarnią lub mniej składnie - stodołą na siano. Postawiono chlewnię, zwaną u nas potocznie świniuchem, dużą piwnicę na sery, a także zmeliorowano łąki. Dom pozostał nie otynkowany i bez kanalizacji, ale jego bryła z dużym, łamanym dachem, przecięta wysokimi kolumnami ganku dźwigającymi portyk, zdażyła wrosnąć w krajobraz, w tło zieleni lip, świerków i kasztanów.

Przed domem był duży gazon, który obiegała szeroka droga wznosząca się u podjazdu niewielkim nasypem. Podjazd, ganek - to jakby oblicze domu, mające swe własne rysy i wyraz. Bywały dwory o rysach klasycznych, wyrazie wyniosłym i chłodnym, inne z gankami

na niskich słupach, otulone winem, miały rysy łagodne, wyraz przyjazny i ciepły, bywały też pozbawione wszelkiego wyrazu, ale tym nie należało się już w pełni miano dworu. Dom podweryski miał rysy pociągłe, wyznaczone przez cztery białe kolumny, i wyraz pewnego dystansu wobec otoczenia, aczkolwiek złagodzony przez wielki, czerwony dach osiadły nad oknami niczym nasunięta na oczy lisia czapa.

Dom miał cztery wejścia: od frontu - ganek, od ogrodu drzwi na taras, osłonięte przez podcienie z czterech filarów i łuków podtrzymujących balkon, a także wyjścia na plac zabaw dzieci oraz kuchenne i służbowe. Każde drzwi miały swe przeznaczenie i żyły własnym życiem, dzieliły się zadaniami służąc mieszkańcom domu i ich gościom, służbie i interesantom. Dopiero co, w końcu lipca, przed ganek ten zajeżdżali goście na imieniny mej Matki; po kolacji wychodzili na taras i dalej do ogrodu, bo wieczór był pogodny i ciepły, a i ja z moimi rówieśnikami też krążyłem do późna po alejach i ścieżkach starannie na tę uroczystość wygracowanych. Dopiero co sprzed tego ganku ruszaliśmy świeżo kupionym samochodem, ciemnogrnatowym chevroletem, z wizytami do dalszych i bliższych sąsiadów: do Jaszun Sołtanów, do Siedliszcza Dębickich, do Jaworowa Wędziagolskich; nie przeczuwaliśmy, jakie fata wiszą już nad przyszłością tych domów i ich mieszkańców. Wyprawialiśmy się też w jakichś sprawach Rodziców to do Lidy, to do Nowogródka, w rodzinne strony Ojca do Horodziłówki, Czemieszów nad Świteż, gdzie nabożnie cisnęło się na usta: «Ktokolwiek będziesz... pomnij zatrzymać twe konie». Marzyła się nawet wycieczka daleko na zachód, aż nad jeziora augustowskie.

Dopiero co, w tym sierpniu, przed podweryski ganek przyszli wszyscy fornale, mężczyźni i kobiety, śpiewając powolną, rozlewną pieśń, której słowa dobiegały już z daleka: «Plon żyta plon, ze wszystkich stron...» Działo się to, jak zwykle, wieczorem, przed domem stały stoły z poczęstunkiem, a na ganku Matka przyjmowała orację dożynkową dziewczyny, która niosąc na głowie wianek z kłosów żyta mówiła: «Ten wianek nie z ruty, nie z mięty, ale z daru Bożego zwinięty». Po wypowiedzeniu rytualnych życzeń pochylała głowę, a Matka zdejmowała jej ten wianek i dziękowała. Potem były jeszcze dalsze śpiewy, już weselsze: «Nie żałuj pani zarznąć cielecia, da Pan Bóg pani pięknegozięcia» - i wszyscy patrzeli na moją Siostrę, mającą wtedy dziesięć lat - a następnie: «Nie żałuj pani zarznąć karowę, da Pan Bóg pani piękną synowę, plon żyta, plon...». Wówczas ja byłem na widoku, stojąc przy Matce. Czuję się zmieszany, nie wiedziałem, że dokładnie w dziesięć lat później to właśnie życzenie się spełni. Natomiast mniej skuteczne było ogólne pragnienie wyrażone w tym śpiewie: «Bodaj my zdrowe

plon plonowali, drugiego roku znów doczekali, plon żyta, plon...» Bo po roku... Na razie jednak zaczynały się tańce przy harmonii, jeden z fernali, zawsze ten sam Kazimierz Piotrowski, prosił Matkę, Ojca prosiła któraś z fernalskich żon i zabawa po tym solennym rozpoczęciu nabierała życia, toczyła się aż do popisowego kozaka tańczonego przez jedną parę, po czym już późnym wieczorem przenosiła się sprzed ganku do czworaków, skąd długo jeszcze słyhać było harmonię.

Po drugiej stronie domu, od ogrodu, był półokrągły taras obramowany murkiem z kwiatami. Dołem, dookoła, też biegły rabaty, podob-

nie jak wokół trawnika i przy placu «dziecinnym», gdzie rosły róże sztampowe. Po drugiej stronie był klomb, też z różami, ale niższymi. Najdłuższa wielokwiatna rabata ciągnęła się w stronę altany i kortu tenisowego, pyszniła się na niej ława białych floksów,

ulubionych kwia-tów mej Babki. To były kwiaty późnego lata, wiosną kwitły tu inne, a przede wszystkim pachniały bzy i czeremcha - nimi głównie ozdabiano ustawianą w pokoju służbowym figurkę Matki Boskiej, przy której Babka odprawiała nabożeństwa majowe. Przychodzili na nie także ludzie z czworaków: w pokoju było tłoczno, Babka czytała modlitwy i litanie, śpiewano pieśni maryjne. Były w nich różne wezwania i zaklę-cia: «Broń nas od głodu, Zdrowaś Maryja... Strzeż nas od chorób, chroń od zarazy... » Nie było wtedy jeszcze ani słowa o wojnie. Teraz jednak, pod koniec sierpnia, wojna już się zbliżała - wiedzieli o tym wszyscy i we dworze, i w czworakach, gdzie został właśnie zainstalowany aparat radiowy, żeby i fornale wiedzieli, co się święci [miał on blokadę, uniemożliwiającą łapanie audycji z Mińska, bo wiadomo, sowiecka propaganda mogłaby znaleźć niepotrzebny posłuch]. Na razie jednak panował optymizm. Myśleliśmy o tej wojnie bez popłochu, a kobiety młójące len na klepisku gumna śpiewały na nutę podobną do Jeszcze Polska... piosenkę ze zwrotką: «Póki Bóg nad nami, zawrócim Hitlera do góry nogami». [«Zawrócim» to tyle co «przewrócimy» - to do wia-domości tych, którym język ludności Kresów nie jest bliski.] Jedynie stary fornał Bałuc, który był dawniej stangretem [nim zastąpił go na kozle zgryźliwy, ale wysoki i ozdobiony wspaniałymi wąsami Horba-czewski], Bałuc, który był filozofem i autorem powtarzanych przez nas porzekadeł - widząc, że zbiera się na wojnę jak na burzę, ostrzegał, że z Hitlerem nie pójdzie tak łatwo, «bo pewnie mu tam dobrą ziemiankę wykopali». Żartowaliśmy wtedy z tej «ziemianki», ale przypomniałem ją sobie, już bez śmiechu, kiedy po latach patrzyłem w Berlinie na poro-sły trawą pagórek kryjący szczątki Kancelarii Rzeszy. Bałuc wiedział, jak widać, co mówi, a znał się nie tylko na sprawach ziemi, lecz, co ważniejsze, także na sprawach nieba.

Nad alejami, nad altaną, nad ogromnym modrzewiem, nad domem i nad całym tym światem piętrzyło się niebo inne niż wszystkie nieba oglądane w bliższych i dalszych krajach. Wiedział o tym każdy, kto pod tym niebem się urodził czy choćby mieszkał czas dłuższy. Tłumaczył to niegdyś Hrabi Tadeusz Soplica, Ferdynand Ruszczyc malował to niebo groźnie zawieszony nad zoraną ziemią, a Jan Bułhak ukazywał je w glorii chmur bielejących nad parkiem. Jak orzekł Bałuc, który od urodzenia nie opuścił dworu na dłużej niż kilka dni, tu właśnie znajdo-wał się środek nieba, tu wznosiło się ono najwyżej i dlatego gdy niekiedy w Rymszyszkach lub w Bieniakoniach padał deszcz, to w Podwery-

szkach było sucho, a czasami zdarzało się odwrotnie, bo wiadomo - «seredina nieba». Bardziej przekonujące było świadectwo meteoru. Jeszcze przed Pierwszą Wojną pług zahaczył o jakiś zaryty w ziemi gład. Gdy go odkopano, ukazał się przedziwny kamień, kształtem zbliżony do półkuli prawie metrowej średnicy, ciemny, jakby o żelazistej, zwartej konsystencji, na całej powierzchni pokryty głębokimi, krętymi otwo-rami, niczym jakiś żużel lub gąbka albo kawał drewna jedzonego przez gigantyczne korniki. Mój Dziad kazał go przewieźć do parku i ustawić koło modrzewia, i nikt nie wątpił, że był to meteoryt. Podobnego okazu nie udało mi się nigdy spotkać ani w muzeach geologicznych, ani w innych parkach, więc chyba istotnie tutaj był środek nieba, z którego upadł kiedyś tak wyjątkowy kamień. Może zdarzyło się to również w końcu sierpnia, bo wtedy najczęściej było widać spadające gwiazdy, gasnące nad drzewami podweryskiego ogrodu.

Kopuła nieba nie była zbyt rozległa. Przykrywała miasteczko Bie-niakonie, gdzie wznosiły się ku niej dwie wieże kościoła, a także wieża ciśnień na stacji kolejowej, zwana z rosyjska «wodokaczką». Obejmowała też osłonięty wysokimi drzewami dwór w Starych

Bieniakoniach - najbliższe sąsiedztwo i cel letnich spacerów do kąpieli w sadzawce. Podziw budziła rozwieszona na ścianie skóra niedźwiedzia, trofeum któregoś z panów Golimontów z czasów już niepamiętnych, bo przecież niedźwiedzi od dawna w okolicy nie było. Wisiała tam również oprawiona w ramki fotografia tego dworu opatrzona podpisem Józefa Piłsudskiego, złożonym na pamiątkę noclegu w Starych Bieniakoniach, dokąd wstąpił wiosną 1919 roku, gdy traktem ludzkim ciągnął z woj-skiem na Wilno. Również w Podweryszkach zjawilo się wtedy kilku młodych żołnierzy, groźnie żądając jakiegoś furazu, z którym widocznie miewali trudności. A Dziad mój szeroko, szeroko otworzył ręce i prosił: «Bierzcie wszystko, czego tylko wam trzeba» - i cieszył się, że doczekał takiej chwili. Jego radość była jednak krótkotrwała, bo po kilku miesiącach dopadł go tyfus. Gdy mój dziad, Roman Rymsza, umarł, jego brat Edward z Gojcieniszek i siostra Maria - dla której wspólnie zbudowali dom i obejście na skraju lasu, pomiędzy obu dworami, i na-zwali je Rymszyszkami - wydzielili na niewielkim wzniesieniu miejsce na cmentarz rodzinny i tam jako pierwszego złożyli mego Dziada. Po-tem doszły tam jeszcze dwa groby Rymszowskie, a w czasie wojny także grób przyjętego do tej wspólnoty partyzanta Zyga. Poległ on w bitwie z Niemcami na łące podweryskiej i został pochowany w poświęconej ziemi za niskim murkiem, który kiedyś otaczał nasz cmentarz, nim go zaorano.

Gojcieniszki mieściły się też pod naszym niebem, chociaż były ukryte za lasem, oddalone o dobre cztery kilometry. Tutaj historia cofa-ła się o przeszło trzy wieki, do 1613 roku, gdy zbudował ten zameczek Piotr Nonhard, horodniczy wileński, z pochodzenia Holender, który przeszczepił tu wzór obronnego dworu, opatrzono go na czterech rogach okrągłymi basztami i z wyniesioną częścią środkową, jakie można i dzisiaj oglądać na pograniczu holendersko-westfalskim. Położony nad Żyżmą, otoczony niegdyś fosą, miał zameczek w swych dziejach zapisane wydarzenia wojenne: w 1709 roku Szwedzi Karola XII bronili się w nim skutecznie przed wojskiem króla Augusta Mocnego, a wyda-rzenie to było upamiętnione na wmurowanej nad wejściem tablicy, któ-rą w 1812 roku wydarli ciągnący na Moskwę Francuzi. Powiew historii był tu jednak jeszcze dawniejszy, bo opodal, nad Żyżmą, było miejsce nazywane Starym Zamczyskiem, gdzie być może stał poprzednik obe-cnego zamku. Było to tylko niewielkie wzniesienie, niby grobla docho-dząca do rzeki, żaden archeolog nie zagłębił tam jednak łopaty, nie wiadomo więc, co to był za obiekt. Natomiast o zamczku gojcieniskim pisywali historycy sztuki, rysował go niegdyś Napoleon Orda, fotogra-fował Jan Bułhak. Należał on kolejno do różnych rodzin, nim około 1830 roku dostał się w ręce Rymszów wraz z ręką dziedziczki, Weroniki Osten-Sacken. Jej wnuk, a brat mojego dziada, rzeczony Edward Rymsza, z wykształcenia był inżynierem, sam więc dostosował tę sie-dzibę, ówczasnie zaniedbaną, do potrzeb mieszkalnych. Dobudował ganek, poszerzył otwory okienne, coś tam pozmieniał we wnętrzu. Gdy mu wyrzucano, że niszczy zabytek, odpowiadał, że gdyby na Wawelu niczego nie zmieniano, dotąd byłaby tam jedynie Smocza Jama. Jeszcze w 1924 roku całe pierwsze piętro zajmowała jak dawniej jedna, ogromna sala, i w niej to odbyło się wesele moich Rodziców, bo dom w Podweryszkach był przecież spalony. Dopiero później podzielono tę salę na kilka pokoi, co pośrednio stało się przyczyną śmierci Stanisława Kłosa; przez pomyłkę zastrzelił go tu kolega, gdy w noc sylwestrową 1943/1944 zdobywaliśmy zamek gojcieniski na Litwinach.

O paręset metrów od zamku znajdowała się murowana kaplica, czworoboczny budynek wsparty na masywnych przyporach, nadających mu dostojność wieku. Istotnie, wzniesiono

go również w pierwszej połowie XVII stulecia jako zbór kalwiński, od dawna jednak nie był użytkowany w tej roli, bo Rymszowie byli katolikami. W podziemiach znajdowały się groby dawniejszych właścicieli Gojcieniszek, ewangelików, spoczywających tam spokojnie aż do ostatniej wojny. Dopiero w czasie niemieckiej okupacji - ani z okazji bitwy, ani rabunku dworu, bez żadnej podniety poza chęcią zagarnięcia domniemanych skarbów - znaleźli się jacyś ludzie, którzy porozbijali te trumny i rozrzućili kości: widziałem potem, jak się poniewierały. Zrobili to zapewne jacyś przy-bysze, bo chyba nikt z ludności miejscowej nie zdobyłby się na taką pro-

fanację, chociażby i kalwinów. Później kaplica ta została doszczętnie zrujnowana, dziś pozostały z niej tylko resztki ścian i przypór, w zamku zaś znajduje się szpital psychiatryczny. Czy tylko dla rzeczywiście chorych? Obiekt jest oddalony od większych miejscowości, ukryty, ma grube mury, w sam raz dla rzekomych wariatów.

Po drugiej stronie widnokregu, również za lasem, leżały Bolcieniki, tylokrotnie wspomniane w dziejach literatury polskiej jako siedziba Mickiewiczowskiej Maryli, wydanej tu za Wawrzyńca Puttkamera. W lasku niedaleko od dworu leżał głaz z wyrytym krzyżem, tu bowiem Maryla miała się spotykać i pożegnać z Adamem. Inne ich schadzki odbywały się gdzieś nad Solczą, zapewne w pobliżu podweryskiego młyna, tamtędy też jeździli wspólnie konno do Gojcieniszek, do najbliższych sąsiadów i krewnych Puttkamerów. Grób Maryli przy bieniakońskim kościele dotąd istnieje starannie utrzymany - taka jest siła tradycji Wieszcza.

Przyjaciółką Maryli była wspomniana Weronika Osten-Sacken, cioteczna siostra Wawrzyńca, sławiona przez Antoniego Edwarda Odyńca za urodę i ułożenie, podziwiana jako amazonka przebiegająca konno okoliczne lasy, a zatem ten przede wszystkim, który ciągnął się między Gojcieniszkami i Podweryszkami. Jej portret - z dużym dekoltem na spadzistych ramionach, z misterną fryzurą - wisiał w Podweryszkach do wojny, potem się spalił. Ocalał nieco późniejszy dagerotyp ukazujący Weronikę z dwiema dorastającymi córkami; jedna z nich to moja prababka, Helena z Rymszów Rymszyna. Mickiewicz na pewno znał Weronikę, bo bywał, a przynajmniej był choć raz w Gojcieniszkach, gdzie pozostawił swój podpis na oknie ogrodowej altany, zniszczonej niestety już pod koniec zeszłego wieku. Widział i zapamiętał zamek «okazały budową, poważny ogromem», i jeśli wziąć pod uwagę kilka dalszych przesłanek, które obszernie omówiłem w osobnej rozprawie o zamku Horeszków i jego mieszkańcach, znów nasuwa się wniosek, że tu właśnie, nad Gojcieniszkami, Podweryszkami i Bieniakoniami, znajdował się środek naszego i nie tylko naszego nieba.

Tamtego wieczoru, gdy szedłem z Ojcem aleją, niebo to już ciemniało, wysypywały się sierpniowe gwiazdy, od wsi dochodziły zwykłe wieczorne głosy, ale w tym sielskim spokoju czuć było, niemal namacalnie, narastanie napięcia. I Ojciec zaczął mówić. Najpierw, że trzeba siać, że naszym głównym obowiązkiem jest zasianie ozimin, ażeby bez względu na to, co nastąpi, w przyszłym roku wyrosło żyto. Mówił też, że możemy oczekiwać nawały ze wschodu: gdy wojna będzie trwała, gdy Europa się wykrwawi, wtedy oni wyruszą jak hieny na żer, i to będzie koniec. Przeraziłem się tych słów i zapamiętałem je, i pamiętam do dziś. Ale ten wieczór był pogodny, w ciepłym powiewie drzewa lekko szumiały i sowa, jak zwykle, zaczęła odzywać się w lipach. Leżąc już w łóżku, ułożyłem rodzaj wierszyka-kołysanki, w której odbił się ten niepokój, a może przeczucie:

Szumiały drzewa za oknem nocą I księżyc leżał biały na trawie - Dlaczego, Mamo, szumią tak głośno?

Wiatr gonił księżyc wśród chmur po niebie, Aż go zaplątał w lipowe szmery: Dlaczego księżyc patrzy ciekawie? Kto teraz chodzi przez te aleje? Śpij już, na niebie przy gwieździe gwiazda, W alejach nie ma żywego ducha, Sowa od swego odbiegła gniazda I na kominie siadła, i słucha,

I w niebo patrzy, i na coś czeka - Słyszysz, sen idzie szeleszcząc z lekka. Sen przyszedł, ale niepokój pozostał: coś czaiło się na końcu alei.

W chwili wybuchu wojny miałem niespełna czternaście lat. Tego rana Matka weszła do pokoju budząc mnie słowami: «Więc już jest wojna» - i było to jak ulga, że nareszcie skończyło się napięcie ostatnich dni i że - oczywiście - zaraz pokażemy Niemcom, kim jesteśmy. To tak, jakby w ciepłym, lecz dusznym pokoju otwarto nagle okno i wpadło mroźne, ale czyste powietrze. A więc wojna! Strzelamy! Za nami był już dzień mobilizacji, gdy ze wsi podweryskiej i z Litwicy niósł się ni to krzyk, ni to zawołanie kobiet - pierwszy, niezwykle pogłos nadchodzącej wojny. Fornale przyszedli do dworu ze swymi kartami wojskowymi, by się poradzić i upewnić, którzy z nich zostali powołani.

Mój Ojciec nie był zmobilizowany, był poza kategorią ze względu na chorobę nóg, której nabawił się w czasie Pierwszej Wojny w długich marszach dywizji generała Wacława Iwaszkiewicza z Jelni do Bobrujska. W domu pozostał też mój Stryj, oficer rezerwy, nie powołany chyba z powodu wieku, miał już bowiem czterdzieści sześć lat. Był także pobór koni: wychodziły ze stajen, wyjazdowej i roboczej, jakby zadziwione niezwykle porą i uprzężą. Odprowadzano je do Bieniakoń, a potem gdzieś dalej. Zostało tylko kilka par, widocznie starych lub słabszych, wśród nich mała kobyłka Wronka, na której ja, moja Siostra i inne dzieci przebywające latem w Podweryszkach uczyliśmy się konnej jazdy - jeszcze bez siodła, jedynie na derce ściśniętej poprzęgiem, ażeby w razie upadku noga nie uwięzła, broń Boże, w strzemieniu. Również samochód trzeba było dostawić do jednostki wojskowej w Wilnie. Ojciec odprowadził go sam, szofer już zmobilizowano. «Przykro mi - oświadczył odbierający pojazd oficer - że robię panu taką niewygodę...» Ojciec się zachnął: «To przecież oczywiste, dziwię się, że nie zrobiliście tego wcześniej». Wkrótce podobno samochód ten dostał się nietknięty w ręce Niemców. Mobilizacji podlegały też rowery, mające przed wojną tabliczki z numerami rejestracyjnymi. Miałem rower kupiony w Wilnie, złożony z odpowiednio dobranych i specjalnie zamówionych części: takiej to firmy ma być rama, takiej obręcze kół, a takiej znów opony, siodełko itd. Odsyłałem go do Wilna nie bez pewnego żalu, którego jakby domyślał się profesor Wacław Łastowski, dyrektor Rolniczej Stacji Doświadczalnej w Bieniakoniach, dawny i bliski przyjaciel naszej rodziny. «Widziałem - powiedział mi - jak na tym twoim rowerze jechał żołnierz. I tak dobrze jechał, tak szybko!» Rozumiałem intencję tych słów i udawałem, że wierzę w jego opowieść.

Pierwszego września w myśl rozporządzenia [chyba niezbyt prze-myślanego] trzeba było złożyć na posterunku policji całą broń myśliwską. Był wśród niej stary sztucer Ojca, dwie czy trzy dubeltówki, w tym dziwirówka z odciąganymi kurkami, przeznaczona jeszcze wyłącznie do ładunków z prochem dymnym. Ładunki te zwykle sporządzano w domu i były tam wszystkie potrzebne po temu przybory - miarka z rączką do prochu, pudełko z przegródkami na różne rodzaje śrutu: na kuropatwy, na kaczkę, na zajacę, aż po loftki - gdyby się zdarzyło - na wilka; była też maszynka z korbką do zawijania wylotu napełnionej

już gilzy. Wśród złożonej na posterunku broni znajdował się też małokalibrowy flower, z którego ustrzeliłem niejedną wronę, kilka srok i nawet kota, którego uznałem za dzikiego, chociaż tak po prawdzie znalazł się on zaledwie kilkanaście kroków od zabudowań folwarcznych.

Do tych moich najwcześniejszych sukcesów łowieckich, do których - żal powiedzieć - trzeba doliczyć jeszcze zabitą w parku sowę, co po wypchaniu siedziała potem na sęku w moim pokoju w Wilnie, doszły w ostatnim roku przed wojną inne, już prawdziwsze, odniesione z użyciem dubeltówki: jakiś zając, kilka kaczek na stawie przy młynie, gdzie wieczorem ściagały na nocleg. No i niedawna, sierpniowa wyprawa sa-mochodem z Ojcem, Stryjem i mym bratem stryjecznym Jerzym do Soł w pobliżu Oszmiany, na wielkie stawy pełne ptactwa. Cały ten dzień spędziliśmy na łódkach pchanych przez przewoźników wśród szuwarów - i można rzec, że «kaczek było wbród». Strzelaliśmy lepiej lub gorzej, lecz wszyscy zapamiętaliśmy piękny strzał Stryja do lecącej wysoko kaczki. Stryj wspominał go aż do śmierci, bo to było jego ostatnie polowanie i ostatnia kaczka.

Wtedy jednak rysowały się jeszcze dalsze perspektywy łowieckie. Przy boku Ojca, który był zagorzałym myśliwym, następnej wiosny miałem jechać na Polesie, na kwietniowe kaczory. Nie pojechałem już jednak, i - czego najbardziej żałuję - nie zobaczyłem Polesia, krainy z dawna mnie fascynującej, dziś podobno pozbawionej swej niezwy-

klęj, bagiennej urody. Po wojnie nie wznowiłem rozpoczynanych wtedy przygód myśliwskich. Wystrzały, zapach prochu, tak mile wówczas łechcący nozdrza, a wreszcie sama krew i śmierć, chociażby tylko zająca, zostały bez reszty zohydzone w latach, gdy polowałem na ludzi i gdy sam byłem zwierzyną. Przetrwiała tylko pamięć łowieckich inicjacji, kiedy - jeszcze bez strzelby - stoję obok Ojca na ciągu słonek, a dookoła usypia majowy las; gdy w listopadowej mgłę rusza z krzykiem i hałasem naganka, a potem na polanie pachnie ognisko i nabierany z kociołka bigos; gdy w lesie rozlega się gra psów gończych, które biegną szerokim łukiem, by naprowadzić szaraka, a głos ich przesuwają się, narasta, zmienia rytmy i tony. Nie na darmo nosiły one imiona: Gama, Lutnia, Dogoń, Tugraj, Zagraj... Tak samo wsłuchiwałem się później w zupełnie inne głosy psów wiejskich, wnosząc z nich, którądy posuwa się sowiecka obława, sam czując się niekiedy szarakiem, niekiedy młodym wilkiem.

Wojna na naszych Kresach przez pierwszych szesnaście dni miała posmak niemalże abstrakcji. Jej pogłosy dochodziły przede wszystkim z radia, wokół którego, jak wokół ogniska, skupiało się całe życie domu. I tak jak chyba we wszystkich polskich domach budziły grozę tajemnicze słowa: «Uwaga! Uwaga! Nadchodzi, WT... Uwaga! Uwaga! Przeszedł... wypatrywać...» To znowu niezawodnie komunikat wywiadu: «Ojciec Feliks prosi Wacława i Szarego o wiadomości i powrót». A potem trzeciowrzesniowa euforia: Francja, Anglia - i pewność zwycięstwa, i niedowierzanie: zbombardowano czołgi niemieckie na wschód od Częstochowy. Jak to: na wschód? Pomyłka? Ale chyba nie, bo i na Śląsku, bo i na Pomorzu, ale przecież Westerplatte się broni i Wódz Naczelny pozdrawia dzielną załogę... A gdy siódmego dnia usłyszeliśmy słowa: «Westerplatte padło», a zaraz po nich zagrano Jeszcze Polska..., skupieni wokół radia wstaliśmy milcząc - i wtedy stało się jasne, że to już nie pomyłka ani przemyślna strategia. I zaczęła wyłaniać się prawda, stan rzeczy zły, choć nie nazwany, bo wyraz «klęska» jeszcze nie mieścił się w naszym słowniku.



Poza salonem, w którym znajdowało się radio marki Philips, skupiające teraz uwagę wszystkich domowników, życie toczyło się jeszcze dotychczasowym swym trybem, rozłożonym wedle planu pokoi i ko-rytarzy, odmierzanym rytmem posiłków. W dużej, sklepionej sieni, ozdobionej pilastrami i dwoma filarami, krzyżowały się nurty tego ży-cia: naprzeciw drzwi wyjściowych na ganek znajdowały się oszklone, zwieńczone szerokim łukiem drzwi do salonu, na lewo biegł korytarz łączący pokoje sypialne, na prawo było wejście do jadalni i drugi kory-tarz do pokoi administracyjnych i służbowych, wreszcie stąd prowadziły schody na pięterko i strychy. Sień ta, nazywana przez nas raczej przedpokojem, była miejscem wszystkich ważniejszych wydarzeń wcześniej i później, aż po ten dzień, kiedy po pięćdziesięciu latach je-szcze raz wszedłem do niej jako przybysz, a może jako pielgrzym do dalekiego sanktuarium. Ale nie był to już ten dom ani ta sień, w której jeszcze wtedy, w pierwszych tygodniach września, we wnękach pomię-dzy pilastrami czerniły się medaliony z cietrzewi i głuszców - trofea Ojca - a przy szaragach wisiały dwie oprawione łopaty łosia, wysunięte w przód niby wielkie, palczaste łapy. Cietrzewie pochodziły z pobliskich łąk, porośniętych krzakami, wśród których koguty urządziły na wiosnę tokowiska, bełkocąc o świcie swoje miłosne litanie. Głuszce miały odleglejszy rodowód: wywodziły się z Puszczy Rudnickiej, z bagiennych ostępów w pobliżu Inklaryszek, gdzie gajowi podprowadzali myśliwych ku sosnom, na których ptaki zapadały na nocną drzemkę, by jeszcze przed świtem zacząć swój trójdzielny tok: czyk, czyk, czyk - cufiszsz, i znów czyk, czyk, czyk - cufiszsz. W rytm tego śpiewu skok, skok, skok - i zamrzyj w bezruchu, i znów skok, skok, skok - już bliżej i bliżej do sosny, na której ptak musi zaczernieć na tle rozjaśniającego się nieba. Rwałem się do tych łowów, ale już nie zdążyłem i dopiero w pięć lat później, w puszczy w pobliżu Inklaryszek pewien gajowy, do którego chaty przyszliśmy nad ranem, ni to wspominał, ni to kusił: «Tu przyjeżdżali panowie, stąd szli kładkami przez błota, ja ciebie i teraz do głuszcza podprowadzę...» - i patrzył na moją broń. Ale to nie była przecież dubeltówka, tylko pistolet maszynowy, i nie mogłem odejść, zostawić moich chłopców, a sam podchodzić ptaka trójskokami w ryt-mie czyk, czyk, czyk - cufiszsz.

Na razie wokoło panował spokój. Ekonom wciąż jeszcze kilka razy dziennie bił w żelazną szynę zawieszoną na drzewie, ogłaszając tym dźwiękiem początek pracy, przerwę na obiad i wieczór. Innym, prędkim dzwonieniem przywoływał kobiety do udoju, a powolnym, równym bębniem «na konie» powiadamiał fernali, że oto pora schodzić z pola. Koni było już niewiele, musiały więc pracować w dwójnasób, część fernali była na wojnie, zostali starsi albo dorostki, przejmujący pracę około inwentarza. Stado bydła pozostawało jeszcze nietknięte, trzeba było je paść, poić i doić, pędzić na pastwisko i znów do obory, karmić świnię, przygotowywać jesienne zapasy. Został jeszcze kowal, stelmach, traktorzysta, a także stróż nocny, który krążył po całym obejściu, doglądał obór i stajen, wieczorem spuszczał psy z łańcuchów, a rano nawiązywał je przy budach; przechodząc koło domu głośnym gwizdkiem dawał znać, że pełni swoją służbę. Aż pewnego dnia w ten koncert wiejskich głosów nad porykami bydła, dźwiękami kuźni, szczekaniem psów włączyło się nieznośne, narastające falsetem brzę-czenie, kulminujące potem w głuchych grzmotach. Wiedzieliśmy, że

bombardowali Wilno, Lidę, może też jakieś mosty lub tory, ale wszystko to było jeszcze daleko, poza obrzeżonym lasami widnokregiem.

Dziesiątego dnia wojny z za tego widnokregu wysunęły się nagle trzy ciemne sylwetki jakby ogromnych ryb płynących na tle wieczornego nieba. Leciały niemal bezgłośnie, nisko nad torem kolejowym, aż ich uwagę ściągnęła kępa wysokich drzew parku i czerwony dach domu. Wtedy zakręciły, nadleciały i z szumem silników zaczęły krążyć nad obejściem i ogrodem, tuż nad lipami, niby wielkie jastrzębie wypatrujące zdobyczy. Schowałem się przy pniu rozłożystej brzozy i zastygłem w lęku oczekując wybuchu. Obok tulił się do ziemi wyżeł, z którym właśnie wyszedłem w pole, dalej w krzakach przykucnęły jakieś wiejskie dzieci. Jedno, drugie, trzecie jastrzębie okążenie, krzyżackie znaki na skrzydłach, narastający huk motorów - aż zawiedzione brakiem łupu odleciały, ucichły i znów ciągnęły nad torem jak wielkie, czarne ryby, nim znikły za horyzontem. Pozostał jednak lęk, sączący się odtąd z samego środka nieba, które przestało już sprzyjać.

Ten pies, z którym kryłem się pod drzewem, nazywał się Trop. Cho-dziłem z nim na cietrzewie i na kuropatwy, które tak nienagannie wy-stawiał, aportował też kaczki ze stawu. Nie miał jednak szczęścia do samolotów, bo chociaż jakoś przetrwał pogrom dworu i pierwsze rządy sowieckie [podkarmiany chyba przez dawną służbę lub fernali], zacie-kawił Niemców, którzy po wejściu na Kresy urządzili na podweryskich polach wojskowe lotnisko. «Jak się nazywa?» - dopytywali się, może sami znawcy psów myśliwskich. Ktoś im powiedział: «Trop». «Co? - ryknęli - Trop? A więc Ribbentrop! Jak tak, to teraz będziesz Stalin!» Wsadzili go do samolotu i odlecieli - na jakie to polowanie?

Lęk, który spłynął wprost z nieba i coraz mocniej sączył się też z ra-diowego głośnika, przygłuszył i na chwilę odsunął w cień drugi nurt niepokoju, związany z tym, o czym przed dwoma tygodniami mówił Ojciec na spacerze w alei lipowej. Zagrożenie od Wschodu było na Kre-sach, a zwłaszcza we dworach kresowych odczuwane trwałe, jeśli nie jako doraźne niebezpieczeństwo, to jako składnik tradycji. Było czymś żywym w pamięci lub w podświadomości kształtowanej przez niedawne doświadczenia roku dwudziestego, a może i przez doświadczenia stuleci. Im bliżej granicy, tym uczucie to było silniejsze. Gdy rok przed wojną byłem w Lecieszynie, dworze Czarnockich, skąd pochodziła matka Ojca, i stałem w alei parkowej, która utknęła w linii granicznej wyznaczonej przez Traktat Ryski - a za linią tą znajdowała się już Bolszewia - przebiegł mnie dreszcz, chociaż na polach po tamtej stronie, należących przecież niegdyś do dworu lecieszyńskiego, nic się szczególnego nie działo: pasły się jakieś krowy, pracował oracz. Także i teraz, podobno, granica ta była bezpieczna, bo bolszewicy mieli odsu-

nać od niej swe wojska, abyśmy nie mieli z tej strony żadnych obaw; rząd nasz i naczelne dowództwo przeniosły się gdzieś na Wołyń, by stamtąd kierować dalszą walką, a oni przecież wiedzą najlepiej, skąd wiatr wieje - tak w połowie września oceniał sytuację senator Malski, siedzący na folwarku Jodkiszki niedaleko od Podweryszek. Jako osoba z kręgu najwyższych władz państwa powinien był mieć dobre rozeznanie. Uspokajał, nie uspokoił. Cisza od Wschodu zdawała się narastać i piętrzyć jak ściana wody zatrzymanej różdżką Mojżesza. Nawet Niem-

cy przestali latać nad torami i nie słychać było wybuchów. Wiadomości radiowe, jakoś dziwnie nieskładne, donosiły, że Warszawa się broni, że trwają bitwy gdzieś w centrum i na południu Polski, ale też wskazywały, że na mapie rysują się cęgi zaciskane przez Niemców wzdłuż Bugu. O naszych Kresach wojna jak gdyby zapomniała, lecz co to miało znaczyć? Dies illa

Dies irae, dies illa, solvet saeculum in faoilla - żaden tekst nie opisze wierniej i zwięźlej tego dnia, kiedy rozsypał się w proch nasz wiek i świat. I nie był to dzień krzyku i lamentu ani dzień walki i śmierci. Nadal trwała cisza, nad drzewami nie przeleciał żaden samolot, nie rozległ się żaden wystrzał. Ale była to cisza ciężka jak ołowiane niebo, z którego tego dnia zaczął padać z dawna wyczekiwany deszcz, mający pono powstrzymać marsz czołgów niemieckich. W ten dżdżysty ranek w Podweryszkach rozdzwonił się telefon. To z posterunku policji: «Prosimy natychmiast przyjechać, odebrać złożoną broń». «Co się stało?» - Cisza w słuchawce. Więc zaraz bryczką do Bieniakoń. Policjanci palą w piecu jakieś papiery. «Co się stało?» «To pan nie wie, bolszewicy...» - i już wszystko wiadomo, i nie trzeba dalszych słów, bo nic po nich. Jest sztucer, dubeltówki, naboje, policjanci wyjeżdżają, gdzie? Sami chyba nie wiedzą, no bo dokąd można uciec? My też wyjeżdżamy, oczywiście do Wilna. Teraz nie ma już wahań, sprawa jasna, włącza się doświadczenie, może automatycznie działa nawyk. Nie mówimy przecież: «bolszewicy przekroczyli granicę» ani: «wydali nam wojnę» [tak się wyraziła tylko Mademoiselle ćwicząca nas w czasie wakacji we francuskim], ani nawet: «napadli», ale słyszę z ust Babki, Matki, Ojca: «bolszewicy się ruszyli». Skąd ten zwrot? Pewnie z czasów nawały roku dwudziestego, ale i dawniejszy, bo jak to mawiano o Tatarach?

W roku 1920 moja Babka z dorastającymi dziećmi: moją Matką i Wujem [Dziadek wtedy już nie żył] w fali uchodźców uciekała wozami za Niemen, za Bug i aż za Wisłę. Jeden wóz się rozsypał i został na drodze razem z co cenniejszym dobytkiem, na drugim dotarli za Warszawę i tu zalegli: co będzie, to będzie, zabrakło już sił. Wuj, chłopak ciężko chory - jeszcze nad Bugiem dostał jakiejś febry - nie może zaj-mować się końmi. Ale już ciszej, łoskot bitwy oddala się na wschód i niknie, dzieją się rzeczy niezwykle, zaczynają się powroty do spustoszonych siedzib, odnowa, odbudowa. Po tamtym najeździe było już wiadomo, czego należy się spodziewać z tej strony od obcych i od swo-ich. Pogromy i grabieże, morderstwa i pożary nie do zahamowania

własnymi siłami. Grottgerowski obraz obrony dworu to już mit, czasem tylko ożywiany w literaturze, chociaż jeden przykład wykazał, że to także coś więcej - etos i nakaz tradycji. W Ugoszczu na Ziemi Do-brzyńskiej Antoni Borzewski odesławszy rodzinę za Wisłę przez wiele godzin samowtór bronił się we dworze przed jakimś oddziałem Gaj Chana, dopóki nie wzięli go ogniem i nie zabili. W pokoju, w którym przy oknie padł, urządzono później kaplicę, a pamięć trwa i z wolna na-biera blasku legendy.

Wspomnienia, opowiadania działały jak szczepionka, zarażały lękiem i zarazem uodporniały. Pożoga Zofii Kossak była niemal obowiązkową lekturą, dla dzieci to samo zadanie spełniało Pożegnanie domu Zofii Żurakowskiej. Pamiętałem dobrze zawarty w tej książce opis pogromu, rabunku dworu, ucieczki młodego chłopca. Na tę sytuację byłem więc w pewnym stopniu przygotowany, nie umiałbym natomiast utożsamić swych losów z końcem tego opowiadania, w którym autorka na zawsze pozbawia chłopca rodzinnego kraju, prowadząc go przez granicę z Ukrainy do Polski. Taka możliwość wtedy i jeszcze długo potem ani mnie, ani nikomu wokół w głowie nie powstała.

Zatem tak jak to nie raz już bywało na Kresach, służba ładuje wozy, jedzenie, ubranie, rzeczy cenne, i my wszyscy, Rodzice, Babcie, Siostra, Stryjostwo, kuzyni i kuzynki, także Mademoiselle, mamy jechać końmi do Wilna, oddalonego o nieco ponad pięćdziesiąt kilometrów. Ojciec ma strzelbę przewieszoną przez plecy, to oczywiste, po drodze mogą być

napady. Tu też zbierają się jakieś grupki - fornale, ale i inni, może przyszli ze wsi, stoją, coś szeptają albo tylko patrzą ciekawie. Co będzie dalej, wiadomo, czytałem Pożegnanie domu, więc i ten dom żegnam ja-koś tak uroczyście, chociaż nie bez nadziei, bo przecież były już takie odejścia i powroty. Zostaje ochmistrzyni, która ma mieć pieczę nad do-mem, ekonom, zaufani fornale - oni będą doglądać gospodarstwa. Do zobaczenia, niech Katarzyna nie płacze, da Bóg coś się odmieni. Dzwonią ze stacji, że jeszcze będzie pociąg, a miało już nie być żadnego, więc jednak jedziemy koleją, a wozy z zapasami przyprowadzą sami fornale. Już zmierzcha, minął więc cały dzień na tych zabiegach. Deszcz mży ciągle i niebo jest ciężkie jak ołów, ale milczy, mimo że tego dnia właś-nie dokonał się czwarty rozbiór Polski.

Osiemnastego września, już w Wilnie, urządzamy się w naszym mieszkaniu w Alei Róż, dokąd dotarliśmy późną nocą. Dom stoi na zboczu Góry Bouffałowej, więc z okien widać całe śródmieście, aż po Górę Zamkową i Trzykrzyską, ale tego dnia nadal mżyło i widok był zamglony. Na ulicach pusto, czasem przejechał jakiś wóz, śpieszyli nie-liczni przechodnie, kupowano zapasy żywności. Nie było paniki ani bieganiny, nie było już dokąd uciekać. Miasto zdrętwiało i zszarzało

jak twarz człowieka, który oczekuje śmiertelnego ciosu; jeszcze chwila, ostatni dzień wolności.

Około południa Małą Pohulanką czwórka koni ciągnęła pod górę wielkie działo - więc chyba będziemy się bronić. Żołnierze jadący wierz-chem i piesi, zmoczeni deszczem i o znudzonych twarzach, nie sprawiali wrażenia gotowych do walki. Gdzieś jednak przesuwali to działo i być może ono właśnie w nocy oddało z Góry Bouffałowej kilka strzałów, których huk przetoczył się nad naszym domem. A pod wieczór tą samą ulicą miarowym, równym krokiem zaczęły iść oddziały wojska i policji. Opuszczały miasto. Już było wiadomo, że idą ku granicy litewskiej, żeby za nią szukać schronienia. Miasto pozostawało bezbronne, jak otwarty ogród, który wszyscy mogą deptać i grabić.

Wtedy zaczął się cud. Z głośników radiowych, które stale były włączone, popłynęły niezwykle wiadomości. Najpierw, że w Berlinie i w Hamburgu na wieść o tym, że Włochy wydały Niemcom wojnę, wybu-chła rewolucja. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że do tej wojny przystąpiły jeszcze inne państwa, bodaj Jugosławia, Szwajcaria i Grecja; Hitler uciekł czy też został zamordowany, Niemcy cofają się w popłochu spod Warszawy, a wreszcie - tam i wtedy to było najważniejsze - że bolszewicy zatrzymali się kilkadziesiąt kilometrów od granicy. In-formacje wstrząsnęły miastem, ktoś do nas nadbiegł, ktoś telefonował, wszyscy zawiśli przy radiu, a ono nie szczędziło pociechy. Więc koniec nieszczęść! Nie do wiary, ale przecież słyszymy to na własne uszy! Wiara w słowa Polskiego Radia była jeszcze tak wielka, że gotowa była wytrzymać nawet taką próbę, podźwignąć tonącego. Kim byli ludzie, którzy opanowali wileńską radiostację? Okrutni żartownisie czy dy-wersanci? Gdy w coraz większym podnieceniu słuchaliśmy kolejnych wieści, Ojciec był poza domem, w przeciwnym razie byłby nas niezawodnie otrzeźwił. Wrócił wieczorem, może była godzina dziewiąta, ze słowami: «Bolszewicy są już w mieście i zajmują dworzec». Gwar ucichł, cud się skończył, zaczęła się czarna noc Wilna.

Zrazu było cicho i ciemno, ale wkrótce to tu, to tam stuknęły pojedyncze wystrzały, krótki terkot karabinu maszynowego, jakiś wybuch. Potem odezwała się artyleria: głuchy huk od strony Góry Bouffałowej i podobne z drugiej strony miasta, jakby od Rossy, poprzedzane roz-błyskami na niebie. Skupieni w korytarzyku bez okna, po raz pierwszy ukryci, liczyliśmy

kolejne łaskoty nie wiedząc, czy to wystrzał, czy wybuch pocisku, ani nawet kto strzela, nasi czy oni. Wreszcie ucichło i wtedy od strony dworca, wzdłuż Zawalnej, zaczął narastać łomot, piekielny głos pędzących po bruku stalowych gaśnic, który przemknął ulicą poniżej naszego domu i w chwilę później nagle urwał się w gwałtownym trzasku. Wyleciała w górę zielona raca, oświetliła na chwilę miejsce wydarzenia i opadła. Był to pierwszy sowiecki czołg, który gnał przez Zawalną i na skrzyżowaniu z Portową uderzył całym rozpędem w ścianę niewielkiego domu. Wgniół ją, jak potem było widać, a sam się rozbił, tak że jego gaśnice jeszcze dłuższy czas leżały na chodniku. Ten czołg i ten hałas stały się ucieleśnieniem najazdu, bo rano oni już byli wszędzie, ciężarówki z żołnierzami krążyły po ulicach, ich stopni czepiały się jakieś żydowskie wyrostki - i to już był pierwszy dzień po zdobyciu miasta.

Opowiadano potem, że strzały karabinowe, które było słyhać tej nocy od strony Rossy, to były desperackie próby obrony, a może raczej akty wierności pojedynczych żołnierzy, tam właśnie, w pobliżu grobu z sercem Marszałka Piłsudskiego, przeciwstawiających się lawinie spły-

wającej sąsiednią ulicą. Kryli się potem wśród kamiennych nagrobków i znikali, ale dwaj pozostali i przeszli do legendy. Pełnili zwykłą wartę przy płycie Mauzoleum, a gdy wojsko wycofywało się z miasta, dowódca zapomniał ich odwołać. Więc stali nieporuszeni i mimo że doradzano im, by ratowali się ucieczką, nie zeszli z posterunku i zostali zabici przez ciągnących ulicą bolszewików. Może jedną z tych krótkich serii karabinu maszynowego, które w nocy dobiegły do nas od tamtej strony? Potem pochowano ich na miejscu, obok mogił żołnierskich z poprzedniej wojny osłaniających z dwu stron grób z napisem «Matka i serce Syna» i z wyrytą strofą Słowackiego: «Kto mogąc wybrać...» Oni także wybrali, ale czy po raz drugi o nich nie zapomniano? Czy tym żołnierzom przyznano pośmiertnie Order Virtuti Militari? A może po-

winien to być raczej Order Virtuti Fidelitatis, którego statut sami tej nocy ustanowili? Później na tym wojskowym cmentarzu przybyły dalsze groby, zwłaszcza z ostatniej bitwy o polskie Wilno w lipcu 1944 roku, wśród nich grób mego bliskiego kolegi z gimnazjum, Jasia Hillera, który gdyby przeżył, byłby dziś pewnie księdzem, może biskupem. Nie miał w sobie nic z wojaka, ostatni człowiek do strzelania, ale wtedy i on poszedł na tę wojnę, w czasie bitwy opiekował się rannymi, osłaniał ich i tak zginął, a krzyż orderu, którym go nie odznaczono, powinien chyba mieć napis Virtuti Caritatis.

Mauzoleum na Rossie w 1939 roku liczyło zaledwie trzy lata, ale było elementem znaczącym w krajobrazie Wilna, rozmaicie zresztą odbieranym przez mieszkańców miasta. W moim domu nie było kultu Piłsudskiego, Ojciec był członkiem Stronnictwa Narodowego, ale dzień pogrzebu serca Marszałka przeżyliśmy jako wielką polską uroczystość. Miałem możliwość oglądać z okna lokalu Rady Adwokackiej przy ulicy Wileńskiej pochód, który z kościoła Św. Teresy, gdzie urna z sercem była przez rok przechowywana, ciągnął na Rossę okrężną drogą przez główne ulice miasta. Cała ta trasa: ulice Wielka, Zamkowa, Plac Katedralny, Mickiewicza, Wileńska, Niemiecka, przez Ostrą Bramę na Piwną i Rossę była obstawiona słupami, na których - co kilkadziesiąt metrów - rozpięto na przemian ogromne wstęgi orderów Virtuti Militari i Krzyża Niepodległości. Na chodnikach stał gęsty tłum, a środkiem szedł w ciszy długi pochód, w którym raz tylko w życiu własnymi oczami zobaczyłem Majestat Rzeczypospolitej. Najpierw szło wojsko, konnica i piechota, potem

długie dwa szeregi duchownych: zakonnicy, księża, biskupi, potem laweta ciągniona przez cztery czy sześć koni, z przykrytą flagą trumną matki Marszałka. Za nią czterech generałów niosło na ramionach rodzaj małej lektyki, w której znajdowała się urna z sercem, Rydz-Śmigły prowadził córkę Marszałka, potem samotnie, z cylindrem w ręku kroczył Prezydent - i to był dla mnie ów symbol, i takim został mimo wszystko, co potem się stało, o czym się dowiedziałem i cokolwiek by mówiono. Za Prezydentem szedł cały rząd, senat, sejm, jeszcze wiele innych osób i organizacji, ale fala emocji już opadła.

Pamiętam też inny pochód pogrzebowy, o cztery lata wcześniejszy, gdy chowano w Wilnie biskupa Władysława Bandurskiego, dawnego kapelana Legionów. Patrzałem na to z okna naszego ówczesnego mie-szkania przy Zawalnej. Także i ta trumna jechała na lawecie, ale najbar-dziej utrwalił mi się widok towarzyszącego jej oddziału wojska. Był wieczór, już ciemny, wszyscy żołnierze mieli w rękach palące się po-chodnie i też był w tym majestat, a co najmniej patos. Dopiero niedaw-no dowiedziałem się, że pochód ze światłami stanowi część ceremoniału pogrzebowego należnego biskupom, sięgającego głęboko w wieki

średnie. Nie wiem, czy ten ceremoniał bywa nadal zachowywany, ale chyba już nigdy nie odbywa się tak jak wtedy, z udziałem wojska. W ka-tedrze wileńskiej wzniesiono później duży, wykonany z czarnego mar-muru, posąg biskupa Bandurskiego, który Litwini usunęli po zajęciu Wilna, widocznie zdawał się im groźny. Ale płyty Marszałka na Rossie, chociaż również z czarnego kamienia, nie naruszyli i leży tam do dziś opatrzona patetyczną strofą z Beniowskiego o gnieździe orła, której wy-bór był podobno ówczasie krytykowany, lecz chyba się sprawdził.

W wieczór poprzedzający pogrzeb serca Marszałka miasto było ilu-minowane: co piękniejsze kościoły i niektóre inne budowle wyłoniły się z ciemności ku zachwytowi przybyszów z całego kraju i stałych mie-szkańców, którzy uprzednio nie zawsze byli świadomi urody miasta. Razem z Matką jeździłem dorożką od Św. Katarzyny do Ostrej Bramy, do Św. Jana, Św. Anny, do katedry, pod Pałac Reprezentacyjny i jeszcze gdzie indziej, przypatrując się niezwykle widowisku. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że oglądam jedno z najpiękniejszych, a może najpiękniejsze miasto Europy, nie miałem żadnej miary porównawczej, a nawet przeciwnie, żyliśmy w swoistym kompleksie Kopciuszka: ładne to nasze Wilenko i miłe, ale gdzie mu tam do wielkiego świata, a więc i do jego urody. Tego wieczoru jednak nastąpiło przeobrażenie, bal Kop-

ciuszka w królewskim pałacu. Ze wzgórz otaczających miasto wzniosły się jasne smugi światła reflektorów, zbiegające się w jednym punkcie nad kościołem ostrobramskim, w którym jeszcze spoczywało serce. One wtedy wyznaczyły wyraźnie na chmurach środek nieba wiszącego nad Polską. Późno wróciliśmy z objazdu miasta do domu, chociaż jeszcze nie biła północ. Bal trwał, dostojni goście mogli podziwiać Wilno.

Po raz drugi widziałem Rydza-Śmigłego w dwa lata później, gdy w marcu 1938 roku pokazał się na balkonie Pałacu Reprezentacyjnego, by pozdrowić zgromadzoną na dziedzińcu młodzież szkolną. Sprowadzono nas tam z powodu konfliktu z Litwą, jaki wybuchł po zabiciu polskiego żołnierza. Kilka godzin staliśmy tłumnie, oczekując na pojawienie się Wodza, zagrzewani intonowanymi co kilka minut okrzykami: «Na Litwę! Na Kowno! Na wakacje do Kłajpedy! Wodzu prowadź!» Marszałek pojawił się wreszcie w narzuconej na ramiona pelerynie, podniósł się krzyk i wiwaty, ale on ciężko nas rozczarował, bo zamiast oczekiwanej przemowy powiedział tylko kilka słów, dziękując nam za przybycie

i pozdrawiając, po czym zniknął z balkonu, a my rozchodziliśmy się podnieceni i zawiedzeni zarazem. Marzyła nam się zbrojna wyprawa na Litwę, tryumf mocarstwa, zgodnie z wprowadzanym właśnie nowym tekstem pieśni Boże coś Polskę, w której po słowach: «tarczą swej opieki» miano śpiewać: «gdy hufce nasze wrogów poskramiały». Tekst ten nie przyjął się jednak, wyprawa też się nie odbyła, a w półtora roku później przez Pohulanę szły ku granicy litewskiej resztki wojska, żeby tam złożyć broń. Wódz Naczelny był już tego dnia w Rumunii, miasto było szare jak popiół.

Następnego ranka do drzwi zastukał mój wuj, Kazimierz Rymsza, ten sam, który jako chłopiec powoził niegdyś na szlaku ucieczki przed bolszewikami. Teraz jako porucznik rezerwy już od wiosny był w wojsku, stacjonował ze swą baterią przy granicy Prus Wschodnich, gdzie także widział Rydza, gdy ten w lipcu wizytował oddziały i umocnienia. Pochwalił postawę żołnierzy, pochwalił kilka ziemnych okopów, które później nie stały się nawet złudzeniem zapory, i odjechał. W pamiętny piątek 1 września bateria Wuja jako pierwsza na tym odcinku frontu oddała wystrzał, który rano obudził mieszkańców Lidzbarka i Działdowa, a potem w ogniu cofała się ku wschodowi. W dniu klęski Wuj znalazł się w Wilnie i szedł już wraz z innymi w kierunku Litwy, ale przed samą granicą się cofnął i postanowił zostać. Teraz stanął w drzwiach, jakiś inny niż zwykle, może dlatego że nie ogolony, podszedł wprost do mej Babki, a swej matki, która go przygarnęła, i ryknął płaczem jak mały chłopiec. Myśleliśmy, że dostał jakieś złe wiadomości o rodzinie, żonie i córkach, które zostawił w swej Hurynowszczyźnie pod Kłęckiem, ledwie cztery kilometry od sowieckiej granicy. Ale nie, on płakał dlatego, że wszystko, no wiecie, wszystko... Moja Matka zaczęła go przekonywać, że przecież to nie koniec, że Warszawa się broni, że coś tam wielcy alianci... Marne to były pociechy, ale wystarczyły, by chwila się odwróciła. Byli przecież tacy, o czym dowiedzieliśmy się później, którzy nie przetrzymali kryzysu i «owego dnia», die illa, sami się zastrzelili. Inni wyrzucali broń, mundur i dokumenty, chcieli się

roztopić, zniknąć, być zapomnianymi. Jeszcze inni zakopywali broń, zabezpieczając starannie wylot lufy i owijając zamek w tłustą szmatę. Wuj też miał przy sobie pistolet i po tym wszystkim powiedział mi, już całkiem zwyczajnie, nawet wesoło, jak to on: «Poszukaj dobrego miejsca, żebyśmy wieczorem zakopali, bo jeszcze się przyda». I rzeczywiście, pistolet ten, naoliwiony, zalany w blaszanym pudełku stearyną z roztopionych świec i zakopany na zboczu wzgórzka koło domu w Alei Róż, po kilku latach przydał się, choć nie na wiele. Przede wszystkim jednak już wówczas spełnił swą główną funkcję jako zadatek na przyszłość.

### **Aleja Róż**

Ojciec mój był adwokatem, specjalistą od spraw cywilnych. Prowadził własną kancelarię i dlatego mieliśmy stałe w Wilnie spore mieszkanie, najprzód na ulicy Zawalnej, potem na 3 Maja, tuż przy sądach, a wreszcie, przed samą wojną z jakichś tam względów musieliśmy przenieść się w Aleję Róż. Wychowywałem się więc - jak bóbr czy szczur ziemno-wodny - jednocześnie w dwóch środowiskach, ziemiańskim i mieszczańskim.

Urodziłem się w Wilnie 4 listopada 1925 roku, a więc o dwa miesiące wcześniej, niż mi wpisano w metryce, bo wtedy robiono takie przesunięcia, żeby dziecku opóźnić szkołę i służbę wojskową. Praktyki te, nierzadkie w czasie zaborów, po Pierwszej Wojnie były już słusznie krytykowane, co wszakże nie dotyczyło dziewcząt, które w ten sposób zyskiwały rok, cenny zwłaszcza w razie opóźniającego się zamążpójścia. W moim przypadku

przezorność ta nie przyniosła żadnych efek-tów, bo żołnierzem zostałem mając lat siedemnaście, naukę rozpoczą-łem też we właściwym czasie, a dopiero gdy wypadnie mi przejść na emeryturę, będę miał z tej nieścistości pożytek, dodatkowy rok pracy. Wtedy jednak na pewno nikt o tym nie myślał, bo i samo pojęcie eme-rytury zdawało się rodziny nie dotyczyć. Chowałem się więc początkowo pół na pół w Wilnie i w Podweryszkach, a gdy stanął tam nowy dom, to już stale na wsi, gdzie pierwszych pięć lat szkolnego obowiązku wypełniłem przy pomocy bony, a następnie zatrudnianych w tym celu nauczycielek oraz przy niby-kontroli szkoły powszechnej w Bie- niakoniach. Dopiero w szóstej klasie znalazłem się w Wilnie, w prywat-nej szkole, dzięki czemu udało mi się zdać egzamin do Gimnazjum Zygmunta Augusta. Po dwóch latach nauki zastała mnie w nim wojna, naruszając znów tok mej edukacji.

Gospodarkę w Podweryszkach prowadził brat Ojca, stryj Gustaw, fachowy rolnik. Ojciec często dojeżdżał z miasta, zwłaszcza na niedziele. Wspólnie ze Stryjem uradzali nad sprawami gospodarczymi, jak wtedy mawiano - rozmawiali o interesach. Ojciec chadzał na polowanie, w czym mu towarzyszyłem, a nieraz całe przedpołudnia przesia-

dywał w kancelarii dając porady prawne, oczywiście bezpłatne, chłopom z bliższych i dalszych wsi, którzy w długiej kolejce wypełniali kuchenny korytarz. I tak się stało, że właśnie ta działalność mego Ojca, dorywcza i marginalna, przetrwała na miejscu w pamięci ludzi jako jedyny ślad po dawnych mieszkańcach i właścicielach dworu podwery- skiego. Gdy w pięćdziesiąt lat później znalazłem się tam ponownie na

krótką chwilę, jacyś nie znani ludzie, którzy tam dzisiaj żyją, wiedzieli to tylko, że był kiedyś mecenas, który dawał dobre rady. Wszystko inne zostało zapomniane.

Dom przy Alei Róż w Wilnie miał cztery kondygnacje. Na parterze mieszkała rodzina Skargów: prócz rodziców mój kolega szkolny Piotr i dwie córki, Hanna i Barbara. Obie są dziś znane, pierwsza jako aktorka, druga jako filozof. Pierwsze piętro zajmował Bronisław Wróblewski, profesor prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego, człowiek towa-rzysko miły, lecz podobno kat na egzaminach. Jego żona Krystyna była malarką i graficzką, starszy syn Jerzy, mój kolega nie tylko z klasy, lecz i z jednej ławki, po latach został, śladami ojca, profesorem prawa na Uniwersytecie Łódzkim, rektorem tej uczelni i członkiem różnych waż-nych gremiów. Zmarł niedawno. Młodszy brat Jerzego, Andrzej, zwany w rodzinie i wśród przyjaciół Andrulem, to właśnie ów malarz znany ze słynnej serii Rozstrzelań, twórca Trwającej kolejki i Błękitnego szofera. Już wtedy wiele rysował, zwłaszcza różne główki, był zamknięty w sobie i jakiś odmieniec, więc z niego żartowaliśmy. Drugie piętro zaj- mowaliśmy my, a na trzecim mieszkał profesor Manfred Kridl, wielki znawca literatury polskiej. Udało mu się w porę wyjechać wraz z rodzi-

ną przez Japonię do Stanów Zjednoczonych, gdzie też otrzymał katedrę polonistyki. Jego córka, zwana Dziubą - dziś Elisabeth Valkenier - jest wykładowczynią na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, często odwiedza Polskę.

Wśród tych współmieszkańców istniejącego do dziś domu przetoczył się pierwszy rok wojny. Mieszkanie nasze miało sześć pokoi, w tym gabinet Ojca, salon, stołowy, trzy sypialnie oraz kuchnię i pokój służącej. Po wrześniu 1939 roku oprócz najbliższej rodziny znalazły się w nim dwie kuzynki, Basia i Hanka Reszkówny, wuj Kazimierz Rymsza, a potem i jego żona z dwiema córkami, które udało się jakoś sprowadzić spod Kiecka. W gabinecie Ojca [o praktyce adwokackiej nie było już mowy] zamieszkała para uciekinierów z



Warszawy, zamożnych i kulturalnych Żydów, bodaj Nowińskich, którzy zresztą dość szybko załatwili sobie wyjazd do Ameryki. Na ich miejsce wprowadziła się wkrótce inna rodzina Żydów warszawskich nazwiskiem Gutgeszalt, mniej zamożna i mniej przewidująca. On był ponoć wybitnym poetą, więc dziwił się bardzo, gdy bolszewicy pewnego dnia go zamknęli. Wyszedł po kilku miesiącach i - niczego się nie nauczywszy, ufny w swoją sławę - gdy przyszli Niemcy, chciał koniecznie zażądać od nich osobistej ochrony, jakichś strażników przed drzwiami, którzy by go bronili w razie antysemitycznych wybryków. Potem dziwił się, że nikt nie chce z nim rozmawiać w sprawie dokumentów na wyjazd przez Szwecję do Ameryki, a wkrótce wraz z żoną i synem zabrano go do getta. Co się dalej z nimi stało, trudno wątpić. Syn miał na imię Gabryś, pisał ładne opowiadania, grywałem z nim w szachy - to tyle pro memoria.

Zaraz po wejściu bolszewików zaczęły się aresztowania. Wyłapywano przede wszystkim oficerów, którym polecono zgłaszać się do rejestracji, a także inne osoby, zapewne według przygotowanej listy. Niektórzy oficerowie usłuchali wezwania, zrobił to między innymi stary generał Suszyński, daleki sąsiad Podweryszek, uczestnik wielu polowań. Poszedł do rejestracji i odtąd słuch o nim zaginął, dopiero później dotarła wiadomość, że zmarł gdzieś w głębi Rosji. Trzeba więc było się ukrywać, dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy mieli jakieś dawniejsze zatargi z bolszewikami lub z komunistami wileńskimi, czy chociażby zajmowali znaczące miejsce w mieście. Mój Ojciec, uczestnik Pierwszej Wojny, członek Rady Miejskiej i prodziekan Rady Adwokackiej, znany w Wilnie jako działacz Stronnictwa Narodowego, wyjechał do jakichś przyjaciół w Landwarowie, lecz wkrótce musiał wracać, bo w ich mie-szkaniu zagnieździł się sowiecki oficer. Ledwie chyłkiem udało mu się wymknąć. W mieście zaczęło brakować żywności, pojawiły się kolejki - twór dawniej nie znany, chyba po bilety do kina. Wtedy Matka posta-nowiła pojechać do Podweryszek, żeby zdobyć jakieś zapasy.

Podweryszki zostały rozgrabione w kilka dni po wejściu bolszewików. Dowiedzieliśmy się o tym od służącej, która pojechała tam na zwiady, może nie bez myśli o jakimś nadziale ziemi. Była to Litwinka nazwiskiem Pienkaite [po polsku: Pienkaitisówna], znacznie lepiej włada-jąca polszczyzną niż językiem swych ojców. Wróciła jak gołębica do arki, ład jeszcze się dla niej nie wyłonił z niedawnego potopu. Według jej opowieści grabież rozpoczęła jakaś grupa obcych, bodaj spod Dzie-wieniszek, chodzących od dworu do dworu. Wśród miejscowych nie było nikogo, kto by pierwszy chciał sięgnąć po cudzą własność, ale gdy uczynili to tamci, wszyscy poczuli się upoważnieni do uczestnictwa, a nawet - jak potem mówili - zobowiązani do brania na przechowanie dworskiego dobra. Poszło to, jak się zdaje, szybko i sprawnie, choć nie bez sporów. Dom został opróżniony do czysta, najdłużej zabawiano się przy wyłamywaniu drzwi wmurowanej w ścianę kasy pancерnej. Ra-busie byli przekonani, że leży tam złoto, ale może być i bomba, jak ostrzegał jakiś Żyd kierujący tą operacją. Także żywy inwentarz znalazł się w rękach fernali i mieszkańców sąsiednich wiosek, o coś tam się szarpali, ale rzecz doprowadzono do końca. Obyło się bez pożaru, nawet bez bicia szyb, więc jak na kresowe obyczaje łagodnie i gładko. Przyjeliśmy tę wiadomość ze smutkiem, ale bez zdziwienia, bo to był zwykły scenariusz sztuki wystawianej już nie raz w tym kraju.

Wyjazd Matki był aktem dużej odwagi, nie ze względu na ludzi miejscowych, znanych jej od dzieciństwa, do których miała zaufanie, ale ze względu na obcych, inicjatorów rabunków,

no i samych bolszewików. Tu spotkała ją niespodzianka. Oto gdy zamieszkała w jednym ze spustoszonych pokoi, mając tam ledwie jakieś posłanie, zjawił się we dworze przedstawiciel nowej władzy. Zeszła się grupka ciekawych, jak odbędzie się to spotkanie. «Zdrawstwuji» - «Dzień dobry». - «Kakże tak żywiotie?» Widocznie nie tak wyobrażał sobie okrutną dziedziczkę, krwawą pomieszczycę. W każdym razie po krótkiej rozmowie wydał polecenie: «Dat' jej stoł i szkał» i pouczył, zwracając się do Matki: «Nada żyt' kulturno». Matka dostała więc nie tylko własną szafę, ale i skrawek pola, z którego żony fernali nakopały jej kilka worków kartofli. Nie doznała też żadnych krzywd ani szykan ze strony dawnych pracowników, zachowujących się z mniej lub bardziej życzliwą rezerwą i wyczekiwaniem. Jej pobyt we dworze nie trwał jednak długo, bo przyszła wieść, że bolszewicy oddają Wilno i część Wileńszczyzny Litwie i że nowa granica odetnie Podweryszki. Trzeba było wracać. Istotnie, granica ta stanęła na linii Solczy, koło naszego młyna, i była dobrze strzeżona przez sowieckie posterunki i patrole. Podweryszki znalazły się w «Radzieckiej Republice Białoruskiej», Wilno w niezależnej Republice Litewskiej.

W porównaniu z niemiecko-sowiecką linią graniczną, która przecięła środek Polski, nowa granica sowiecko-litewska była mniej znacząca. I ona miała przecież swoją historię przekradań się, uciezek [zawsze w jedną stronę], udanych lub zakończonych tragicznie. Obok wielu innych linii tę pokonały z wielkim trudem, w środku śnieżnej i bardzo mroźnej zimy, nasza najbliższa sąsiadka ze Starych Bieniakoń, żona Witolda Golimonta z dwójką małych dzieci i z leciwą teściową, prowadzone przez drogo opłaconego przewodnika. Linia ta była, o czym się rzadko dziś pamięta, jedną z granic czwartego rozbioru, do którego pośrednio włączyła się też Litwa, i istnieje do dziś jako powszechnie uznawana granica Republiki Litewskiej. Wtedy jednak jej wytyczenie przez środek naszego kraju, a nawet środkiem lasu podweryskiego, dało Wilnu i okolicom okres pewnego oddechu, przerwało na osiem miesięcy zmorę sowieckiej okupacji, zastępując ją rządami Litwinów.

Patrzyliśmy na Litwinów najchętniej niż większość Polaków. Błąkał się wprawdzie jeszcze mickiewiczowski sens tego wyrazu, bo pierwszych słów Pana Tadeusza nie można było podmienić i jeszcze moi dziadkowie Rymszowie nie mieli nic przeciw temu, że mieszkają na Litwie, ale już dla Rodziców i ich pokolenia była to sprawa nie tyle drażliwa, ile wręcz drastyczna. Ojciec mój właśnie w walce z Litwinami dorobił się krzyża *Virtuti Militari*, gdy w okolicy Trok z karabinem maszynowym powstrzymywał napór ich wojska. Miał wprawdzie również krzyż «Za-sług Wojsk Litwy Środkowej», ale nazwa ta, wymyślona w ramach kon-cep-cji federacyjnych Piłsudskiego, nawiązujących do tradycji Wielkiego Księstwa, nie miała żadnego odniesienia do kwestii narodowości, a za mojej pamięci funkcjonowała już niemal wyłącznie w filatelistyce, za-chowało się bowiem sporo znaczków Litwy Środkowej zaprojektowa-nych pięknie przez Ferdynanda Ruszczyca. Nazwanie więc Ojca Litwi-nem, a Wilna miastem litewskim, nawet przy wsparciu historyków i wieszczów byłoby dla niego bezsensowne i obraźliwe. Podobnie odczuwało i młodsze pokolenie, które niemalże nie widziało żywego Litwina, a na dziedzińcu Pałacu Reprezentacyjnego gromko wołało: «Wodzu, prowadź nas na Litwę!» Ja sam poza wspomnianą służącą Pienkaite i jej matką nie zetknąłem się przed wojną z żadnym Litwinem ani w Wilnie, ani w Podweryszkach. Był, owszem, w Bieniakoniach ksiądz nazwi-skiem Dubiejtis, szczerzy Litwin uprawiający świadomą manipulację, bo gdy przyjechał tam z wizytacją arcybiskup Jałbrzykowski, ksiądz ów powiedział mu, że parafianie to Litwini, więc arcybiskup zaczął

kazanie po litewsku. Powstał szum, ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, zrobił się wielki skandal, po czym ksiądz został gdzieś przeniesiony i nikt tam więcej o Litwinach nie słyszał. Bariera językowa była zresztą tak duża, że nie wytworzył się żaden dialekt przejściowy ułatwiający poro-zumiewanie się, jak to było pomiędzy językiem białoruskim, a nawet rosyjskim i polskim. Litwini mówili po polsku i byli przez to nierozpo-znawalni, gdyż swoisty akcent czy tak zwane zaciąganie było częste także wśród rdzennych Polaków. My znaliśmy tylko nieliczne, poje-dyncze wyrazy litewskie, powtarzane dla żartu i nie zawsze, trzeba przyznać, cenzuralne.

Teraz ci na pół egzotyczni sąsiedzi wkraczali do Wilna. Zobaczyłem ich po raz pierwszy z okna gimnazjum - oddział żołnierzy w zielonych mundurach, jadących na rowerach i rozglądających się ciekawie. Podobno ulicą Mickiewicza, gdzie była główna trasa ich przemarszu, przejechało kilka czy kilkanaście tankietek, a zebrany tłumek Litwinów, w tym i nasza służąca, witał ich owacyjnie. Nad miastem latał samolot. Prędko ukuty został dowcip: Litwa chce zająć Wilno, ale ma mało czołgów, więc prosi bratnią Łotwę o pożyczkę. «Bardzo chętnie - odpowiada Łotwa - tylko powiedzcie, ile mamy dać, jeden czy oba?»

Wojska było rzeczywiście niewiele, natomiast pojawiła się żywność. Do wygłodzonego już miasta zaczęły płynąć zasoby mięsa, wędlin, masła - świadectwa skrzętnej gospodarności Litwy. W języku potocznym jako jedne z pierwszych wyrazów litewskich upowszechniły się dwa terminy: «Maistas» i «Pienocentras», nazwy spółdzielni zajmujących się sprzedażą żywności i nabiału. Wkrótce jednak pojawiły się też słowa odbijające stan wzajemnych stosunków. «Ne suprantu - nie rozumiem» to częsty zwrot Litwinów, którzy programowo nie chcieli znać polskiego, mimo iż większość z nich władała, lepiej lub gorzej, naszym językiem. Prowadziło to do coraz liczniejszych zatargów i robiło złą krew. Niebawem wśród Polaków przyjął się termin kałakutas [indyk] na oznaczenie litewskich policjantów ubranych w paradne, jakby operetkowe mundury: granatowe z czerwonymi wypustkami i z wielką, złotą kitą na czapce. Przyrównanie do indyka było więc trafne, sam zaś wyraz pochodził od nazwy Kalikatu, portu na zachodnim brzegu Indii [nie mylmy go z Kalkutą], i podobnie jak nasz «indyk» i angielski turkey poświadczał wschodnią metrykę okazałego ptaka. Nam kałakutas dostarczał przecież innego jeszcze skojarzenia, tym bardziej akcentowanego, im stosunki stawały się gorsze - gdy policjanci zaczęli bić pałkami uczniów noszących polskie mundurki i studentów za czapki «batorówki», gdy rozpędzali tłum śpiewający w kościołach Boże coś Polskę lub inne polskie pieśni. Największą karierę w upowszechnianiu litewskiego zrobił chyba jednak zwrot zgoła apolityczny: «kur važiuoja? - gdzie jedziesz?», którym policjanci często zatrzymywali podróżnych na drogach lub rogatkach miejskich. Te i inne powiedzenia, powtarzane z upodobaniem, składały się na klimat ośmieszania, pogardliwą ironię, rozciąganą też na bliskie nam niegdyś godło Pogoni, nazywanej teraz z reguły «kobyłką». Litwini nie pozostawiali dłużni. Nie wiem, co tam mówili i żartowali między sobą, chociaż nie wątpię, że wiele obelg i kpin musiało padać pod adresem «polskiej ropuchy - Lenku rapuże», jak często nas określali, jako że «ropucha» jest u nich podobno epitetem szczególnie obraźliwym. Pamiętam jednak w którejś z gazet rysunek satyryczny Polaka, który przekreśla na karcie wyraz «Polak», a wpisuje «Lietuvis - Litwin» [znaleźli się i tacy]. Przy rysunku widniał napis: «Nie ma kleba, i honoru nie trzeba». Cios był bolesny, a to «kleba» nawiązywało do fonetyki litewskiej, wedle której nasze «ch» jest wymawiane jak «k». Stąd kursowało porzekadło o Litwinie, który narzeka: «Czysta bieda! Matka kora, w

kacie zimno, kleba nie ma i...». Ostatni członek, puentujący to powiedzenie, opuszczył, bo i tak w Polsce centralnej, gdzie trudność w odróżnianiu «ch» i «h» powoduje znany błąd w ortografii parkanowej, byłby niejasny.

Te przekomarzenia się i drobne w istocie - zwłaszcza w porównaniu z wypadkami w obu głównych zaborach - incydenty kumulowały się przecież w coraz większą złość i nienawiść, rosły na gruncie podrażnio-nych ambicji i kompleksów niższości i wyższości, aż wreszcie po przy-ściu Niemców wylały się w krańcowej formie walki zbrojnej. Ale i wtedy nie zanikł ton prześmiewczy, bo gdy po największym, krwawym starciu pod Murowaną Oszmianką brygady Armii Krajowej rozbiły dwa bataliony litewskie i wzięto wielu jeńców, to rozebrano ich do bielizny i puszczono w drogę do Wilna, obciąższy wprzód w gaciach guziki. Oczywiście mundury były naszym potrzebne, guziki chyba mniej, ale w istocie szło tu o coś innego. Niemców lub bolszewików w podobnej sytuacji zapewne by nie rozbierano, ale może zostaliby rozstrzelani? Sam później też uczestniczyłem w podobnej akcji i sądzę, że ci ludzie, którzy przytrzymując gacie szli pieszo do Wilna, zachowali na zawsze śmiertelną urazę i przekazali ją swym bliskim. Dzisiaj z tych i z innych podobnych względów trudniej bywa przełamać uprzedzenia litewskie niż wrogość bolszewików i Niemców.

W miesiąc po zajęciu Wilna wprowadzono do szkół naukę języka litewskiego, a naukę polskiego wycofano. Historię Polski zastąpiono historią Litwy. Pojawili się nowi dyrektorzy i nauczyciele Litwini. Za-częto zniekształcać nazwiska uczniów, dodając im litewskie końcówki: -is, -as, -ius, -aite itp. Zaprotestowałem u nauczyciela litewskiego, a ten tłumaczył, że inaczej nie da się nazwiska po litewsku deklinować. Istot-nie, był to zabieg stosowany do wszystkich nazwisk [pamiętam: Hiñe-ras, Mussolinus itd.], ale my chyba nie bez racji odbieraliśmy go jako próbę wynarodowiania, zgodną zresztą z oficjalnym poglądem nowych władz, że wszyscy rdzenni mieszkańcy Wileńszczyzny, którzy się tam urodzili, są eo ipso Litwinami. Na to była odpowiedź: jeśli jaskółka uro-dzi się w oborze, to czy staje się przez to krową? A wróbel urodzony w stajni - koniem?

W tej atmosferze w pierwszych dniach grudnia wybuchł strajk szkolny. Od gimnazjum do gimnazjum, od Zygmunta Augusta do Mickiewicza, Orzeszkowej, Czartoryskiego i innych biegali chłopcy i dziewczęta organizujący ten protest. Szkoły rzeczywiście opustoszały, uczniowie nie przyszli. Nauczyciele Polacy na ogół solidaryzowali się z młodzieżą, inni znów uważali, że jest to zryw bezsensowny. Wyczuwało się na-pięcie, całe miasto podzieliło się popierając lub mitygując strajkujących. Trwało to około tygodnia, aż protest zaczął gasnąć, jedni szli znów do szkoły, inni siedzieli wciąż w domach, ja i moi bliźni koledzy oczywiście należeliśmy do tych drugich, wybrzydzailiśmy się na łamistrajków. Sytuacja stawała się niezręczna. Sprawę przecięła wreszcie wypowiedź Komitetu Polskiego, który przejął reprezentację ludności polskiej w Wilnie, wzywająca młodzież do powrotu do szkół. Mój Ojciec był sekretarzem tego Komitetu, składającego się z kilku szanowanych i cieszących się zaufaniem osób. Opowiadał mi, jak trudne mieli zadanie, by wyjść z impasu nie narażając młodzieży na zamknięcie szkół z jednej, a na utratę twarzy z drugiej strony.

Wychowawczyni naszej klasy [Illb], Maria Stabińska-Przybytkowa, wyborna polonistka, ale postrach uczniów, była swego czasu nauczy-cielką Czesława Miłosza w tym samym gimnazjum i już wtedy przebą-kiwano, że ma ucznia-poetę. Teraz żegnała nas niemal płacząc, a kiedy mówiła coś o polskiej szkole, przypominały nam się Syzyfowe prace i znów miałem odczucie, że wpadamy w wyżłobione dawno koleiny i że ciąg dalszy jest oczywisty.

Więc naturalnie trzeba tworzyć tajne komplety nauki języka polskiego i historii. Zespół taki zaraz zaczął się zbierać w Alei Róż w mieszkaniu Wróblewskich i funkcjonował przez rok szkolny, potem się rozpadł, gdy nowe wiatry rozegnały jego ucze-stników, ale raz jeszcze po czterech latach spotkaliśmy się w tym samym pokoju, Jurek Wróblewski, Basia Reszkówna i ja, żeby zdawać pod okiem Stabiny tajną maturę z polskiego. Pisałem wypracowanie na temat: «Pierwiastek osobisty w twórczości Słowackiego», tamci jakieś inne, ale szło nam ciężko, bo był to dzień 4 lipca 1943 roku i radio po-dało właśnie wiadomość o śmierci Sikorskiego, więc wszystko wydało się mało ważne i Stabińska znów miała łzy w oczach. Ale jakoś prze-brnąłem przez zadanie, bo zawsze miałem słabość do Słowackiego i jego językowych feerii.

Ten pierwszy rok wojny w Alei Róż był mimo wszystko względnie normalny. W świetle wiadomości, zresztą dość skąpych, o tym, co dzieje się w Warszawie czy we Lwowie, i w porównaniu z obszarami za nową linią graniczną, na których w lutym odbywała się wielka wywózka ludności, Wilno i okolice stanowiły swoisty rezerwat, nie bez utrapień, ale też bez dramatów, jeśli nie myśleć o ogólnopolskiej tragedii. Trwał nastrój wyczekiwania, powstało i upowszechniło się powiedzenie: «byle do wiosny», wiosna miała na pewno przynieść zmianę na lepsze. Po-jawiały się przepowiednie, patriotyczne wiersze, w tym okresie pełne rozgoryczenia i oskarżeń, zwłaszcza wobec marszałka Rydza, «co za ży-cia wzniosł sobie grobowiec». Całą zimę starsi i młodszy graliśmy w sza-chy, to było zajęcie w sam raz na czas oczekiwania. Co wieczór skupia-liśmy się przy radiu, z którego dobywały się piski, gwizdy, a wreszcie... tak, słyhać, płyną wieści, ale wciąż takie jałowe, nie te, których się spodziewamy. Czasem jednak zdarzało się coś, co podrywało nas z letargu: bitwa w ujściu La Platy i zatopienie «Grafa von Spee» - to przecież wielki sukces! Wybuch wojny sowiecko-fińskiej - zrazu zda-wało się, że to kolejny podbój, ale przebieg wydarzeń z wolna zaczął zdumiewać i napępiać nadzieją: nie dają się, ten mały kraj bije bolsze-wików, linia Mannerheima się trzyma, co więcej - wchodzą na teren wroga, zwycięstwo pod Suomussalmi! Więc stamtąd może przyjsć od-siecz, alianci powinni pomóc Finom, na pewno zaraz to zrobią, korpus już gotów, ale jakoś nie rusza. Wreszcie po trzech miesiącach koniec cudu, chociaż coś przecież z niego zostało. Ten kolos nie jest nie do pokonania, więc może przy następnej okazji...

W połowie zimy przyjechał z Anglii do Wilna profesor Adam Żółtowski, wysłannik rządu polskiego do jakichś rokowań z Litwą. Jako mąż Janiny z Puttkamerów był on właścicielem Bolcienik, a więc sąsiadem Podweryszek, chociaż częściej przebywał w Poznaniu. Z Bolcienik wyjechał wraz z żoną, jak i my, w dniu sowieckiego najazdu i oboje do-stali się jakoś na zachód. Wyjeżdżając Żółtowski zastrzelił ulubionego psa, co wkrótce pokwitowała utworzona naprędce białoruska gazeta, donosząc tryumfalnie: «Ciapier niet ni psa, ni grafa!» Będąc w Wilnie, odwiedził nas w Alei Róż i wtedy powiało wielkim światem i wielką nadzieją. Opowiadał o przygotowaniach wojennych, jakie robi Anglia, o siłach aliantów, twierdził, że wojna będzie na pewno wygrana, tylko czekać wiosny. Natchnął nas optymizmem, nawet Ojciec, zazwyczaj sceptyczny, oświadczył, że znów się zachciało żyć. Wiadomości były pewne, z pierwszej ręki, wprost z coraz bardziej mitycznego Zachodu. A więc nadal czekamy, gramy w szachy, rozpatrujemy przepowiednię [«Lew na zachodzie złączon z Kogutem» - to oczywiście Anglia z Fran-cją, «Niedźwiedź po drugiej ulegnie wyprawie» - to chyba Rosja, ale może też Litwa, bo Żmudź ma w herbie niedźwiedzia, «U

wschodu słońca młot padnie złamany» - to już jasne, pytanie tylko: kiedy. Jakoś nie zwracaliśmy wtedy uwagi na «trzy korony pomazańca z Krakowa», ale któż to mógł w najśmielszej wyobraźni przewidzieć!]. I wciąż

wsluchujemy się w radio, a tam wiadomości niespodziewanie szybko gęstnieją. W kwietniu Dania, Norwegia, Narwik; w maju Holandia, Belgia, Francja - jak to, obeszli linię Maginota? Czerwiec - pierścień wokół Alzacji i Lotaryngii zamknięty, Dunkierka, Anglicy uciekają, a gdzież ta ich potęga, o której prawił Żółtowski? 14 czerwca Paryż! No, to już chyba koniec, co teraz będzie z nami tu i tam, i w ogóle?

Co będzie «tu», okazało się prędko. W kilka dni później jakby wiatr zdmuchnął litewskie flagi i emblematy. Wojska sowieckie stacjonujące w bazach i za granicą przejęły władzę, prezydent Litwy uciekł, stworzono nowy rząd i zaczęło się formowanie którejś tam republiki ra-dzieckiej. Z ulic znikli kałakutasy, Litwini nagle zaczęli rozumieć po polsku, przycichli, ale to nie wróżyło nic dobrego. Szary rok

Dwunastego lipca 1940 roku został aresztowany mój Ojciec. Rano przyszło po niego trzech mężczyzn, jeden w mundurze i dwóch po cywilnemu, zrobili rewizję i zabrali go ze sobą. W mieszkaniu była z nim wtedy tylko Babka, ona go pożegnała, wcisnęła mu jakiś sweter, a potem poszła uprzedzić innych członków Komitetu Polskiego. Już w pierwszym mieszkaniu doktora Dobrzańskiego natknęła się na tego samego Żyda, który uczestniczył w aresztowaniu Ojca, więc było jasne, że to ak-cja szersza, wymierzona przeciw Polakom. Ja z Matką i Siostrą byłem w tym czasie od kilku tygodni w Kazimierzowie o trzydzieści kilometrów na północ od Wilna - w ładnie położonym nad jeziorem dworze kuzynki Babki, Jadwigi Faleńskiej. Właśnie tego dnia była ona w mieście i przywiozła nam fatalną wiadomość. Natychmiast wróciliśmy, Matka chciała podejmować jakieś starania, ale oczywiście nie wskórała nic ponad wiadomość, że Ojciec znajduje się w więzieniu na Łukiszkach i, po jakimś czasie, pozwolenie na podanie mu paczki. Zaczęło się wy-stawanie w kolejkach pod murem więziennym, czy to z paczką, czy o jakąś wiadomość, w coraz liczniejszej grupie kobiet.

Ojca oskarżono o różne przestępstwa wymierzone w ZSRR albo nawet bez tego adresu, a więc o udział w wojnie 1917-1920 roku, o działalność społeczną w Wilnie i działalność polityczną w okresie międzywojennym. Przeniesiony na czas śledztwa z Łukiszek do podziemi sądów, których gmach zajęło NKWD, Ojciec wszystkiemu zaprzeczał, trzymając się zasady, że wiedzą tylko tyle, ile badany sam powie. Kiedy jednak zaczęli podawać mu szczegóły z życiorysu, zrozumiał, że ktoś donosi, i zachodził w głowę, kto to taki. Rzecz wyjaśniła się, gdy poirytowany ciągłymi zaprzeczeniami enkawudysta wyciągnął z szuflady książkę i palcem wskazał fotografię Ojca: «A to co?» Był to wydany tuż przed wojną tom pt. Czy wiesz kto to jest?, rodzaj polskiego Wlio's who?, a w nim dane o jego udziale w wojnie, o odznaczeniach wojskowych, o działalności społecznej itd. Ojciec sądził wtedy, że już nie wyjdzie z tych podziemi, ale wreszcie przeniesiono go znów na Łukiszki, gdzie przebył do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i w drugim jej dniu, 23 czerwca 1941 roku został ostatnim transportem wywieziony z Wilna w głąb Rosji. Kolejarze polscy odczepili wówczas kilka wagonów od tego składu pociągu i więźniowie, którzy się w nich znajdowali, po ucieczce bolszewików zaczęli wracać do domów. My też oczekiwaliśmy jego powrotu, ale na próżno, bo Ojciec był w jednym z wagonów, które zdążyły odjechać. Po drodze więźniowie omal nie zostali zlinczowani przez tłum poborowych wędrujących do Armii

Czerwonej, którym powiedziano, że w wagonach znajdują się «niemieckie szpiony». Wreszcie jednak dotarli do kolejnego więzienia, już nad Wołgą.

Ponownie zobaczyłem Ojca dopiero po szesnastu latach, w październiku 1956 roku w Paryżu. Czekałem na niego na peronie dworca Saint Lazare, na który przyjechał z Londynu, i było to spotkanie niepo-wtarzalne, a zarazem tak bardzo typowe dla tego czasu, kiedy znów schodziły się drogi ludzi rozdzielone przez nurt historii. Droga Ojca była daleka, prowadziła przez Rosję, Persję, Bliski Wschód, Morze Czer-wone, Madagaskar, dookoła Afryki i środkiem Atlantyku do Anglii, gdzie znalazł się już w 1942 roku jako członek Rady Narodowej, pol-skiego parlamentu na wygnaniu.

Moje drogi aż do ostatnich dni wojny nie wybiegały poza Wileń- szczyznę; miały postać szerokich traktów z rzędami ogromnych brzoź, o których mówiono, że były sadzone na rozkaz carycy Katarzyny - jak ten trakt, który biegł koło Podweryszek łącząc Lidę i Wilno; były to też drogi polne i leśne, pod koniec już tylko te ostatnie, drogi albo dróżki, albo zgoła bezdroża, dukty, kładki na błotach czy szlaki ledwie przecierane w kopkim śniegu. Dopiero w ostatnich dniach wojny znalazłem się w wagonie toczącym się po szynach na zachód, do Warszawy, potem do Krakowa - i przez następnych dziesięć lat nie wykroczyłem poza nowo wytyczone granice aż do tej chwili, kiedy po raz pierwszy znalazłem się na Zachodzie, w Paryżu, i na tym peronie drogi Ojca i moje ponownie się spotkały. Ojciec był ten sam i taki sam, tylko trochę starszy, miał już lat sześćdziesiąt, ja byłem ten sam, ale nie taki sam, bo przecież gdy Ojca aresztowano, miałem czternaście lat, a teraz trzydzieści, więc czekając na pociąg z Calais myślałem: czy mnie pozna? Bo że ja go poznam, to było oczywiste. I oczywiste też było, że będzie to spotkanie łatwe, bez barier, które powstawały nieraz na tych tak różnych drogach, dzieląc małżeństwa, ale też ojców i synów. W tym samym czasie i na tymże peronie mój kolega historyk, Franciszek Ryszka, który był razem ze mną w Paryżu, także witał swojego ojca przyjeżdżającego doń z Londynu. «No i jak?» - pytałem go potem. «No tak, miło, wzruszająco, ale nie mamy wspólnego języka» - powiedział późniejszy profesor, wybitny znawca dziejów PRL-u. Myśmy nie mieli tych trudności, mimo że też tłumaczyłem Ojcu, że jestem w jakimś

stopniu akcjonariuszem tej nowej Polski, w której od dziesięciu lat żyję i pracuję - więc nie mogę wszystkiego negocjować. Był to zresztą Paź-dziernik i wydawało się, że nasz świat rzeczywiście się zmienia. W pa-ryskiej ambasadzie piliśmy szampana, manifestując radość z podanej właśnie wiadomości, że odprawiono z Polski Rokossowskiego, podnie-caliśmy się wieściami o Gomułce i innych aktorach tego czasu, a w na-szej grupie, złożonej z dwóch dziesiątków młodych naukowców, przy-byłych po raz" pierwszy do Paryża na polsko-francuskie seminarium, znaleźli się też apologeci marksizmu z Leszkiem Kołakowskim na czele, przeżywający teraz euforię odnowy. Mnie, obarczonemu doświad-czeniami kresowymi, odmiana ta wydawała się mimo wszystko nie tak pełna, a Ojciec patrzył na nią wręcz sceptycznie, bo nic nie skłaniało go do ufności wobec takich czy innych form władzy komunistycznej. Jego prognoza sprzed siedemnastu lat, przekazana mi w alei podweryskiej, sprawdziła się z nadwyżką: wojska sowieckie stały nad Łabą, to wyja-śniła całą resztę.

Wkrótce po aresztowaniu Ojca musieliśmy się wynieść z Alei Róż. Nasze mieszkanie zajęli jacyś Litwini, a my znaleźliśmy niewielkie pomieszczenie na dalekim Antokolu, w pobliżu drewnianego mostu przez Wilię, nazywanego «Strategicznym». Ta dumna nazwa znalazła uzasadnienie w rok później, gdy bombowce niemieckie bezskutecznie próbowały go

zniszczyć. W czasie walk o Wilno w lipcu 1944 roku most został wysadzony czy spalony, przy tej zaś okazji spalił się również dom, do którego przenieśliśmy się trzy lata wcześniej, a z nim wszystko, co było przewiezione z Alei Róż. Zmieściła się tam wprawdzie tylko część mebli, inne były sprzedane czy gdzieś ulokowane, na przykład fortepian znalazł się gościnnie w dużym mieszkaniu Bułhaków przy Placu Orzeszkowej i też się spalił razem z tym mieszkaniem, w którym, co znacznie gorsze, spłonęło całe ogromne archiwum fotograficzne Jana Bułhaka, dokumentacja przede wszystkim krajobrazu, zabytków i urody Kresów. Ocalał przecież wspomniany już album zdjęć z Podweryszek, który w czasie naszej wyprowadzki był właśnie pożyczony Krystynie Wróblewskiej i wraz z jej biblioteką dojechał później do Krakowa. W zagadkowy sposób zachowało się kilka innych przedmiotów, które «powinny były» albo ulec grabieży w Podweryszkach, albo spalić się w Wilnie. Biżuteria, srebro stołowe, kilka drobniejszych precjozów były pewnie gdzieś dane na przechowanie, trudniej wyjaśnić, jak przetrwała do dzisiaj część porcelanowego serwisu z Podweryszek, staroświecka luneta, której jako chłopak używałem do «obserwacji astronomicznych», a zwłaszcza wielka sieć z niebieskiego kordonka, z małymi dzwoneczkami po brzegach, nakładana na zad koński i na przód sani jako osłona przed bryłami śniegu lecącymi spod kopyt

w czasie ostrej jazdy. Sieć tę robiła własnoręcznie moja Babka jako na- rzeczeński prezent dla mego Dziada. Może, gdyśmy uchodzili z Pod- weryszek 17 września, został w nią owinięty jakiś tłumok, potem wi- docznie została gdzieś zapomniana, unikając pożaru, i tak dziwnymi drogami trafiła do Wrocławia i dalej, jak skrawek materii wyrzuconej przez fale z zatopionego miasta.

Ocalało kilka starszych pamiątek rodzinnych: naszyjnik z pięknych koralii kupiony w końcu XVIII wieku na kontraktach mińskich dla mojej praprababki Antoniny Wendorffówny, co opisuje w. swych pamięt- nikach jej kuzynka Ewa Felińska: naszyjnik ten przechodził potem z matki na córkę przez sześć pokoleń; srebrna, jajowata cukiernica z wy- grawerowanymi wewnątrz pokrywy imionami i nazwiskami kolejnych właścicielek i datami ich ślubów poczynając od 1777 roku; niewielkie okrągłe lustro w drewnianej oprawce z małymi, wypukłymi lusterkami wewnątrz, dającymi wielokrotne odbicie. Służyło ono najpewniej jako reflektor zwielokrotniający światło umieszczonych przed nim świec, i też musiało sięgać początków XIX lub schyłku poprzedniego wieku, jak wskazują skrawki gazety i jakiegoś listu, włożone w oprawę. I jeszcze kilka drobiazgów, fotografii, okruchów zaginionego świata.

Ocalało też nieco książek - w jaki sposób, nie wiem. I w Podwery- szkach, i w Wilnie nie było zresztą większych bibliotek, które dopiero w ostatnich latach przed wojną zaczęły powoli narastać. Podobnie było w wielu sąsiednich dworach, wyniszczonych w czasie Pierwszej Wojny, tak że zapotrzebowanie na literaturę beletrystyczną miała zaspokajać «biblioteka okrężna» - każdy z dwunastu uczestników tego przedsię- wzięcia, w którym oprócz dworów brały udział także plebanie, kupował cztery książki i puszczał je obiegami, co miesiąc przesyłano je dalej, po roku wracały na stałe do właściciela. W ten sposób czytelnicy, a raczej czytelniczki, bo zajmowały się tym głównie panie, miały wprawdzie stale nowe lektury, ale też były skazane na gust i dobór pozostałych uczestników tej akcji. Któregoś roku Matka kupiła cztery tomy Krzyżowców Zofii Kossak-Szczuckiej, które obiegiły, wróciły, dziwnym trafem ocalały i dziś na pierwszej stronie oglądam rzecz



osobliwą: suchą pieczęć, wytłoczoną przez wydawcę czy przez księgarnię, z wyobrażeniem czytającej książkę dziewczyny i napisem: «Książka nie dla każdego». Kogo miał ostrzegać ten znak, może był wskazówką dla bibliotek publicznych, ułatwiającą dobór lektur wedle wyglądu czytelnika?

Dopiero w czasie letniego pobytu w Kazimierzowie, tuż przed are-sztowaniem Ojca, zetknąłem się z prawdziwą biblioteką dworską, nie-zbyt wielką, ale zawierającą sporo starodruków. Znaczna ich część na pięknych oprawach skórzanych nosiła złote superekslibrisy księcia Ale-ksandra Lubomirskiego. Skąd i dlaczego te książki znalazły się w Kazimierzowie, nie wiem, ale poczułem wobec nich wielki respekt, zwłaszcza wobec osiemnastowiecznych wydań czterech kronik: Kromera, Gwagnina, Strykowskiego i Bielskiego, a także wobec tomów Volumina legum. A że był to właśnie czas tworzenia się władzy sowieckiej, można było przypuszczać, że i ten dwór zostanie wkrótce rozgrabiony i książki ulegną zatracie. Żywe były opowieści o 1920 roku, kiedy to wielka i bardzo cenna biblioteka w Zubkach, w domu rodzinnym mojej Babki, została rozniesiona na strzępy, tak że cały dziedziniec zaściewała papiera. Również późniejsze przykłady potwierdziły, że książki stanowią szczególnie dogodny przedmiot agresji barbarzyńców: można je drzeć, szarpać, palić, brudzić - a wszystko tym chętniej, że nie ma pokusy oszczędzania ich dla siebie, bo rzecz to bezużyteczna. Wobec takiej perspektywy chciałem koniecznie ocalić przynajmniej najcenniejsze tomy, dlatego już po aresztowaniu Ojca pojechałem ponownie do Kazimierzowa i trafiłem właśnie na «dożynki»; dom pełen jakichś chłopów, bawią się i piją, częstują i mnie - piję pierwszy w życiu kieliszek wódki, niby też świętuję, a potem chyłkiem, z pomocą przybranego syna ciotki Faleńskiej, wynoszę upatrzone tomy, oprócz wymienionych jeszcze wielki leksykon arabsko-łaciński i jakiś zestaw ilustracji. Wszystko to wsadziliśmy do ogromnego wora, który dowiozłem wreszcie do Wilna. Podziwiano ten mój wyczyn, oglądano nabożnie tomy, które potem jako szczególnie cenne przejechały do mieszkania na Antokolu - i tam się spaliły, bo jak wiadomo, książki habent fata sua i nie mogą uniknąć przeznaczonego im losu.

W mieszkaniu na Antokolu spędziliśmy drugi, najbardziej szary rok wojny: okupacja sowiecka, Ojciec w więzieniu, żadnych szans na poprawę sytuacji. Litwa w całości została przyłączona do Związku So-wieckiego i tak sprawdziło się, czy raczej zrealizowało porzekadło gło-szone przez bardziej przewidujących Litwinów: «Vilnius musu - Kaunas rusu, Wilno nasze - Kowno rosyjskie». Teraz i Litwini, i Polacy byli w podobnej biedzie, co jednak tylko w niewielkim stopniu poprawiło wzajemne stosunki. Rządy sprawowali komuniści obojga narodów, a w istocie ten trzeci. Coraz częściej było słyhać język rosyjski, coraz bardziej trzeba było uważać, co się mówi na ulicy czy w autobusie. Do uszu coraz mocniej wciskały się melodie i słowa sowieckich piosenek, przede wszystkim sławiących armię wyzwolicieli: Katiusza, Tri tankista, Ech, taczanka, a także International i Sziraka strana moja rodnaja, szczytowe osiągnięcie sowieckiej nowomowy.

Matka zaczęła pracować fizycznie w jakimś ogrodzie na dalekim przedmieściu, ja chodziłem do szkoły, ale już nie do dawnego gimna-zjum, lecz do technikum na Holenderni, na wydział budowlany. Wy-brałem go w przekonaniu, że po wojnie będzie wiele do odbudowywa-nia, więc nadzieje całkiem nie wygasły. Był to zarazem ostatni rok mojej nauki w szkole, bo potem już tylko samodzielnie uczyłem się w Pod-weryszkach i zdawałem tajną maturę, o czym już wspomniałem; w dwa lata po niej trafiłem wprost na Uniwersytet

Jagielloński. Komplet z polskiego, zorganizowane w roku poprzednim, zostały zawieszono, natomiast trwały nadal lekcje religii prowadzone w niewielkich grupach przez nie byle kogo, bo przez księdza Henryka Hlebowicza.

Był on w tym czasie jedną z centralnych postaci i jednym z duchowych przywódców polskiego Wilna. Zastępował z odważnych i krzepiących kazań, które co niedziela ściągaly do kościoła Bernardynów coraz to większy tłum słuchaczy, zwłaszcza młodzieży. Do historii Wilna przeszło w szczególności patetyczne kazanie, jakie ksiądz Hlebowicz wygłosił 3 maja 1941 roku w kościele Św. Jerzego, wystawiając się świadomie, niemal ostentacyjnie, na najwyższy wymiar represji. Byłem tam, słuchałem, tak jak inni czułem się wstrząśnięty i zauroczony. Ale nic się wtedy nie stało. Dopiero w rok później, w całkiem zmienionych warunkach, ksiądz ten zapłacił życiem, gdy arcybiskup Jałbrzykowski wysłał go do zajętego już przez Niemców Mińska, by prowadził tam w okolicznych wsiach misję i organizował parafie. Niemcy, bodaj z pod- uszczenia Białorusinów, aresztowali go i rozstrzelali gdzieś koło Borysowa, i ta śmierć obciąża chyba przede wszystkim arcybiskupa, który wpadł na pomysł niewczesnego prozelityzmu. Na lekcje księdza Hlebowicza szło się wąskim chodniczkiem na tyłach kościoła Bernardynów, gdzie miał on mieszkanie. Był młody, jeszcze przed czterdziestką, miał za sobą dwa doktoraty i okres wykładów na wydziale teologicznym Uniwersytetu Stefana Batorego. Dla nas, uczniów gimnazjum, był więc niezwykle autorytetem i na pewno były to najciekawsze i najinteligentniejsze lekcje religii, jakich zdarzyło mi się słuchać. W grupie tej było nas pięciu czy sześciu, wszyscy z tej samej klasy od Zygmunta Augusta, w tym wspomniany już Jaś Hiller i Jurek Wróblewski, a także Turuto i Turkowski, dwaj prymusi klasowi, którym w przeddzień walk o Wilno przypomniały się widocznie czy- tanki o tym, jak uczniowie rozbijali Niemców w 1918 roku - i chcieli ten przykład powtórzyć. Ale Litwin, do którego podeszli na Górze Bo- uffalowej żądając oddania broni, wyjął pistolet i obu na miejscu zastrzelił. Z całej grupy, łącznie z księdzem, żyją dziś chyba ja jeden.

Do Hleba, bo tak go nazywano, zwróciłem się kiedyś z prośbą, czy nie można by zawiesić przy którymś z ołtarzy w kościele odznaczeń Ojca: Virtuti Militari i Krzyża «Zasług Wojsk Litwy Środkowej», baliśmy się bowiem trzymać je w domu jako przedmioty kompromitujące Ojca, a pośrednio i nas. Ksiądz wziął depozyt, ale nie jako wotum przy ołtarzu, lecz do jakiegoś schowka w murze kościoła, gdzie były ukryte także inne przedmioty i dokumenty. O skrytce tej wiedział tylko on i zakrystian; Hleb zginął, co się stało z zakrystianem - nie wiem, więc krzyże te pewnie dotąd leżą gdzieś w murze kościoła Bernardynów,

ile nie natrafili na nie przypadkowi znalazcy.

W tym okresie w Wilnie istniało też znacznie bardziej rozbudowane i autentyczne życie podziemne, o którym jednak jeszcze nie wiedziałem. Docierały jedynie wiadomości - zwłaszcza wiosną 1941 roku - o kolejnych aresztowaniach, które objęły także uczniów, dowód że organizacje konspiracyjne sięgnęły również do szkół. Między innymi został wzięty jeden z moich bliskich kolegów, Wojtek Narębski, syn ar- chitekta, który projektował dom w Podweryszkach. Wywieziono go do Rosji razem z moim Ojcem, potem wojował pod Andersem, dziś jest profesorem geologii w Krakowie. Także do drzwi naszego mieszkania na Antokolu któregoś rana [bo zwykle przychodzili wczesnym rankiem] rozległo się gwałtowne dobijanie. Obudziliśmy się, Matka spojrzała na mnie, ja na nią, i wiedzieliśmy

już, co to znaczy. Poszła otworzyć, coś szepcząc. Stało ich trzech - i okazało się, że pomylili adres. Odeszli i zaraz potem wzięli młodego chłopca z sąsiedniego domu.

W pierwszej połowie czerwca otrzymaliśmy ostrzeżenie: oto jeden z przyjaciół Ojca przyniósł wiadomość, że na dworcu kolejowym zgromadzono dużo wagonów, prawdopodobnie w przygotowaniu do masowej wywózki, jak to było już wcześniej na innych ziemiach kresowych. Co można było zrobić? Uciec - dokąd? Schować się - gdzie? Pozostawało jedynie przygotować najniezbędniejsze rzeczy do zabrania.

rzeczywiście, 14 czerwca na miasto spadła oczekiwana klęska. Dziesiątki samochodów ciężarowych podjeżdżały to do tego, to do innego domu, wyprowadzano rodziny, czasem pojedynczych ludzi, nawet staruszki, i pod bagnetami wieziono ich w kierunku dworca. Wilno zostało sparaliżowane lękiem, wszyscy czuli się zagrożeni, wielu spędzało czas w kościołach, byle nie być w mieszkaniu, wielu nocowało u krewnych lub przyjaciół w przekonaniu, że tam będzie bezpieczniej. I my także jako rodzina aresztowanego, a więc podejrzana, przenieśliśmy się do mieszkania Stryjostwa w małym domku na dalekim Antokolu, a ściślej aż na Pośpieszce. Dom ten dzięki ogromnej ofiarności i odwadze ciotki, Anny Reszkowej, siostry mego Ojca, która mieszkała tu w czasie niemieckiej okupacji, stał się później ostoją wielu ukrywających się osób i jednym z ważnych punktów życia konspiracyjnego. Na razie schroniliśmy się tam w obliczu wywózki, która szalała w Wilnie przez tydzień, aż przerwał ją wybuch wojny z Niemcami. Gdy w tym czasie w pobliżu domu pojawili się jacyś bolszewicy, chowaliśmy się na strychu, nawet moja Babka wspinała się tam po drzwiach, o co w zwykłych warunkach nigdy bym jej nie posądził. I siedzieliśmy w strachu i w otępieniu, bo nie było widać żadnego wyjścia z tej pułapki, w której prędzej czy później mogli nas znaleźć.

Niespodziewaną odmianę przyniósł dzień 22 czerwca. Początkowo myśleliśmy, że wybuchy to zapowiadane przez bolszewików ćwiczenia lotnicze, ale pikujące nad niedalekim mostem bombowce prędko wyprowadziły z błędu. Siedzieliśmy więc już nie na strychu, ale w rowie w ogrodzie. Potem widziałem na ulicy ogromne leje i leżące obok trupy w dziwnych pozach, czasem przykryte jakąś płachtą - to byli pierwsi zabici, z którymi zetknąłem się z bliska w czasie tej wojny, a ich widok pieczętował i uwiarygodniał to wszystko, o czym wiedzieliśmy tylko z opowiadań, z radia i gazet.

Wywózka się załamała, ale bolszewicy zdążyli jeszcze opróżnić więzienie na Łukiszkach i część więźniów, w tym mego Ojca, wywieźć w głąb Rosji. Deportowani mieli zresztą i tak wiele szczęścia, bo jak się potem okazało, gdzie indziej więźniów masowo mordowano czy to na miejscu, czy na drogach odwrotu. Tak było we Lwowie, a także pod Berezowcem. Zaczęła się też ucieczka sowieckich dygnitarzy, między innymi podobno na rowerze wymknął się z Wilna Stefan Jędrychow- ski, który uprzednio jeździł do Stalina w delegacji proszącej o przyłączenie Litwy do ZSRR. Armia sowiecka nie stawiała oporu, pojawiło się tylko kilka samolotów przeganianych przez lotnictwo niemieckie; po zajęciu miasta artyleria przeciwlotnicza witała je dziesiątkami rozkwitających na niebie obłoczków, które zbijały maszyny niczym nadlatujące kaczki podczas naszego polowania w Sołach. Na trzeci dzień od wybuchu tej wojny do Wilna wjeżdżały niemieckie czołgi. Jechali wychyleni do połowy z wieżyczek jak na paradzie, a obok sunęli motocykliści w szarych płaszczach czy też pelerynkach, jak jakieś stwory z Marsa, i był to chyba jedyny skrawek Europy, gdzie wejście Niemców witane było z ulgą. Jedna zmora pozostała za nami, a przyszłość nabierała

jaśniejszych barw w myśl powtarzanego życzenia: «oby jeden drugiego tak bił, tak bił i gnał, ażeby i sam się nie wrócił». Pod podweryskim dachem

Do Podweryszek wracaliśmy w kilka tygodni po wejściu Niemców. Szliśmy we troje, Matka, Stryj i ja, zaopatrzeni w przepustki wydane przez komendanta miasta i stwierdzające, że nie ma zastrzeżeń przeciw powrotowi do dworu, ale nie dotyczy to praw własności. Niemcy uznali bowiem, że zdobyte przez nich na Kresach majątki należały do władz sowieckich i jako takie pozostają własnością państwową, chętnie jednak oddawali je w zarząd dawnym właścicielom rozumiejąc, że oni właśnie będą najlepiej dbali o ich funkcjonowanie. Rozpoczął się więc ciąg po-wrotów tych, którzy przetrwali czasy sowieckie w Wilnie.

Pół drogi przejechaliliśmy jakąś ciężarówką, potem wędrowaliśmy pieszo, aż doszliśmy do zabudowań folwarcznych i do samego domu. Nie było nas tam tylko niecałe dwa lata, ale okres ten wydawał się nie-pomiernie dłuższy i odległość od Wilna znacznie większa niż dawniej, bo był to już inny czas i inny świat. Co prawda na nasz widok biegł już w pośpiechu Jan Stolarczyk, starszy fornał, który w okresie bezkrólewia sprawował tu rządy, co przychodziło mu tym łatwiej, że jeździł kiedyś na zarobek do Meklemburgii i znał trochę niemiecki, mógł więc porozumiewać się ze stacjonującymi przez pewien czas we dworze lotnikami. Teraz witał nas chyba ze szczerą radością, opowiadał, co się przez te lata wydarzyło. Także inni zaczęli się schodzić, lecz po serii mniej lub bardziej wylewnych powitań pojawiła się nieraz nuta niepo-koju związanego z udziałem w rozgrabieniu dworu. Choć nie pytani, zaraz sami mówili, że wzięli to lub owo «na przechowanie» i zaczęli przynosić meble i inne przedmioty. Niektórzy woleli nie ujawniać swego udziału w «przechowywaniu», a tylko nocą anonimowo odnosili i zostawiali przed domem to jakąś szafę, to krzesło, widocznie w obawie, by inni na nich nie donieśli. Nie zamierzaliśmy robić o to kwestii i braliśmy «przechowywanie» za dobrą monetę.

Opustoszały, pozbawiony jakiegokolwiek wyposażenia dom, w którym za czasów władzy sowieckiej urządzono jakiś szpitalik, potem sta-cjonowali parę tygodni Niemcy, zaczął się powoli wypełniać dawnymi i nowymi sprzętami oraz dawnymi i nowymi mieszkańcami. Odnalą

zła się część mebli z pokoju stołowego, wykonanych w ostatnim roku przed wojną przez wileńskiego stolarza według projektu Makojnika, scenografa teatru na Pohulance. Był to komplet składający się z rozsu-wanego stołu na nogach w kształcie liry, z osiemnastu krzeseł, dwukon-dygnacyjowego kredensu, narożnej serwantki, kanapki, wąskiego stolika pomocniczego i stolika pod samowar. Meble te były wykonane z jasnego jesionu z detalami z czarnego dębu. Dziwnymi drogami z zestawu tego ocalały dwa krzesła znajdujące się dziś w naszym mieszkaniu. Na-tomiast już wtedy nie zachował się żaden fragment z mahoniowego kompletu biedermeierowskiego, kupionego krótko przed wojną do sa-lonu: kanapa, stół, kilka foteli i krzeseł oraz stolik na jednej nodze roz-kładany jak czterostronna koperta. Wracały sprzęty mniej cenne, ale użyteczne, w miarę napływu mieszkańców stelmach zbijał z desek nowe łóżka, stoły i stolki. Kiedy oprócz bliższej i dalszej rodziny w Podwery-szkach znaleźli się też ludzie obcy, szukający tu schronienia i pracy, w zajmowanych przez nich pokojach zdun murował małe kuchenki, które umożliwiały prowadzenie odrębnego gospodarstwa. Z wyjątkiem sto-łowego i sieni wszystkie pokoje

zmieniły pierwotne przeznaczenie, bo dom wchłaniał na czas dłuższy lub krótszy różnych przybyszów, głównie z Wilna, ale i z dalekiego świata.

Niemcy, uznając majątki ziemskie za swą zdobycz, przystąpili szybko i z właściwą sobie starannością do ich zagospodarowywania. Stworzyli w tym celu specjalną organizację [Landbewirtschaftungsgesellschaft Ostland] i w przekonaniu o swym trwałym panowaniu na tych ziemiach zaczęli inwestować w zrujnowane obiekty. Przysyłali maszyny rolnicze, nawozy, niektóre nasiona, traktory, samochody ciężarowe, materiały budowlane. Z sąsiadujących majątków tworzyli rodzaj kluczy z ośrodkami koordynującymi. W Podweryszkach był właśnie taki ośrodek zespołu sześciu majątków nazwanego «grupa Bieniakonie», w którego skład wchodziły też Gojcieniszki, Bolcieniki, Stare Bieniakonie, Trybańce i Świeniec. W dwóch pokojach domu podweryskiego, w dawnej sypialni Rodziców i moim urządzono biuro administracyjne, pojawili się też i zamieszkali w domu «urzędnicy», znajdujący tu mniej lub bardziej fikcyjne zajęcia. Także i my, w kręgu rodzinnym, mieliśmy formalne stanowiska, i rzeczywiście pełniliśmy różne funkcje gospodarcze.

Z mojej najbliższej rodziny w domu mieszkali: Matka, Babka, Siostra i ja - cztery osoby. Ja byłem magazynierem - nosiłem wielki pęk kluczy od spichrza, stodoły, magazynów itd., przyjmowałem i wydawałem zboże, nawozy, paliwo, drobne narzędzia, prowadziłem kartoteki materiałowe - zajęcie dosyć absorbujące, ale użyteczne także ze względu na ułatwiony dostęp do różnych dóbr, zwłaszcza zboża będącego wówczas podstawową walutą. Wszelkie transakcje, duże i małe, wyce-

niane były w pudach żyta, jednostkach wagowych jeszcze sprzed Pierwszej Wojny, które pomimo funkcjonowania przez cały okres międzywojenny systemu dziesiętnego, kilogramowego, teraz odżyły w pamięci jako powszechnie uznawana miara [1 pud = 16,4 kilograma]. Moja siostra Hala, mająca wtedy czternaście-piętnaście lat, zajmowała się, acz nieformalnie, kurnikiem.

Rodzina Stryjostwa liczyła również cztery osoby. Stryj Gustaw kierował całym gospodarstwem, jego syn Jerzy, starszy ode mnie o dwa lata, prowadził oborę, w której znowu znajdowało się kilkadziesiąt krów, wstawał do rannego udoju, ekspediował mleko do mleczarni. Jego siostra Heluta zajmowała się chlewnią.

Rodzina Reszków to dwie osoby. Ciotka Anna ze swą matką, a moją babką, Heleną Kiersnowską, i z młodszą córką pozostała w Wilnie, natomiast starsza córka i syn mieszkali w Podweryszkach. Basia była «siłą biurową» w administracji, Mirek wykonywał jakieś prace fizyczne. Wuj Kazimierz Rymsza z żoną i dwiema małymi córkami mieszkał w domu w Rymyszyszkach, ale w Podweryszkach pełnił funkcję księgowego. Dość wcześnie znalazł się tu także dawny przyjaciel rodziny, Marian Wołodźko, człowiek samotny, bo jego żonę, Kostrowicką, wywieźli bolszewicy, on sam został ściągnięty, chyba przez Matkę, żeby mógł ja-koś przeżyć. Był również «siłą biurową» w administracji, mieszkał i jadł razem z nami. Gdy w 1944 roku nastąpiła ogólna rozsypka, nie miał do kąd ani do kogo wyjechać, więc został i wkrótce umarł w Bieniakoniach.

Jako pierwszy człowiek obcy, sprowadzony do administracji, zjawił się w Podweryszkach Kajetan Drozd, prawnik, który został kierownikiem «biura» i zamieszkał w pokoju na piętérku. Gdy rozpatrzył się w sytuacji, oświadczył, że ma narzeczoną, którą chciałby także sprowadzić. W ten sposób na piętérze zamieszkała również rodzina Łanowych - starsi już

rodzice z córką. Obie panie przez cały czas pobytu, a trwał on dobre dwa lata, niemal wcale nie schodziły na dół, chyba żeby zbierać płatki róż, z których smażyły konfitury, natomiast ojciec, miły ga-wędziarz, również pracował w «biurze». Zginął w drodze z Bieniakoń do Wilna w pociągu, pod który podłożyli minę sowieccy partyzanci siedzący w Puszczy Rudnickiej. Podobnych ofiar było więcej, jako że partyzanci raz po raz - widocznie dla wykonania planu - wysadzali na tej linii pociągi pasażerskie, natomiast nie interesowali się jakoś trans-portami wojskowymi.

W dawnym pokoju gościnnym zainstalowała się rodzina Wielgusów, dwie osoby i dwa psy. Był to adwokat z Katowic, którego wraz z żoną [i psami] wojna zastała na Wileńszczyźnie, a teraz znalazł zaczepienie w «biurze» jako tłumacz. Bywał potrzebny w tej roli nie częściej niż raz na kilka miesięcy, ale stanowił zawsze dobrą osłonę, gdy poja-

wiali się Niemcy. Po ponownym przyjsciu bolszewików został aresztowany i wywieziony do Donbasu, gdzie spotkał się z moim bratem stryjecznym Jerzym i z sąsiadem Podweryszek Witoldem Golimontem, tam bowiem zsyłano w tym okresie «wrogi element» z Wileńszczyzny. Wrócił, jak i oni, po kilku latach i miał, jak i oni, szczęście, bo wielu nie wróciło.

Wkrótce zamieszkał w Podweryszkach także malarz, Czesław Wierusz-Kowalski. I on pracował jako urzędnik w «biurze», znajdując wraz z żoną i dwiema córkami dach nad głową i źródło utrzymania. W re-wanżu za gościnę namalował ładny portret olejny mej Babki, który nie-stety spalił się w Wilnie na Antokolu. Malował też obraz Matki Boskiej dla kościoła bieniakońskiego, i ten jednak zaginął. Artystę tego określa-no zazwyczaj jako syna Alfreda Wierusz-Kowalskiego, znanego malarza «od wilków», co Czesława bardzo drażniło, bo miał już wtedy około sześćdziesiątki. Szczęśliwie przetrwał wojnę i zmarł w Warszawie

w wieku stu dwóch lat, niemal do końca malując. Nie wiem, czy i wtedy jeszcze był wciąż «synem tego malarza od wilków», czy też doczekał się wreszcie własnej tożsamości jako naprawdę dobry portrecista i pejzażysta. Dzisiaj obydwaj, ojciec i syn, mają w Suwałkach wspólne muzeum poświęcone ich twórczości.

Latem 1942 roku zaprosiliśmy do Podweryszek mego kolegę szkolnego, o którym już wspomniałem, Jurka Wróblewskiego. Przebył tu ponad rok, pracując w polu jako robotnik fizyczny. Uczył się razem ze mną i z Basią Reszkówną, przerabiając z podręczników kurs klas licealnych, razem też, jak była już mowa, zdawaliśmy w Wilnie maturę. Razem zaczęliśmy działać w wojskowym podziemiu, do czego jeszcze wrócę, ale matka Jurka poczuwszy, co się święci, pod jakimś pretekstem zabrała go z Podweryszek. Ona sama wraz z młodszym synem, Andru-lem, spędziła w Podweryszkach jedno lato. Jeździła wtedy po dworach należących do «grupy Bieniakonie» i rysowała je «dla przyozdobienia biura», co pozwoliło wypłacić jej jakieś honoraria. Rysunki te, całkiem ładne, przepadły, natomiast zachował się obraz olejny domu podwery-skiego, który ofiarowała mojej Matce. Dziś ma go moja Siostra w Londynie. W naszym mieszkaniu wisi mój portret wykonany ołówkiem z okazji matury, dedykowany również Matce. Także Andrul, daleki wówczas od działalności konspiracyjnej i od pracy fizycznej, starał się spożytkować swój talent. Na imieniny mej Matki sporządził ozdobny karton, fragment mego wiersza, który wtedy właśnie pisałem ku po-chwale tradycji ziemiańskich, ilustrując stosownymi motywami wykonanymi techniką próśnienia. I ten karton ocalał u mnie, a chociaż nie jest to zapewne dzieło wielkiej klasy, stanowi chyba cenną, bo jedną z naj-wcześniejszych prac tego wybitnego, przedwcześnie

zmarłego malarza. Wtedy próbowaliśmy użyć umiejętności Andruła do kopiowania map okolic Podweryszek, ale ten rodzaj twórczości plastycznej mniej mu do-gadzał, tak że z przerysów tych nie było wielkiego pożytku.

Cała ta grupa, licząca łącznie około dwudziestu pięciu osób mieszkających pod podweryskim dachem [przelotnie przebywali tam i in-ni], zżyła się jak załoga statku i mimo doraźnych sporów czy zadrażnień przetrwała w zgodzie i po części zachowała przyjaźnię na dalsze długie lata. Do grupy tej należy też dołączyć mieszkańców domu w Rym-szyszkach, najściślej związanych z centrum podweryskim. Oprócz mego wuja Kazimierza z rodziną zamieszkiwał tam Stefan Burhardt z żoną i córką oraz okresowo Stanisław Piotrowski, o którym opowiem jeszcze obszerniej na dalszych stronach. Burhardt, doktor filozofii i muzykolog, przed wojną dyrektor Biblioteki im. Wróblewskich w Wilnie, przyjechał do Podweryszek jako nauczyciel, by prowadzić lekcje z całą znajdującą się tam młodzieżą. Oficjalnie miał stanowisko «stróża polowego», ale

bodaj raz tylko wybrał się z kijem na pole. Trudno było zresztą przypu-szczać, by ktokolwiek zląkł się łysawego pana w pince-nez, a i sama ochrona pól przed kradzieżą plonów była wówczas pojmowana nader liberalnie. Niewiele też odbyło się lekcji, bo «uczniowie» nie mieli czasu ani zbytniej ochoty na te zajęcia. Uczyliśmy się w miarę możliwości sami z podręczników, niemniej na polecenie tegoż mistrza napisałem wypracowanie o wyprawie na toki cietrzewie. Temat ten słusznie uznał on za bardziej interesujący niż dywagacje o historii lub dziejach literatury, dzięki czemu powstał tekst, który dotąd zachowałem, stanowiący jakby fotografię wczesnej wiosny nad rzeczką Grażelką i na zakrzaczonych

łąkach zwanych Bacukiszkami, gdzie o świcie bełkotały czarne koguty i nawoływały się czajki. Dzisiaj z tej rzeczki pozostał wąski rów, z łąk jakiś deptak, a cietrzewi nikt tam zapewne od wielu lat nie słyszał. Po wojnie dr Burhardt osiadł w Toruniu i poświęcił się wydawaniu korpusu polonezów; między innymi odnalazł nie znany polonez kompozycji Tadeusza Kościuszki.

Niewiele więcej lekcji udzielił nam też Stanisław Wawrzyńczyk, przybysz ze Śląska siedzący w Bieniakoniach, jak się później dowiedzia-łem - szef Biura Informacji i Propagandy na województwo nowogródz-kie. Był to człowiek zacny, lecz popędliwy, i dlatego wstawił się wówczas sprawą honorową, jaką mu wytoczył o obrazę pewien rezydent z Gojcie-niszek o nazwisku Rubik lub podobnym. Wawrzyńczyk powołał na swe-go przedstawiciela mego stryja Gustawa, tamten Jana Ożyńskiego, męża Heleny Rymszanki, ostatniej dziedziczki Gojcieniszek, obaj panowie poprosili na superarbitra Józefa Borowskiego, właściciela Trybańców, i tak wszyscy trzej z kodeksem Boziewicza w rękę długo radzili nad problemem, czy ów Rubik jest czy też nie jest człowiekiem honoru, aż orzekli, że jest. Wawrzyńczyk miał go przeprosić i tak się zakończył ostatni chyba sąd honorowy między Niemnem i Dźwiną. Po wojnie Stanisław Wawrzyńczyk stał się bohaterem głośnej sprawy, oskarżony o rzekome szpiegostwo w Wiedniu. Przelotnie przez Podweryszki i Bieniakonie przewinał się też Jan Szkop, nauczyciel czynny w podziemnym szkolnictwie, który po wojnie przez pewien czas był wiceministrem oświaty.

W sąsiednich dworach bywało podobnie - prócz właścicieli i ich rodzin znajdowali w nich miejsce oparcia rozmaici przybysze, niekiedy szukający warunków do przetrwania, niekiedy ukrywający się przed Niemcami, a czasem tylko udający lub poczytywani za konspiratorów.

W najbliższych Starych Bieniakoniach zamieszkał, chyba na stanowisku stróża, niejaki pan Kalina - zapuszczona przezeń duża broda wyraźnie wskazywała, że się ukrywał. Wkrótce jednak żądza poklasku wzięła w nim górę nad ostrożnością: zaczął raz po raz demonstrować różne piosenki i wierszyki kabaretowe. Produkował się także w Podweryszkach wobec wszystkich domowników zgromadzonych w pokoju stołowym: to przedstawiał wodzireja z okresu fin de siècle u, to parodiował Chaplina w satyrze na Hitlera, aż gdy zaśpiewał dobrze znaną piosenkę Tomasz, ach Tomasz, stało się oczywiste, że jest to Ludwik Sempoliński, nie traktowany zresztą wtedy z adoracją, jaką go później otaczano. W repertuarze miał też kilka tekstów nieco bardziej frywolnych, powodujących wśród pań podweryskich pewną konsternację, w sumie jednak był to zestaw niezbyt bogaty. Także i później, po wojnie, występował na scenach z prawie tym samym programem, tyle że już bez brody i odpowiednio ubrany. Państwo Golimontowie, którym zawdzięczał długotrwałą gościnę, nie pozbawioną dla nich ryzyka, odwiedzili go kiedyś za kulisami, ale on przyjął ich niechętnie, a w ogłoszonych potem wspomnieniach z lat wojny opowiadał, jak to musiał ukrywać się przed Niemcami «u pewnych chłopów litewskich».

W Starych Bieniakoniach zagnieździł się również na stanowisku jakiegoś dozorca Stanisław Truszkowski, zakonspirowany organizator batalionu Armii Krajowej i autor ogłoszonych po wojnie Partyzanckich wspomnień, w których sporo miejsca poświęcił Podweryszkom i ich mieszkańcom, na ogół dość wiernie opisując ludzi i zdarzenia. Będę o nim jeszcze wspominać na dalszych stronach. Natomiast w Trybańcach zamieszkał, jako pracownik administracji, niejaki Martyka. Niczym się wtedy nie wyróżniał, za to po wojnie wraz z Wandą Odolską stał się sławny jako jeden z autorów audycji radiowych pt. «Fala 49», które były szczególnie zjadliwym organem propagandy komunistycznej. Wkrótce ku powszechnej radości został zastrzelony we własnym mieszkaniu w Warszawie przez jakąś organizację podziemną, a obiegowy dowcip głosił, że Odolska otrzymała od niego Ust: «Jestem w niebie, czekam na ciebie - Stefan», co być może sprawiło, że i jej wielce charakterystyczny głos znikł z anteny.

Przelotnie w Podweryszkach i okolicy pojawiały się i znikły różne inne postacie, znajome i nieznajome, znane i nieznane. Początkowo zatrzymywali się tu na nocleg podróżni ciągnący z Wilna na południe, do swych dworów czy do domów swych rodzin, bo Podweryszki leżały blisko traktu i o dzień drogi końmi od Wilna. Wędrowali tak między innymi właściciele Woronczy pod Nowogródkiem, uznawanej za jeden z najpiękniejszych dworów kresowych. Jechali weseli: pani Lubańska i jej córka ze świeżo poślubionym mężem, Czarnoskim, bodaj jeszcze ktoś z ich rodziny; w dwa lata później dwór spalono, a wszyscy oni zostali wymordowani przez partyzantów sowieckich, ocalał tylko jakiś ślepy brat czy kuzyn, który grywał potem po wsiach na harmonii - dramat jakby wyjęty z Ogniem i mieczem.

Nocowała w Podweryszkach przejazdem Maria Rogalewiczowa, kuzynka mojej Matki, znana z urody właścicielka Lipniszek pod Lidą, aresztowana potem przez bolszewików. Po dziesięciu latach zsyłki wróciła i dotarła do Szwecji, gdzie odnalazła swe dorosłe już dzieci, które udało się jej wysłać z Wilna w pierwszych miesiącach wojny. Razem z nią zajeżdżał do Podweryszek jej kuzyn, Tadeusz Zawadzki, młody natenczas historyk ze słynnej rodziny wileńskich księgarzy i wydawców, później mój kolega i przyjaciel z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dziś emerytowany profesor w szwajcarskim Fryburgu. Wielokrotnie



przemierzała tę trasę z noclegiem w Podweryszkach pani Zula Kuzia- nowa, ziemianka spod Lidy, potem przyjaciółka i opiekunka mej Matki w ostatnim okresie jej życia w Londynie. I różni inni. Jacyś niewydarze- ni poeci - jeden z nich nazwiskiem Hermanowicz rozdawał wydany przed wojną własnym nakładem zeszyt wierszy: jak żyję ani wcześniej, ani później nie widziałem równej grafomanii; inny, nazwiskiem Szaser--Skassa przedstawiał się jako twórca przedwojennej organizacji Juna-ków, w Podweryszkach zaś na odartym z kory pniu modrzewia napisał patriotyczny wiersz zaczynający się słowami: «Choć trzewia twoje nędzny robak toczy...» Kiedy w prawie pół wieku później znów znalazłem się przez chwilę przy tym modrzewiu, napisu wykonanego ołów-kiem już oczywiście nie było, ale sens jego, mówiący o trwałości drzewa i trwałości narodu, jakoś przetrwał.

Przesuwali się przez Podweryszki jacyś uciekinierzy, ukrywający się wojskowi, a i pospoliccy spryciarze. Przez pewien czas mieszkał z nami młody chłopak imieniem Antek, którego Niemcy wywieźli gdzieś pod Leningrad do robót przyfrontowych; uciekł im i słuchaliśmy teraz jego opowieści o prawdziwej wojnie, bo nas ona wciąż jeszcze omijała. Niemcy w Podweryszkach pokazywali się rzadko, czasem na jakąś kon-trolę czy po dostawę, ale w sumie na pewno o wiele więcej w majątek zainwestowali, niż z niego wyciągnęli. Kiedyś przysłali pewnego Ho-lendra, który miał nadzorować gospodarstwo, bo do Polaków, i słusznie, nie mieli wielkiego zaufania. Holender jednak okazał się nieszkodliwy i dość szybko zniknął. Innym razem zjawił się, niby to na inspekcję, jakiś Niemiec-cywil z «sekretarką». Nocował i ku zgorszeniu pań pod- weryskich kazał posłać sobie i «sekretarce» w jednym pokoju. Wśród mieszkańców domu tradycyjna obyczajowość trwała mimo wszelkich przemian nie zmieniona i przekroczenie jej ram nawet przez byle Niemca uznawano za shocking. Czasami zaglądali też Litwini z posterunku policji w Bieniakoniach, ale ich zainteresowania ograniczały się zwykle do mniejszych lub większych datków, po ich otrzymaniu wracali do siebie.

Podobnie jak cała administracja podweryskiej grupy majątków, tak też i wyższe instancje organizacji «Ostland» w całości lub częściowo były obsadzone przez Polaków. Jednym z nich był Władysław Komar, zie-mianin z Litwy kowieńskiej, ojciec znanego po wojnie sportowca, poja-wiający się od czasu do czasu w Podweryszkach. Miał oit niezłe układy z Niemcami i z Litwinami, niemniej gdy na wiosnę 1944 roku próbował interweniować w sprawie jakichś aresztowań w Mejszagole, został be-stialsko zamordowany przez litewskich policjantów. Był to mężczyzna dużego wzrostu, dlatego gdy jesienią tegoż roku rozpadły mi się buty, Matka moja wybrała się do wdowy po Komarze z prośbą o buty mę-żowskie. Dzięki temu miałem w czym chodzić przez ostatnie pół roku wojny, a i potem buty te służyły mi jeszcze ze dwa lata w Krakowie.

Ziemianinem z Litwy był również Zygmunt Żyliński, przyjaciel Komara zarządzający, przynajmniej w teorii, «grupą Bieniakonie» - bon viveur i idol pań starszych i młodszych. To z nim zdarzyło mi się raz pojechać do Oławy w pobliżu Olity po jakieś materiały czy maszyny rolnicze. Dziwiłem się wtedy porządkowi panującemu na rdzennej Litwie, zwłaszcza stanowi dobrze utrzymanych dróg żwirowych, jakich nie widywało się w naszych okolicach. W Oławie byli wówczas zatrudnieni jako robotnicy jeńcy sowieccy, z którymi wdałem się w przyjazną rozmowę. Na zakończenie coś mnie podkusiło, żeby powiedzieć: «My tu tak po przyjacielsku gadamy, a może jeszcze się zdarzyć, że będziemy ze sobą bić się». «Nu, może tak być» - odpowiedział któryś i popatrzał na mnie; zrobiło mi się dziwnie

niemiło, bo chociaż to był jeniec i chociaż front stał wtedy gdzieś pod Moskwą, to groza bolszewii wciąż była obecna jak rdza przebijająca spod warstwy farby. Był to lęk podświadomy, lecz nie bezpodstawny, związany nie tylko z perspektywą powrotu wojsk sowieckich, ale i z obawą przed bandami lub oddziałami rosyjskich partyzantów, o których słuchy zaczęły się od pewnego czasu pojawiać. Mówiliśmy sobie wtedy: «Nie damy się zaskoczyć, jeśli tylko zaczną się napady na dwory, będziemy znów uciekać do Wilna. Wiemy, czym to grozi». Napady się zaczęły, docho-dziły wiadomości z okolic Nowogródka i Nieświeża, o wymordowaniu mieszkańców Worończy, o spaleniu przez sowietów Czombrowa i Le- cieszyna, a także - od innej strony, znad Świra i Naroczy, o spaleniu Sze- metowszczyzny razem z jej właścicielką. Wszystko to było na razie «da-leko», więc nam jakby nie zagrażało. Wkrótce jednak podobne przy- padki zaczęły się przybliżać, widać było nawet jakieś łuny, ale wciąż wydawało się, że to jeszcze nie nasza kolej. Chyba że zaczęliby mordo- wać w sąsiedztwie... No i stało się, w pobliskim Świeńcu partyzanci so- wieccy z Puszczy Rudnickiej zabili zarządcę majątku Birulę-Białynic- kiego [właściciel, Ryszard Konarzewski, nie wrócił do dworu, może dla- tego przeżył wojnę], Niemniej jeszcze i wtedy nad obawą przeważało poczucie, że we własnym domu jest najbezpieczniej: «Jest taki solidny, osiadły, otulony parkiem, gdzie indziej to co innego, ale przecież nie tu-taj...» Zapewne podobnie myśleli także ci wszyscy, którzy w swych dworach poginęli lub ledwie uszli z pożaru.

Z takich lub innych powodów [bliskość miasteczka, gdzie był po-sterunek policji, okresowe stacjonowanie w domu podweryskim żołnie-rzy litewskich oraz Niemców z Organizacji Todta] nasz dom przeżył najście sowieckich partyzantów dopiero w ostatnich miesiącach ich działalności, wiosną 1944 roku. Wtargnęli wybijając szyby w drzwiach od salonu, w którym wtedy mieszkały nasze dziewczęta, nie napastowali ich jednak, tylko zabrali co się dało z żywności. Odchodząc uprowadzili ze sobą stryja Gustawa, doszli z nim okrężną drogą do Puszczy Rudnickiej. Gdy poczuli się bezpieczni, kazali Stryjowi ściągnąć buty - myślał, że to już ostatnia jego chwila, ale okazało się, że może wracać. Spełnił więc tylko funkcję zakładnika, a być może dobre potraktowanie zawdzięczał obecnym w oddziale Żydom, którzy wiedzieli, że przed rozstrzelaniem wszystkich Żydów bieniakońskich Stryj podsyłał im do getta żywność. Skończyło się więc na wielkim strachu i wielkiej radości po powrocie do Podweryszek.

Nie była to jednak pierwsza bytność partyzantów sowieckich w naj-bliższej okolicy. Już rok wcześniej niewielka ich grupa znalazła się u chłopca mieszkającego na kolonii, to jest w odosobnionym gospodar- stwie o parę kilometrów od Podweryszek. Przyszli tam na «dniówkę»,być może wędrowali z Puszczy Rudnickiej do Nalibockiej lub odwrotnie, i oczywiście nie pozwalali nikomu opuszczać zagrody. Chłop jednak zaczął ich molestować, że musi jechać na targ czy też do doktora, dość że go wypuścili. Widocznie nie zdawali sobie sprawy, jak wielką niechęć czy wręcz nienawiść wzbudzają wśród miejscowej ludności po dwóch latach swych rządów, chłop bowiem pognął wnet do Solecznik, gdzie stacjonował większy oddział Niemców, i doniósł im o nieproszonych gościach. Kazali mu wracać, co też naiwnie uczynił. Zaraz potem zjawili się w Podweryszkach. Padł na nas strach, gdy nadjechały wozy pełne żołnierzy w mundurach feldgrau, zaczęliśmy się chować, ale wnet okazało się, że chodzi im nie o nas, lecz o sowieckich partyzantów. Zo-stawili we dworze swe wozy, a sami dwoma oddziałami ruszyli pieszo w stronę chaty za lasem, widocznie

chcąc ją objąć w cęgi. Widziałem z okna spichrza, jak jedna z grup szła szeregiem pod górke ku Litwicy i ten ich wyciągnięty szereg niosący grozę, nie do odparcia niczym rzymska centuria, przypomniał mi się w przeszło rok później, gdy w podobnym szeregu, już jako rozbitki Wielkiej Armii, uciekali biegiem od bramy pewnej chaty, z której myśmy strzelali; dwóch z nich zostało wtedy na dziedzińcu, a reszta w popłochu wpadła do zbawczego lasu. Zapewne i oni mają w pamięci ten straszny poranek. Ale wtedy, odszedłszy w stronę Litwicy pokazali swe umiejętności, bo otoczyli chatę z kilku stron i wybili wszystkich partyzantów, a także chłopca i jego rodzinę. Słyszałem ze spichrza te strzały krótkie i gwałtowne, potem wybuchy granatów rzuconych do piwnicy, a w końcu zza lasu podniósł się wielki dym i z chaty zostało pogorzeliśko. Niemcy wrócili do swych wozów - jeden czy dwóch było lekko rannych, bo tamci usiłowali się bronić - i odjechali dobrze wypełniwszy obowiązek. Chociaż front stał jeszcze pod Smoleńskiem i Leningradem, tego dnia wojna przybliżyła się nagle do Podweryszek na sięgnięcie ręką. I tak już została.

Ślady wojny zastaliśmy wprawdzie już zaraz po powrocie do Podweryszek, choć trudno było mówić o froncie, którego w istocie nie było - bolszewicy nie stawiali jeszcze Niemcom żadnego znaczącego oporu. W brzeźniaku przy trakcie gojcieniskim stał więc wrak niemieckiego czołgu czy pancernego transportera, który widocznie zepsuł się czy wręcz ugrzązał w głębokim piachu, nie nosił bowiem śladów pocisków. Na polu podweryskim w pobliżu urządzonego przez Niemców lotniska powstało niewielkie zapadlisko, podobne do zakłębnień w ziemi na rym-szyskim «cmentarzu zwierzęcym», gdzie zakopywano padłe konie, bydło czy świnię. Opowiedziano nam, że przez to pole szło pewnego dnia jakichś dwóch mężczyzn. Widocznie skracali sobie drogę i zlekceważyli bliskość lotniska. Podjechał do nich Niemiec na motocyklu. Chłopiec, który pasł niedaleko krowę, widział, jak ci dwaj coś mówili, uklękli, podobno chcieli całować ręce. Niemiec jednak obu zastrzelił. Zakopano ich na tym samym miejscu i stał zapadlisko, bo widocznie nikt nie ubił ziemi. Później rosło tam zboże czy też kartofle. Opowiadano nam również, że gdy Niemcy już się zbliżali, jeden z nich wyrwał się na motocyklu do przodu i wpadł do Bieniakoń szosą od strony Werenowa. Został pojmany czy to przez wojsko, czy przez milicjantów sowieckich, ale zanim go zastrzelono, podobno wołał: «Alle Juden kaputt!» - i palcem przeciągał po gardle.

Prawdę mówił ten rycerz, bo bodaj w rok później od strony Werenowa zaczęło dochodzić pukanie: krótkie lub dłuższe serie z karabinu maszynowego, niegłośne, przytłumione przez odległość i jakby niezbyt realne, nie tłumaczyły samej swej istoty, zanim stało się jasne, że to nie bitwa, nie żadna wymiana ognia [kto z kim miałby walczyć?], ale pogłos morderstwa ciągnącego się w nieśpiesznym, urywanym rytmie podobnym do stukotu dziecięcia.

Była wtedy w Podweryszkach dziewczyna Żydówka, może dwu-dziesięcioletnia, która jakoś uniknęła czy też wydostała się z wileńskiego getta i pracowała jako służąca. Jedni z mieszkańców domu nie wiedzieli o jej pochodzeniu, inni udawali, że nie wiedzą, a ona sama robiła, co mogła, by nie powstały żadne podejrzenia. Powiesiła nad łóżkiem krzyż czy też «święty obrazek», czytała lub udawała, że czyta jakieś książki religijne [pamiętam takie powieści pt. Żołnierz Pański, o którym mówiła: «Jakie to śliczne»]. Była osobą bezbrzeżnie tragiczną, bo nie miała już rodziny i samotnie trzymała się życia, czy raczej próbowała się trzymać w obcym jej otoczeniu. Gdy pewnego dnia przyszła wiadomość, że w okolicy rozstrzelują Żydów, i mówiliśmy o tym przy stole, a ona trzymała właśnie w rękach stos talerzy, posłyszawszy to wzdrygnęła się i talerze poleciały z hukiem na ziemię.

W pokoju zrobiło się cicho i po chwili zaczęto mówić o czym innym, udając, że nic nie zaszło, ona zaś znikła w kuchni. Wkrótce, może w dzień, może w dwa dni potem, znikła w ogóle z domu podweryskiego, jak powiadano - sama poszła do getta, bo nie była w stanie znieść przerastającego jej siły napięcia i utrzymać tej małej deski ratunku, jaką próbowano jej rzucić. Według innej wersji ktoś wtedy po nią przyszedł i potajemnie zabrał, chyba do sowieckich partyzantów w Puszczy Rudnickiej, bo później, po przejściu frontu, widziano ją podobno w Wilnie w mundurze i z pepeszą. Która z tych wersji jest prawdziwa?

Spośród Żydów bieniakonńskich bodaj nikt nie ocalał, a było ich bez liku. Żydami byli lekarz i aptekarz, Żydem fryzjer sprowadzany do

Podweryszek, by strzygł wszystkich za jednym razem, do Żyda należał największy w Bieniakoniach sklep z narzędziami i wyrobami żelaznymi, jak i wiele pomniejszych sklepików. Ostoją polskiego handlu była kooperatywa, gdzie dwór podweryski dokonywał większości bieżących zakupów, robionych zwykle przez posłańca i «na książeczkę», z której potem co pewien czas się rozliczano. Również Żyd dzierżawił młyn podweryski na Solczy już za Bieniakoniami, i u niego jadąc pod wieczór na kaczki zlatujące się na staw zostawiało się konia z linijką. Dawniej Żyd-pachciarz mieszkał też w Podweryszkach i robił tu żółte sery «litewskie» w kształcie spłaszczonych kul wielkości głowy, które gdy dobrze dojrzały, po rozcięciu ukazywały pełno drobnych otworków połyskujących «łezką». Do ich wyrobu została zbudowana duża, betonowa piwnica przykryta grubą warstwą ziemi, która pozwalała zachować stałą temperaturę. W środku stały długie półki, na których sery stopniowo dojrzewały. Był to najlepszy ser, jaki pamiętam, ale widocznie czasami coś się nie udawało, bo Żyd tłumaczył się gęsto, że «te syry to mają taki charakter, że oni się poszczepali». Z tych czy też z innych powodów na parę lat przed wojną ich produkcja została przerwana, Żyd gdzieś zniknął, a całe mleko jeździło odtąd do Bolcienik, gdzie trzy dwory, Podweryszki, Bolcieniki i Trybańce założyły wspólną sero-warnię, wytwarzającą wielkie jak koła sery «szwajcarskie». Na każdą sztukę szło około tysiąca litrów mleka, wytwórnia miała różne wymyślne urządzenia, kierował nią już fachowo wykształcony serowar, Jan Żołędziwski, przynosiła też większe zyski, ale na stole ser ten ani umywał się do dawnych wyrobów pachciarskich. Teraz cały ten świat sklepikarzy, młynarzy, pachciarzy, handlarzy końmi i tylu innych schodził do zbiorowego grobu pod Werenowem w rytmie strzałów podobnych do stukotu kującego w oddali dziecięcia.

Niebawem przytłumiony pogłos wojny zaczął dochodzić też z nieba. Raz po raz, nocami, huczało ono szumem niewidzialnych samolotów lecących ze wschodu na zachód. Niekiedy zostawiały one, widocznie na spadochronach, jasno świecące rakiety, których blask padał na ziemię i na chmury, czy to wskazując lotnikom drogę, czy umożliwiając obserwację kraju. Bomb nie rzucali, nieśli je gdzieś dalej na Prusy Wschodnie, parokrotnie - jak się później dowiedziałem - także nad Warszawę, ale sam długotrwały huk silników przemieszczających się nad głowami niósł lęk, nie ten doraźny, ale ponownie obudzoną świadomość zagrożenia od wschodu, tym razem wcielonego w dudnienie sfer niebieskich.

Poprzedniej jesieni 1942 roku ciągnęli przez Podweryszki Hiszpanie należący do «błękitnej dywizji» wystawionej do pomocy Niemcom w walce z komunizmem. Byli przyjaźni i radzi, że znaleźli możliwość porozumienia się po francusku. Profesorowi Łastowskiemu ze Stacji Doświadczalnej w Bieniakoniach wpisali się na jakiejś karcie

pamiątkowej, określając go jako prototipo caballero polaco, czym był bardzo ukontentowany. Na ogół jednak byli zagubieni tak w przestrzeni, jak w czasie. Był październik, a oni chuchali w ręce i pytali, kiedy ta zima się skończy. Odpowiedź mieli znaleźć w kilka miesięcy później pod Leningradem, dokąd Niemcy, chyba przez złośliwość, skierowali swoich aliantów. A ja pomyślałem sobie wtedy, iż skoro do Podwerszek dotarli żołnierze hiszpańscy, to jest to już rzeczywiście Wielka Wojna.

W połowie 1942 roku dotarł do nas wreszcie pierwszy znak życia od Ojca. I to jaki! W liście, który nie wiem już, jaką drogą trafił do Wilna, zawiadamiał, że jest zdrow i cały, że wyjechał z Rosji, ponieważ został powołany do polskiej Rady Narodowej w Londynie. Nie podawał miejsca, skąd pisze, ale z końcowych słów, iż «robi do nas perskie oko», stanowiących nie nazbyt skomplikowany kryptogram, wynikało dość jasno, że jest lub że był w Persji. Wrażenie było potężne, nagle diame-tralne odwrócenie uczuć - od obawy, czy jeszcze żyje, do radości z baj-kowej wręcz odmiany losu. No i to przekonanie, że skoro Tata jest w Radzie Narodowej, to już prawie wygraliśmy wojnę!

Ojca wywieziono z więzienia w Wilnie ostatnim transportem kolejowym, już pod bombami niemieckimi. Ledwie przeżył długą podróż do Gorkiego, to jest Niżnego Nowgorodu nad Wołgą, gdzie znów go osadzono w więzieniu. W czasie tej drogi bliski był śmierci głodowej, która - jak mi potem mówił - nie jest tak przykra, bo człowiek w pewnym momencie przestaje cokolwiek czuć i tylko zapada w jakąś czeluść. Po-tem jako «amnestionowany» pracował w kołchozie, wreszcie z trudem dotarł do sztabu formującej się armii polskiej w Buzułuku, tam został skierowany do «opieki społecznej» nad Polakami ściągającymi z róż-nych stron do wojska, wyszukiwał i pomagał w wydobyciu ich z łagrów lub zsyłki, przy czym zgromadził ogromną ilość danych z obszaru Sy-berii, Uralu, Kazachstanu itd. Wreszcie został wezwany do ambasady polskiej w Kujbyszewie, gdzie dowiedział się, że powołano go do Rady Narodowej i ma jechać do Londynu. W Radzie miał reprezentować Wi- leńszczyznę, na nominację tę zapewne wpłynęła opinia prezydenta Władysława Raczkiewicza, który znał dobrze Ojca i jego działalność z czasu, gdy był wojewodą wileńskim. Z Kujbyszewa w kwietniu 1942 roku amerykańskim samolotem wojskowym wyleciał do Teheranu, skąd właśnie przed dalszą podróżą w liście do nas robił «perskie oko».

Ojciec był jednym z pierwszych Polaków, którzy z sowieckich więzień i z sowieckiego państwa wydostali się na wolność. W tym czasie wiadomości o tym kraju i o losie setek tysięcy zesłańców były jeszcze bardzo skąpe lub w ogóle na Zachód nie docierały, dopiero później ru-nęła lawina opowieści, wspomnień, lamentów. Dlatego po dotarciu do

Londynu w lecie tegoż roku na prośbę władz polskich Ojciec spisał swe spostrzeżenia i wspomnienia z Rosji sowieckiej, nie w formie pamiętni-ka jednak, bo - jak mówił - nie chciał być cierpiętnikiem, ale w postaci rzeczowej relacji o kraju, ludziach, stosunkach na wsi i w mieście, w więzieniach i łagrach. Było to bodaj pierwsze opracowanie tego rodzaju. Nie zostało opublikowane, bo Ojciec nie chciał narażać rodziny w Kraju, raport dotarł przecież do odpowiednich władz. Czy spowodował jakieś ich działania lub decyzje? - nie wiem. Wkrótce zresztą sprawy te stały się szeroko znane, pozostał więc maszynopis, którego kopia, licząca 169 stron, leży na moim biurku. Tekst ten zachowuje walor dokumentu spisanego na świeżo, nie skażonego jeszcze ani przez upływ czasu, ani przez sugestie

różnych innych wspomnień, jest bogaty w realia przedstawiane w miarę możliwości bez emocji i z dystansem.

Znaczniejszy skutek miało może opowiadanie Ojca o tym, co widział i jak w rzeczywistości wygląda życie w Związku Sowieckim, przed

stawione przezeń na pewnym zebraniu w Tel-Awiiwie. Z Persji jechał bowiem do Egiptu, skąd miał odpłynąć okreśną drogą do Anglii, i przez krótki czas zatrzymał się w Palestynie, witany bardzo serdecznie przez znajomych Żydów wileńskich, którym udało się tam dostać. Jako świadczeni przybywającemu wprost z kraju, który ze względu na udział w wojnie budził coraz większe zainteresowanie polityków i publicystów, zaproponowano mu prelekcję. Opowiedział więc, co widział i czego się dowiedział podczas prawie rocznego pobytu, i przedstawił swe spostrzeżenia i wnioski. Po odczycie - jak mi opowiadał - podszedł do niego jeden ze słuchaczy i oświadczył: «Po tym, co pan powiedział, za-waliła się całkowicie moja koncepcja oparcia przyszłego, niepodległego państwa żydowskiego o Związek Sowiecki». Był to Dawid Ben Gurion, wtedy jeszcze mniej znany, potem jeden z przywódców i twórców państwa Izrael, jego długoletni premier, zorientowany już jednoznacznie na sojusz z Zachodem. Może więc ta prelekcja mego Ojca zaważyła w jakimś stopniu na losach Bliskiego Wschodu, a przynajmniej stała się załączkiem rozwoju późniejszych wydarzeń?

W każdym razie zaczęła się sprawdzać przepowiednia wileńskiego wróżbity z Zarzecza, do którego w czasie rządów sowieckich wiele osób chodziło pytając o losy swych bliskich. Była u niego i Matka, a wróż pa-trząc na fotografię Ojca powiedział, że jest żyw i zdrow i że czeka go niebawem pełnienie ważnych funkcji publicznych. «Ministrem - jak orzekł - nie będzie, ale będzie to coś podobnego». Okres ożywionej

działalności Ojca miał trwać kilka lat, potem miał on zajmować już mniej eksponowaną pozycję, ale wciąż miał być aktywny, a wreszcie, już po sześćdziesiątce, miał wycofać się w zacisze rodzinne. Przyjęliśmy tę przepowiednię nie bardzo jej wierząc, teraz jednak, gdy przyszedł list od Ojca, nabrała ona blasku, a w rzeczywistości sprawdziła się do końca, jeśli weźmiemy pod uwagę okres działalności Ojca w londyńskiej Radzie Narodowej, potem już tylko w pomniejszych organizacjach emigracyjnych, a wreszcie ponowne spotkanie z rodziną, zwłaszcza od czasu przyjazdu do Londynu mojej Siostry, potem też Matki, i coroczne aż do śmierci w 1971 roku przyjazdy Ojca do Polski. Przyjeżdżał jednak do najbliższej rodziny, a nie do Kraju, bo tym pozostały dlań do końca Wilno i Wileńszczyzna, których już nie zobaczył. Dlatego chociaż był urodzony w Czemerówce pod Nowogródkiem i chociaż cała jego rodzina była od dawna związana z Nowogródzczyzną, na jego grobie na londyńskim cmentarzu położyliśmy napis «syn Ziemi Wileńskiej», bo takie określenie byłoby Mu chyba najmiłsze.

Po pierwszym liście Ojca z Persji zaczęły docierać następne, już z Londynu. Utała się ich droga przez Szwecję i Warszawę, z której i my korzystaliśmy w drugą stronę, pisząc na nazwisko dawnej aplikantki Ojca, Niny Wiłkojć. Tak też korespondowaliśmy z Ojcem długo po wojnie, aż do 1956 roku. We wszystkich ankietach personalnych i innych dokumentach w tym okresie na pytanie o ojca odpowiadałem bowiem stale, że «zaginął w czasie wojny». Za okupacji niemieckiej ogniwem pośrednim w tej korespondencji była moja ciotka, siostra Ojca, Jadwiga Michalska, mieszkająca w Warszawie, która z kolei wysyłała nasze listy pocztą do Szwecji. Były one kontrolowane przez Niemców, trzeba więc było pisać ostrożnie i z rozmaitymi aluzjami. Ciotka oczywiście też czytała te listy, by wiedzieć, co się z nami

dzieje; kiedyś zdziwiła się wielce przeczytawszy przekazaną przeze mnie wiadomość, że za tydzień są moje urodziny. «Cóż to za dzieciak jeszcze - mówiła z politowaniem - że w tych czasach, mając siedemnaście lat, pisze ojcu o swych urodzinach». Nie przyszło jej na myśl, że w ten sposób określałem datę listu, której bezpośrednio wolałem nie podawać. A był to już czas, kiedy ten dzieciuch zaczął wybierać się na wojnę. Zdażyć na wojnę

Do Podweryszek działalność konspiracyjna zawitała z pewnym opóźnieniem, gdy w Wilnie i okolicach istniały już organizacje cywilne i woj-skowe, a także gdy dochodziły już wieści o jakichś oddziałach party-zanckich. Skoro jednak fala ta dotarła, ogarnęła niemal wszystkich, dawnych i nowych mieszkańców domu, uczestniczących w różny sposób w ogólnonarodowym misterium. Była to bowiem działalność na poły realna, na poły zaś rodzaj sacrum, nie tylko obwarowanego uroczystą przysięgą, ale też spełnianego ze świadomością uczestnictwa w wielkim obrzędzie, jaki dokonuje się w całym kraju, i z poczuciem niemalże wyznaniowej wspólnoty. Przynajmniej my, młodsi, zaangażowani przede wszystkim na polu wojskowym, traktowaliśmy te sprawy głęboko emocjonalnie. Starsi, działający w dziedzinie oświaty jak Wierusz-Kowalski, gospodarczej i administracyjnej jak Kajetan Drozd czy politycznej jak Stefan Burhardt, może mieli osądy bardziej trzeźwe; wtedy zresztą nie wiedzieliśmy wiele o tej ich pracy i uważaliśmy ich za mało użytecznych ramoli. W każdym razie główny trzon uczestników działalności konspiracyjnej, a potem partyzanckiej tworzyli ludzie młodzi lub bardzo młodzi, pokolenie, które w 1939 roku było jeszcze dziećmi, a teraz dorosło na tyle, ażeby zdażyć na wojnę.

Zostałem zaprzysiężony mając lat siedemnaście, 4 czerwca 1943 roku. Tego dnia zjawił się w Podweryszkach Stanisław Truszkowski, o którym już wiedziałem, że działa w konspiracji, a także Witold Ko-ściałkowski, syn byłego premiera Zyndram-Kościałkowskiego, mieszkający wtedy w Świeńcu. Było nas trzech kandydatów na żołnierzy, mój brat stryjeczny Jerzy, Jurek Wróblewski i ja. Zebraliśmy się w pokoju obok sieni, zajmowanym przez moją Matkę i Babkę, i tam Truszkowski zapytał, czy jesteśmy gotowi wstąpić do armii podziemnej, a po naszym przytaknięciu zwrócił się do Kościałkowskiego: «Panie podchorąży, niech pan przyjmie przysięgę». Tamten wyciągnął gdzieś z zanadru krzyż i mówił, a my powtarzaliśmy tekst, który w tych latach wypowiadały tysiące naszych rówieśników: «W imię Boga... kładę palce na krzyż... że wiernie i nieugięcie... aż do ofiary życia mego...

zdrada będzie karana śmiercią... tak mi dopomóż...» Wtedy każde z tych słów miało swe pełne znaczenie, a zarazem tekst ten należał do liturgii, niczym Introit rozpoczynający obrzęd mszalny. W rok później, gdy napływ nowych członków AK był już masowy, a konspiracja stała się fikcją, zaniechano tej wstępnej ceremonii. Na razie jednak miała ona swój wymiar. «Proszę podać strzelcom rękę» - powiedział po zakoń-czeniu przysięgi Truszkowski, co zabrzmiało niczym: «nałóżcie sobie obrączki», więc uścisnęliśmy dłoń podchorążego, który miał być odtąd naszym bezpośrednim przełożonym. Tak się jednak złożyło, że w zbli-żonym czasie znalazł się w Podweryszkach wspomniany już Stanisław Piotrowski, i to on na dłuższy czas, bo na półtora roku objął nad nami komendę.

Stanisław Piotrowski został ściągnięty przez Stefana Burhardta, z którym łączyła go przyjaźń. Zamieszkał w Rymszyszkach jako jakiś pracownik leśny czy rolny, potem przeniósł się do Gojcieniszek, gdzie siedziała wówczas spora grupa młodych ludzi z Wilna, chroniących się przed łapankami. Często bywał w Podweryszkach, krążył po okolicy. Jego

nazwisko było oczywiście zmyślone, w rzeczywistości, jak dowiedziałem się znacznie później, nazywał się Stanisław Robert Szabunia, a pseudonim, pod którym był bardziej znany, brzmiał «Licho». Był to młody oficer, podporucznik, uczestnik walk wrześniowych, potem organizator konspiracyjnego wojska w naszej okolicy i dowódca kompanii. Był z nami w podziemiu, aż go bolszewicy schwytali i skazali na zsyłkę. Uciekł z pociągu i już po skończonej wojnie został przemycony w skrzyni jako bagaż z Wilna do Białegostoku, w Krakowie spotkał się po latach z narzeczoną [byłem tam na ich ślubie], potem uciekł na Zachód, do Anglii, gdzie memu Ojcu opowiadał o moich losach wojennych, a wreszcie wyjechał do Ameryki i tam po latach umarł. Będę jeszcze do jego postaci powracać, bo należy do tych kilku osób, z którymi wojna związała mnie najsilniej.

Stanisław - tak go krótko nazywano w Podweryszkach - zaczął nas zaprawiać w «rzemiośle wojennym», początkowo nie na głębokiej wojnie, bo nie było ani broni, ani zadań bojowych, ani większego wojska, więc raczej po harcersku, z kijami w ręku odbywaliśmy jakieś ćwiczenia i pobierali instrukcje. Ale był w tej zaprawie czynnik nie udawany: nocny las - ta sceneria i atmosfera otoczenia dały wtedy początek mojemu ugruntowanemu w rok później przeświadczeniu, że las i noc to wyznaczniki bezpieczeństwa. Wracając nad ranem przemykaliśmy się do pokoju w starej oficynie, dokąd my trzej wynieśliśmy się z domu, w którym na pewien czas zagnieździła się załoga litewska. Było tam łatwiej wyjść i wejść niepostrzeżenie, nie zwracając uwagi ani wartownika, ani domowników. Tylko moja Matka wiedziała na ogół o tych eskapadach i nie spała czekając na umówiony znak, że już wróciłem. «W razie czego - radziła mi - mów, że byłeś u jakichś wiejskich dziewczuch», a rada ta była miarą jej troski, bo wiem, z jakim oporem wypowiadała takie słowa.

Pierwszą nocną wyprawę odbyłem bodaj jeszcze przed zaprzysiężeniem, na polecenie Truszkowskiego. Pewnego dnia rozkazał mi pójść wieczorem do Starych Bieniakoń: «Tam na werandzie, za skrzynką, znajdzie pan pistolet, siedem naboji w magazynku, zabezpieczony. Weźmie go pan i uda się na drogę za stodołą. Nadejdzie grupa ludzi. Poda pan hasło. Przeprowadzi ich pan łąkami do Krokiszek. Proszę powtórzyć». Powtórzyłem rozkaz, udałem się, znalazłem pistolet, czekałem przy drodze całą noc, ale grupa ludzi nie nadeszła. Zawiedziony wróciłem o świcie, niemniej to pierwsze «zadanie bojowe» z pistoletem w kieszeni, noc spędzona w trwającym do rana napięciu: idą, nie, to kto inny, jakiś chłopiec z dziewczyną, może teraz, ale to chłop na wozie, coś trzasnęło, coś szeleści - to «zadanie» stało się zawiązkiem Dalszego, jak pierwsze spotkanie z Tą Oczekiwaną.

Na razie głównym celem nocnych wypraw było zdobywanie broni, a ściślej wydobywanie jej z różnych schowków po okolicznych wsiach. W czwartym roku wojny po dwukrotnym pogromie wojsk pozostało nieco odpadów czy to zakopanych, czy schowanych przez chłopów w chlewach i stodołach albo przerobionych na broń kłusowniczą, tak zwane obrezanki, karabiny ze skróconymi lufami, łatwiejsze do ukrycia pod kozuchem czy kapotą. Teraz zaczęło się wyszukiwanie tych resztek, ściąganie ich, skupywanie za pieniądze lub za zboże, wyciąganie prośbą, groźbą i biciem, wykradanie Niemcom lub Litwinom. Taki właśnie ukradziony granat sowiecki przyniósł po raz pierwszy do Podweryszek wspomniany już Antek; ukryliśmy go w dziupli lipy, w której kilka lat wcześniej urządziliśmy «spizarnie» z orzechów, potem przeniósłem go do Rymszyszek i oddałem Stanisławowi. Wydłubywałem też amunicję z pistoletów, które przyjeżdżający do



Podweryszek oficerowie niemieccy zostawiali wraz z pasami w przedpokoju, gdy załatwiali w «biurze» jakieś sprawy i jedli obiad - taki jeszcze zachowywali obyczaj, widocznie czuli się pewnie, gdyby jednak się zorientowali w moich niezbyt odpowiedzialnych zapędach, cena tych kilku naboji mogła być straszna. Być może żywili też lub chcieli żywić przekonanie, że administracja «państwowego» majątku, należącego do owej «Landbewirtschaftungsgesellschaft Ostland» stanowi jakiś punkt oparcia w obcym i wrogim im kraju. Tak w każdym razie uważał mi się któryś z niższych rangą Niemców, jakiś szofer czy też żołnierz towarzyszący oficerom. «To okropne - mówił - że każdy tu może być naszym wrogiem, a nie wiemy kto. Każdy może coś knuć przeciw nam, może i pan to robi - i patrzył na mnie z uśmiechem. - No tak, tak, ja tylko tak mówię, ja wiem, że tak nie jest, ale pan rozumie... » Rozumiałem i też patrzyłem na niego z uśmiechem, mówiłem: «Ależ skądże...» - choć właśnie szykowałem się do kolejnej eskapady.

Jedna z nich mogła skończyć się tragicznie. W Podweryszkach zjawił się pewnego razu Niemiec, którego nasz fornał miał wieczorem odwiedzić bryczką na nocleg do Bolcienik. Miał przy sobie pistolet, a może nawet pistolet maszynowy, więc postanowiłem urządzić na niego w lesie bolcienickim zasadzkę i - coüte-que-coüte - zdobyć tę broń. Wziąłem ze sobą młodszego kuzyna, Mirka Reszkę, i uzbrojeni bodaj w granat i raketnicę pognaliśmy do lasu i zasiedli w przydrożnych krzakach. Pan Bóg jednak widocznie ma durniów w swej opiece, bo Niemiec po-stanowił przenocować w Podweryszkach i widmo masakry okolicznej ludności, a w każdym razie całej rodziny, zostało oddalone. No i ja wraz z kuzynem uniknęliśmy natychmiastowej śmierci.

Uzyskaną w ten lub inny sposób broń przechowywaliśmy przez pewien czas w łaźni, budynku stojącym nad rzeczką Grazełką, dość daleko od innych zabudowań, do którego można się było łatwo i niezauważenie dostać. Ale bywały i inne schowki, nawet w domu, w łóżku mej Babki, która z całą pogodą i zrozumieniem godziła się na granaty czy też pistolety wetknięte pod materac, «bo przecież tam szukać nie będą».

Żądza zdobycia i posiadania broni była jak głód, zwłaszcza w po-czątkowym okresie, gdy było jej tak mało. Ale i później, chociaż mieli-śmy już jakie takie wyposażenie, a nawet gdy byliśmy uzbrojeni «po zęby», trwał swoisty szacunek wobec broni niczym szacunek dla chleba. Nie była to bowiem, jak w każdej normalnej armii, broń przydzielona żołnierzowi i przynależna mu z samej istoty jego służby ani też otrzy-mana «z nieba», ze zrzutów, których tak zazdrościliśmy partyzantom sowieckim z Puszczy Rudnickiej, lecz wyłącznie zdobyta własnym przemyśłem, z mniejszym lub większym wysiłkiem. Ja sam przez cały okres wojaczki miałem wiele tych narzędzi, stopniowo wymienianych na coraz sprawniejsze. Napierw był to niewielki pistolet, bodaj kupiony za zboże, potem sowiecki karabin wyciągnięty od jakiegoś chłopca, następnie zdobyczy niemiecki mauzer, sowiecki automat PPD [od-miana pepeszy] - również zdobyty na Niemcach, jeszcze ze śladami po-cisków, które jakoś odklepał nasz rusznikarz - potem pepesza i wreszcie niemiecki automat, tak zwane empi [MP - Maschinenpistole], nie licząc zwykłych pistoletów, a także, przez pewien czas - sowieckiego erkaemu oraz tzw. «dziesiątki», to jest dziesięciostrzałowego karabinu z półautomatycznym ładowaniem.

Początkowo przedmiot pożądania, z czasem broń stała się składnikiem osobowości, wrośniętym na stałe jak pazury u kota. Gdy wreszcie w końcu kwietnia 1945 roku wypadło mi ją ostatecznie odłożyć i zakopać, miałem uczucie, jakbym się rozebrał do naga, i tak

pieszo wędrowałem do Wilna, wystawiony na lada wzrok i na lada zatrzymanie, do czego szczęśliwie nie doszło. Zakopaną broń znalazł podobno po kilku miesiącach jakiś chłopiec zbierający grzyby. Zaczął sobie strzelać, czym ściągnął milicjantów czy też żołnierzy sowieckich, którzy wszystko za-brali, likwidując tym mit nie zakończonej walki. Skorośmy bowiem tę broń starannie zabezpieczyli, zamiast zniszczyć lub zwyczajnie porzucić, to dlatego, że w podświadomości była ona, wbrew wszelkim racjom, wciąż jeszcze przedmiotem szacunku i nośnikiem naszej nadziei.

Magia broni miewała i inne odniesienia. Gdy zaledwie na miesiąc przed jej zakopaniem, przed Wielkanocą, ściągnąłem z miasteczka, chyba z Rudnik, księdza, żeby słuchał spowiedzi i dawał komunię, prosiłem go również, ażeby poświęcił naszą broń. Miałem w pamięci to dziwne sacrum, zakorzenione od lat i od wieków w tradycji, które i wtedy wydawało mi się aktualne i oczywiste, ksiądz jednak odmówił oś-wiadczając, że nie ma przy sobie stosownych tekstów liturgicznych, i mimo moich nalegań nie chciał się zgodzić. Nie wiem, czy rzeczywiście chodziło mu o liturgię, czy też miał inne opory, bo przecież broń ta miała swe pierwotne przeznaczenie narzędzia do zabijania ludzi, i ta jej elementarna cecha była w mej prośbie jak gdyby zapomniana, mimo iż

zabijaniu wiedziałem wówczas już tak wiele. Cechę tę po raz pierwszy uprzytomnił mi brutalnie nakaz uczestniczenia w wyprawie, której celem było zastrzelenie jakiejś konfidentki. Był to wyrok podziemnego sądu i oczywiście nie miałem żadnych wątpliwości, iż jest słuszny i sprawiedliwy, aczkolwiek widok kartki z zeszytu w kratkę, na której była odręcznie napisana sentencja i podpis: «Sędzia - Kuna», wzbudzał niedopowiedziany niepokój. W zasadzie sprawa była oczywista i zgodna z wielokrotnie także przeze mnie głoszonymi poglądami, że należy bezwzględnie... itd., w rzeczywistości jednak było mi źle, serce podchodziło do gardła i nie wiedziałem, jak to pokonać. Wybawił mnie wuj Kazimierz Rymsza, który widząc mój stan

biorąc pod uwagę, że mam dopiero siedemnaście lat, kazał mi zostać w Podweryszkach, a sam pojechał zamiast mnie na tę wyprawę. Spełzła ona zresztą na niczym, bo niedoszła ofiara gdzieś się ukryła czy wyjechała, ale nie umniejszało to mojej wdzięczności wobec Wuja.

Bywały też wyprawy mniej poważne lub zgoła błazeńskie, bo posiadanie broni dawało przewagę na różnych polach. Odbywało się więc niszczenie po wsiach chłopskich wytwórni samogonu [nie używaliśmy określeń «bimber», «bimbrownia»] we wzniosłym celu przeciwdziałania pijaństwu, a także jakieś miejscowe porachunki i karanie nowszych, ale i dawniejszych przewinień. Pewnej nocy znalazłem się w grupie, która we wsi Kowańce wyduszała od chłopca jakiś ukryty ka-rabin, a potem naszła dom, w którym nazajutrz miało się odbyć wesele. Panna młoda była za czasów sowieckich «deputatką», to jest członkinią jakiejś rady w rejonie, a może aż w Mińsku. Zapewne więc była wten-czas aktywną przedstawicielką władzy, może komuś w czymś zaszko-dziła, a może przyczyniła się do represji, dość że teraz, po przeszło dwóch latach, wwalwszy się do chaty, chłopcy z Jodkiszek i z Polecki-szek wbili deputatce po gołym tyłku kilkadziesiąt razy szampołonem, to znaczy wyciorem od karabinu używanym jako sprawne narzędzie podobnych egzekucji. Potem jeszcze tylko jeden świst pręta i na twarzy panny młodej została czerwona krecha, a w końcu była uczta przy zastawionym już stole weselnym: kurczaki, mięsiwa, ciasta, no i samo-gon, który wydał mi się piekący w ustach jak ogień. Później

dowiedziałem się, że następnego dnia ślub jednak się odbył, o całym zaś wydarzeniu chodziły w okolicy, w tym także w Podweryszkach, jakieś słuchy, ale nikt nie wiedział, co tam się właściwie działo. Słuchałem tych pogłosek i domysłów z niezbyt tęgą miną, bo wydarzenie to jakoś nie w pełni odpowiadało moim uczuciom patriotycznym.

Kiedyś urządziliśmy też pozorowane najście na same Podweryszki, a to dla przepędzenia pewnego młodzieńca z Wilna, który pracował jako pomocnik kowala, a jednocześnie zaprzyjaźnił się z litewskimi policjantami z Bieniaków i razem z nimi buszował po wsiach. Zarazem chodziło o «zrabowanie» z magazynu w spichrzu przedmiotów, które mogły się przydać dla celów konspiracyjnych, była tam bodaj skóra na buty, jakieś narzędzia i coś tam jeszcze. Przyjechali ci sami chłopcy z Jodkiszek i paru innych, młodzieńca zbili i kazali mu nazajutrz wyjechać, co skrzętnie wykonał, a ja niby to pod przymusem zaprowadziłem ich do magazynu i dałem, co było ustalone, a ściślej, co sam uważałem, że może się przydać. Czy się przydało, komu i na co, tego już nie wiem, ale przynajmniej miałem poczucie, że w ten sposób przyczyniam się do walki. Dla większego zakonspirowania i zrzucenia wszelkich podejrzeń na bolszewików «napastnicy» udawali partyzantów sowieckich, mieli na sobie skądś zdobyte wojskowe płaszcze i mówili po rosyjsku [Boże pożałuj nad tą ruszczyzną]. Doszło jednak do kompromitacji, dowodzący bowiem akcją Staś Kłós z Jodkiszek, szukając czegoś w kieszeni wyciągnął i zostawił na stole legitymację szkolną, którą następnego dnia mój Stryj z pobłażliwym uśmiechem wręczył Truszkowskiemu. Oczywiście cała ta maskarada była obliczona tylko na służbę domową i folwarczną, a choć i oni mieli poważne wątpliwości co do pochodzenia partyzantów, to woleli milczeć. Występowanie w sowieckim przebraniu i mówienie po rosyjsku było zresztą stosowane jeszcze przez dłuższy czas jako stały kamuflaż mający osłaniać ludność polską przed ewentualnymi represjami, do czego jednak w rzeczywistości nigdy nie doszło i była to chyba nadmierna i niepotrzebna ostrożność.

Także i później zdarzało się wydostawać z Podweryszek zaopatrzenie dla oddziałów partyzanckich czy w ogóle «na potrzeby», ale robiliśmy to już bez udawanych napadów, tylko chyłkiem, a nawet półjawie. Kiedyś wytoczyłem z magazynu całą beczkę benzyny «zaoszczędzonej» dzięki stosownemu zapisywaniu zużycia paliwa przez traktor. Podczas gdy Matka zagadywała długo stróża nocnego, załadowaliśmy tę beczkę na sanki. Przeleżała pół roku ukryta w dzikim winie przy ganku w Rymszyszkach, a gdy wreszcie mogła się przydać, w czasie ataku na Wilno spłonęła razem z wiozącą ją ciężarówką. Wozilem też do oddziału Krysi operującego już w terenie przekazywaną mu z Podweryszek żywność: worki mąki, kaszy, bodaj jakieś mięso - robiliśmy to wspólnie z jednym z młodszych fernali, Bronkiem Staniszem, który też znalazł się w konspiracji.

Najbardziej aktywną i zwartą grupę uczestników tych poczynań stanowili wspomniani już chłopcy z Jodkiszek. Byli to synowie osadników wojskowych, którzy po Pierwszej Wojnie otrzymali tam nadziały ziemi i pobudowali gospodarstwa. Chłopcy, moi rówieśnicy lub o parę lat starsi, wyróżniali się z wiejskiego otoczenia językiem [mówili po-prawną polszczyzną], wykształceniem sięgającym do klas szkoły średniej i patriotycznym zaangażowaniem. Stosunkowo wcześniej postarali się o broń i imponowali nam swym wyposażeniem bojowym. Przez dłuższy czas byli też moimi najbliższymi współtowarzyszami. Nosili pseudonimy: Walter, Piętka, Czarny, Sokół, ten ostatni miał siostrę Dzidę, współdziałającą z nami aktywnie w roli łączniczki. Ja nazywałem się Puhacz,

oczywiście przez «h», zgodnie z fonetyką i z dawną pisownią tego wyrazu, a nie przez «ch», jak dziwacznie ustala nowa ortografia, bo nie była to przecież nazwa urobiona od puchu. Tak się podpisywałem na grypsach i tak będę pisał nadal, zgodnie z zasadą używania starych nazwisk w tradycyjnej postaci dla zachowania ich tożsamości. Ja się utożsamiałem i utożsamiam z «Puhaczem», nie z puchaczem, i tego już zmienić nie można.

Pseudonimy, w skrócie określane jako pseuda, były w użyciu jak Polska długa i szeroka, stanowiąc swoistą warstwę imiennictwa noszącego piętno patriotycznej aktywności. Oczywiście chodziło o konspirację, kamuflaż, ale obok swej funkcji zasadniczej pseuda spełniały też inną, acz nie zawsze uświadamianą. Był to rodzaj samookreślenia, jakby nowy chrzest dający możliwość wybrania sobie imienia zgodnie z wła-snym usposobieniem i upodobaniami, wedle tego, kim się było, kim być chciało i za kogo się chciało uchodzić. Na pewno nie wszystkie pseuda miały takie podteksty, część z nich była przynajmniej na pozór pozbawiona wszelkich aluzji, jak chociażby nagie imiona lub pospolicie brzmiące nazwiska, w każdym jednak razie ten masowy materiał pseudoonomastyczny może być przedmiotem zainteresowania psycho-logów, czasem też psychoanalityków, socjologów, historyków oświaty i kultury, jako ukryty test świadomości. Końcowym świadectwem wtórnych funkcji pseudonimów są liczne dziś nekrologi, w których te samo- określenia po raz ostatni są przywoływane, by świadczyć o osobie zmar-łego i o jego postawie w latach wojny.

W polu mego widzenia dość licznie była reprezentowana fauna, zwłaszcza drapieżna. Moi kuzynowie, Jerzy i Mirosław, nazwali się Kobuz i Żbik. Znałem też dwóch Wilków, Rysia, Borsuka, Bobra, Nie-dźwiedzia i Dzika, paru Sokołów, Kondora i jeszcze inne ptaki. Również ja należałem do tej grupy, chociaż w moich intencjach Puhacz to nie miał być drapieżca, ale ptak nocny i leśny, zgodnie ze wspomnianym już wrażeniem z pierwszych wypraw. Byli też bohaterowie Trylogii: Jarema, Kmicic, Hajduzek [to oczywiście dziewczyna], byli wyraziciele uczuć patriotycznych: Zemsta, Mściciel, oraz cnót żołnierskich: Śmiały, Rączy - gdy jednak jeden z nowo przybyłych chłopaków chciał się nazwać Odważny, powiedziano mu, że to się jeszcze okaże, a na razie może być Ważny.

Te i inne podobne pseuda porównać można do znaków apotropeicz- nych na hełmach lub tarczach rycerskich, które miały odstraszać wroga i podnosić samopoczucie ich posiadaczy. Natomiast nieco odmienną funkcję miały spełniać pseudonimy herbowe, dobrze znane z tradycji legionowej, a także literackiej, pojawiające się i teraz, zwłaszcza wśród kadry oficerskiej: Prawdzie, Kotwicz, Korab. Był to rodzaj sygnetu, symbol tradycji i wyróżnik społeczny. W najbliższym mi otoczeniu ten typ pseudonimów prawie wcale się nie pojawiał: w środowisku w lwiej części chłopskim, przy współdziałaniu z chłopcami nie mającymi podobnych powiązań, na stanowisku nie oficerskim, lecz szeregowym noszenie pseudonimu-sygnetu byłoby w moim odczuciu nietaktem; wolałem być Puhaczem niż Pobogiem, chociaż i taka myśl początkowo świtała mi w głowie. Tego rodzaju nietakt, chociaż wynikający raczej ze snobizmu inteligenckiego, popełnił Jurek Wróblewski, który wreszcie dołączył na krótki czas do naszego oddziału i wymyślił sobie pseudo Dzul jako nazwę jednostki energii [joule]. Nazwa ta oczywiście nie znalazła zrozumienia i od razu została sprowadzona przez kolegów do formy Żul, której znaczenie znacznie odbiegało od intencji autora pomysłu.

Po lipcu 1944 roku, gdy przeszliśmy do całkiem nowego etapu naszych działań, postanowiliśmy pozmienić pseudonimy, by utrudnić identyfikację z poprzednimi formacjami i osobami, dobrze rozpracowa-nymi przez sowieciarzy. Powstała więc okazja dla

powtórnej charakterystyki własnej osobowości. Licho przyjął wtedy pseudo Bruk, chyba nie bez nawiązania do jego dość radykalnych poglądów społecznych. Jeden z kolegów nadał sobie imię Kością Chojaruk, w którym wyczuwałem odgłos piosenki o Czubczyku, a w każdym razie chęć stylizacji na ludowego herosa. Ja wymyśliłem sobie nowe imię Rojst, stanowiące coś w rodzaju stroju regionalnego, po trosze romantyczne, przywołujące na pamięć «rojsty grząskie, groble wąskie» z poematu Wincentego Pola. Co prawda te i inne nowe pseudonimy na ogół się nie utrwały, bo w zespole dawnych kolegów trudno było nagle zmienić imię, więc i mnie nadal nazywano Puhaczem, ale do samookreślenia Rojst nawiązałem jeszcze po wojnie w pseudonimie Andrzej Porojść, pod którym pisywałem i publikowałem opowieści o tamtych czasach.

Na razie do tych zmian było jeszcze daleko. Dopiero formował się trzon organizacji wojskowej, która w założeniu miała odtwarzać przed-wojenną miejscową jednostkę, 77. pułk piechoty stacjonujący w Lidzie. Pułk miał dzielić się na bataliony - nasz, oznaczony numerem V, organizował Stanisław Truszkowski, pseudonim Sztremer. Co chciał wyrazić przez to imię? Czy urobił je z rosyjskiego wyrazu «stremifsja - dążyć, zmierzać» lub «stremitielnyj - gwałtowny, bystry», ale po co ten obcy źródłosłów? Był to człowiek raczej skryty, zadufany, zawodowy oficer artylerzysty. Po wojnie odkrył w sobie zdolności pisarskie i wydał mię-dzy innymi książkę Partyzanckie wspomnienia, w której obszernie przedstawił powstanie batalionu i jego losy aż do walki o Wilno w lipcu 1944 roku. Nie był przez nas lubiany, zarzucaliśmy mu pyszałkowatość, pozowanie na Napoleona, zbyt pochopne szafowanie życiem podkomendnych, a z drugiej strony powściągliwość czy wręcz tchórzostwo, chociaż może była to tylko rozważa i większy niż u młodych dystans wobec toczących się wypadków. W każdym razie nie był to «uwielbiany dowódca» ani też typ «partyzanta» jak Kryśia, dowódca sąsiadującego z nami II batalionu, który jesienią, gdy my dopiero organizowaliśmy się na placówkach, czyli w konspiracji, wyprowadził swój oddział w pole i odtąd już stale działał jawnie i zbrojnie, chociaż nie zawsze roztropnie.

W listopadzie 1943 roku trafiłem przecież i ja do oddziału, wprawdzie nietypowego, bo na kurs zorganizowany dla młodszych dowódców, których wciąż brakowało. Było nas tam około dwudziestu, ściągniętych z okolic Lidy, wytypowanych przez komendantów placówek na przyszłych dowódców drużyn. Razem ze mną znalazło się paru chłopców z Jodkiszek, także kilku innych, z którymi potem wypadło mi blisko współdziałać tak w czasie okupacji niemieckiej, jak i sowieckiej. Kursem kierował Licho, późniejszy dowódca II kompanii w batalionie Sztremera, noszącej kryptonim «Solcza». Już wtedy wytworzyła się szczególna więź, której ślad widnieje do dziś w korytarzu przy kościele Św. Antoniego, czyli Reformatów w Warszawie. Wśród wmurowanych tam tablic i tabliczek upamiętniających niezliczone ofiary i wydarzenia z lat wojny znajduje się jedna, ufundowana przez Licha-Szabunię, gdy mieszkał już w Stanach Zjednoczonych. Poświęcił ją uczestnikom tego kursu, bo chyba uważał - i nie bez racji - że powołał tam do życia kadrę partyzancką, która później najdłużej i najaktywniej broniła północno-wschodnich Kresów.

Kurs odbywał się na zachód od Lidy, na południe od Radunia, w okolicach Pelasy, na obszarze otoczonym przez bagienne ramiona rzeki Dzitwy i przylegającym do Puszczy Nackiej [część Puszczy Grodzień-skiej, czyli Ruskiej]. Był to teren zasiedlony przez zaścianki, których mieszkańcy odróżniali się od okolicznych chłopów czystą, nieco staro-świecką polszczyzną, a ich lojalność dawała pełną gwarancję bezpieczeństwa. Instruktorów

było kilku, wśród nich jeden przybyły z Warszawy, który wtajemniczał nas w arkana dywersji, wysadzania pociągów itp. Broni było już dosyć, ćwiczyliśmy strzelanie z różnych jej rodzajów, szybkie rozkładanie i składanie [co mi się później w osobliwy sposób przydało]; we dnie i w nocy uganialiśmy po polach i lesie. Padał już pierwszy śnieg, powietrze było ostre i pachnące.

Kurs trwał około miesiąca i zakończył się tragicznym wypadkiem. Już po powrocie na bliższe nam tereny szliśmy pewnej nocy w kilkunastu, dobrze uzbrojeni - ja miałem już automat - szykiem ubezpieczonym, zgodnie z wyuczonymi regułami. Szperacze natknęli się na jakąś grupę: «Stój! Hasło!» Jakiś krzyk, potem sypnęły się strzały. Ja też strzelałem do czegoś, co zaczerniało na polu, ale potem stwierdziłem, że był to na szczęście kamień. Dotąd pamiętam ostry zapach prochu [zapachy pamięta się najlepiej], a potem krzyk «Nie strzelać! Swoi!» - i ktoś leży na śniegu. Wyszarpałem przyszyty gdzieś bandaż, każdy z nas miał przy sobie taki «opatrunek indywidualny», potem bieглиśmy do pobliskiej chaty po konia, sanie i jakieś derki, i w milczeniu wieźliśmy chłopca do domu, bo to był jeden z tych z Jodkiszek, miał pseudo Koń- czar i szedł właśnie z kilku innymi na jakieś zadanie. Przybiegł felczer, sanitariuszka Dzida, ale na drugi dzień chłopak umarł. Nagle stało się wyraźnie widoczne, że to nie jest już tylko kurs - zabawa w wojnę. Wieczorem przyszliśmy do chaty, on leżał już w otwartej trumnie, w bluzie od munduru, lampa naftowa u sufitu lekko się chwiała i ruchomy cień powodował złudzenie, że on wolno, głęboko oddycha, ale Sęk powiedział do wpatrującej się matki: «Nie, proszę pani, to tylko cień». Potem ktoś wydał komendę: «Prezentuj broń», więc staliśmy chwilę na baczność z karabinami i automatami w łapach, ale na magię broni znów nałożyła się jej cecha elementarna, bo przecież to z którejś z tych strzelb chłopiec został zabity, Bogu dzięki, wiem, że nie z mojej.

Te strzały padły 17 grudnia, w parę dni potem wróciłem do domu, jakby wprost na Święta, ale w tym roku Boże Narodzenie już się nie układało. Przez dwa poprzednie lata staraliśmy się obchodzić je w miarę normalnie i rodzinnie, raz w Podweryszkach, raz w Rymszyszkach u wuja Kazimierza, były wtedy choinki i jakieś tam prezenty. Tym razem Święta jakby się oddaliły z pola widzenia. Oczywiście: opłatek, życzenia lepszych czasów, ale wszystko w cieniu tego, co już było i co będzie, bo stawało się niewątpliwe, że czas zbliża się do rozstrzygnięcia, w których każdy będzie miał jakiś swój udział, że narasta nowy etap dojrzwania. Najbliższy akt, o którym już wiedziałem, że nastąpi, miał się rozegrać w Nowy Rok i miał to być egzamin, czy raczej praca dyplomowa na zakończenie kursu - pierwsze autentyczne zadanie bojowe.

W Gojcieniszkach już od kilku miesięcy stacjonowała załoga litewska. Było ich kilkunastu, dość dobrze uzbrojonych, bo oprócz karabinów mieli kilka erkaemów, sporo granatów i amunicji. Łup był nie-

zwykle ponętny, ale zadanie dość trudne. Gojcieniszki to przecież za-meczek z XVII wieku, masywny prostokąt z czterema narożnymi ba-sztami, w którym w czasie Wojny Północnej skutecznie bronili się Szwedzi. Co prawda miał teraz poszerzone, niedawno przebite okna, ale i tak bez zaskoczenia trudno było myśleć o jego zdobyciu. Litwini byli skoszarowani na piętrze, dokąd prowadziły dwa wejścia. Szczegółowo obmyślany plan przewidywał, że podjedziemy saniami, w chłopskim przebraniu, pod ganek i pod wejście kuchenne, wdrzemy się z dwóch stron na górę i rozbroimy względnie pokonamy Litwinów, którzy w dzień noworoczny powinni mieć osłabioną czujność. I tak się stało, i byłby to ładny

wyczyn, jak go nieraz później opisywano, gdyby nie ponowna tragiczna pomyłka. Akcją dowodził Licho, na czele zaś grupy, która miała dostać się na piętro, stał Walter [Stanisław Kłóś]. Jeszcze rano, jakby w przeczuciu, nalegał, by nie robić akcji po ciemku. Teraz, gdy pierwszy wbiegł na górę, jeden z tych, którzy wbiegali drugimi schodami, w napięciu, myśląc że ma przed sobą Litwinów, dał serię z automatu i śmiertelnie ranił Waltera. «Swoi mnie zabili, i za co?» - powtarzał, gdy go znoszono do sani. Był to dowódca grupy jodkińskiej, prymus na naszym kursie. Chłopak, który go zabił, dostał jakiegoś szoku i załamał się nerwowo, znikł odtąd z mego pola widzenia. Tę przykrą sprawę przemilczano. Truszkowski w obszernym opisie napadu stwierdza wręcz, że Walter zginął z ręki dowódcy Litwinów, co jest kłamstwem. Jeden z uczestników akcji, który sprowadzał Waltera do sanek i przy którym on wkrótce umarł, w opublikowanych w 1988 roku wspomnieniach przemilcza tę sprawę, stwierdzając krótko, że «Walter został trafiony», co jest tylko półprawdą. Tak powstają wiaro- godne źródła historyczne. Wypada dodać, że w tychże wspomnieniach nie ma ani słowa o tym, że akcja była skierowana przeciw Litwinom, przeciwnik nie jest określony, a z terminu użytego w tytule: «Stütz-punkt Gojcieniszki» czytelnik powinien sądzić, że siedzieli tam Niemcy. Ponadto zameczek określony jest jako «bunkier», podobnie zresztą jak dwór modrzewiowy w Horodnie, zdobyty wcześniej na Niemcach przez oddział Krysi i przez niego barbarzyńsko spalony - a był to jeden z najpiękniejszych dworów kresowych.

O przebiegu napadu na Gojcieniszki i o okolicznościach śmierci Waltera dowiedziałem się następnego dnia z ust Licha, sam bowiem ze względów konspiracyjnych nie brałem udziału w bezpośrednim natarciu, ażeby w razie rozpoznania nie spowodować represji na rodzinie w Podweryszkach. Znajdowałem się na ubezpieczeniu, o paręset metrów od zamku. Słyszałem stamtąd strzały i wybuchy granatów, a potem zobaczyłem zieloną rakietę, która miała być znakiem na wycofywanie się w razie niepowodzenia, byłem więc przekonany, że akcja się nie udała. Okazało się jednak, że ktoś wystrzelił ją przez pomyłkę zamiast rakiety czerwonej, wprowadzając dodatkowe zamieszanie. Ostatecznie jednak cel został osiągnięty, broń zdobyta, Litwini się poddali, jeden z nich zginął, podobno dlatego, że w chwili wrzucenia granatu zabawiał się z dziewczyną i nie zdążył się schować. Inny Litwin zdołał uciec i widziałem go z daleka, jak pędził drogą w stronę Bieniakoń; gdy dotarł tam na posterunek, nastąpiła panika i ostre pogotowie. Tym samym kończył się okres względnego spokoju i wzajemnej tolerancji. Na melinie w zagrodzie Hołowni koło Jodkiszek, gdzie spotkaliśmy się po akcji i gdzie spędzałem następną noc, panowały mieszane uczucia radości i przygnębienia. Słyszałem przez sen ogłuszający łomot, jakby wybuchy, ale to nie były granaty, tylko zbijano właśnie z desek trumnę dla Waltera. Został pochowany, na pół po kryjomu, na niedalekich wzgórzach koło Towzginian - to było takie dziwne gniazdo pagórków wyrastających z płaszczyzny - a dopiero później, latem, gdy teren był przez nas opanowany, uroczyście przeniesiono go na cmentarz koło Werenowa.

Zaczynał się rok 1944, który - byliśmy wszyscy tego pewni - miał być inny niż okres dotychczasowy. Mieliśmy odtąd być, i już byliśmy, wciągnięci bezpośrednio w bieg zdarzeń, mieliśmy te zdarzenia kształtować. Ja skończyłem osiemnaście lat, byłem kapralem i wreszcie zdążyłem na wojnę.

### «Epizod na Rybniku»

Napad na Gojcieniszki potwierdził, a zarazem rozżarzył wrogość polsko-litewską, tłącą się od początku wojny i mającą już, zwłaszcza w Wilnie, pewien «dorobek» w postaci ofiar ze strony polskiej, nie mówiąc o wydatnym udziale Litwinów w masowym mordowaniu Żydów, od czego utarło się powiedzenie, że armia polska ma formację strzelców podhalańskich, niemiecka tyrolskich, a litewska strzelców ponarskich, jako że egzekucje te odbywały się na wzgórzach Ponary pod Wilnem. W okolicach Podweryszek był to konflikt nieco świeższej daty, gdyż za czasów sowieckich teren ten był przyłączony do «Republiki Białoruskiej» i Litwini się tu nie pojawiali, a dopiero Niemcy, widocznie chcąc jak najpełniej wykorzystać swego sojusznika, pozwolili na zainstalowanie w Bieniakoniach posterunku policji litewskiej, potem też litewskich oddziałów wojskowych w Podweryszkach, Gojcieniszkach i w Bolcieniskach. Formacje litewskie były więc niejako przedłużeniem i namiastką władzy niemieckiej, także i tu aktywnej w wyłapywaniu i eksterminacji Żydów. Między innymi w Bieniakoniach zastrzelili szewca-przechrztę, który sądził, że tym aktem wyznaniowym zapewni sobie bezpieczeństwo i życie. Chętnie też chodzili po wsiach wymuszając różne świadczenia i łapówki, przede wszystkim w postaci samogonu i mięsa. Pilnowali dróg i ściągali, co się dało, od przejezdnych, których zatrzymywali sakramentalnym pytaniem: kur vażiuoja?, ogólnie powtarzanym w wersji «kurwa Zosia». Dlatego wysyłane w tym czasie z Podweryszek do Wilna wozy lub sanie z zaopatrzeniem dla pozostającej tam części rodziny były zwykle ładowane jako fury drewna opałowego, a dopiero na dnie, w schowkach jechało mięso, mąka czy miód.

Oddział stacjonujący w Podweryszkach nie był szczególnie dokuczliwy, tyle że krążący stale koło domu wartownik utrudniał swobodne poruszanie się, zwłaszcza nocą. Kiedyś jednak doszło do awantury, gdy jeden z żołnierzy podczas spokojnej rozmowy z moim bratem stryjecznym Jerzym poczuł się straszliwie urażony słowami, że w obecnych czasach zdarza się chodzić w różnych mundurach, był bowiem ubrany w mundur niemiecki. Pognął po karabin, zaczął biegać wokół domu z wyzwiskami, pochowaliśmy się w strachu, że zacznie do nas strzelać. Widocznie zostało nieumyślnie naruszone poczucie jego godności, ale nazajutrz, gdy minęła emocja, a może też wyparował jakiś łyk samogonu, Litwin przyszedł do Stryja przepaszając za incydent i zachowywał się jak chłop wobec dziedzica. Przełamywały się w nim jakieś nawyki, kompleksy i urazy, nieobce zapewne też wielu jego rodakom, którzy jednak przeważnie syntetyzowali i upraszczali te uczucia w szowinizmie skierowanym przede wszystkim przeciw Polakom.

Litewscy policjanci siedzieli też w Dziewieniszkach, miasteczku oddalonym około dwudziestu kilometrów na wschód od Podweryszek. Antypolską postawą odznaczał się tam zwłaszcza policjant nazwiskiem Jajcaras, z którego podśmiewaliśmy się, że nie może być bardzo groźny, skoro nie ma dwóch jajec, ale w rzeczywistości był to człowiek szkodliwy i niebezpieczny, powstał więc pomysł jego zlikwidowania. Przygotowywałem ten zamach i dlatego pojechałem do Dziewieniszek, żeby rozpoznać dokładnie sytuację, teren, ludzi, zabezpieczenia itd. Droga szła dłuższy czas lasem przez tzw. Szwedzką Groblę, może związaną z wydarzeniami z początku XVIII wieku, kiedy to w Gojcieniszkach bronili się Szwedzi. Teraz grobla ta miała złą sławę, bo niedawno bandyci zamordowali tu miłego staruszka, który pracował jako kontroler jakości mleka i objeżdżał jednokonką okoliczne majątki. Ja jechałem saniami, oczywiście też jednokonnymi, i to nie dworskimi, z ławką do siedzenia, lecz tzw. rozwałkami, w których siedziało się, a raczej pólleżało na słomie



wypełniającej rodzaj trójkątnego kosza na płozach. Miały one tę zaletę, że nie były wywrotne, a pod słomą można było wieźć ukryte różne rzeczy. Kiedyś mając tam dwa automaty przejechaliśmy razem z Mieczką środkiem Bieniakoń koło litewskich policjantów, zdecydowani, iż w razie pytania «kur važiuoja?» i próby zajrzenia do sań będziemy strzelać, ale obeszło się bez tego. Teraz do Dziewieniszek jechałem bez broni, jako że tylko na wywiad, i było mi niezręcznie tak na Szwedzkiej Grobli jak i potem w miasteczku. Nocowałem w domu wskazanym przez konspirację, bo oczywiście rzecz działa się w porozumieniu z miejscową placówką. Zebrałem potrzebne informacje, zamach jednak nie doszedł do skutku, bo Jajcaras był czujny i dobrze zabezpieczony. Plan akcji został wprawdzie przygotowany, ale nim powstały możliwości jego urzeczywistnienia, posterunek litewski wycofał się z Dziewieniszek, a potem przez pewien czas stacjonował tam nawet nasz sztab z generałem Wilkiem in persona.

Władzom konspiracyjnym wierzyłem na ogół w pełni, ale niektóre ich poczynania budziły jeśli nie wątpliwości, to niesmak. Też zimy wypadło mi jechać saniami z jakimś zwierzchnikiem - nie wiem, skąd przybył ani jakiej był rangi - ażeby przeprowadzić w którejś wsi likwidację miejscowej placówki i jej rozbrojenie. Nie znałem powodu tej decyzji, może chłopcy nadużyli broni, może zdarzył się jakiś rabunek albo oddziaływały jakieś względy osobiste, w każdym jednak razie sposób wykonania tego zadania był dla mnie obrzydliwy. Po przyjeździe do wsi szef ten zarządził na następny dzień zbiórkę wszystkich członków placówki z bronią, mówiąc, że pójdą na akcję. Był to podstęp, być może niezbędny, bez którego nie udałooby się odebrać im broni, widząc jednak radość chłopców z szykującej się akcji, do czego wszyscy tęskniliśmy, i wiedząc dobrze, jak wielką wartość dla każdego z nich ma z trudem zdobyta broń, czułem się zażenowany czy wręcz upokorzony sposobem załatwiania tej sprawy. Szczęśliwie mogłem odjechać nie czekając następnego dnia, więc nie wiem, jaki przebieg miała w końcu ta operacja.

Przed pojawieniem się w Bieniakoniach policji litewskiej Niemcy spróbowali utworzyć tam oddział milicji złożonej z ludzi miejscowych, a więc Polaków, sądząc widocznie, że podobnie jak milicja białoruska, którą zorganizowali na terenach położonych dalej na wschód i na południe, będzie to pewna podpora dla władz okupacyjnych. Stworzono więc posterunek, chętnym do służby dano karabiny z bagnetami, ale krótko to trwało, bo jeden z tych milicjantów właśnie za pomocą bagnetu włamał się do jakiegoś sklepu, został wykryty i złapany, po czym Niemcy przykładowo rozstrzelali go na rynku w Bieniakoniach. Wypadek ten zakończył istnienie formacji i wtedy Niemcy sprowadzili do Bieniakoń policję litewską, znacznie pewniejszą w roli posłusznego sprzymierzeńca. Tym samym cała okolica, w tym Podweryszki, Gojcie- niszki i Bolcieniki, znalazła się po raz pierwszy w zasięgu władzy Litwi- nów pilnie współdziałających z Niemcami. Egzekucja polskiego milicjanta, chociaż była związana ze sprawą kryminalną, rzuciła na jakiś czas cień na tę okolicę jako wyraz rozpoczynającego się terroru. Nieco później Litwini zatrzymali i zastrzelili jednego z naszych żołnierzy, który w ubraniu chłopskim jechał saniami, oraz aresztowali jego współtowarzysza, co spowodowało cały łańcuch działań zakończony naszym napadem na Bieniakonie. Z Wilna dochodziły jeszcze gorsze wieści o rozstrzelaniu polskich zakładników, wśród nich kolegi mego Ojca, adwokata Engla, potem o masakrze pod Święcianami, gdzie za zabójstwo jakichś dwóch Niemców, i to w celach rabunkowych,

rozstrzelano kilkuset, a mówiono nawet, że parę tysięcy Polaków, w czym gorliwie współuczestniczyli Litwini.

W początkowym okresie swych rządów Niemcy dopuścili też do powstania czysto polskiego urzędu gminnego w Bieniakoniach. Wystawiał on nawet dowody osobiste wyłącznie w języku polskim, bo też żaden inny język nie był w powszechnym użyciu. «Burmistrzem» Bieniakoń został wtedy Henryk Bień, syn gospodarza sąsiadującego z Podweryszkami, który był też pszczelarzem i przed wojną przychodził obsługiwać i podbierać ule podweryskie. Nie było ich wiele, dość przecież, by miód był zawsze na stole. Miodobranie to była wielka radość. Bień w czarnej siatce na głowie i z podkurzaczem w rękę wyjmował plastry, na dworze stała centryfuga, którą jako chłopak czasami z zapalem kręciłem. Miód pachniał i wolno ściekał do podstawionej miski. Część plastrów zostawiano do bezpośredniego wysmoktywania miodu, i to był przysmak. Przysmakami były też ogórki z miodem, częste danie podwieczorkowe, po którym pozostawały wydrażone jak szklane czki łupiny. Bień-pszczelarz ożenił się, chyba jeszcze przed Pierwszą Wojną, z dawną służącą podweryską i para ta zawsze mi się kojarzyła z Piastem i Rzepichą, może dlatego, że ona była korpulentna, on jak i Piast na obrazku miał piękne wąsy, zajęcie zaś pszczelarza wydawało mi się równie godne jak zawód kołodzieja.

Obecnie syn tego sąsiada i można rzec, przyjaciela domu - Heniek Bień, który pojawiał się czasem w Podweryszkach jako wyrostek, został «burmistrzem» i jak mógł, dopomagał potrzebującym stosownych dokumentów i zaświadczeń. Szczęśliwie nie wpadł, a w kilka lat po wojnie odwiedził wraz z matką moją Matkę i Babkę we Wrocławiu. Był wtedy dyrektorem jakiejś instytucji na Śląsku, przyjechał własnym sa-mochodem, ale stara Bieniowa-Rzepicha mimo serdecznego zapraszania wołała jak dawniej zatrzymać się w kuchni zamiast razem z synem wejść do pokoju - zresztą w tym maleńkim mieszkanku było to rozróżnienie zgoła symboliczne - i długo o czymś rozmawiała z moją Babką. Były to już dwie staruszki, obie na obcej im ziemi, ale w istocie to chyba młoda pani i młoda jej służąca po raz ostatni rozmawiały o im tylko wia-domych, bardzo dawnych sprawach.

Może mówiły o tym, jak to pół wieku wcześniej [dopiero dziś wiem, że wspomnienia sprzed półwiecza nie są wcale tak dawne], w 1900 roku moja Babka, wtedy dwudziestoletnia Antosia Bernowiczówna, przyjechała do Podweryszek z rodzinnych Zubek pod Kłeckiem, sprowadzona przez siostrę mego Dziada pod pretekstem nauki pszczelarstwa. Może i stary, ale wtedy jeszcze młody Bień już wówczas opatrywał pszczoły. Pasięka podweryską musiała być dawna, bo ja sam jeszcze pamiętam stojącą obok zwykłych uli wielką kłodę wydrażoną w pniu, chyba jodłowym - już nie zamieszkaną, ale świadczącą o tradycji hodowli. Zresztą sam pomysł sprowadzenia panny «na naukę pszczelarstwa» nie zaistniałby sam z siebie. W Zubkach też były pszczoły, ale przede wszystkim ogromny, liczący bez mała sto hektarów sad owocowy, był park, w którym mój Pradziad ustawił tak zwanego «bałwana», to jest «babę ka-mienną» przywiezioną gdzieś spod Kaukazu, podobną do tych, które stoją dziś w parku w Nieborowie. Nie wiem, czy ta «baba» z Zubek była znana archeologom, dziś pewnie przepadła, bo kto by się tam zajmował jakimiś bałwanami. W Zubkach była też duża biblioteka zniszczona, jak już wspomniałem, w 1920 roku, do ostatniej wojny ocalał natomiast rycerski hełm z przyłbicą, trochę przyrdzewiały, który jako chłopak z upodobaniem wkładałem na głowę. O kilka kilometrów od Zubek leżała Hurynowszczyzna, majątek Rymszów, stąd sąsiedztwo, znajomość, stąd i małżeństwo Dziadków. Mój Dziad

znał od dawna swego przyszłego teścia, różnica wieku była niezbyt duża, byli więc po imieniu, ale od chwili ślubu Dziad zaczął mówić do swego przyjaciela «proszę ojca», bo było nie do pomyślenia zachowanie uprzedniej formy.

Zubki, Hurynowszczyzna, a także sąsiedni Lecieszyn, skąd pochodziła moja druga babka, Helena z Czarnockich Kiersnowska, oraz kilka dalszych dworów w pobliżu Kiecka, na obszarach graniczących już z Polesiem, a zaliczanych dawniej do Ziemi Słuckiej - miały własną sagę rodzinną w postaci Pamiętników Ewy z Wendorffów Felińskiej, która opisywała te okolice w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku. I aż do tych czasów sięgały tradycje rodzinne, gdy moja babka Antonina wspominała swoją babkę, Antoninę z Wendorffów Zubkową, po której nosiła imię, a która była bliską kuzynką Ewy Felińskiej. Miniatura jej męża, mego prapradziada Jana Zubki ocalała i jest dzisiaj u mnie, podobnie jak resztki sreber wyprawnych mej Babki, które przywiozła ze sobą do Podweryszek. «Nauka pszczelarstwa» została bowiem zakończona pomyślnie i szczęśliwie, Podweryszki zyskały na długie lata swą Panią i Ducha Domu, dla której nawet złośliwe pióro sąsiadki z Bolcienik, Janiny z Puttkamerów Żółtowskiej, opisującej w swym pamiętniku lata sprzed Pierwszej Wojny, nie potrafiło znaleźć żadnego cierpkiego słowa. Tych «długich lat» było zresztą tylko czterdzieści kilka, podczas których Babka musiała czterokrotnie dom swój opuszczać, po raz ostatni, już na stałe, w 1944 roku, by w końcu znaleźć się we Wrocławiu - i tam w dziesięć lat po spotkaniu z Bieniową złożyliśmy ją ze czią na miejskim cmentarzu. A przecież czekało na nią należne jej miejsce na cmentarzu koło Rymyszyszek, obok mojego Dziada. Drugi mój Dziad spoczywa w Nowogródku, obaj zdążyli więc pozostać u siebie, ale druga Babka również leży na Śląsku, w Brzegu, a oboje rodzice aż w Londynie. Nie tak wyobrażaliśmy sobie związki z szerokim światem. Na razie związki te realizowały się jeszcze inaczej. W amalgamacie narodów ścierających się ze sobą na naszych Kresach obok głównych uczestników: Polaków, Niemców, Rosjan, Litwinów, Białorusinów i Żydów pojawiały się niekiedy nacje bardziej na tym obszarze egzotyczne. Wspomniałem już o ciągnących tamtędy Hiszpanach, teraz, na przełomie roku 1943 i 1944 pojawili się też Francuzi. Pracowali w Wielkich Solecznikach jako robotnicy wcieleni do Organizacji Todta. Udało się jakoś nawiązać z nimi kontakt i przygotować ucieczkę kilkuosobowej grupy z perspektywą ukrycia, a następnie włączenia do naszych oddziałów. Punktem przerzutowym, z którego nasi ludzie, między innymi ja, mieli odebrać Francuzów, był tak zwany Młynek, rybacki domek przy wielkich stawach należących do Świeńca, majątku Ryszarda Konarzewskiego o kilka kilometrów od Bieniakoń, już na skraju Puszczy Rudnickiej. W domku tym mieszkał, a lepiej rzec - miał swoją siedzibę wspomniany już Witold Kościałkowski, na którego ręce składałem w czerwcu przysięgę. Był on nadal jednym z organizatorów i ogniw naszej konspiracji, a zarazem pozostawał w niezłych stosunkach z partyzantami sowieckimi, którzy bardzo często wychodząc z puszczy zaglądali na ów Młynek i jakoś tolerowali osobę Kościałkowskiego, widocznie nie budząc ich podejrzeń. Była to w każdym razie melina nad melinami, zagubiona wśród lasów i stawów, do której chyba nigdy nie dotarli ani Niemcy, ani Litwini, i gdzie można było stosunkowo bezpiecznie urządzać różne schadzki. Zdarzenie z Francuzami opisałem w kilka lat później w opowiadaniu, którym posłużę się i teraz, bo lepiej niż ułomna pamięć oddaje ono nie tylko przebieg i szczegóły wydarzenia, ale też jego klimat i - co ważniejsze - klimat wielu ówczesnych dni i nocy, zwłaszcza nocy, osłaniających intymne życie tego kraju.

Opowiadanie to nazwałem «Epizod na Rybniku». Rybnik - to Młynek, Michał - to Kościałkowski, Tomasz - to ja, Antek - to wspomniany już chłopak, który jakiś czas przebywał w Podweryszkach, pan Za- liwski - to bodaj Bohdziewicz z Narkuszek, ale nie jestem tego pewien. W ciągu przeszło czterdziestu lat, jakie upłynęły od czasu napisania tego wspomnienia, zaginęły gdzieś pierwsze trzy strony maszynopisu, na których, o ile dziś pamiętam, przedstawiałem ów Młynek, ludzi biorących udział w akcji i początkowy jej przebieg. Zachowany tekst rozpoczyna się sceną, gdy wraz z Antkiem idę na Młynek, by odebrać stamtąd Francuzów. A było to tak: Antek brał wszystko po amatorsku, po cowboysku. Prawie przez rok był na froncie i uciekł, to co mu tam teraz byle przechadzka wieczorna. Szara-biała, on jeszcze kiedyś pokaże, co umie! To-masz mówi mniej, ale za to szerzej otwiera oczy. Widzi z dwóch stron grobli stawy, spuszczone teraz, niczym ciemne jamy pu-stych oczodołów. Na dnie leży wiele czarnych karczcy. Rozcza-pierzają ku górze korzenie, palce kościstych rąk z ostrymi pazurami. Gdzieniedzie białe smugi śniegu, tylko tyle. Taka późna zima tego roku. Przecież to już drugi dzień Bożego Na-rodzenia. Drugi dzień Bożego Narodzenia. Na umówionym miejscu oczekuje ich siedmiu Francuzów.

Cyt, France! Cyt, France!

Polska, Polska! - odpowiadają jeden przez drugiego i hurmem zaczynają gadać. Ale już Antek zgniewał się.

Milczeć, psia krew, szara-biała! - szturcha ich delikatnie w ple- cy.

Silence - szepce Tomasz - silencel

Idą pomiędzy sośniakami, a potem groblą ponad stawem, kra-jem ciemnym, dziwnym, po grudzie twardej jak skostniała sko-rupa, krajem jedynym, niepodobnym do żadnego innego na świecie.

Sześciu było z Paryża, jeden marsylczyk. Złapani we Francji, wcieleni do Organizacji Todta, po dwóch miesiącach byli już w otoczeniu polskiego podziemia, na placówce Michała, w śro-dowisku odmiennym od wszystkich dotychczas przez nich na-potkanych. Nic też dziwnego, że ten i ów Zachodnioeuropej- czyk był trochę oszołomiony atmosferą, w jakiej się znalazł, że już po paru godzinach zaczął w duszy tęsknić do baraków nie-mieckich, do unormowanego trybu życia, po prostu bał się zwa-riowanej meliny, zwariowanej nocy i zwariowanych ludzi. Większość jednak czuła się dobrze. Okazywali niemal natrętnie swoją przyjaźń, widać było, że żywią szczerą wdzięczność za podanie im ręki w niedoli. Opowiadali na przemian, jak wczoraj byli świadkami zastrzelenia robotnika polskiego, jakie to na nich zrobiło wrażenie. «W porządku - myśli Antek - o Niemcach nie trzeba już ich uczyć. Ciekawym jednak, co oni wiedzą o 'kłausi- kach'» - i do spółki z Tomaszem zaczynają wyliczać wszelkie niegodziwości litewskie: szykany, obozy, mordy, podstępność, chamstwo, kolaboracjonizm. Mówią o zacieklej nienawiści Litwinów do Polski i Polaków.

Oni chcą nas stąd wyrugować.

Oni, oui, oui - potakują zgodnie - oui, oui... Przywódcą gości jest caporal Pierre. Lat trzydziestu kilku, szczupły, bystry, wszystkiego ciekawy. Wciąż się dopytuje, kiedy zostaną dostawieni do oddziałów. Chcieliby możliwie najprędzej. Michał patrzy na nich okiem gospodarza taksującego swą trzodę.

Was pięciu pójdzie dziś jeszcze au détachements - oświadczą - a tych dwóch, najmłodszych, weźmiemy na melinę.

Oui, oui - zgadza się kapral - tak będzie dobrze.

Obaj zdyskwalifikowani młodzieńcy siedzą w kącie wcale się nie odzywając. Jeden, czarny, drobny, rzuca bystrze małymi oczkami po otoczeniu, obserwuje każdy szczegół w przyciemnionej izbie. Drugi, jasny blondyn o różowej cerze i odstających uszach, patrzy baranym wzrokiem, sądząc widocznie, że trafił do jakiegoś nieprawdopodobnego zdarzenia.

Skończył dziś właśnie siedemnaście lat - mówi kapral wskazując na kłapoucha.

No, życzenia, życzenia, meilleurs souhaits - chłopcy cisną się do solenizanta. - Żebyś następne urodziny spędzał już u mamy. Compris, maman, compris?

A tymczasem pan Zaliwski wyciąga już pełną butelkę.

Na pomyślność obu ojczyzn, za prędki koniec wojny. Vive la France!

Niech żyje! Niech żyje!

Dziwna to jest melina i dziwne schronisko. Co chwila któryś z chłopców, pan Zaliwski albo rybak Balcia wychodzi przed dom, słucha nocy, patrzy, czy pies nie zaczyna się niepokoić. Od stawów ciągnie chłodny wiatr, sośniaki szeleszczą nieprzyjemnie. W chutorze u starej Radziunowej coś się widocznie dzieje, bo pies szczekał krótko i gwałtownie, a potem urwał nagle, jakby go gdzieś zamknięto. Wdowa, mieszkająca na uboczu, była już siedemnaście razy grabiona, teraz widocznie jest ten osiemnasty. Trudno się domyślić, czego jeszcze można u niej szukać. Ani świni już nie ma, ani krowy, miód z uli z plastrami wydarty, naczynia, narzędzia, ubranie - wszystkiego została dokładnie pozbawiona. Dziwna jest ta predylekcja band do niektórych domostw. Może wchodzi tu w grę jakieś osobiste animozje, przecież znaczna część rabusiów rekrutuje się z elementu miejscowego, z sąsiadów albo i krewnych swych ofiar. Zebrały się tam wszystkie męty, nie mające gdzie indziej przytułku. Uciekinierzy, dezercerzy, zawodowi bandyci, kombinatorzy wszelkich narodowości: Polacy, Rosjanie, Litwini, Niemcy, Ukraińcy. Siedzą w puszczy jak w bezpiecznej fortecy, powiewają chorągiewkami przeróżnych ideologii, a w praktyce grabią, grabią, grabią. Mieszkańcy wioski przyleśnych, jeśli nie chcą skazać się na ruinę lub śmierć, muszą z nimi współpracować. Nie wychodzą zresztą na tym źle. Pośredniczą w handlu zdobyczą, jeżdżą do miast czy miasteczek i ciągną profit z ożywionego ruchu. Puszcza wszystko to kryje swoim majestatem. Obojętnie szumi ponad pomordowanymi przechodniami, ponad zgliszczami spalonych chat, obojętnie patrzy na postrzelany krzyż na polanie, na którym można jeszcze odczytać datę: 1863. Jest wyższa ponad to wszystko i wieczna, a może zresztą solidaryzuje się ze swymi mieszkańcami. Etyka lasu jest nieodgadniona.

Caporal Pierre patrzył z podziwem na mapę trzymaną przez Michała.

Bois? - pytał pokazując na zieloną plamę - Bois?

Ładne mi bois - śmiał się Michał. - Cały wasz Paryż schowałby się tam z głową i jeszcze zostałyby dość miejsca. - Francuz nie dowierzał. Może dopiero później, gdy sam chodził z karabinem po lasach, przyznać musiał, że w tych słowach nie było wiele przesady.

Na melinie zaczynało być tłoczno. Schodzili się chłopcy, miejscowi czy z placówek, przynosząc wiadomości albo czekając po-leceń. W kożuchach, sękaci automatami, ciekawie patrzeli na gości. Wydawało się, że chcieli narzucić im myśl: «Widzicie, ilu nas jest, widzicie, jaką broń mamy?» Chcieli odsłonić przyby-szom skrawek nocy polskiej, żywej, wypełnionej ciągłym ruchem, nieprzerwaną walką o życie i śmierć, niby wewnątrz afrykańskiej dżungli. O świcie wszystko zamrze - nic w nocy się nie działo, nieprawda, spaliliśmy wszyscy. Sen, złudzenie, fata-morgana!

W chaosie nocnym cudzoziemcy nawet nie próbowali się zo-rientować. Wiedzieli, że są che z les Polonais i to im wystarczyło. Wszyscy inni byli les ennemis, byli na równi wrogami Polski jak Francji. Caporal Pierre czuje się już jak u siebie w domu. Ogląda broń, waży w rękę granaty, cieszy się. Michał gdzieś zniknął, widocznie przygotowuje odmarsz. Pan Zaliwski spełnia funkcje gospodarza. Jest dumny, że może w ten sposób wystąpić wobec Francuzów. Włożył ręce w kieszenie, gada dużo, tłumaczy, jak umie. To nic, że prędzej czy później zdekonspiruje się i «wpadnie». Zaliwski ma gest i sui generis rozmach zaściankowego szlachcica. Dom jego, spiżarnia, stajnia, wszystko jest otwarte, i to otwarte całym sercem. Niech się stanie, co ma się stać, ale Zaliwski nie nawali. Na melinie panuje czerwony półmrok. Jedyłą lampę zabrał Michał gdzieś do drugiej izby. Z otwartych drzwiczek pieca blask pada na podłogę, na sprzęty, układa na ścianach cienie ogromne, sylwety czarne, monstrualne karykatury. Niesamo-wite postacie suną po belkach od okna ku drzwiom, wzrastają w kilka sekund od podłogi po sufit i nagle ześlizgują się w dół, nikią gdzieś pod progiem czy za piecem. Czerwony blask znów bez przeszkód szamoce się na ścianach. Czasem z paleniska wypadnie żarzący się węgielek, zapachnie, zaszeleści, potem skrzypnie rozduşzony obcasem i zgaśnie na glinianej polepie. Senność zaczyna ogarniać wszystkich, nawet gadatliwych gości. Dwaj młodzieńcy galijscy, zaszyci w kąć, śpią już od dłuższej chwili. Ten i ów z miejscowych chłopców też zdrzemnął się na ławie. A tymczasem pan Zaliwski, spojrzawszy kilkakrotnie na zegarek, zniknął, by wrócić zaraz z wielkim pudłem pod pachą. Postawił je na stole pod oknem, majstrował, łączył druty. Po chwili skała zapaliła się zielonkawym światłem. Cały świat czekał na skinienie fosforyzującej wskazówki. Stłumionym gło-sem śpiewał, grał gdzieś niby spod ziemi, mówił niezrozumiałymi językami.

Wariacie, co robisz! - zaczął Michał stojąc na progu. - Czy wiesz, że byli przed godziną u Radziunowej, a teraz poszli do Pieciula? Wracając mogą tu zajrzeć, a jeśli znajdą, to...

Ale pan Zaliwski machnął ręką, nie pozwalając mu dokończyć.

Cii... cicho... Nie przeszkadzaj szukać. Przecież rozumiesz...

oczyma pokazał na zapatrzonych w niego gości. I Michał zro-zumiał doskonale. Na palcach podszedł do aparatu i razem już wędrowali po oświetlonych nazwach miast, po krajach leżących gdzieś poza lasem, poza liniami wszystkich kordonów i frontów, może poza granicą wszelkiej rzeczywistości. Nagle stanęli. W głośniku bił sygnał głuchymi, tępymi uderzeniami: buch, buch, buch, buch! Buch, buch, buch! Przekręcili gałki aż do końca. Pełny, wyraźny głos mówił czystym jak szkło akcentem: «Ici Londres. Nous allons vous donner lecture de nôtre cinquième édition en langue française...»

Ścisł trochę - szepnął Michał. Zaliwski potrząsnął głową. Mi-chał wyszedł na dwór. Twarze Francuzów były bardzo, bardzo skupione.

Nad ranem wszyscy się rozjechali. Pięciu gości poprowadzili chłopcy na dalsze punkty kontaktowe: trafili potem stamtąd do oddziału, tworzyli własną sekcję z komendą francuską. Bili się dobrze, choć o konspiracji pojęcia nie mieli. Lepsi żołnierze niż partyzanci, zawsze dobrzy koledzy, towarzysze broni, camara-des. Po dwóch miesiącach poległ caporal Pierre. Bronił polskich rannych w czasie niemiecko-litewskiej obławy - i został. Capo-ral Pierre.

Dwóch najmłodszych odstawił na meliny. Przyjęli ich go-spodarze pół za parobków, pół za rezydentów. Na trzeci dzień czarny i ruchliwy znikł. Odnalazł się bardzo prędko na poste-runku żandarmerii, «sypiąc» w miarę swych możliwości. Nie-wiele szkody przyniósł,

bo szczerze jego chęci rozbiły się o bierny opór samego terenu. Tych nazw szeleszczących, puszystych, podobnych do szmeru puszczy albo tajemniczych, wilgotnych, wtopionych w półmrok rojstów czy też słonecznych jak cisza je-siennych wrzosowisk, nazw chyba jeszcze przez dawnych bogów nadanych, nie wymówi ani nie spamięta żaden cudzoziemiec. Na próżno też Niemcy szukali na mapie dziwacznych no-wotworów. Le genie français przegrał w starciu z milczącym pogardliwie krajem. Ostatni z Francuzów, przygłupek, siedział czas jakiś spokojnie na wyznaczonej mu «kolonii». Potem... to długa i niedocieczona historia.

Na Rybniku życie płynęło normalnie, intensywniejsze w nocy niż we dnie. Po Nowym Roku Tomasz dołączył do oddziału; nie mógł wytrzymać dłużej. Na jego miejsce przyszło zaraz dwóch innych. Ubył też czarny pokurcz z budy, zastrzelony przez bandytów, ponieważ za wcześniej zdradzał ich zbliżanie się. Stawy wybielały od śniegu. Pieciul cieszył się ze śladów lisich, w zaroślach zakładał pętle z kręconego drutu, a puszyste skórki po mistrzowsku wyprawiał. Pod błękitnym niebem puszcza stała jasna, kryształowa od szronu; w nocy, przy mroźnych gwiazdach dobierała odcienia czarnego jak stare srebro z zastawy stołowej. Prowadziły do niej w głąb ścieżki przez sanie i kopyta końskie przetarte, ślady jakiegokolwiek pozostałe po nocy. Znikały w lesie, wciągały za sobą, kpiły ze wszystkich hipotez. «Banditen» - stwierdzali krótko Niemcy, nie próbując analizować wewnętrznych stosunków. «Banditai - wtórowali im Li-twini, sugerując jak najspieszniej swym władcom - lenku banditai, lenku rapuże!» Kto jednak naprawdę w lesie siedział, tego nie wiedzieli dobrze ani jedni, ani drudzy, nie wiedział właściwie nikt.

W początku lutego, nad ranem, zjawił się na Rybniku pan Zaliwski z niespodziewaną wiadomością. Przyszedł do niego w nocy Francuz-idiota, ostatni z pamiętnej siódemki. Nie sposób się z nim dogadać, dowiedzieć, czego chce i jak tutaj trafił. Wyprowadzony po ciemku przez labirynt sośniaków, choć był zadekowany o kilkanaście kilometrów stąd - wykluczone, aby sam mógł wrócić. I co z nim robić teraz? Po doświadczeniu z czarnym marsylczykiem wątpliwości były tym bardziej uzasadnione. Michał kłął. Zaliwski wzruszał ramionami. Postanowili jeszcze go badać, próbować przycisnąć. Stawiali pytania podstępnie naiwne, przemawiali wszelkimi argumentami, pokazywali niedwuznacznie lufy pistoletów, byleby powiedział, jakim sposobem dostał się na melinę. Niczego nie wysondowali. Czy rzeczywiście był kretynem z nieśmiałym wzrokiem i nie schodzącym z ust półuśmiechem, czy też tylko udawał, nie dowiedzieli się wcale. Michał umiał szybko się decydować. Nie spełnią się życzenia wypowiedziane w tamtą noc na Rybniku. Chłopak nie wróci do domu ani na swe osiemnastolecie, ani nigdy później]. Wojna jest niezmiernie chłonna. Żadna tajemnica nie przepełni jej ani nie zdziwi.

Melina otrzymała swój chrzest dojrzałości podziemnej. Przestała być mniej lub więcej atrakcyjną zabawą. Z tą chwilą, z chwilą wzięcia świadomej odpowiedzialności za śmierć być może nie-winnego człowieka, stała się pełnoprawnym obywatelem wojny. Michał nie filozofował, nie dzielił włosa na czworo. Pan Zaliwski nie wykraczał poza normy rozsądku i obowiązku. Antek chciał się zaśmiać, ale w czas przypomniał, że nie jest na froncie koło Leningradu, więc tylko splunął przez zęby. Od stawów ciągnął ostry wiatr. Wracając zamknęli starannie drzwi i z pasją rozpalali w piecu, żeby ogrzać zgrabiałe od kopania ręce.

Opowiadanie to napisałem w 1947 roku na konkurs literacki ogłoszony wśród studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeśli nie wszystkie, to większość nadesłanych prac dotyczyła dziejów wojny i partyzantki, był to bowiem okres, gdy moje pokolenie, które uczestniczyło

w tych wydarzeniach i najsilniej je przeżywało, miało gwałtowną potrzebę opowiedzenia i wypowiedzenia niezliczonych przygód i wrażeń - okres tworzących się legend i powstających wątpliwości. Moje opowiadanie uzyskało na tym konkursie pierwszą nagrodę i miało być publikowane na łamach «Tygodnika Powszechnego», z którym już wówczas nawiązałem współpracę i gdzie drukowałem inne wspomnienia wojenne. «Epizod na Rybniku» nie doczekał się jednak druku, ponieważ nieco wcześniej w tymże «Tygodniku» ukazała się opowieść Jana Józefa Szczepańskiego pt. Buty, której autor, wiedziony widocznie podobną jak ja potrzebą wypowiedzi, opisał podobną historię rozstrzelania jakiegoś człowieka przez oddział partyzancki. Podniósł się wielki szum, posypały się protesty przeciw zniesławianiu Armii Krajowej, toteż redakcja «Tygodnika» pośpiesznie wycofała moje opowiadanie, bojąc się dolewać oliwy do i tak gwałtownego ognia. W ten sposób kostniała le-genda, niebawem zeskalona jeszcze bardziej pod ciężarem prześladowań i oszczerstw. Dziś przypominam powyższy tekst jako świadectwo minionej rzeczywistości, w nieznacznym tylko stopniu poddane obróbce literackiej. Także na dalszych stronach tych wspomnień chciałbym nie ulec presji wciąż obecnego mitu, ale czy mi wystarczy odwagi w obliczu niezmiernego okrucieństwa wojny?

### **Przeciw wszystkim**

Wojna na Wileńszczyźnie, wojna w okolicach Podweryszek toczyła się jednocześnie lub wymiennie na kilku frontach. Przeciwnikami byli Niemcy i Rosjanie, a ściślej «sowieci», oprócz nich też Litwini, w pewnym stopniu również Białorusini, zwłaszcza współdziałający czy to z Niemcami czy z partyzantką sowiecką. Prowadzenie walki przeciw wszystkim, walki, w której nie mieliśmy sojuszników, a tylko wrogów, było wszakże pojmowane przez nas jako oczywistość: byliśmy przecież u siebie, w domu, a skoro nas najechano, obojętne z której strony, to każdy najeżdźca i każdy, kto go wspomagał, był z konieczności naszym nieprzyjacielem. Początkowo był to układ dość bezładny, niejasne były zakresy poszczególnych konfliktów i «reguły gry» ani też «strefy wpły- wów» poszczególnych stron. Stopniowo jednak, w miarę rozwoju i krzepnięcia polskich organizacji cywilnych, a zwłaszcza wojskowych, te «reguły» i «strefy» zarysowywały się coraz ostrzej.

U schyłku zimy 1944 roku krajobraz militarny Wileńszczyzny był już wyraźnie rozwarstwiony. Wieś była nasza, miasta i większe miasteczka niemieckie względnie litewskie, duże kompleksy leśne - sowieckie. Tak było przynajmniej w najbliższych okolicach, bo dalej na południe, za Niemnem, przewaga partyzantki sowieckiej była znaczniejsza czy wręcz dominująca. Niemcy i Litwini siedzieli więc w Ejszyszkach, w Bieniakoniach, Solecznikach i innych miejscowościach wzdłuż linii kolejowej i szosy łączącej Wilno i Lidę, a także wzdłuż szosy wileńsko-grodzieńskiej. Bolszewicy panowali nad Puszcza Rudnicką i dalej - Nalibocką, nasza była reszta, podzielona na strefy działania poszczególnych formacji akowskich, czy to występujących już otwarcie, jak oddział Krysi, czy jeszcze rozlokowanych na placówkach i tylko doraźnie powoływanych do konkretnych zadań, jak oddziały wchodzące w skład naszego V batalionu. Jednocześnie tworzyły się i funkcjonowały organizacje cywilne, gospodarcze, oświatowe i sądowe realizujące i tutaj ów fenomen państwa podziemnego. Na początku kwietnia 1944 roku także i u nas nastąpiła pełna mobilizacja, ściągnięcie ludzi z placówek do zwartych i stałych oddziałów, które kwaterowały i operowały zazwyczaj w jednostkach szczebla kompanii, liczących ówczasnie około setki ludzi. Kompanie zgodnie z dotychczasową strukturą placówek miały nazwy



urobione od rzek, nad którymi się kształtowały. Nasza nazywała się «Solcza», dwie pozostałe - «Dzitwa» i «Zyżma», później doszła jeszcze «Puszcza». Dowódcą «Solczy» był oczywiście Licho, dowódcą batalionu Sztremer - Truszkowski.

Gdy dowiedziałem się w Podweryszkach o mobilizacji, napisałem list do Ojca, zawiadamiając go, że wybieram się do Iliszek. Tak nazywała się część lasu podweryskiego o wyjątkowo pięknym drzewostanie. Były tam wysokie świerki, sosny i drzewa liściaste, gęste podszycie; przed wojną próbowałem tam strzelać do jastrzębi, które po długim kołowaniu nad lasem siadały na czubkach jodeł [tak zwykle mówiliśmy o świerkach]. W czasie wojny las ten, leżący blisko traktu gojcieni- skiego, był już w znacznym stopniu przetrzebiony, ale ponieważ nazwa Iliszki nie wiązała się ponadto z żadną miejscowością, stwierdzenie, że tam właśnie się wybieram, powinno być dla Ojca równie jednoznaczne, jak dla nas dwa lata wcześniej jego «perskie oko». Było to zresztą określenie pod wielu względami umowne, bo w istocie szliśmy jeszcze nie «do lasu» - to nastąpiło później - lecz na miejsce postoju kompanii w Rakliszkach, dworze Houwáltów, naszych krewnych, obecnie opuszczonym i spustoszone, nie wiem, czy przez okolicznych chłopów i fernali, czy przez bolszewików. W tym okresie zresztą wcale mnie to nie interesowało. Rozlokowywaliśmy się w wielkich, pustych pokojach, do których naznosiliśmy słomy do spania, zbijaliśmy z desek jakieś stoły, zamieniając dwór w prymitywne koszary. Trzymaliśmy warty i ubezpieczenia, bo do Bieniakoń i do Ejszyszek było wprawdzie po kilkanaście kilometrów, ale do skraj Puszcy Rudnickiej znacznie bliżej, a w każdej chwili z każdej z tych stron mogło pojawić się niebezpieczeństwo. Same Rakliszki i ich okolica były już jednak jakby wyzwolone spod okupacji, stanowiliśmy jawne wojsko polskie, zapewniające możliwość działania także władzom cywilnym.

Pierwsze zderzenie zbrojne nastąpiło w parę dni po moim dotarciu do Rakliszek, gdy Truszkowski zorganizował atak na Bieniakonie, mający podobno wymusić zwolnienie przez Litwinów czy Niemców jednego z naszych ludzi. Była to akcja na dość dużą skalę i okupiona znacznymi ofiarami. Uczestniczyła w niej część naszej kompanii, a także inne oddziały, mnie jednak ze względu na łatwość rozpoznania i ewentualność represji na mieszkańcach Podweryszek pozostawiono w składzie obsady pilnującej w tym czasie Rakliszek. Przebieg wydarzeń w Bieniakoniach znam więc tylko z opowiadań bezpośrednich uczestników, a także z obszernej relacji zamieszczonej przez Truszkowskiego w jego Partyzanckich wspomnieniach. Tekst ten zapewne przerysowuje rozmiary bitwy, jest przecież faktem, że środek miasteczka, w tym posterunek policji litewskiej, został opanowany. Niemcy, czy też Niemcy i Litwini, utrzymali się natomiast na stacji kolejowej i w paru innych punktach, od strony Wilna nadjechały przypadkowo ciężarówki z żołnierzami, które zatrzymano koło młyna podweryskiego na Solczy, wreszcie nadjechał pociąg pancerny złożony z kilku wagonów, który ział ogniem, gdzie się dało, i poczynił szkody także wśród mieszkańców Bieniakoń. Zdobyto jednak trochę broni, a Truszkowski po opanowaniu poczty telefonował stamtąd między innymi do Podweryszek, powiadamiając, że zdobył Bieniakonie. Miano mu potem za złe, że zbyt łatwo szafował życiem podkomendnych i że podjął akcję, która nie przyniosła znaczniejszych efektów, bo oczywiście wkrótce po opanowaniu miasteczka trzeba było się z niego wycofać. U podłoża całej sprawy leżała wszakże chęć wymuszenia poprzez zdobycie zakładników wydania jednego z naszych dowódców placówek, Boruty z Radunia, który wpadł w ręce Litwinów i był już wywieziony

z Bieniakoń do Wilna. Do wykrycia jego losów przyczyniła się walenie Basia Reszkówna, nosząca pseudo Bajka, która pracując w biurze «Ostlandu», przeniesionym już wtedy z Podweryszek do Bieniakoń, prowadziła całą centralę informacyjną. Więzień został istotnie zwolniony, chociaż kosztowało to kilku zabitych. Ponownie i nie po raz ostatni imponderabilia wbrew swej nazwie ważyły więcej niż życie żołnierzy lub cywilów, które stawało się coraz tańsze.

Jeden z rannych partyzantów był przechowywany w jakimś domu w Bieniakoniach i trzeba go było stamtąd wywieźć, nim Litwini wpadną na jego ślad. Zadanie to wykonała moja Matka wspólnie z mym bratem stryjecznym Jerzym, który uprzednio był w oddziale Krysi, ale w tym właśnie czasie znalazł się w Podweryszkach, a później dołączył do naszej kompanii, gdzie podobnie jak i ja był dowódcą drużyny. Podjechali wówczas saniami pod ten domek, załadowali rannego jakoś go przykrywając słomą i opłotkami, koło cmentarza i przez łąki chyłkiem wywieźli go do Krokiszek. Rzeczą była bardzo ryzykowna, Litwini czujni i rozsierdzeni po minionych wydarzeniach, a i ostatnia chwila na użycie sanek, bo śnieg już zniknął [było to 8 czy też 9 kwietnia], wozem zaś nie dałoby się wyjechać przez podmokłe łąki nad Grażełką. Opinia o Truszkowskim jako nazbyt pochopnym szafarzu życia i śmierci utrwaliła się nie tyle na polu walki, ile przy okazji ferowania względnie zatwierdzania wyroków. Szczególnie przykro została odebrana wiadomość o rozstrzelaniu z jego rozkazu partyzanta o pseudonimie Wrona - za bodajże rabunek i usiłowanie gwałtu, jak to podano w odczytanym rozkazie dziennym. W swych wspomnieniach Truszkowski wzmiankuje o tym wydarzeniu jako o smutnej konieczności.

Być może było to istotnie konieczne, nam jednak wówczas wydawało się wręcz niepojęte. W Rakłiszkach kazał Truszkowski rozstrzelać jakąś Litwinę, jakoby szpiega. Nie wiem, jakie miał przesłanki dla tego wniosku, może i wystarczające, nic jednak o tej sprawie nie pisze. W tym czasie nie była jeszcze zorganizowana nasza żandarmeria, która później zajmowała się egzekucjami, szukano więc ochotników, chyba wbrew wszelkim regulaminom. W mojej drużynie nikt nie chciał wykonywać wyroku, ale znaleźli się inni i słyszałem potem ich relacje. W następnych miesiącach podobne wydarzenia już mniej szokowały, oswajaliśmy się z wojną, początkowo jednak było to czymś wstrząsającym, mimo iż wiedziałem, że Litwini też rozstrzelują naszych ludzi, i to znacznie częściej.

Z Litwinami miałem kilka bezpośrednich starć. Pierwsze z nich, najmniej groźne, miało miejsce na szosie na północ od Ejszyszek, gdzie byłem wysłany ze swą drużyną na patrol. Przypadkowo natknąłem się na kilka wozów konnych prowadzonych przez żołnierzy w mundurach niemieckich. Miałem co prawda zakaz zaczepiania tak Niemców jak i Litwinów, zobaczywszy jednak te wozy nie wytrzymałem i wraz z moimi chłopcami wyskoczyłem na nie tyralierą z lasu. Biegliśmy tak ze sto metrów przez pole, a oni widząc nas poschodzili z wozów i stali z karabinami w rękach, nie wiedząc, czy mają się bronić, czy uciekać. Myślałem, że to Niemcy, więc krzyczałem do nich: «Héinde hoch!», a oni, gdy byliśmy już o kilka kroków, rzucili karabiny na ziemię i poddali się. Gdy zorientowałem się, że to Litwini, utartym już obyczajem kazałem im zdjąć mundury i w białźnie tryumfalnie przywiozłem ich do Podborza, gdzie stacjonowała nasza kompania. Tam dostali miskę jajecznicy, jakieś cywilne ubrania i poszli zdrowo do domu. Wozy, konie i mundury, nie mówiąc o karabinach, bardzo się przydały, a ponieważ rzecz skończyła się pomyślnie i bez ofiar, nie czyniono mi wymówek, mimo iż przekroczyłem swoje uprawnienia. Ponownie zetknąłem się z Litwinami

w czasie napadu na Ejszyszki w pierwszej połowie czerwca. Wchodziliśmy wtedy nocą do miasteczka idąc długą ulicą, po obu jej stronach, z bronią gotową do strzału, a przy mijanych domach i w ogródkach stali ludzie, którzy od dawna z nami współdziałali, nieraz zapewne rodziny naszych żołnierzy - teraz w ciszy patrzyli na nas, a to ich milczenie i ten wzrok były bardziej wymowne niż wszelkie okrzyki i wiwaty. Tak się złożyło, że szedłem jako pierwszy po lewej stronie i czułem na sobie cały ładunek tych spojrzeń i dobrych życzeń, których nie można było zawieść. Potem było trochę strzałów karabinowych i z granatnika dostarczonego nam przez Krysę, który dowodził tą akcją. Litwini zamknęli się w swym umocnionym posterunku, ale wkrótce się wycofali, tak że kiedy na rozkaz Licha wypadło mi przeleźć przez otaczający płot i razem z moją drużyną przez okno wejść do środka, co wydawało mi się zadaniem dość ryzykownym, wewnątrz było już pusto i znaleźliśmy tam tylko trochę porzuconej broni. Potem były jeszcze jakieś pertraktacje z załogą bunkra, która ostatecznie się poddała. Zabraliśmy sporo zapasów z państwowego sklepu: żywność, papierosy, była tam też beczka marmolady, którą ten i ów garścią sobie nabierał. O kilometr, na osiedlu Jurzydyka, stała załoga niemiecka mająca podobno nawet samochody pancerne, ale woleli w nocy nie interweniować. Podobno było nawet jakieś powiadomienie, że w razie napadu po ciemku Niemcy nie wyjdą ze swych bunkrów i dopiero ze świtem będą musieli przyjść na pomoc sojusznikom, do tego więc czasu mogliśmy zajmować się Litwinami bez obawy, że otrzymają wsparcie. Był to zresztą okres, kiedy Niemcy traktowali już Litwinów en canaille i - zwłaszcza po kompromitacji pod Murowaną Oszmianką - przestali liczyć na ich pomoc w zwalczaniu polskiej i sowieckiej partyzantki.

Do innego jeszcze starcia z Litwinami doszło w końcu maja koło wsi Ogrodniki, w pobliżu Olkienik i toru kolejowego łączącego Wilno i Grodno. Była to bitwa na stosunkowo znaczną skalę, brało w niej udział kilka naszych kompanii pod wodzą Truszkowskiego, a z drugiej strony oddziały litewskich policjantów i uzbrojonych mieszkańców kilku wsi litewskich. Wsie te stanowiły narodowościową enklawę, odróżniającą się od sąsiednich wiosek polskich wyższym stopniem cywilizacyjnym, czystością, lepszym zagospodarowaniem. Podobno rząd litewski w Kownie przekazywał im przed wojną jakieś subsydia, ale niewątpliwie różnice wynikały też z cech właściwych obu społecznościom, nie wyrównanych mimo długotrwałego sąsiedztwa i współżycia. Współżycie to układało się w różny sposób, lepiej lub gorzej, a oto teraz leżeliśmy na-przeciw siebie oddzieleni polem, my na skraju lasu, oni przy jakichś zabudowaniach i krzakach, i strzelaliśmy do siebie niby na strzelnicy. Mielśmy, po obu stronach, pociski zapalające, które po uderzeniu błyskały ognikiem, więc widać było efekt przynajmniej niektórych strzałów. Oni tam przebiegali, a ja leżałem i starannie, długo mierzyłem z twarzą przy kolbie: wolno ściągnąłem spust, targnęło i ogieniek zapalił się o kilka metrów od biegnącego Litwina, a potem zobaczyłem podobny ogieniek na ziemi tuż przede mną, więc któryś z nich też pewnie długo i starannie mierzył. Strzelali i inni, aż jeden z pocisków trafił w strzechę chałupy stojącej pośrodku - zapaliła się wielkim ogniem i przez pewien czas widać było krajobraz szerokiego pola bitwy, która zresztą nie przyniosła ani większych sukcesów, ani strat. Dopiero później dowiedziałem się, że ta akcja była zorganizowana w porozumieniu z partyzantami sowieckimi z Puszczy Rudnickiej, którzy podobno chcieli uzyskać do torów kolejowych, żeby móc je wysadzać, ale się spóźnili i skończyło się na zdobyciu pewnej ilości broni.

Stosunki z partyzantką sowiecką to osobny, zawiły i niejasny rozdział tych dziejów, w latach późniejszych zazwyczaj przemilczany lub przeinaczany. Z mojego punktu widzenia, z niskiego szczebla obserwacji i informacji, był to przede wszystkim stosunek wzajemnie wrogi, rodzaj frontu podobnego do frontu niemieckiego i litewskiego. Z punktu widzenia dowództwa batalionu, a nawet kompanii, wzajemne stosunki obejmowały jednak także współdziałanie, umowy i kontakty. O tych próbach współpracy można dziś sporo przeczytać, zwłaszcza we wspomnieniach Truszkowskiego, dla mnie były one jednak wówczas mało lub zgoła nie znane, więc ograniczam się do tego, co sam widziałem, lub o czym już wtedy było ogólnie wiadomo.

Bazą partyzantów sowieckich w naszej okolicy była Puszcza Rudnicka, zwarty zespół lasów o średnicy około trzydziestu-czterdziestu kilometrów, położony na południe od Wilna. Od wschodu ograniczał go tor kolejowy i szosa łączące Wilno i Lidę, od południa rzeka Solcza, stanowiąca na dłuższym odcinku niemal formalną granicę: lewy brzeg należał do nas, prawy do nich i nie była to granica umowna - jej przekroczenie tak w jedną, jak i w drugą stronę groziło śmiercią. Leżałem kiedyś na zasadzce w pobliżu jednej z kładek czy pni przerzuconych przez rzekę, a oni podchodzili z drugiej strony i widać było między zaroślami, jak się zbliżają, nadśluchują, cofają się i znów podchodzą, aż po dłuższym wahaniu odeszli w głąb lasu. Może usłyszeli jakieś trzaśnięcie gałęzi po naszej stronie, może błysnęła nasza broń, bo dzień był słoneczny, dość, że nie zdecydowali się przejść przez kładkę - i słusznie, bo gdyby znaleźli się wtedy na naszej stronie, zapewne by zginęli.

Takich zasadzek robiliśmy wiele, szło o to, żeby nie wpuszczać ich na nasz teren, nie pozwalać na grabienie wsi i uchodzenie z łupem do puszczy, przeciwdziałać znacznie gorszym rzeczom, jakie się zdarzały. Mieliśmy przykład wsi Koniuchy, położonej nad samą Solczą, której mieszkańcy, nękani ciągłymi wizytami z puszczy, zorganizowali samoobronę. Wtedy tamci naszli i spalili całą wieś, wymordowali, kogo zdołali schwytać. A była to wieś duża, nie byle kilka chałup. Jeden z chłopców, który stracił wówczas rodzinę, a sam ocalał bodaj ukryty w wodzie, trafił później do mojej drużyny. Miał pseudonim Topór, może było w nim zawarte niedomówione pojęcie strasznej zemsty. Był milczący, zacięty, mówił, że nie ma ani dokąd, ani po co wracać. Twardo nosił ciężki erkaem, aż pod Wilnem tuż obok mnie został ranny - i ja wtedy wziąłem ten jego erkaem i najpierw strzelałem, a potem w upale niosłem go długi czas półżywy ze zmęczenia, i tak pośrednio ciągnęła się przy mnie sprawa Koniuchów. Była też druga podobna napaść, bodaj na Niewoniańce, po której nasi urządzili wyprawę odwetową w głąb puszczy, na wieś Wisińczę, stanowiącą główny punkt oparcia Sowietów. Jej mieszkańcy stale z nimi współpracowali i zapewne odnosili z tego korzyści, ale jest oczywiste, że w razie jakiegokolwiek próby oporu spotkałby ich los podobny do Koniuchów, i to tym łatwiej, że wieś ta leżała w środku puszczy, w zasięgu wyłącznej dominacji sowieckiej. Nic też dziwnego, że na widok podchodzących naszych partyzantów wszyscy uciekli do lasu obawiając się masakry, chociaż w rzeczywistości chyba im nie groziła. Wieś została jednak do gruntu spalona, zresztą była to nie tyle wieś, ile nędzna, leśna osada. Gdy w pół roku później my z kolei chowaliśmy się w puszczy, a tamci byli na zewnątrz, przejeżdżałem kilkakrotnie saniami przez to miejsce i nie było tam już ani śladu ludzkich sadyb, bo nawet pogorzeliska pokrywała gruba warstwa śniegu.

Wisińcza - to nazwa wsi i przepływającej przez nią rzeki, która krętym strumieniem przecinała puszcę i uchodziła do Solczy. Zarazem nazwa ta stała się ogólnym określeniem

Puszczy Rudnickiej jako siedziby sowieckiej partyzantki. «Ci z Wisińczy» - to, wiadomo, siedzący w puszczy partyzanci, ale i stowarzyszeni z nimi mieszkańcy wiosek i osad śródleśnych, i Żydzi, którzy się tam schronili, i komuniści litewscy, a nieraz też zwykli bandyci. «Pójść na Wisińczy» - to jakby «pójść na Moskwę» czy «na Tatary», skrótowe określenie przeciwnika, nie wymagające bliższych objaśnień. Nazwa ta miała w sobie pewną grozę i pewien koloryt, który zachowała również wtedy, gdy to my znaleźliśmy się nad tą rzeką i poczuliśmy się «tymi z Wisińczy» - dotąd brzmi ona dla mnie jak rodzaj zaklęcia.

«Ci z Wisińczy» wychodzili więc za Solczę po zdobycz, a myśmy ich łapali. W czasie takiej wyprawy, przeprowadzonej z Rakliszek, po raz pierwszy znalazłem się pod ogniem. Leżeliśmy na brzegu jakiegoś lasku, oni nadchodzili już wracając do puszczy i zaczęła się strzelanina. Mieli lepszą niż my broń, automaty, i wtedy nagle posłyszałem ten bzyk nad głową, jakby leciały osy, i zobaczyłem, że spadają małe gałązki drzew. Zacząłem więc świadomie czy podświadomie przyciskać się do ziemi, raz czy drugi wystrzeliłem z karabinu, może nie najlepiej celując, aż tu Licho krzyczy: «Powstań! Biegiem naprzód!» - więc trzeba podnieść się i wyjść, wybiec na pole, takie wielkie i takie puste, skąd nadlatują te osy. To tak, jakby skoczyć nagle w lodowatą wodę, ale nie ma rady, więc biegnę i inni obok biegną szeroką tyralierą, czasem padamy, żeby strzelić, i znowu biegnę, a osy bzykają, ale nic się nie dzieje, widać nie takie to straszne, można biec dalej, a one jakby ucichły, już ich nie ma. Tamci nie wytrzymali, gdzieś uciekli, pozostawili wóz z ładunkiem, bodaj świniaka i jakieś worki. Przed wszystkim jednak jesteśmy już ostrzelani, kto dotąd nie miał okazji, teraz już wie, jak się skacze do zimnej wody.

Pewnego dnia ci z Wisińczy dotarli aż pod Werenów i w którejś wsi zgarnęli nie tylko zdobycz, ale i naszego kolegę Mieczkę, który chorował i leżał w jakiejś chałupie. Dowieźli go bez przeszkód do puszczy i jak się zdaje, chcieli wykorzystać w roli zakładnika czy pośrednika w pertraktacjach, gdyż dzięki swym współpracownikom mieli dobre rozeznanie, wko's who w naszych oddziałach, i wiedzieli, że schwytali cennego jeńca. Istotnie, zrobił się szum, kompania została postawiona na nogi, część oddziałów przeprawiła się przez Solczę i w rezultacie tej «demonstracji siły» Mieczka został wypuszczony. Wrócił niby z puszczy niedźwiedzia i opowiadał, że nasze poczynania spowodowały tam niemal panikę. Widocznie mimo lepszego uzbrojenia nie garnęli się do otwartego starcia. My baliśmy się ich, oni nas, i na tle tego lęku, wzajemnej niechęci i nieufności odbywały się też mniej lub bardziej oficjalne kontakty, umowy i próby współpracy, bo przecież formalnie byliśmy sojusznikami w walce ze wspólnym wrogiem.

Świadomość tego «sojuszu» była właściwa tylko wyższym szar-żom, które z konieczności musiały dbać o w miarę znośne stosunki z kłopotliwymi sąsiadami, a także musiały wykonywać, choćby pozornie, dyrektywy wojskowych i politycznych władz zwierzchnich, zakazujących wikłania się w walkę z oddziałami sowieckimi. Toteż kontakty odbywały się na wyższych szczeblach, a pertraktacje dotyczyły głównie zaprzestania grabienia naszych wsi w zamian za dostarczanie do puszczy pewnych transportów żywności. W mniejszym stopniu, jak się zdaje, mówiono o współdziałaniu militarnym, którego nieudany przykład miała być wspomniana bitwa pod Ogrodnikami. Łącznikiem krążącym stale między obu stronami, przechodzącym swobodnie z jednego na drugi brzeg Solczy, był podchorąży Szczekacz. Dziwny miał pseudonim, stanowiący chyba jakąś formę samookreślenia, i dziwny był to człowiek, o którym wtedy i później opowiadano różne

rzeczy. Odznaczał się piękną brodą i miał piękną broń fińską, chadzał samotnie lub z paru tylko ludźmi swoimi drogami i miałby na pewno do opowiedzenia wiele bardzo interesujących a nie znanych historii z dziejów polsko-sowieckich stosunków na tym «pograniczu». Podobno później, w sierpniu, znalazł się razem z Kotwiczem w Surkontach, ale przeżył, jakoby wołając do bolszewików: «Ja wasz sotrudnik». W każdym razie po wojnie wylądował gdzieś na Syberii i mimo że należał do zacnej rodziny Sławińskich i przyjeżdżał do Polski, nie chciał tu zostać, ponieważ podobno tylko tam, na Syberii, miał przestrzenie i lasy, w których czuł się swobodnie.

Wtedy jednak, w maju i czerwcu, Szczekacz prowadził pertraktacje lub organizował spotkania dowódców. Niewiele o tym wiedziałem, gdyż z natury rzeczy tego rodzaju informacje nie przenikały do powszechnej wiadomości, krążyły jednak różne pogłoski. Dopiero 1 lipca nastąpiło spotkanie na najwyższym szczyble pomiędzy generałem Wilkiem a dowódcą partyzantów sowieckich z puszczy, i w roli osłony uczestniczyła w nim cała nasza kompania. Spotkanie miało miejsce na moście na Solczy - niczym w Tylży spotkanie między Napoleonem i carem - my leżeliśmy szerokim łukiem w zaroślach po południowej stronie rzeki, po drugiej stronie też było widać liczną osłonę, między innymi partyzantów siedzących na drzewach. Wzajemne zaufanie było więc raczej mierne. Każdemu z wysokich dowódców towarzyszyło po dwóch żołnierzy z automatami na piersiach, którzy stanęli przy końcach mostu. Jednym z nich był Kondor z mojej drużyny, nie słyszał on jednak treści rozmowy prowadzonej w cztery oczy na środku mostu. Pertraktacje te mimo naszej «demonstracji siły» były już znacznie spóźnione wobec zbliżającego się frontu, niemniej jednak Wilk łudził się, jak to wynika z późniejszych relacji, że zawarł tam istotne, wiążące stronę sowiecką układy.

Porozumienie zdawało się tym potrzebniejsze, iż kilka dni wcześniej szykowaliśmy się do wielkiego ataku na Wisieńczę, który jednak nie doszedł do skutku. W tym samym czasie odbył się też pościg za jakąś grupą partyzantów sowieckich, która wyszła z Puszczy Rudnickiej i szła w kierunku Puszczy Nalibockiej. Zostaliśmy wtedy w trybie alarmowym poderwani do morderczego marszu, inny oddział urządził zasadzkę i doszłoby pewnie do poważnego starcia, gdyby nie mój wuj Kazimierz Rymsza. Był on zastępcą dowódcy kompanii, nosił pseudonim Ryszard, w tym czasie jednak z jakichś powodów jechał samowtór po cywilnemu, wozem, mając przy sobie tylko granat i pistolet schowany w cholewie buta, bo ktoś mu poradził, że jest to najwygodniejsze miejsce na wypadek konieczności nagłego wydobycia broni. Wuj i jego towarzysz nie wiedzieli o pościgu za grupą sowiecką i przypadkiem wjechali do lasu, w którym tamci zapadli na dzień, a nasi już leżeli na przygotowanej zasadzce. Gdy bolszewicy ich zatrzymali, rzucili granaty [pistoletu Wuj nie zdołał wyciągnąć z cholewy] i zaczęli uciekać. Tamci zaczęli strzelać, nasi też otworzyli ogień. W rezultacie zasadzka się wydała, bolszewicy wycofali się i znikli, a dla Wuja skończyło się na lekkim postrzale boku. Nasza pogoń została odwołana, cała zaś akcja przeprowadzona w obliczu zbliżającego się frontu i przygotowywanych pertraktacji była chyba wyjątkowo niemądra. Nie wiem, kto ją zarządził - Truszkowski, który oczywiście w swych wspomnieniach ani słowem nie wzmiankuje o tym epizodzie, czy też któryś z dowódców kompanii, w każdym razie nie Licho. Dla zwykłych żołnierzy akcja ta była wszakże oczywistością; prowadząc stale walkę na dwa fronty nie zastanawialiśmy się, jakie

mogą być tego konsekwencje, a perspektywa zdobycia lepszej broni zdawała się stanowić wystarczające uzasadnienie pościgu.

Wuj Kazimierz liczył wtedy już czterdzieści lat i należał do najstarszych, a może był wręcz najstarszy w naszej kompanii. Gdy wybieraliśmy się do oddziału, chciał przyjść tam nie byle jak, w pojedynkę, ale z własnymi ludźmi, jakby z dawnym poczem. Nic z tego nie wyszło, bo młodzież fornalska, która mogłaby tworzyć ów poczet, była najbardziej opieszala i dołączyła do oddziału dopiero w ostatniej chwili i to na krótko, widocznie niezbyt identyfikując się z Armią Krajową. Wuj przyszedł więc bez własnych ludzi, ale jako porucznik rezerwy został zastępcą Licha, dowódcy kompanii, a jako najstarszy wiekiem pełnił rolę moderatora, starając się hamować zbyt jego zdaniem ryzykowne lub nieprzemyślane działania. Na szczególną próbę został wystawiony w końcu czerwca, gdy powstał projekt ataku na Niemców stacjonujących w Podweryszkach. Opowiadał później mej Matce, że był ogromnie zirytowany moją postawą, ponieważ rwałem się do tej akcji, a on był świadomy, jakie ryzyko niesie ona dla całej rodziny, w tym jego matki i siostry. Nie dał mi wtedy tego poznać, zresztą nie miało to wpływu ani na decyzję o napadzie, ani na jego przebieg.

W Podweryszkach było kilka obiektów do opanowania: sam dwór, w którym Niemcy zajmowali kilka pokoi, murowany spichrz, gdzie stacjonował oddział własowców, i kilka bunkrów drewniano-ziemnych, rozmieszczonych na obrzeżach parku i podwórza, w których przesiadywali wartownicy; ponadto na dziedzińcu czy też w stajniach były konie i wozy z wojskowymi zapasami. O tym wszystkim byliśmy dokładnie poinformowani dzięki mieszkańcom domu podweryskiego. Napad miał odbyć się w nocy. Moja drużyna dostała zadanie opanowania jednego z bunkrów na skraju ogrodu, za aleją lipową. Tym, którzy mieli atakować dwór, rysowałem jego wygląd i tłumaczyłem, że mogą walić granaty do trzech pierwszych okien od lewej strony, to jest do dawnego pokoju Rodziców i mojego - teraz zajmowanych przez Niemców - ale broń Boże nie do okna tuż przy ganku, bo tam mieszka moja Matka i Babka. Nie jestem pewien, czy dobrze to zapamiętali, i nie dziwię się, że Wuj był nieco zdenerwowany. Dla mnie był to wszakże wielki dzień, którego patos górował nad instynktem samozachowawczym.

Był to dzień świętych Piotra i Pawła, 29 czerwca. Podchodziliśmy późnym wieczorem, gdy było już ciemno, grobelką od strony Bieniaków, skąd Niemcy najmniej mogli się spodziewać ataku. Najpierw zaczęły krzyczeć jakieś dziewczyny, które szły właśnie drogą i nagle znalazły się wśród idących cichcem żołnierzy. Po chwili, już koło podwórza, natknęliśmy się na wyjeżdżający dwukonny wóz wojskowy, przypadek bowiem zrządził, że Niemcy otrzymali rozkaz ewakuowania się, załadowali wozy i właśnie pierwszy z nich ruszał w stronę Bieniaków. Gdybyśmy doszli o pół godziny później, nie byłoby ich już w Podweryszkach. Teraz Licho strzelił do Niemca na wozie, a my już nie kryjąc się zaczęliśmy biec. Miałem najdłuższą drogę, musiałem obieć cały ogród, a koło domu sypnęły się już strzały, zaczęły się krzyki. Wreszcie dobiegliśmy, szukałem bunkra w ciemności, zobaczyłem go wreszcie, krzyczę: «Hande hoch!», ale tam nikogo nie było, bo już ściągnęli posterunki, więc biegniemy przez park w stronę domu, przed nami jakiś łomot, pędzą na przelaj konie z ciężkim wozem, widocznie spłoszone strzałami, aż ugrzęzły w alei lipowej, trzeba je było wydobyć, zawrócić, cały wóz odstawić na drogę w kierunku Gojcieniszek, którą mieliśmy się wycofywać. Potem podbiegłem do domu, przez otwarte okno widzę

leżącą w moim pokoju postać i nad nią dwie kobiety - była to ciotka Gustawa i Basia Reszkówna. Wrzeszczę przez okno: «Kto ubit?» - bo nie wiadomo po co wciąż jeszcze udawaliśmy partyzantów sowieckich. Bałem się, że to ktoś z rodziny, ale Ciotka odpowiada: «Germaniec!» - na to ja: «To sława Bohu!». Ciotka, która oczywiście poznała mnie po głosie, przez długie lata później żartowała, wspominając to «sława Bohu» w ustach rzekomego bolszewika.

Byłem wtedy po raz ostatni w Podweryszkach, ale oczywiście nie przychodziło mi to do głowy. Przeciwnie, przez krótki czas wydawało się, że to początek powrotu, skoro wyganiamy Niemców.

Odskoczyłem od okna i biegłem jeszcze przez park szukając mego erkaemisty, który gdzieś się zawieruszył na ubezpieczeniu: wołałem na niego: «Topór! Topór!», a z pola odpowiadał krzyk: «Johann! Johann!», bo jakiś Niemiec też się zagubił w zamęcie i szukał swoich. Potem znów biegłem koło domu, a z ganku wybiegł stryj Gustaw i pytał mnie o swego syna: «Gdzie Jurek?» - krzyknąłem, że załatwia spichrz [mieli tam być własowcy, których już wcześniej namówiono - między innymi robiła to Basia Reszkówna - żeby przeszli na naszą stronę, co też się stało, ale nie przejęto ich ze spichrza, tylko bodaj z Rymyszczek], Wpadłem na jednego z fernali - jego syn właśnie dołączył do nas, a on sam ciężko przestraszony umykał - a potem od strony Bieniakoń sypnęły się strzały. Osy zaczęły znów bzykać, czasem świetlny pocisk błyskał wysoko nad głowami i niknął w koronach drzew. Ściągnięto kilka zdobycznych wozów i razem z nimi wycofaliśmy się na punkt zborny w lesie pod wysokim majakiem, niedaleko Jeziorka, tam gdzie kiedyś podczas dorocznego polowania na zające przyjeżdżał wóz z bigosem i palono ognisko. Wtedy pachniało późną jesienią, teraz też była mgła, ale był letni świt. Jeszcze dochodząc do lasu słyszeliśmy strzały - to wycofywały się nasze ubezpieczenia. Niemcy wjeżdżali samochodami pancernymi, które, zaalarmowane, ruszyły z Bieniakoń i w pościgu za nami dotarły za most na Grażełce, a potem cofnęły się do dworu. Jak mi potem opowiadano, mieszkańcy domu podweryskiego, gdy tylko zaczęła się akcja, o której zresztą byli uprzedzeni, skupili się na schodach prowadzących na piętro, bo to było miejsce najbezpieczniejsze, osłonięte od przypadkowych pocisków. Tam, do przedpokoju, wbiegł w pewnym momencie wuj Kazimierz i zerwał telefon, bo chciał w ten sposób zapewnić mieszkańcom usprawiedliwienie, że nie zaalarmowali posterunku w Bieniakoniach. Nie na wiele by się to przydało, gdyby Niemcy mieli jeszcze dość czasu na represje, ale już się zaczynał generalny odwrót i szczęśliwie nie zdążyli zorganizować odwetu. Żałowałem potem, że i ja nie wbiegłem do środka, nie z powodu telefonu, ale by dopełnić aktu wejścia do domu z bronią w ręku. Więc tylko przez okno widziałem nasze panie pochylone nad rannym Niemcem, którego opatrywały, a on jęczał: «Ftinf Kinder! Ftinf Kinder!», jak to oni zwykli rozczulać się nad sobą, gdy są w opresji. Potem podjechał przed ganek samochód pancerny, a na nim leżał przywiązany jeden z naszych rannych - widać było tylko długą postać, tak że moja Matka w pierwszej chwili zlekła się, że to właśnie ja, ale to był partyzant o pseudonimie Pika. Jęczał wołając wody, ale Niemcy nie pozwolili mu podać.

«Jak to - krzyknęła Ciotka - przecież my opatrzyliśmy waszego ranne- go!» - ale oni coś tylko warknęli i odjechali. Nazajutrz przywieźli go z powrotem i zastrzelili nad Grażełką, i tam też został wtedy zakopany. Gdy Niemcy odjechali i wszystko ucichło, wstał dzień, a wtedy Matka razem z Basią Reszkówną wyszły, by poszukać innych rannych lub zabitych.



Obeszły dom, park, potem wzdłuż drogi, którą się wycofywaliśmy, doszły za mostek, do łąk, i tam w rannej mgle zobaczyły leżącego chłopca z przestrelonym czołem. Był to Zyg, erkaemista, który próbował powstrzymać samochód pancerny i został z niego zabity. Matka w ciągu dnia zorganizowała jego pogrzeb na naszym cmentarzu rodzinnym - stelmach zbił trumnę, kto mógł, przyniósł kwiaty, ale to były już ostatnie chwile życia domu podweryskiego, ziemia zaczynała się palić, front się zbliżał. «Trzeba teraz myśleć o żywych, nie o umarłych! - powiedział wtedy stryj Gustaw, co Matka miała mu za złe, bo była romantyczką.

Napad na Podweryszki, przygotowania do niego i przebieg bitwy przedstawił obszernie Stanisław Truszkowski w swych *Partyzanckich wspomnieniach\**. Dał tam też opis dworu i jego ówczesnych mieszkańców w słowach ciepłych, tym dla mnie miłszych, iż pochodzących od człowieka obcego, nie związanego żadnym osobistym stosunkiem ani z rodziną, ani z miejscowością. W jego relacji znajduje się wiele nie znanych mi wówczas wiadomości o przeprowadzanym rozpoznaniu, na-radach «sztabowych» i podejmowanych przez autora decyzjach. Natomiast przebieg akcji przedstawiony jest nie całkiem wiernie, ponieważ Truszkowski sam nie brał w niej udziału, pisząc zaś po latach książkę oparł się na zawodnych już wspomnieniach niektórych uczestników, a chyba też trochę podkoloryzował. W ten sposób powstał między innymi mylny szkic sytuacyjny [nr 7], przedstawiający całkiem błędnie kierunki natarcia, odwrotu i interwencji niemieckiej. Także w tekście znalazły się różne nieścisłości, dziś już trudne do skorygowania. Przy sposobności wypada mi jednak zrobić pewne sprostowanie, a raczej wyjaśnienie terminologiczne. Truszkowski, a za nim inni autorzy, używają nazwy «Podwaryszki», bo istotnie w tej właśnie formie występuje ona na mapach. Ja jednak, tak jak cała rodzina, krąg sąsiadów i znajomych mówiliśmy zawsze i wyłącznie «Podweryszki». Różnica ta odbija rozwarstwienie społeczne: chłopci używali nazwy z «a», może bliższej fonetyce białoruskiej lub sięgającej jeszcze podkładu litewskiego. Środowisko ziemiańskie stosowało nazwę z «e», jakby mocniej osadzoną w polszczyźnie.

Po napadzie na Podweryszki odchodziliśmy, szczęśliwi z obfitej zdobyczy, wielkim łukiem omijając Bieniakonie i skrajem puszczy przesuając się w stronę Ejszyszek, do wsi Raściuny, gdzie w dwa dni później miała miejsce wspomniana już wizytacja generała Wilka i jego pertraktacje z partyzantami sowieckimi. Urządzono wtedy rodzaj parady, uroczysty przegląd całego batalionu z udziałem generała i towarzyszących mu wyższych dowódców. Staliśmy uszeregowani kompaniami, w pełnym rynsztunku, dzień był piękny. Generał ze swą świtą nadjechał konno - proporczyki, lance jak na obrazie - potem przechodził przed frontem poszczególnych kompanii. Przed

**1Por. Stanisław Truszkowski, *Partyzanckie wspomnienia*, Warszawa 1968, s. 254-268.** naszą zatrzymał się trochę dłużej, bo byliśmy właśnie po akcji podweryskiej, więc chciał zamienić kilka słów z żołnierzami. Los padł na mnie, jako dowódcę drugiej drużyny [pierwsza, dowodzona przez Piętkę, była gdzieś na patrolu], Licho kazał mi wystąpić, Wilk zadał mi kilka pytań o przebieg akcji, powiedziałem pokrótce, co robiłem w Podweryszkach, nie wspominając jednak, że to mój dom rodzinny. Wilk powiedział: «W imieniu

służby dziękuję», i mruknął coś, że mój dowódca się tym zajmie, co zapewne miało dotyczyć jakiegoś odznaczenia, a mnie wydało się wysoce niestosowne, bo żadnych «wielkich czynów» nie dokonałem, więc było to mruknięcie typowo rutynowe, niegodne

podniosłego nastroju. Gdy meldowałem, posłyszałem z lewej strony pstryknięcie aparatu fotograficznego, które pamiętam do dziś. Ktoś zrobił zdjęcie, które było później publikowane w paru książkach, ukazujące, jak stoję wyprężony, w niemieckim hełmie na głowie, przede mną Wilk, dalej dwóch pułkowników i Licho. W jednej z publikacji pod zdjęciem tym umieszczono mylny podpis, iż rzecz dzieje się w Dziewieniszkach 29 czerwca. W istocie jest to szeroki dyrwan między Rakliszkami i Raściunami, dzień 1 lipca 1944 roku.

To było przed południem. Później była wspomniana już rozmowa Wilka z dowódcą sowieckim, a wieczorem naprosiłem się Licha, żeby mi pozwolił pójść z drużyną na szosę, którą coraz gęściej sunęły samochody cofającej się armii niemieckiej. Zdjęto bowiem wszelkie ograniczenia służące zabezpieczeniu ludności przed ewentualnymi represjami, Niemców można już było zaczepiać dowolnie, a nawet cała szosa od Wilna do Lidy została podzielona na odcinki, na których poszczególne bataliony lub oddziały mogły urządzać napady, wzajemnie sobie nie przeszkadzając i nie płosząc ciągnącej traktem zwierzyny. Dotychczas polowania takie były zakazane i odbywały się tylko wyjątkowo, mimo iż każdy niemiecki samochód jadący szosą budził nasze gorące pożądanie.

Jak dotąd tylko dwa razy zdarzyło mi się brać udział w takiej akcji; gdy pod Ejszyszkami samowolnie zaatakowałem i rozbroiłem Litwinów, o czym już pisałem, i po raz drugi na tejże szosie w pobliżu wsi Tietance, gdzie zostaliśmy wysłani w celu oswobodzenia jakiegoś więźnia, który miał być w niemieckiej ciężarówce. Akcja ta była przygotowana gdzieś na wyższym szczeblu, wiedzieliśmy, o której godzinie będzie przejeżdżał samochód, pozostawało więc tylko wykonać to względnie łatwe zadanie. Były nas dwie drużyny pod komendą dowódcy naszego plutonu Dęba, który zadanie ze szczętem spartaczył. Miał on dobry głos i ładnie śpiewał, ale do wojowania nie miał talentu. Urządził zasadzkę w sposób najgorszy z możliwych: samochód istotnie nadjechał, zaczęliśmy strzelać, ale z tak kiepskich pozycji, że Niemcy zdążyli wyskoczyć do rowu i dać silny ogień, a nim zdołaliśmy się zbliżyć, spokojnie odjechali. Byłem wściekły, Dąb też czuł, że się skompromitował, więc mówił mi: «No, Puhacz, następny raz to ty będziesz dowodzić». Nie miałem wątpliwości, że tak będzie. Na razie jednak ku memu zdumieniu okazało się, że akcja była «udana», gdyż Niemcy zwolnili więźnia, a on przesłał podziękowanie za «odbitcie». Widocznie więc była jakaś umowa, może transakcja i potrzebny był tylko pretekst, żeby mogli wypuścić jeńca. Może Dąb też miał instrukcje, żeby tylko sfingować atak, nie czyniąc w istocie krzywdy. Jeśli tak było, wykonał rozkaz po mistrzowsku.

Byłem także świadkiem innego wydarzenia, będącego już jawnym wynikiem handlu z Niemcami. Licho wziął pewnego dnia moją drużynę jako ubezpieczenie spotkania z oficerem niemieckim, od którego miał odebrać parę skrzynek amunicji. Leżeliśmy w lesie przy drodze, na którą wyszedł sam Licho, po chwili nadjechał samochód osobowy, wysiadł Niemiec, chwilę rozmawiał, drugi Niemiec, zapewne szofer, położył przy drodze skrzynki, i odjechali. Wtedy nie dociekałem, na jakich warunkach rzecz się dokonała, grunt, że mieliśmy tę bezcenną amunicję. Później, już w Ameryce, Licho-Szabunia indagowany przez historyka AK Zbigniewa Siemaszkę, któremu mówiłem o tym epizodzie, wyjaśniał, że była to transakcja, do dziś nie wiem, za jaką cenę, w jakiej walucie ani też na jakim szczeblu zawarta.

Teraz, 1 lipca 1944 roku wszystkie wcześniejsze układy i transakcje były już nieaktualne. Do Niemców można wreszcie bez ograniczeń strzelać, także dzięki wyhandlowanej od nich

amunicji, szosa została podzielona, chociaż niewiele oddziałów zdążyło z tego «przydziału» skorzystać, ale też nikt zbyt nie liczył z granicami wyznaczonych łowisk. Także i ja, chcąc dopaść szosy, nie interesowałem się odcinkiem przydzielonym naszej kompanii kilka kilometrów na północ i na południe od Bieniaków, ale studiując mapę wybrałem punkt bardziej odległy, na południe od Werenowa, gdzie szosę przecinał tor kolejowy, a układ drogi i dochodzący do niej las stwarzały najlepsze warunki do zasadzki. Wyszliśmy o zmierzchu. Trzeba było przejść kilkanaście kilometrów drogami i drózkami polnymi i najpóźniej o świcie być na miejscu, a noc była krótka. Było nas ośmiu czy dziewięciu, mieliśmy jeden erkaem, jeden pistolet maszynowy, karabiny, trochę granatów. Ja miałem mauzera, bodaj ze zdobytych w Podweryszkach. Szliśmy szybko, bez szczególnej ostrożności, bo cały teren był już w naszych rękach i nie było obawy natknięcia się na obcych. Zbliżając się do jakiejś większej drogi posłyszałem głosy i tupot. Padliśmy na ziemię i wtedy na tle nieba zaczęły się przesuwać sylwetki ludzi - jedna, druga, dziesiąta, potem jacyś konni i znów szereg cieni, czasem było widać karabiny na ramionach, i tak trwał ten pochód kilka długich minut, aż ostatni zniknęli w ciemności. Był to któryś z naszych oddziałów, może batalion Krysi, może jakiś inny przemieszczający się pod osłoną nocy. Dla mnie ten widok był bardziej wymowny niż parada wojskowa na dyrwanie koło Rakliszek: tanto mimo starań dowódców było czymś sztucznym, udawaniem armii, barwną nierzeczywistością; tu miałem przed oczyma niby teatr cieni, ale prawdziwy i realny - ciemne sylwetki wyrastały z ziemi jak pnie lub krzaki i szły nie zrywając swych korzeni; do tego krajobrazu i ja należałem idąc tej nocy ku szosie, którą miałem zagrozić. W wiele lat później ten widok przypomniał mi się, gdy oglądałem zakończenie filmu Siódma pieczęć, gdzie podobne postacie bohaterów Bergmana przechodzą na tle nieba prowadzone przez tańczącą Śmierć. Nie wiem, dokąd wtedy doszedł ten oddział, kto z niego zginął, kto ocalał. Gdy znikły ostatnie sylwetki, podnieśliśmy się z ziemi i też szliśmy szeregiem śpiesząc w kierunku szosy, żeby nadrobić czas, bo zaczynało już świtać.

Szosa, tor kolejowy i prymitywny szlaban. Obok mały domek dróżnika. Przy szosie głębokie rowy, to ważne. Las, który miał dochodzić do samej drogi, jest wycięty na jakieś sto metrów, więc nie ma dobrego podejścia. Szosa jeszcze pusta, Niemcy nie lubią jeździć nocą. Będziemy więc czekać w tym domku, tuż przy przejeździe. Dróżnik i jego żona wystraszeni, ale przyjaźni: tak, Niemcy jadą od samego rana, zwykle w dużych kolumnach, ale trafiają się i pojedyncze samochody. O, właśnie się zaczyna! Na widocznym na kilometr odcinku szosy pokazuje się kilka ciężarówek, to za dużo jak na nas, więc schylamy się, żeby nas nie dojrzeli. Kolumna przejeżdża tuż obok i znika na zakręcie za torem. Chwila ciszy i znów jedzie następna, potem jeszcze jedna. Aż nagle w perspektywie szosy pojawia się pojedynczy samochód, zbliża się, więc biegiem na wyznaczone stanowiska! Ale nie! Wróć! Za nim znów jedzie kolumna, nie zdążymy. Kierowca przemknął koło domku nieświadomy, że otarł się o śmierć. «Ale im się udało» - mówi któryś z naszych. Patrzą znów przez lornetkę. Kolumna, kolumna i znów pojedynczy osobowy. Uwaga! Jest już w pół drogi, a za nim wciąż pusto, więc na stanowiska! Wołam: «Zamykaj szlaban!» - a sam z dwoma innymi wskakuję do rowu przy szosie. Samochód zbliża się, zwalnia przed szlabanem [Ordnung muss sein, widocznie będzie szedł pociąg], zwalnia i staje tuż przed nami. Wychyłamy się z rowu, tam za szybami ich twarze, widać, że nas spostrzegli, ale to tylko chwila, bo już strzelamy jak do tarczy - raz, drugi, potem skok do samochodu: dwaj leżą na siedzeniach, ochlapani w jakichś

bryzgach, jeden z nich nie ma dolnej szczęki, trzeci, kierowca, wypadł na zewnątrz, ale żyje, Marmyha dobija go z automatu. Wyrrywamy broń: automat [PPD, o którym już wspomniałem], parę pistoletów, ten z przodu, bodaj oberst-pułkownik ma skórzaną torbę z papierami - potem się okazało, że były w niej ważne dokumenty operacyjne, szybko zresztą zdezaktualizowane - ten z tyłu, bez szczęki, to bodaj kapitan. Wywlekamy ich na zewnątrz, ażeby zabrać samochód, ale silnik zgasł i nie chce zapalić, może gdzieś przestrzelony, a może nie umiemy go uruchomić. Myślę, że trzeba by go spalić, ale już ten z ubezpieczenia woła, że jedzie nowa kolumna cięża-rówek, więc biegiem ze zdobyczą do lasu; kątem oka widzę, że dróżnik z żoną też uciekają niosąc jakieś tłumoczeki i słusznie, bo gdy jesteśmy już przy lesie, samochody zatrzymują się przed szlabanem, słyszę krzyki, jazgot, Niemcy zaczynają beładnie strzelać, ale do pościgu się nie kwapią. Na domiar zamieszania tuż nad torem leci ich wywiadowczy samolot, tak zwany Storch [bocian], żałowałem później, że nie spróbowaliśmy go zestrzelić, ale zbyt szybko przemknął nad pobojuwiskiem, a my zanurzyliśmy się w las. I tak na mojej karcie rozliczeń z Niemcami zapisałem po stronie «ma» tę kwotę, która pozwoliła mi nigdy potem nie czuć kompleksu nie wyrównanych krzywd, tym bardziej że wkrótce dopisałem dalsze rachunki.

Wcześniej przygotowaliśmy napad na Wielkie Soleczniki, duży majątek Wagnerów, w którym podobnie jak w Podweryszkach stała załoga niemiecka, i to jak się zdaje liczniejsza i lepiej uzbrojona. Miałem przeprowadzić rozpoznanie obiektu, bo w przeciwieństwie do Podweryszek nie mieliśmy tam odpowiednich informatorów. W sąsiedniej wsi Warnakiele przebrałem się w ubranie cywilne pożyczone od Dziechkańca, dawnego ekonomy podweryskiego, który miał tam swe gospodarstwo. Jego żona była naszą dawną służącą, a syn był moim chrześniakiem, więc byłem tam prawie jak w domu. Ubrany jak chłop i na chłopskim wozie ruszyłem do Solecznik, w miarę możliwości jadąc koło różnych zabudowań dworskich, w których mogły się mieścić kwatery i stanowiska niemieckie. Był to duży majątek z okazałym pałacem i pięknymi budynkami gospodarczymi, wśród których wyróżniała się ogromna chlewnia. O Wagnerach opowiadano w okolicy złośliwy wierszyk: «Dziwne są losu wyniki, dziad przyszedł z małą, syn miał aptekę, wnuk Soleczniki», co wprawdzie nie było zgodne z prawdą, ale oddawało pewną aurę towarzyszącą tej rodzinie, wybijającej się zamożnością ponad sąsiednie ziemiaństwo. Teraz właściciela ani nikogo z jego rodziny nie było w Solecznikach, pałac był splądrowany, stacjonowali w nim Niemcy, były też jakieś bunkry. Przejechałem nie zaczepiony, ale żeby lepiej rozejrzeć się w sytuacji, położyłem się na brzegu niedalekiego lasu i obserwowałem, co się dzieje we dworze. Zbliżał się wieczór i wtedy, czy to dlatego, że mnie zauważyli i wzbudziłem podejrzenia, czy też jako zwykły zabieg przedwieczorny «na wszelki wypadek», zaczęli ostrzeliwać tę część lasu, w której się znajdowałem, z karabinu maszynowego, a potem z granatnika. Wybuchy były niepokojąco bliskie, więc musiałem rejterować. Wróciłem do Warnakieli, a potem do kompanii z przekonaniem, że z zaskoczenia nie da się ich łatwo podejść. Sprawa okazała się jednak bezprzedmiotowa, bo w parę dni później Niemcy opuścili Soleczniki, a my po paradzie w Rakliskach i po moim wypadzie na szosę weszliśmy swobodnie do tego majątku, rekwirując jakieś wozy, konie i zapasy żywności. Był to już początek marszu na Wilno, otwierający okres zwany przez ówczesne dowództwo i dzisiaj-szych historyków akcją «Burza», przez nas zaś «akcją wileńską», okres będący krótką kulminacją działalności

Armii Krajowej na naszych Kresach i godziną prawdy, w której wszystkie karty zostały odsłonięte.

### **Na Wilno i do puszczy**

Marsz na Wilno rozpoczęliśmy 3 lipca, ale tego dnia my, szeregowi żołnierze, nie wiedzieliśmy jeszcze, jakie zadanie stoi przed nami, i nie wyobrażaliśmy sobie, że może być ono tak wielkie. Dotychczasowy wymiar naszych działań, zakres - jak się zdawało - naszych możliwości, to napady, zasadzki i potyczki, walka w najlepszym razie o miasteczko, starcia z niewiele liczniejszym przeciwnikiem. Teraz, w miarę trzy-dniowego marszu stawało się coraz bardziej oczywiste, że zbliża się czas działań w zupełnie innej skali, której zapowiedzią były odgłosy nadciągającego od wschodu frontu, niczym prawdziwej burzy błyskającej już na horyzoncie.

Szliśmy szerokim łukiem, omijając nieprzyjazną nam puszcę, kierując się już poza torem i szosą polnymi drogami ku północy. Drugiego dnia Licho postawił kropkę nad «i». «Będzie ciężka walka - oświadczył przed frontem całej kompanii. - Będą zabici i ranni. Jeżeli ktoś nie chce brać w tej bitwie udziału, to może iść do domu. Wystap!» Na te słowa wystąpiło bezwstydnie kilku, może siedmiu-ośmiu żołnierzy, wśród nich bodaj wszyscy synowie fornali podweryskich, którzy bardzo niedawno dołączyli do oddziału, a teraz skwapliwie skorzystali z furtki umożliwiającej im odwrót. Czy był to tylko przypadek, czy też kondycja fornala istotnie miała wpływ na ich postawę inną niż postawa rówieśników z wiosek i z miasteczek? Licho kazał im oddać broń, a potem w lewo zwrot i biegiem naprzód marsz! «Hu-ha! - krzyknął, gdy zaczęli biec - hu-ha!» Kompania powtórzyła ten okrzyk, zaczęliśmy gwizdać, hałasować, a oni w tej sromocie przemknęli i co prędzej znikli za krzakami. Nie był to zły pomysł, bo nie tylko pozbyliśmy się mało użytecznych żołnierzy, ale też dla pozostałych scena ta była potwierdzeniem własnej wartości, podnosiła ducha, dodawała bojowego ani-muszu. Później jeszcze parokrotnie odpowiadałem na pytanie: «kto chce wracać do domu?», a także sam stawiałem podobne: «kto chce zostać w lesie?» - wtenczas jednak nie było już nastroju do pohukiwania i gwizdów za odchodzącymi, bo okoliczności były bardziej dramatyczne. Na razie jednak fala emocji wzrastała, wylewała się w śpiewach, nabierała barw entuzjazmu, gdy przestało już ulegać wątpliwości, że będziemy zdobywać Wilno. Wilno. Wilno!

Na piaszczystych drogach wiodących w stronę miasta zaczyna być tłoczno. Z naszego batalionu idą dwie kompanie, trzecia gdzieś się zapodziała, zmienił się także, co dziwniejsze, dowódca batalionu, bo zamiast Truszkowskiego-Sztremera jest nim teraz jakiś Bustromiak, którego nie znamy i który nas nie zna. Osobliwy to pomysł wymieniania dowódcy tuż przed decydującą bitwą, ale mało się wtedy tym przejmowaliśmy, widocznie sztab wie, co robi. Zresztą ten nowy prawie wcale się nie pokazuje, a wkrótce w ogóle zniknie z naszego pola widzenia. Idziemy, z tyłu ciągną nasze tabory, zdobyczne w Podweryszkach wozy konne, a także - tu wielka radość - jakaś ciężarówka, na niej nasze plecaki i żywność oraz beczka z zapasem benzyny, którą kiedyś po nocy wykradłem z podweryskiego magazynu. Po drodze spotykamy inne oddziały, zapewne z okręgu wileńskiego, przyglądamy się sobie z ciekawością, taksujemy nawzajem uzbrojenie, przekrzykujemy się. Już niezbyt daleko od miasta wyprzedza nas jakiś oddział, widocznie taki jest rozkaz - dobra broń, mundury i twarze jakby nietutejsze. Idą długą kolumną, w środku oficer w okularach, o wydatnym nosie, zwracający uwagę swym wyglądem. Nie wiedziałem wówczas, że był to Bolesław

Piasecki, a przechodzący przed nami oddział to UBK - Uderzeniowy Batalion Kadrowy, jak nazwał - chyba nawiązując do Pierwszej Kompanii Kadrowej - swoją gwardię uformowaną w Warszawie i przerzuconą potem na Kresy. Jeszcze w Podweryszkach dochodziły o niej jakieś słuchy, kiedyś jeździł do nich Stefan Burhardt i później opowiadał, że jest to odrębna formacja z własnym programem politycznym, przybyła na Wschód, by walczyć o «Polskę wielką». Nie słyszeliśmy wtedy ani do końca wojny o innych organizacjach wojskowych poza naszą Armią Krajową, o żadnych Armjach Ludowych, Batalionach Chłopskich czy jeszcze jakichś formacjach, a sam pomysł oddziałów nie podporządkowanych naczelnemu dowództwu w Londynie byłby dla nas czymś całkowicie absurdalnym. Toteż i wiadomość o owym UBK przyjmowałem z pewną rezerwą, skoro jednak głosili, że walczą tu o Polskę wielką, co w tym przypadku musiało znaczyć «o Kresy Wschodnie», nie było powodów do zastrzeżeń. I rzeczywiście, w walce o Wilno batalion ten szedł bezpośrednio przed nami, odważnie i ofiarnie, ponosząc straty znacznie większe niż my.

Ten marsz na Wilno, zbliżanie się do miasta, dawały złudzenie siły i wolności, jakiego nie zazналиśmy od początku wojny. Nie myśleliśmy, co niesie ze sobą nadciągający front, którego błyski i huki były coraz bliższe. Na pewno już o tym pomyśleli nasi dowódcy, nasz rząd, a my? - bylebyśmy zajęli miasto, będziemy na swoim. Nikomu nie przycho-

dziło do głowy, że może się nie udać. Bo przecież... Tu ponownie posłużę się tekstem, który napisałem w dwa lata po tych zdarzeniach i który jako Andrzej Porojść drukowałem w «Tygodniku Powszechnym». Fragment ten, mimo że pisany przez młodego autora i bardzo emocjonalny, oddaje ówczesną rzeczywistość chyba wierniej niż dzisiejsze spojrzenie z półwiekowego dystansu, a nawet wierniej niż starannie zgromadzony materiał historyczny. Zresztą już wtedy, gdy to pisałem w Krakowie, jako student uniwersytetu, pojawiał się pewien dystans do wydarzeń, zawarty choćby w samym tytule Omyłki leśne, jakim opatrzyłem ten zestaw czterech obrazów ułożonych wedle pór roku. Teraz jest lato, 6 lipca 1944 roku. Było wtedy tak, a może zdawało mi się, że właśnie tak to było:

A noce są już krótkie, upalne, śpieszą się jedna za drugą, jakby się obawiały, że wypadki je zaraz przegonią. Na niebie świecą stada rakiet, sklepienie odbija huk motorów, jak kopuła kościelna grę wielkich organów. «W lasach» z każdą chwilą oddziały rosną w liczbę, zbierają się w coraz większe gromady, zda się, że cała puszcza ich nie pomieści, zapelniają wsie, przesuwiają się jawnie po drogach. To już wojsko prawdziwe, maszerujące w wyciągniętych czwórkach; krok stu butów, biel z czerwienią na opaskach rękawów i śpiew, hymn partyzancki. ...Przebojem iść, a los iść musi z nami, A jeśli nie, to przełamiemy los. Duma. To wszystko stworzone z niczego, wszystko zdobyte, ani jednego karabinu z powietrza, ani jednego darowanego naboju.

...Bo nasza pieśń nie pachnie rozmarynem, Nie ma w niej dziewcząt ni pachnących ust. Pycha. Poczucie rzeczywistej siły. Ciężar automatu na piersi i granatów za pasem. Narkotyk liczby. To już nie dziesiątki ani setki. Masy wojska przesuwiają się w ciemności, ocierają się siebie.

Czołem, brygada Trzecia.

Czołem, brygada Ósma.

Do zobaczenia na Placu Katedralnym!

Po drogach biegają patrole konne. Z lasu wyjeżdża kolumna aut

i sunie bez świateł, z ciężkim szumem motorów. Własne maszyny...

...Mścicielska pięść wymierzy sprawiedliwość, A my swą pieśń podniosiem aż do gwiazd. Bo nasza pieśń... Ostatnia noc, ważna każdym szelestem, drogocenna każdą sekundą. Zdążyć trzeba za wszelką cenę, póki ciemność leży na wzgórzach. Od forsownego marszu ślina zasycha, nogi grzęzną w piachu. Północ, pół do pierwszej, pierwsza. Żadna moc już bitwy nie zatrzyma. Zbliża się nieodwołalnie, idzie tuż za pierwszym blaskiem świtu. Można o niej już myśleć spokojnie, bez nerwów, jak o czymś zupełnie zwyczajnym. Ona już jest nasza. Za dwie godziny będziemy strzelali, za półtorej, za godzinę... Kurzawa z mgłą. Gdzieś na dole dużo ludzi, dużo koni. Głuchy szum. Zza tumanu księżyc niejasny; na broni kładzie się sino, kręgi na hełmach i czołach. Hełmy-oczy, hełmy-oczy. Serce do gardła się ciśnie, mowę więzi. Za bijącymi tętnami sam Czas nie może nadążyć. Nad ranem opar się wzmacza. Miasto w kotlinie, miasto pod mgłami. Nawet wieże kościołów tumanem zasłonięte. Miasto do świtu nie śpi. Czeka i słucha. Czeka, żeby

wybiec z krzykiem radości, żeby pomagać, prowadzić, walczyć razem z swoimi chłopcami, którzy ze wszystkich stron ku niemu podchodzą. Miasto od wieczora patrzy ku wzgórzom i wsłuchuje się w noc. O świcie pierwsza seria cekaemu bije długim, długim, z głębi duszy wydartym okrzykiem. Głos łamie się gdzieś w przestrzeni i powraca odbity od pagórków, jak dźwięk sarkastycznego, zamierającego śmiechu. Hełmy podciągnąć i w tyralierę!

...Bo nasza pieśń nie brzęczy łańcuchami

Tak widziałem i słyszałem początek tej bitwy, która była tematem wielu wspomnień uczestników i opisów historyków, rysujących bardziej realistyczny - ale czy przez to prawdziwszy? - obraz tych wydarzeń. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak drobną stanowiliśmy część sił, które się w tych dniach ścierały wokół Wilna i o Wilno. Niemcy na swoich mapach operacyjnych, które po latach zostały opublikowane, zaznaczyli wprawdzie nasz udział w natarciu od wschodu, ale określili nasze oddziały jako Banden. Była zapewne w tym słowie zawarta pogarda wobec całego narodu i jego armii podziemnej - w jednym z dokumentów z tegoż czasu pisali o tysiącach «wszawych Polaków» zbliżających się do Wilna - ale była też i rzeczowa ocena naszych możliwości. Nadciągających zaraz za nami wojsk sowieckich, choćby najbardziej zawszonych, nie nazwali nigdy bandami.

Nie zdawaliśmy też sobie sprawy, że niektóre oddziały nie zdążyły nadciągnąć, nie podporządkowały się rozkazowi lub nie dotarły do Wilna w wyniku bałaganu. Takie zaniedbania, a co gorzej - uchylanie się od walki, były dla nas wręcz nie do pomyślenia. Generał Wilk miał świadomość tych okoliczności, ale jako zawodowy oficer skwitował sytuację w rozmowie z Jarema, jednym z dowódców kierujących akcją: «Cóż, c'est la vie». Jarema odpowiedział wtedy: «Nie, cest la mort». O tej wymianie tak skrajnie rozbieżnych poglądów wiem z opowiadań żony Jaremy [Czesława Dębickiego], która była bliską przyjaciółką mojej Matki. Dębiccy mieli nieduży majątek Siedliszcze koło Wołożyna, byłem tam z Rodzicami tuż przed wojną. Czesław Dębicki, który był też posłem na sejm, mówił wtedy o obronie przed bolszewikami na wypadek najazdu, mieszkali bowiem blisko granicy. Później działał w konspiracji, był dowódcą obwodu oszmiańskiego; widząc sytuację, w jakiej znaleźliśmy się pod Wilnem, dzielny ten człowiek wyczuwał śmiertel-

ne zagrożenie naszej armii. My jednak nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Hełmy podciągnąć i w tyralierę!

Zaraz za wsią Góry zaczynały się już przedmieścia Wilna. Wieś ciągnęła się wzdłuż drogi zwanej Czarnym Traktem, którym właśnie cofały się od wschodu w stronę miasta niemieckie tabory. Wyszliśmy na nich szerokim frontem, przeskakując lub rozbijając jakieś płoty. Tamci rzucili się na drugą stronę drogi, jedni uciekli, inni zaczęli strzelać. Jeszcze jest ciemno, pierwszy świt, więc raczej po błyskach z lufy niż po szarej sylwetce rozpoznaję Niemca, który przykucnął w krzakach za rowem i broni się krótkimi seriami. On, a może któryś inny trafił w rękę mego erkaemistę Topora [to ten, który ocalał z Koniuch], więc biorę jego erkaem, a moje zdobyczne PPD bierze stojący obok Licho i teraz wspólnie staramy się tego Niemca uciszyć. Strzelam z erkaemu na kierunek, bo dobrze nie widzę, strzela Licho, a dobiegł jeszcze wuj Kazimierz i w szarzejącą kępę krzaków rzucił granat. Kępa ucichła, nie

wiem, za którego z nas trzech sprawą, a my już biegniemy dalej przez ogrody, pole, jakiś Niemiec stanął z podniesionymi rękami - Mieczka ściał go z automatu niczym chwast przydrożny, bo nie w głowie nam teraz branie jeńców. Jest już jasno, z mijanych chat, domków wybiegają ludzie, cieszą się, machają nam, coś krzyczą. Przypomina mi się niedawna noc, gdy po cichu wchodziliśmy do Ejszyszek, a ludzie stali przy

domach i witali nas wspólnym milczeniem. Teraz nikt już nie milczy, niczego nie udaje. Wyszliśmy z nocy, idziemy w biały dzień i mamy dojść aż na Plac Katedralny, jak podano w rozkazie dowództwa przed rozpoczęciem natarcia.

Na razie jest chwila oddechu. Leżymy tyralierą szeroko rozciągniętą na skraju parowu schodzącego w stronę Wilenki. Przed nami narasta strzelanina, to UBK idący w przednim rzucie wdał się w walkę z załogą niemieckich bunkrów osłaniających z tej strony miasto. Hałas narasta, broń maszynowa, granaty, widocznie ciężko to idzie, ale przecież się posuwają. Odezwała się artyleria, przed nami gejzery wybuchów, pokazały się samoloty, krążą to wyżej, to niżej, strzelają. Chwila oddechu przeciąga się, zaczyna drażnić. Czemu nie idziemy dalej, skoro dotąd wszystko szło dobrze, a tym z przodu należy się wsparcie? Ale nie ma rozkazu. Z prawej strony, od Kolonii Wileńskiej narasta łomot strzałów, to pociąg pancerny. Samolotów coraz więcej, coraz niżej latają, od lewej podnosi się dym, jakiś dom się pali.

Chwila oddechu staje się nieznośna. No, nareszcie jest rozkaz. Co? Jak to? Pięćset metrów do tyłu? Ale dlaczego? Taki rozkaz! To już jest koniec, coś pękło gdzieś poza nami i w każdym z nas. Te pięćset metrów do tyłu to już inna droga niż ta, którą biegliśmy przed godziną. I co dalej? Zapadamy na tej linii i znów każą się cofać, już bez liczenia metrów. Słońce zaczyna przygrzewać, tu i tam jeszcze strzały, znów przed nami seria wybuchów artyleryjskich, może lotnik podał im nasze położenie, samoloty jak osy, wyżej, niżej, aż nadleciał taki o dwóch kadłubach i ze strasznym rykiem gnał tuż nad polem, po którym myśmy biegli, gnał tak nisko, że wydawało się, iż zmiażdży nam głowy, leciał, strzelał, znów nawracał jak kosiarka na polu, a my czuliśmy się wgnie- ceni przezeń w ziemię, do której przylegaliśmy całym ciałem, rękami zgarnialiśmy nad sobą kłosa, bo to było w zbożu, które już dojrzewało, i te rzadkie kłosa miały nas osłonić przed wzrokiem pilota, przed hukiem i przed seriami bijących w ziemię pocisków. Wreszcie odleciał i chociaż nie zrobił istotnych szkód, to przecież skruszył resztki nadziei na powstrzymanie odwrotu. Teraz biegliśmy już ile sił przez to pole, żeby jak najprędzej dostać się do zbawczego lasu. Było już koło południa. Upał. Erkaem ciążył mi coraz bardziej, już ledwie dyszę, ledwie idę, wtedy przyszedł mi z pomocą Ślązak - to był pseudonim żołnierza, już dojrzałego mężczyzny,



zmobilizowanego przez Niemców na Śląsku, który uciekł i trafił do naszej kompanii. Wziął ten erkaem i niósł go dłuższy czas, aż przyszedłem do siebie, i tak doszliśmy wreszcie do lasu. Samoloty uspokoiły się, przestały zajmować się nami, a zaczęły ostrzeliwać i bombardować jakieś inne cele za lasem. Były to, jak się wkrótce okazało, pierwsze czołgi sowieckie zbliżające się już do Wilna. Żołnierzy sowieckich zobaczyliśmy pod wieczór. Byliśmy już jako tako uporządkowani po bezładnym odwrocie, by nie rzec - ucieczce spod Wilna, i odpoczywaliśmy właśnie przy jakiejś drodze polnej, gdy pokazali się na niej pierwsi bolszewicy. Szli swobodnie, w niewielkich grupkach, jechały też jakieś wozy wyładowane tłumokami, na których siedziały kobiety. Żołnierze przyglądali się nam, czasem zagadywali, któryś zarecytował: «Partizantśkije otriady zanimali goroda...» - słowa ze znanej piosenki o bolszewickich partyzantach nad Amurem. Patrzeliśmy na tych «sojuszników» z ciekawością, ale bez szczególnej obawy czy nawet niechęci. Wydawało się, że teraz mimo różnych niedobrych doświadczeń istnieje szansa, a nawet konieczność ułożenia poprawnych stosunków. Wydawało się, że jesteśmy ich równorzędnymi partnerami, może nieco słabszymi i gorzej uzbrojonymi, ale przecież stanowimy część polskiej armii, z którą muszą się liczyć. Wkrótce zaczęły też krążyć pogłoski, że mają nas dozbroić, że stworzymy własną dywizję, która dostanie swój odcinek frontu. Na razie zebraliśmy się we wsi w pobliżu Turgieli, około dwudziestu kilometrów na południowy wschód od Wilna, gdzie lizaliśmy rany, umacniali organizację i czekali na dalsze decyzje. Dochodziły niejasne wiadomości o trwających w Wilnie walkach, potem i one ucichły. Miasto było znów w rękach sowieckich, ale my czuliśmy się suwerenni z bronią, z własnym dowództwem i na własnej ziemi.

Stan niepewności i wyczekiwania na dalsze postanowienia i rozkazy trwał z dziesięć dni. Szykowaliśmy się na «wielką wojnę» na froncie. Z radia londyńskiego dowiadywaliśmy się, co się dzieje w Wilnie, i dziwiliśmy się, że nikt nie mówi o naszym udziale w walce o miasto. Front przez te dni przesunął się daleko na zachód i nie natykaliśmy się ani na Niemców, ani na żołnierzy sowieckich, a tylko po jakimś czasie pojawiła się ciężarówka z kilku bolszewikami. Zatrzymała się i tkwiła stale na ulicy wsi, w której stacjonowaliśmy - my jednak nie zwracaliśmy na nią większej uwagi: niech sobie stoją, jeśli mają ochotę, przynajmniej widzą, jacy jesteśmy silni! Istotnie, mimo pewnych strat i rozproszenia pod Wilnem kompania nasza odzyskała swój stan początkowy, bo zaczęli dopływać nowi. Między innymi 17 lipca pod wieczór zjawił się Jurek Wróblewski - Dżul, którego matka zabrała z Podweryszek, a który teraz czując się chyba niezręcznie, gdy wszyscy jego koledzy byli w partyzantce, a kilku w czasie walk o Wilno zginęło, postanowił jednak wyruszyć na wojnę, chociaż nie było jasne, jak ta wojna teraz ma wyglądać. Przez przypadek trafił na naszą kompanię i został przydzielony do mojej drużyny. «Cóż ty - powiedziałem mu wtedy - przychodzisz już po wszystkim, na sam koniec?» Nie wiedziałem, nie domyślałem się, że to nie koniec, ale początek. Początek nowego okresu w dziejach wojennych Wileńszczyzny i jej żołnierzy.

Ten wieczór był ciepły i pogodny. Pogodny był też nastrój; żartowaliśmy, śpiewaliśmy, krążyli po wsi do późna. Ciężarówka sowiecka gdzieś odjechała - to i dobrze. Poszedłem spać pewnie niewiele przed północą, ale gdy tylko zadrzemałem, powstał jakiś szum, alarm, zbiórka z całym ekwipunkiem - coś się dzieje, coś chyba bardzo poważnego, to na pewno nie żarty ani ćwiczenia, ale co? Nic nie wiemy, ale przeczuwamy. Coraz wyraźniej czujemy narastające ciśnienie. Nie palić świateł, ładować tabory. Ze świtem cała kompania zaczyna

marsz na zachód, razem idą jakieś inne oddziały. Cisza, przygnębienie. Koło Jaszun mamy przeciąć szosę Wilno-Lida, wystawiamy w obie strony erkaemy na ubezpieczenie przeprawy. Przecinamy szosę, przecinamy tor, to znaczy że wchodzimy do Puszczy Rudnickiej, przed nami, za nami idą inni, cały leśny trakt wypełniony wojskiem, jadą wozy taborowe, jakiś samochód. Powoli sytuacja stawała się całkiem jasna, chociaż nie wiedzieliśmy jeszcze o aresztowaniu Wilka i innych oficerów [o czym nasi dowódcy byli już powiadomieni], o otaczaniu, rozbijaniu i aresztowaniu wielu oddziałów. Było przecież już oczywiste, że pokój z bolszewikami skończył się, że jesteśmy na wrogiej stopie. Wobec tego co dalej? Ale niech się o to martwi nasze dowództwo.

Na szerokiej drodze leśnej wyprzedził nas samochód wojskowy, łązik, a w nim kilku oficerów. Jeden z nich stał zwrócony do tyłu i patrzył przez lornetkę. Zauważyłem, że nie miał jednej ręki czy też przesłaniał mu ją temblak. Poszła wieść, że to Kotwicz i że on dowodzi wojskiem. Pseudonim ten wtedy niewiele mi mówił, ale postać zapamiętałem.

Trakt prowadził do Rudnik, wsi położonej w środku puszczy. Po lewej stronie mieliśmy las wypalony widocznie w czasie działań frontowych przed paru tygodniami, bo pogorzelsko było świeże. Na tym odcinku dogoniła nas i zaczęła wyprzedzać kolumna sowieckich amfibii. Na każdej z nich jechało po kilku żołnierzy, siedzieli swobodnie na burtach zwróceni w naszą stronę, z automatami na piersiach, przyglądali się nam, a my im. Wtedy od czoła naszej kolumny przeszedł podawany cicho z ust do ust rozkaz, żeby niepostrzeżenie ładować broń, więc ostrożnie odciągaliśmy zamki automatów, repetowali karabiny, przesuwali na pasie granaty, aby było poręczniej - i czekaliśmy na ten pierwszy strzał, po którym rozpocznie się piekło. Oni zapewne widzie-

li te nasze przygotowania i też pewnie mieli odbezpieczoną broń, i też czekali - ale ani nam, ani im nie było pilno, bo dla obu stron było jasne, że niewielu przeżyje pierwszych dziesięć sekund walki. Oni byli na swoich amfibiach jak na tarczy, my mieliśmy za sobą wypalony las bez krzaków ani drzewek dających jakąś zasłonę, więc szanse wycofania się były prawie żadne. Toteż fatalny strzał nie padł, powoli nas wyprzedzali, było tych amfibii kilkadziesiąt, aż minęli nas całkiem, a my skręciliśmy w lewo, w las, bo właśnie wypaleniska się skończyły i mogliśmy zanurzyć się w bujną zieleń schodzącą ku Merezance. Tu był bród, przez który przechodziliśmy po pas w wodzie, wozy też jakoś przejechały, ugrzązł tylko i został na brzegu łązik Kotwiczą, on sam szedł już dalej pieszo. Przeprawa trwała czas jakiś, nad puszcza krążyły samoloty, więc urządziliśmy przy brodzie stanowisko przeciwlotnicze z paru erkaemów opartych na gałęziach drzew, dopóki całe wojsko nie przepравиło się na drugą stronę.

Za Merezanką las był mieszany, z podszyciem, rosły tu wysokie paprocie. W porównaniu z marszem przez wypaleniska dawało to znacznie większe poczucie bezpieczeństwa. Ale właśnie przyszedł rozkaz, że nasza kompania ma iść na końcu jako osłona całego wycofującego się w głąb puszczy wojska. Przypomniały mi się wtedy jakieś opowieści historyczne o ariergardach i mimo całego ich patosu nie były to porównania przyjemne. Ale patosu i tutaj nie zabrakło. Leżeliśmy w paprociach wzdłuż leśnej drogi, którą zaczęła nadjeżdżać znów ta sama kolumna amfibii. Widocznie przeprawili się przez Merezankę po moście w Rudnikach i teraz chcieli nas dogonić, co miało być dalej - trudno zgadnąć. Może liczyli na zastraszenie, sądzili, że na ich widok złożymy broń i damy się odprowadzić, jak wiele innych oddziałów, do obozu na zamku w Miednikach, może mieli rozpocząć walkę,

którą dokończyłyby ściągnięte szybko posiłki, a może tylko chcieli nas pilotować w głąb puszczy, by potem zorganizować okrążenie. W każdym razie nic z tych czy innych jeszcze planów nie doszło do skutku, bo gdy my leżeliśmy z bronią gotową do strzału, Kotwicz sam jeden wyszedł przed pierwszą nadjeżdżającą amfibią i podniósł w górę rękę, tę jedną, jaką miał, a oni zatrzymali się. Działo się to o parędziesiąt metrów ode mnie, widziałem tę scenę, ale dobrze nie słyszałem rozmowy. Wydaje mi się, że Kotwicz powiedział po rosyjsku: «Zawracajcie albo zaraz otwieramy ogień». Licho, który też to widział i słyszał, podaje w swych wspomnieniach nieco inne słowa Kotwiczą: «Poszli won, łachudry!» - w każdym razie po krótkiej, napiętej chwili pierwsza amfibia, a za nią cała kolumna zaczęła zawracać. Wstaliśmy z tych paproci i patrzyliśmy za nimi szyderczo, oni coś klęli, aż znikli za drzewami - i tak się zakończyło pierwsze starcie bez starcia, w którym odwaga i determinacja dowódcy odniosły zwycięstwo.

To była krótka chwila tryumfu. Szliśmy raźniej w głąb puszczy mając świadomość, że jest dowódca, który kieruje marszem i na pewno wyprowadzi nas na właściwe drogi. Na razie jednak dróżki leśne plątały się i znikały, puszcza stawała się coraz bardziej wilgotna, podmokła, zbliżaliśmy się do bagiennego jeziora Kiernowo, którego nazwa w języku litewskim ma znaczyć tyle co topiel - i tam zapadliśmy na odpoczynek. Wozy z żywnością, zapasową bronią i amunicją dojechały do jakiejś wysoczyzny i tam już zostały. Rozdzielono więc wszystko, co się dało: po porcji chleba i słoniny, garść dodatkowych naboju, na ognisku nagotowano w kotle kaszy. «Z rana nadlecą samoloty i zbombardują wozy, a my tymczasem wyjdziemy gdzieś dalej» - tłumaczył któryś z dowódców, my zaś przyjmowaliśmy te słowa jako pewnik. Widocznie wie, co mówi. Teraz był już wieczór, samoloty przestały latać nad puszcza, noc zapowiadała się spokojnie, bo któż by miał nas w tym bagnie niepokoić.

Ze snu na podmokłej ziemi wyrwały mnie bliskie strzały. Jakiś oddział sowiecki doszedł za nami aż tutaj i zaczęło się. Prędko się wycofali, bodaj paru z nich zostało na tym bagnie i było już jasne, że będą nadal nas tropić i że będzie to walka o życie. Nauczyliśmy się, iż jest to przeciwnik zupełnie inny niż Niemcy, którzy nigdy nie odważali się wchodzić nocą w głąb lasu, chyba że całą armadą. Ci nie mieli takich obaw, szli wpięro zgodnie z rozkazem, o czym i później wypadało mi stale pamiętać. Teraz wycofali się - ale na jak długo? Był już świt, ogromne, białe mgły wstawały nad jeziorem i bagnem, i w mgle tej znów coś się działo. To woźnice chcieli napić konie od pozostawionych na wysoczyźnie wozów, a zwierzęta zaczęły się zapadać przerywając gruby kożuch z mchów obrastających jezioro i topiły się nie mogąc wyjść na twardy grunt, więc kilka z nich trzeba było zastrzelić. Potem mgła się podniosła, Kiernowo zaczęło błyszczeć chłodną, oprawioną w puszcza taflą, a my ściągaliśmy na suche miejsca, gdzie miały się decydować dalsze nasze losy. Pomiedzy drzewami, na niewielkich polanach zbierały się grupy żołnierzy, niby to jeszcze wojsko, ale już nie to samo, słuchające rozkazów, ale i rozgadane, spoglądające niepewnie, czy zza drzew nie pokażą się znów bolszewicy, z którymi walka, choćby doraźnie wygrana, nie dawała przecież żadnej nadziei na przyszłość.

Któryś z dowódców, chyba sam Kotwicz, zarządził, że pozostawia każdemu wolny wybór: «Kto chce pozostać z bronią w lesie, niech zostanie, kto chce wracać do domu, samodzielnie albo grupami, może to zrobić». W słowach tych, podobnych, ale jakże różnych od pytania postawionego przed walką o Wilno, nie było cienia pogardy dla tych, którzy by odeszli. Szło

o wydostanie się z matni jak największej liczby ludzi, o uniknięcie jeśli nie śmierci, to sowieckiej niewoli, dwóch możliwości, o jakich wyraźnie mówiły ulotki zrzucone z samolotów, które znowu zaczęły brzęczeć nad puszcą: wychodźcie i składajcie broń w takich to miejscowościach albo zostaniecie zniszczeni. - Każde inne rozwiązanie było lepsze.

Wracać czy zostać? - z naszej kompanii chyba ze dwudziestu zdecydowało się na to drugie. Dla mnie wybór był oczywisty, rozstrzygały

imponderabilia, nie przedstawiane wprawdzie w pytaniu, ale nieuniknione przy odpowiedzi. W szeregu, który nie ruszył się z miejsca, pozostał wraz ze mną mój brat stryjeczny Jerzy, a także trzymający się nas Jurek Wróblewski, który chyba nie w pełni zdawał sobie sprawę z istoty wyboru. Pozostali dawni koledzy z konspiracji i z kursu pod Radu- niem, chłopcy z Jodkiszek i inni, głównie ze starej gwardii, skupieni wokół Licha. W innych oddziałach było podobnie, jedni odchodzili, inni zostawali, wymieniano broń, mundury na bluzy cywilne. Do mego brata stryjecznego i do mnie podszedł nasz kuzyn Mirek Reszko, pseudo Żbik, który był członkiem konnego zwiadu, odrębnej formacji w batalionie. Był jednym z najmłodszych, miał szesnaście lat, tak że gdy zgłosił się do oddziału, musiał przedstawić pisemną zgodę matki, mojej ciotki Anny Reszkowej, która mu jej nie odmówiła. Teraz był chory, miał wysoką gorączkę i przyszedł do nas jako do starszych kuzynów, prosząc o radę, co ma robić. On też czuł to wszystko, co wiązało się z decyzją, powiedzieliśmy mu jednak z czystym sumieniem: «Mirek, wracaj do domu, wyglądasz jak zmora, ledwie łazisz». Posłuchał i odjechał na swym koniu, potem jakoś wydostał się z puszczy i dotarł do Wilna, co wcale nie było łatwe. Po roku, już na Mazowszu, ponownie uwikłał się w partyzantkę, przez którą spędził później parę lat w więzieniu, ale to już inne historie.

Na polanach, między drzewami zrobiło się luźniej. Wciąż zbierały się grupki, odbywały narady, co robić, gdzie iść i którędy. Było jasne, że tu, w Puszczy Rudnickiej, nie da się zostać dłużej tak ze względu na obławę sowiecką, jak i na brak żywności. Radzono, by przejść do Puszczy Ruskiej, ja też podsuwałem taki pomysł, «bo tam są meliny Kry- si». Rozmawiali dowódcy różnych szczebli, bo w tych warunkach załamywały się hierarchie wojskowe. Znacznie później dowiedziałem się, że wśród tych radzących był między innymi Piasecki, który starał się przedostać ze swym UBK, a raczej z jego rdzeniem warszawskim, z powrotem za Niemen, a także Lech Beynar, późniejszy Paweł Jasienica, którego po dwóch latach spotkałem w Krakowie w redakcji «Tygodnika Powszechnego»; rozmawialiśmy wtedy i później o tamtych czasach nie wiedząc, żeśmy byli razem na tej puszczańskiej polanie. Później też dowiedziałem się, że niedaleko, w innej części puszczy dużą grupę wojska prowadził Czesław Dębicki - Jarema i że oni również przeżywali podobne trudności i dylematy. Nam oczywiście nie przychodziła do głowy żadna wędrówka na zachód; wiedzieliśmy, że trzeba tylko wyjść z puszczy na własny, znany nam teren i znów zaczynać od nowa.

Te narady i różne projekty przedstawia obszernie w swych wspomnieniach Licho- Szabunia. Nawet on, taki realista, opisując te sceny w puszczy uległ emocjom: «w miejscu gdzie las się przerzedzał, zobaczyłem biwaki, kuchnie, wozy taborowe, konie - widok jak z czasów Powstania Styczniowego»\* - to wrażenie z poprzedniego wieczoru. Mnie jeszcze bardziej zapadł w pamięci widok partyzantów skupio-nych przy swych dowódcach w grupach zdeterminowanych do dalszego oporu przeciw kolejnemu najeźdźcy; widok ludzi w

lesie, który teraz zyskiwał jakby nowy wymiar i znaczenie, nabierał dosłowności. I jeszcze jedna scena, której dotąd nikt chyba nie opisał, a która wyznaczała przecież punkt zwrotny. Gdy już odeszli ci, którzy odejść postanowili, do nas, pozostałych, podszedł jeden z wyższych dowódców, chyba Kotwicz, ale dziś nie jestem tego pewien. Powiedział, że oto teraz rozpoczynamy nową partyzantkę - i rozumieliśmy, że słowo to nie oznacza już Armii Krajowej z jej brygadami i batalionami, nie jest synonimem wojska, ale oddaje to, co słowo to znaczyło także w tej puszczy przed osiemdziesięciu laty, co dojrzał Licho-Szabunia i do czego sam później nieraz w duchu nawiązywałem. Wyraz ten odzyskiwał oto swój pierwotny sens i barwę utrwalone w podświadomości mimo późniejszych zniekształceń. «Rozpoczynacie nową partyzantkę - mówił dowódca - ciężką i trudną, więc przeżegnajmy się teraz: W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego». Przeżegnaliśmy się skupieni jak nigdy.

### **Zaczynaliśmy nową partyzantkę. Intermezzo**

Szliśmy całą noc w niedużej grupie skupionej wokół Licha. Chcieliśmy przede wszystkim wyjść z puszczy, dotrzeć na własny, znany nam teren, gdzie mielibyśmy oparcie i wyżywienie - tam dopiero będziemy myśleć o dalszym postępowaniu. Inne grupy też się rozchodziły w obranych kierunkach. Spora grupa z Kotwicem poszła w stronę Puszczy Ruskiej, my jednak nie trzymaliśmy się z nimi, uważając, że w obecnych warunkach znacznie łatwiej przetrwać w drobnych oddziałach, co zresztą przyszłość w pełni potwierdziła. Przypuszczaliśmy też, że w miarę oddalania się frontu nasycenie terenu oddziałami sowieckimi będzie się zmniejszać, więc należy gdzieś ukryć się przez najbliższy okres, a potem będzie można znów działać czy to w mniejszych, czy w większych jednostkach. Szliśmy duktami leśnymi na południe, przeprawiając się przez Wisińczę przy Długiej Wyspie, tam gdzie jeszcze niedawno było gniazdo sowieckich partyzantów, którzy teraz przejmowali władzę w Wilnie i okolicach. W lesie nie było jednak całkiem pusto. W tę ciemną noc to tu, to tam padały pojedyncze strzały, czasem krótka seria, jakaś raca wytrysnęła nad puszcę - ale nie było wiadomo kto, do kogo i po co strzela, gdzie są nasi, gdzie tamci. Przeszliśmy wreszcie Solczę i o świcie zapadli w jakiejś zagrodzie, bodaj w okolicy Kalitańców. Odtąd teren był już mniej zalesiony, trzeba było czekać następnej nocy, żeby niepostrzeżenie przesunąć się na nasze meliny, sowieci mogli być wszędzie.

Gdy następnego rana zapadliśmy w niezbyt wielkim lesie już niedaleko Jodkiszek, zobaczyliśmy ich patrol przeczesujący teren. Szli leśną drogą, było ich może dziesięciu, w charakterystycznych pelerynkach - pałatkach, prowadzili na smyczach kilka psów. Las był dość rzadki, bez podszycia, tylko o kilkadziesiąt metrów od drogi rosła kępa krzaków i w niej właśnie leżeliśmy kierując na nich lufy automatów i wstrzymując oddech. Samo starcie nie byłoby groźne, mieliśmy przewagę, ale po strzałach na pewno ściągnęłyby większe ich siły, które w biały dzień i w niewielkim lesie wygniotłyby nas co do jednego. Szczęśliwie żadna gałązka nie trzasnęła, psy nic nie zwęszyły i tak oni, jak i my uniknęliśmy śmierci. Wieczorem dobrnęliśmy wreszcie do celu wędrowni, na naszą starą melinę przy tymże lesie - odosobnione gospodarstwo Hołowni i jego siostry o pseudonimie Domka, gdzie od dawna było jedno z ognisk naszej konspiracji i gdzie czuliśmy się jak w domu. Nakarmieni przez Domkę zaszyliśmy się w stodole, żeby wre-szcie się wyspać, oczywiście wystawiając warty.

O świcie alarm, ktoś idzie. Grupa ludzi w mundurach zatrzymała się przy bramie, a dwóch weszło już na dziedziniec. Mieczka i ja pierwsi wybiegliśmy ze stodoły. To nie bolszewicy, to Niemcy. Krzyczymy do tych dwóch: «Hande hoch!», ale oni chwytają za automaty. Nie

czekamy, Mieczka strzela - ja podbiegam, ja strzelam - on podbiega, jak na ćwiczeniach. Dwaj pierwsi walą się na ziemię tuż przy ganeczku domu Hołowni, gdzie zapewne chcieli dostać chleba, a ci, którzy zostali przy bramie, rzucają się do ucieczki i biegną co sił jeden za drugim do lasu - wtedy przypomniał mi się, jak to już napisałem, szereg niezwycięzonych Niemców idących pod górkę ku Litwicy, żeby zniszczyć sowieckich partyzantów razem z chłopem i jego zagrodą. Teraz podobna zagroda stała się dla nich straszna. Tych dwóch, którzy tu zostali, Hołownia władował na wóz, wywiózł gdzieś do lasu i zakopał, żeby nie było śladu, bo przecież w każdej chwili mogą zjawić się bolszewicy.

Podobne grupki Niemców pojawiały się też w ciągu następnych dni, a ściślej nocy. Były to szczątki rozbitych dywizji przekradające się przez obcą i wrogą ziemię ku Prusom Wschodnim. Jeden z «chłopców z Jodkiszek», Czarny, zaczął organizować na nich zasadki niczym na ciągnące skrajem lasu słonki, co uważał za czyn patriotyczny. Ja szczęśliwie nie uczestniczyłem w tych polowaniach, bo - może w następstwie siedzenia w bagnach - dostałem wysokiej gorączki i leżałem w jakiejś chacie, ale słyszałem blisko te strzały budzące przecież wątpliwości. Tamci dwaj na dziedzińcu chwycili pierwsi za broń, my byliśmy tylko szybsi, jak w westernie. Polowanie na rozbitków nie przystawało do tej konwencji, ale też, trzeba stwierdzić, w ostatnim roku wojny bardzo już mało konwencji ochraniało życie ludzkie. Zdarzały się też grupy, których lepiej było nie zaczepiać. Którejś nocy do zagrody Hołowni wszedł oddział ze dwudziestu Niemców w pełnym uzbrojeniu i odszykowanych, wśród nich wyższy dowódca, bodaj generał - prowadzili dwa konie juczne, byli pewni siebie i wciąż nie pokonani.

W dzień zjawiali się bolszewicy. Chodzili w mniejszych lub większych grupach, zaglądali do domów, do stodół, weszli w poszukiwaniu ukrywających się żołnierzy czy w ogóle młodych mężczyzn. Trzeba było zniknąć z powierzchni ziemi. Kilka dni przesiedziałem z paru kolegami w stodole Hołowni, zaszyty głęboko w siano, przy szparze w belkach ściany. Słyszeliśmy rozmowy Domki z patrolami sowieckimi na dziedzińcu i dopiero wieczorem, na znak dany przez gospodarza wy-chodziliśmy z kryjówki, otumanieni zapachem siana i całodziennym półsnem.

Po jakimś czasie przeniosłem się do innej zagrody, o parę kilometrów dalej, z przemiłym gospodarzem nazwiskiem Mickiewicz. Także i tam zaglądali. Kiedyś zjawili się na dziedzińcu, a ja ledwo zdążyłem zakopać się w stodole, płytko i blisko brzegu torpu. Na klepisku córki gospodarza młóciły zboże cepami. Weszli tam pytając, czy nie ma tu obcych. Dziewczyny zaprzeczyły, zaczęły z nimi rozmawiać, a ja nieo-strożnie poruszyłem się w słomie. Posłyszały to i załomotały jak najgłośniejszymi cepami, zaczęły żartować z żołnierzami, którzy na szczęście nie usłyszeli niczego podejrzanego. A mogło być źle, bo mieli obyczaj w razie wątpliwości kłuć zboże lub siano bagnetami albo i przeciągnąć po torpie serią z automatu, ot tak, na wszelki wypadek. Kiedy indziej Mickiewicz obudził mnie wczesnym rankiem wołając, że idzie szarańcza. Zdążyłem wyskoczyć za stodołę, w krzaki, i dorwać do lasu, wdrapałem się na wysoki, gęsty świerk i przesiedziałem na nim cały dzień jak prawdziwy puchacz. Inni też się chowali jak mogli, wieczorami przecież schodziliśmy się u Hołowni po wiadomości i na narady. Większą broń mieliśmy ukrytą, ale w kieszeni był zawsze pistolet albo i granat. Domka stawiała na stole miskę pełną miodu w plastrach - mieli ładną pasiekę, nigdy nie jadłem tyle i tak pachnącego miodu. Była połowa sierpnia.

Schodzili się koledzy, schodziły łączniczki. Rej wodziła Dzida, Irka Butrymówna, siostra jednego z «chłopców z Jodkiszek», Sokoła. Były żarty, chwile odprężenia, złudzenie normalności. Dziewczyny były młode, my młodzi, ale mimo okoliczności, które mogłyby skłaniać do korzystania z życia, nie spieszyliśmy się do tego. Może wśród szarż i starszych wiekiem przygody wojenne łączyły się częściej z przygodami erotycznymi, do czego było przecież sporo okazji, ale wśród moich kolegów i rówieśników był to nurt niegłęboki i niespieszny. Zapewne wpływał na to po części nasz młody wiek - ja sam byłem jeszcze w stanie uśpienia, z którego miałem obudzić się dopiero za pół roku, i nie byłem pod tym względem wyjątkiem. Zapewne oddziaływała również presja wiejskiej obyczajowości, bo jak mogę sądzić, w oddziałach rekrutujących się głównie ze środowisk miejskich sprawy te traktowano znacznie swobodniej. Także Licho w swych wspomnieniach stwierdza, że w jego polu widzenia panowały obyczaje niemal purytańskie. Oczywiście były od tej reguły wyjątki, wśród których pierwsze miejsce należy się chyba Kozakowi o pseudonimie Miortwyj, którego awanturnicze losy przywiodły do naszej kompanii. Pod Wilnem powrócił jednak do swoich, którzy jak się zdaje niezwłocznie go zamknęli, a wśród nas, pozostałych w gromadzie, nie było podobnych mu kozaków. Gdy przy tych zabitych na dziedzińcu Niemcach znaleźliśmy zestaw fotosów pornograficznych, rzecz zgoła nam wtedy nie znaną, po obejrzeniu wrzuciliśmy je do ognia. «A tfu!» - mówił jeden i drugi na widok sceny «francuskiej». Nasz erotyzm nie wykraczał poza tradycyjne konwencje. Miłość, owszem, przebijała się przez osady i opary wojny, ale wcześniej wypadło nam strzelać do ludzi niż całować i kochać dziewczyny.

W połowie sierpnia doszły mnie pierwsze wiadomości o rodzinie, o której nic nie wiedziałem od czasu napadu na Podweryszki. Okazało się, że wkrótce potem, gdy zbliżał się już front, moja Matka wraz z Babką i Siostrą uciekły z Podweryszek do odległej o jakieś sześć kilometrów wsi Lepie. Przed pięciu laty na wiadomość o zbliżaniu się bolszewików uciekaliśmy, jak to opisywałem, do Wilna, gdyż obawialiśmy się też miejscowych chłopów, obecnie te trzy kobiety poszły nie do miasta, ale właśnie na wieś, czując się tam najbezpieczniej. Wielka zmiana, jaka nastąpiła w nastawieniu okolicznych chłopów, była spo-wodowana z jednej strony doświadczeniami okupacji sowieckiej, a z drugiej działalnością akowską, w której brali liczny udział. Teraz wszyscy stali się «swoi» - dwór i wieś, fornale, miasteczko, połączeni wspólnym losem i wspólnymi obawami o przyszłość. Dopiero gdy front przeszedł i nastąpił względny spokój, moje trzy panie wyruszyły pieszo do Wilna. Tam jednak dom na Antokolu, w którym było ostatnie nasze mieszkanie, zastały spalony, więc zamieszkały na Zwierzyńcu w pokoju wynajętym u jednej z dawnych przyjaciółek mej Babki. Siostra zaczęła odczuwać jakieś bóle w kolanie, a lekarz stwierdził, że jest to gruźlica kości. Wiadomość ta bardzo mię przejęła i jako jedyną pomoc, jaką mogłem okazać, wystarałem się u któregoś z gospodarzy o garnek miodu, który udało się wysłać do Wilna «dla lepszego odży-wiania». Jako zapłatę dałem chłopu kartkę do starszego fornala w Pod-weryszkach z poleceniem wydania odpowiedniej ilości zboża [bodaj w cenie pud żyta za kilogram miodu]. Chłop przyjął ten «czek» i zboże otrzymał. Był to ostatni przypadek realizacji prawa własności do naszej ziemi i jej płodów - dlatego o tym wspominam. Wkrótce potem zresztą stodoła podweryska spłonęła, a wraz z nią, ku wielkiemu memu żalowi, opisana już na wstępie lodownia. Natomiast diagnoza choroby okazała się na szczęście pomyłką.

Pod koniec sierpnia dotarła też wiadomość o bitwie pod Surkontami i śmierci majora Kotwiczą. Opowiadano o wielkiej liczbie zabitych bolszewików i było jasne, że w ściganiu naszych oddziałów uczestniczą wciąż znaczne siły sowieckie. Dziwiliśmy się, że Kotwicz dał się podejść i wdał w dużą walkę. Jak zrozumiałem po lekturze Drogi do Ostrej Bramy Jana Erdmana, był to wyjątkowo dzielny oficer, zaprawiony w partyzantce przeciw Niemcom, ale nie obyty z walką z bolszewikami, i to go chyba zgubiło. Dziś bitwa pod Surkontami bywa przedstawiana jako finał wileńskiej partyzantki, my wtedy traktowaliśmy ją jako kolejny epizod, smutny, tragiczny, ale przecież niczego nie zamykający. Był to dla nas raczej sygnał alarmowy, budzący z chwilowego uspienia. Sowieckie oblawy nasilały się również koło nas. Szukali nie tylko oddziałów partyzanckich, ale wyłapywali wszystkich młodych mężczyzn, na których natrafiali. Podobnie jak my, kryli się też chłopcy wiejscy niczym nie związani z partyzantką. Wychodzili rankiem w pole czy do lasu i tkwili tam cały dzień, nikomu się nie pokazując. Zawsze jednak było ryzyko złapania, a i sam sposób takiego spędzania czasu stawał się nieznośny. Postanowiliśmy więc zebrać się ponownie w niedużą grupę, wziąć broń i wyruszyć na dalszą wojnę - po części dla własnego bezpieczeństwa, żeby byle patrol sowiecki nie był w stanie nas schwytać, po części zaś, żeby zacząć kontratak, żeby kąsać jak się da nowego okupanta i jego współpracowników. Byliśmy przeświadczeni, iż będzie to działalność w naszej skali skuteczna i celowa, stanowiąca naturalny odruch obronny i obowiązujący nas akt oporu wobec najazdu na kraj, chociaż wiedzieliśmy też, że będzie to opór przypominający próbę powstrzymania lawiny patykiem. Wiedzieliśmy, ale wiedzy tej nie chcieliśmy, a może nie umieliśmy przyjąć do wiadomości i zastosować w postępowaniu.

W tym miejscu robię krótką przerwę w mej relacji, by dać kilka wyjaśnień dotyczących się powstania tego tekstu. Zazwyczaj wyjaśnienia takie znajdują się we wstępie lub w posłowniu, ja zamieszczam je w środku z dwóch powodów. Jeden, trochę przekorny, to ten, że wstępów i posłowni nikt chętnie nie czyta, często pozostają nie zauważone, a te same uwagi wmontowane w środek tekstu trudniej pominąć. Drugi powód, bardziej istotny, to ten, że tu właśnie kończy się okres dziejów wojen-nych Wileńszczyzny w przybliżeniu znanych, opisanych już w różnych wspomnieniach i opracowaniach. Wymienię tu zwłaszcza Partyzanckie wspomnienia Stanisława Truskowskiego [Warszawa 1968], Operację wileńską AK Romana Korab-Żebryka [Londyn 1976, Warszawa 1985], Drogę do Ostrej Bramy Jana Erdmana [Londyn 1984, Warszawa 1986], Nozwo- gródczynę w walce Janusza Prawdźca-Szlaskiego [Szczecin 1989], Na zew ziemi wileńskiej Edmunda Banasikowskiego [Paryż 1988, Warszawa 1990], zbiór Ze wspomnień żołnierzy AK Okręgu Nowogródek [Warszawa 1988] i kilka innych, rozproszonych w wydawnictwach krajowych i emigracyjnych. Moje osobiste przeżycia i przygody tylko w niewielkim stopniu uzupełniają ten obraz nowymi informacjami i mogą być łatwo konfrontowane i sprawdzone na tym tle ogólniejszym. Opisując okres do sierpnia 1944 roku opierałem się wprawdzie niemal wyłącznie na wła-

snej pamięci, niekiedy mogłem jednak skontrolować jej poprawność zaglądając do wspomnianych publikacji, także zresztą nie wolnych od pomyłek. Jednak, od chwili rozbrojenia wileńskiego AK przez bolszewików, od ucieczki do Puszczy Rudnickiej i w końcu bitwy pod Surkontami to ogólne tło zanika, brak szerzej znanych i dostępnych wiadomości o tym, co i jak działo się na Wileńszczyźnie przez ostatnie pół roku wojny, lub błakają się tylko fragmentaryczne, niespójne albo wręcz sprzeczne informacje.



Brak ten jest nieprzypadkowy. Dla większości autorów tych wspomnień i relacji pole ich obserwacji kończy się w lipcu lub w sierpniu, gdy trafiają do niewoli, zostają wywiezieni lub sami opuszczają Kresy czy choćby wycofują się z wszelkiej działalności antysowieckiej. Innych,

dysponujących mniej lub bardziej bogatymi wspomnieniami lub wiadomościami przez długie lata paraliżował strach przed represjami, nie mówiąc już o braku możliwości publikowania tekstów pamiętnikarskich i dziejopisarskich. Strach, a co najmniej ostrożność skłaniały nawet do niszczenia zachowanych z tamtych czasów zapisek, notatek, listów, map, do zatajania przeszłości własnej i innych, mogły to być bowiem informacje mające cenę życia, a co najmniej wolności. Zapewne nie wszystko przepadło i w miarę czasu i wygasania lęku znajdują się jeszcze różne ukryte dokumenty lub powstaną relacje, tak jak moja wywołane z zakamarków pamięci. Co prawda jest pewien tekst, opublikowany już dawno - i to w kraju, i nie w żadnym ukryciu - który w znacznym stopniu dotyczy identycznego z moim pola obserwacji w czasie paru końcowych miesięcy wojny, ale nie jest to tekst miarodajny i do tej sprawy wróć jeszcze we właściwym miejscu, w rozdziale zatytułowanym Chyba Bóbr. Na razie chcę powiedzieć kilka słów o tym, co stanowiło podstawę moich informacji, a zatem o własnej wiarygodności, trudnej do sprawdzenia tam, gdzie brak innych, równoległych czy krzyżujących się wiadomości. To dla wyjścia naprzeciw i dla ułatwienia zadania moim kolegom historykom, którzy może kiedyś będą chcieli wykorzystać ten tekst jako jeszcze jedno źródło, poddadzą go fachowej analizie i ocenie, i w końcu będą pewni, że wiedzą lepiej ode mnie, jak to wtedy było naprawdę.

Mam dziś [1990 rok] sześćdziesiąt pięć lat i piszę z pamięci o wydarzeniach sprzed lat czterdziestu sześciu. Takie wyznaczniki czasu zazwyczaj wystarczają historykom, by ocenić bardzo sceptycznie wartość wspomnień. Mówią oni nie tylko o zatarciu się w pamięci większości szczegółów czy nawet całych połaci przeszłości, ale i o przekształceniu się tych wspomnień, które się zachowały, w rodzaj klisz fotograficznych, utrwalonych w ujęciu zdeformowanym przez to, co działo się później, przez późniejszą świadomość i wizję wydarzeń, a także przez samo opowiadanie czy opowieść innej osoby. I oczywiście historycy są świadomi, nierzadko do przesady, skłonności pamiętnikarzy do zniekształcania czy choćby zabarwiania przekazywanego obrazu wedle preferencji, zgodnie z miłością własną autora czy choćby ze względów estetycznych. Te wszystkie, a także i inne podobne zastrzeżenia dotyczyć muszą i mnie. Pamięć istotnie nie jest kompletna, zachowała to, co wywarło największe wrażenie, odcisnęło się w niej najmocniej, co dla mnie było wtedy najważniejsze, a co nie zawsze jest ważne z dzisiejszego punktu widzenia. Nierzadko pamięć wręcz płata figle, zatrzymuje na swym sicie okruchy, a przepuszcza bryły. Przez kilka lat po wojnie pamiętałem imiona lub pseudonimy większości ludzi, z którymi się zetknąłem, nazwy miejscowości, w których byłem, a nawet umiałem wyliczyć dzień po dniu wszystkie trasy i postoje w ciągu ostatnich dwóch i pół miesięcy wojny, to jest z okresu, który najmocniej poruszył mą wyobraźnię. Potem te imiona, nazwy miejscowości i daty zaczęły się kruszyć, ocalało dziś z tego niewiele i tylko tym mogę się posługiwać. W rezultacie część zapamiętanych wydarzeń jest pozbawiona bliższych określeń czasowych, konkretów miejsca i osób, ale nie zmienia to autentyczności faktów. A jak jest z tendencją, z celowym doбором materiału i zabarwieniem? Jeżeli w swym osądzie nie ulegam złudzeniu, to zasadą porządkującą te wspomnienia jest autentyzm, wierność ówczesnemu sposobowi widzenia

świata, odtworzenie jako jedynej tej tendencji, która nas, mnie, wtedy urabiała. Staram się w miarę skutecznie oprzeć presji dzisiejszej optyki, właściwej obecnej epoce i memu wiekowi. Usiłuję przedstawić wszystko tak, jak to widziałem wtedy, bez retuszu i bez selekcji, z zachowaniem jednak niewielkiego marginesu, który nie jest już możliwy do wypełnienia. Czas był straszny, a może tylko in-ny, więc dzisiaj nie usiłujmy zrozumieć wszystkiego. Unikam też, jak umiem, wszelkich ocen a posteriori, o które coraz łatwiej. Piszę to, co pamiętam.

Nie jestem jednak skazany wyłącznie na dzisiejszą swą pamięć. Nie szukam wprawdzie pomocy w pamięci innych, bo to są moje wspomnienia i nie chcę ich mieszać z cudzymi, a tym bardziej przyjmować tamtych za swe własne. Posiłkuję się jednak własną pamięcią z pierwszych lat po wojnie, ową kliszą utrwaloną w postaci opowiadań, które wtedy pisałem, a nawet ogłaszałem w «Tygodniku Powszechnym» i w «Twórczości». Parę takich fragmentów przytoczyłem już na poprzednich stronach. Był to typ opowieści, którym ówczesny redaktor «Twórczości», Kazimierz Wyka, nadał nazwę «proza autentyczna», a które zaraz po wojnie cisnęły się na usta i pod pióra wielu uczestników niedawnych wydarzeń, szukających sposobu wykrzyczenia swych przeżyć. Były to w większości wrażenia gwałtowne, brutalne, wzniosłe lub przygnębiające, choć równie autentyczne były wrażenia elegijne, przekształcające obraz wojny w romantyczny pejzaż puszczański czy choćby w sztych a la Grottger. W swej «prozie autentycznej» zachowałem chyba wiernie przede wszystkim nastrój i tło, natomiast ze względów kompozycyjnych, a niekiedy także celem kamuflażu dokonywałem niewielkiego retuszu faktografii, przedstawiając działalność prowadzoną przeciw bolszewikom jako walkę z Niemcami. Jedni brali to za dobrą monetę, nie podejrzewając autora o bezczelność publikowania wspomnień z antysowieckiej partyzantki; zresztą w środowisku większości krakowskich redaktorów, cenzorów i czytelników tych pism zawile dzieje Wileńszczyzny były tak mało znane, że nie byłiby w stanie rozeznaczyć w ich kolejach. Inni, ludzie «stamtąd», dostrzegali łatwo ów kamuflaż, ale się z tym nie zdradzali i mnie też nie zdradzili. «Proszę pana - powiedział mi kiedyś Antoni Gołubiew, z którym spotykałem się na gruncie «Tygodnika Powszechnego» - przecież ja wiem co do miesiąca, kiedy i gdzie rozgrywa się to pańskie opowiadanie» - i na wszelki wypadek zmienił mi kilka nazw miejscowości i przyciął parę zdań, żeby się wydawało, że chodzi o Niemców gdzieś w Generalnej Guberni. Jeszcze lepiej odczytywał te teksty Paweł Jasienica, ale milczał jak grób, o który, jak wiadomo, z bliska się otarł, i nawet nie mrugał do mnie porozumiewawczo. Dziś, by uniknąć nieporozumień, gdy będę posługiwać się tymi tekstami, nie zmienię w nich niczego, ale uprzedzę, na czym polega ewentualne zniekształcenie rzeczywistości.

Oprócz tych opowiadań mam jeszcze jeden substytut ówczesnych notatek, moje wiersze. Pisałem ich wtedy, zaraz po wojnie, bardzo wiele, próbując utrwalić w nich duże połacie moich przeżyć. Nie były jednak nigdy publikowane, rękopisy zaś uległy zniszczeniu czy zagubieniu, tak że obecnie dysponuję tylko niektórymi z nich lub fragmentami, które zachowałem w pamięci. Są to jakby kartki z notatnika o cechach dokumentu, oczywiście nieco innego niż opowieść prozą. Była to zresztą pierwsza forma mojej wypowiedzi, utrzymana na ogół w konwencji tradycyjnej, w pierwszych latach powojennych już niemożliwej. Toteż gdy pokazałem te wiersze Wilhelmowi Machowi, z którym dzieliłem przez pewien czas pokój w bursie akademickiej zwanej «pigoniówką», ten znany już wtedy pisarz i krytyk literacki powiedział mi: «Dlaczego nie pisze pan prozą, przecież to aż się prosi o

formę opowiadania». Niemniej jednak pokazał te moje utwory Wyce, u którego był wówczas se-kretarzem w redakcji «Twórczości», a ten przyjąwszy mnie po jakimś czasie, mruknął: «No, cóż, nie będę pana odmawiał od pisania wierszy, ale...» Tu wyraził zdziwienie, że w moich tekstach ciągle panuje zima, wciąż powtarza się śnieg i zawieje, i sanna, a mnie trudno było mu tłumaczyć, dlaczego taki właśnie krajobraz odbił mi się najsilniej w pamięci i w wyobraźni. W każdym razie w ten sposób moja aktywność poetycka została przyhamowana, zacząłem natomiast próbować «prozy autentycznej», do której zresztą przemyślałem fragmenty wierszy. I to jest także «podstawa źródłowa» mojej dzisiejszej relacji, podstawa mnie tylko znana i dostępna, gdy za poszczególnymi zwrotami czy słowami dostrzegam i przypominam sobie całe ciągi obrazów. Postaram się w miarę możliwości wykorzystać na dalszych stronach te nieuchwytnie przekazy, które - rzecz to znamienna - nie dotyczą opisanych już wyżej miesięcy i lat, też przecież pełnych wrażeń, lecz ogniskują się na następnym półroczu, a zwłaszcza na ostatnich wojennych miesiącach, kiedy to, w myśl słów, które padły na polanie w puszczy, rozpoczęliśmy i prowadziliśmy nową partyzantkę.

### **Czarna jesień**

Rozpocznę od kolejnego fragmentu opowiadania pt. Omyłki leśne. Składa się ono z czterech szkiców poświęconych czterem porom roku. Otwiera je opis jesieni, zamyka cytowany już opis lata, w którym opowiadam o początku ataku na Wilno. Wynikałoby z tego porządku, że poprzednie ustępy dotyczą wcześniejszych pór roku, a więc końca 1943 i początku 1944 roku. Jest to jednak właśnie ów kamuflaż, o którym wspomniałem, ponieważ w rzeczywistości opisy te odnoszą się do czasu późniejszego, a więc schyłku 1944 i pierwszej połowy 1945 roku. To przesunięcie początku cyklu na koniec i przestawienie kolejności wydarzeń było uzasadnione względami bezpieczeństwa, teraz zaś wracam do czasu prawdziwego, do tej jesieni, która wydaje mi się dziś czarna niczym długa, bezgwiezdna noc przepelniona grozą.

Jesień rozpoczyna się kwitającymi wrzosami, a kończy pierwszą nocą białą od wyczekiwanego z niepokojem śniegu. Zawiera w sobie wiele: i pułap z niskich chmur, i krople padające z sosen na ściółkę z igliwia, i paprocie brunatne od rannych przy-mrozków. W smolarniach karcze tłą się dzień i noc, dym szaro-błękitny rozprasza się po porębach i nad wrzosowiskami, mie-sza się z mgłą i oblepia wilgotne pnie drzew. Do jesieni leśnej nietrudno się przyzwyczaić. Harmonizują ze sobą chaty samot-ne, zagrody w sośniakach ukryte, półka niewielkie z puszczy kiedyś wycięte, ścieżki miękkie od mchu, tłumiące odgłos kro-ków - i oddział, grupka chłopców uzbrojona, chodząca co noc od chaty do chaty, jakaś zapóźniona gromada, którą chłody w lasach zastały.

W chałupach jest ciepło. Bije żar od pieca, parują sagany z kar-toflanką. Płaszcz schną, buty się suszą. Za oknem noc, czarna do przerażenia, do rozpacz - i jednostajny szmer szarugi, stu-kot olbrzymiego pociągu jadącego przez lasy, przez lasy, a może jeszcze dalej. W chacie chłopcy śpiewają. Baba w czerwonej chustce usiadła na zydlu i słucha. Śpiewają na przekorę wesołą piosenkę o Maryce, choć czują, że jesień i na niej też położyła smugę swojej mgły... Moja Maryka...

Po lesie, po porębach chodzili co noc. Ocierali się o śmierć, a czasem prowadzili ją ze sobą. Wchodzili z nią do chałup i przyglądali się osłupiałym twarzom ludzkim. Potem zostawiali ją z nimi sam na sam i zamykali drzwi z zewnątrz. Nie cierpieli jej. Czuli do niej

trudny do przełamania wstręt, a jednocześnie sami ją przywoływali. Nie umieliby nawet powiedzieć, dlaczego tak się działo. Sadyzm był to, masochizm czy wyrafinowany idealizm?

Przed zimą niedźwiedzim obyczajem zaczęli przygotowywać sobie legowisko. Podziemny schron wykopany w leśnym, litym piachu. Strop z belek sosnowych dwoma słupami podparty. Czerwony odblask z żelaznego piecyka na wyplatanych choin-kami ścianach. W zakamarkach i nierównościach trzepocą cie- nie-nietoperze. Właz zasunięty kwadratową pokrywą. Na górze rosną jałowce, mchy i wrzosi. Bezpiecznie można mieszkać w otoczeniu wydm leśnych, można wdychać powietrze pachnące wilgocią i ssać ciemny, prawie czarny plaster uzbierany z wrzosowisk i polan. Tak gęstego, słodkiego miodu z domieszką takiej goryczy nie ma chyba nigdzie poza lasem, a może nigdzie poza partyzantką.

Zdarzają się przecież noce, kiedy nie ma chmur. Przed świtem wychodzi wtedy ponad drzewa Orion i zawisa siedmioma zim-nymi gwiazdami nad lasem. Wieczorami rozpoczynają się pier-wsze chóry wilcze. Na wrzosach i jałowcach osiada szron. Błota ścinają się kruchą skorupą, ziemia pod nogami tężeje. Stopy bolą od dłuższego marszu. Trudno jest padać szybko na stanowisko bez dotkliwego potłuczenia kolan, nie sposób wkopać się w ziemię pod ogniem. Trzask erkaemu wydaje się jakiś suchy, pociski muszą być chyba bardzo twarde. W razie czego... to nic, tylko ten lęk przed bezwładnym osunięciem się na zamrożoną ziemię. Nikomu chyba nie śpieszno do walki na listopadowej grudzie. Nikomu.

Wojna trwa bez przerwy gdzieś na frontach i na polach, i w lesie.

W taką jesień, w tę właśnie jesień wyruszyliśmy w kilkunastoosobowej grupie. Wychodząc policzyliśmy się, było nas trzynastu, więc jeden musiał zostać, ponieważ mieliśmy już doświadczenie sprzed roku, gdy z trzynastką zdarzyło się nieszczęście. Potem zresztą ten skład się zmieniał, niektórzy odchodzili, znów dołączali, bywało, że chodziłem tylko w kilkusobowym zespole, śpiewaliśmy wtedy odpowiednio przerobioną piosenkę o pięciu chłopcach z «Albatrosa». Większość miała zaplecze we własnych domach, we wsiach, gdzie mogli się schronić choćby na kilka dni lub w ogóle się wycofać. Ja, jak też kilku innych, podobnego zaplecza nie miałem, chyba że - w razie szczególnej potrzeby - na zaprzyjaźnionych melinach. Cała moja rodzina była w Wilnie, a tam trudno było się pokazać.

Początkowo był z nami też Licho, nasz naturalny dowódca, ale po kilku tygodniach wycofał się z powodu choroby. Miał owrzodzenie żołądka czy coś w tym rodzaju i nie wytrzymał marszów, koczowania w lesie i jedzenia, co się zdarzyło. Wrócił do Wilna, stamtąd obserwował nasze działania za pośrednictwem łączniczek, przekazywał jakieś instrukcje, ale coraz bardziej dawało się odczuć, że jesteśmy pozostawieni sami sobie, że dowództwo, w którego istnienie święcie wierzyli-śmy, jest jednak dość odległe. Kto to był po aresztowaniu Wilka i innych oficerów, po śmierci Kotwiczą, po rozpadzie struktur wojskowych - nie mieliśmy pojęcia, ale nie ulegało dla nas wątpliwości, że musi nadal istnieć i działać machina konspiracyjna sięgająca aż do rządu w Londynie i że jesteśmy jej najniższym ogniwem, o którym przecież muszą wiedzieć i pamiętać. Potwierdziła to pewnego dnia korespondencja przyniesiona przez którąś z łączniczek, chyba Dzidę. Siedzieli-śmy w lesie przy ogniu, Licho, który jeszcze był z nami, przeczytał gryps i powiedział: «No, Piętka, gratuluję wam, macie Krzyż Walecznych ». Zrobił się ruch, cisnęliśmy się do Piętki, a zarazem podnosiła nas na duchu świadomość, że ktoś «na górze»

widzi nas, ocenia i docenia, że nie jesteśmy sami, zagubieni w tym lesie, i że w ogóle «nie zginęła». Nie wiedzieliśmy wtedy, że to odznaczenie zostało przyznane jeszcze przed akcją wileńską za wcześniejszą działalność Piętki i dopiero teraz, po przeszło trzech miesiącach wiadomość o tym dotarła do nas i do samego zainteresowanego. W tym czasie bowiem nikt już nie nadawał odznaczeń ani nie zajmował się takimi sprawami.

Dopiero znacznie później, gdy Licho po aresztowaniu, ucieczce z transportu, przedostaniu się przez kilka granic dotarł wreszcie do Anglii, złożył tam wniosek o Virtuti Militari dla mnie, a myślę że także dla jednego czy dwóch z mych kolegów, ale wnioski te gdzieś utonęły albo też nie zostały uwzględnione. Nie było przecież ani świadków, ani dokumentacji naszych działań, które nawet nie były już wtedy ujęte w ramy formalnej organizacji. Licho opowiadał wprawdzie później w jednym z opublikowanych wywiadów, że przed aresztowaniem zdołał zorganizować i pozostawić na Wileńszczyźnie kilka grup partyzanckich do walki z sowietami, a to pod dowództwem Puhacza, to jest moim, a także Piętki i Wrzosa, nie była to jednak relacja całkiem ścisła, bo w chwili, gdy od nas odszedł, tworzyliśmy tylko jedną grupę dowodzoną kolektywnie, chociaż główną rolę grał Wrzos. Jest wszakże również prawdą, że w niektórych okresach działaliśmy osobno i każdy z nas trzech był krócej lub dłużej dowódcą odrębnego oddziału. Życzliwi ostrzegali mnie nawet, że wywiad Licha może mieć dla mnie tu, w Warszawie, fatalne konsekwencje, ale nikt tego nie zauważył, a zresztą było to już w wiele lat po opisywanych wydarzeniach, więc sprawy te straciły swą ostrość.

Talenty dowódcze Wrzosa obserwowałem wielokrotnie, zwłaszcza w miesiącach późniejszych. Wtedy, jesienią, zapadła mi w pamięć pewna scena jak z chińskiego teatru cieni. Szliśmy nocą niedaleko wsi Kowańce, w której stacjonował większy oddział sowiecki. Było nas siedmiu-ośmiu. W ciemności na drodze zetknęliśmy się łeb w łeb z podobnym ich oddziałem, wracającym widocznie z jakiegoś patrolu. Oskoczyliśmy od siebie jak oparzeni i zapadli - oni po jednej, my po drugiej stronie drogi. «Kto takoj?» - krzyczą oni. «A kto wy takije?» - odkrzykuje Wrzos, my zaś wyszukujemy w ziemi najdogodniejsze stanowiska. Sytuacja jest jednak paskudna, bo wieś blisko, więc jeśli dojdzie do strzałów, nadleci zaraz ich chmara. «Dawaj familiiu!» - krzyczy tamten. «Wy dawaj-tie parol!» - woła Wrzos. «Kakoj parol?» - dziwi się ten za drogą, schowany za wielką krusznią; widocznie nie używali żadnych haseł i pytanie ich zaskoczyło. «Kakaja familia, kakoj otriad?» - dopytuje się znów, a jednocześnie widzimy na nieco jaśniejszym tle nieba, że zza kruszni sylwetki ich rozpełzają się w obie strony jak łapy pajaka, który chce nas ogarnąć. «My Is-Be-Try! - odkrzykuje Wrzos na pytanie o naszą formację - Tretij Istrebitelnyj Bataliön!» Była to nazwa, którą niedawno posłyszeliśmy, nie pamiętam już w jakich okolicznościach. «Is-Be-Try! - powtarza jakby z gniewem - a ty toż dawaj, kakoj otriad!» Coś tam odpowiedzieli, ale wyraźnie zostali zbici z tropu, może wiedzieli, co to «Is-Be-Try», a może nie wiedzieli, ale woleli się nie narażać. Tę chwilę wyzyskał Wrzos: «To wy idźcie w lewo, a my pójdziemy w prawo» - oświadczył pojednawczo. «Nu, charaszo!» - i tak rozeszliśmy się, czy raczej rozpełzli w dwie strony.

Później dowiedzieliśmy się, że rankiem próbowali nas ścigać, szli naszym tropem sporo kilometrów, bo oczywiście we wsi stwierdzono, że nie ma tu żadnego «Is-Be-Try», a więc najpewniej byliśmy bielobandytami, jak nas określali [dla Niemców też przecież byliśmy bandami]. Doszli, dzięki psom, aż do chaty Ogara, dawnego fornala podweryskiego, który

miał swoje gospodarstwo pod Litwicą i do którego wstąpiliśmy po tym spotkaniu. Był on za czasów niemieckich członkiem konspiracji, brałem udział w jego zwerbowaniu i sam go zaprzysięgałem w Podweryszkach. Zajmował się wtedy handlem świńmi, dużo jeździł po wsiach i dzięki temu mógł oddawać pewne usługi gdy, jak sam to określił, «postąpił za ojczyznę». Teraz też uchodził za człowieka pewnego, był życzliwy i przyjazny, wkrótce jednak podobno zabrał się do robienia «partyzantki», polegającej na zwykłym rozboju. Złapali go i skazali na śmierć, a on miał mówić, że to panowie tak go oszukali - odczułem to, jak gdyby mnie imiennie czynił winnym swojego losu, bo gdybym go wtedy nie namawiał i nie zaprzysięgał...

Przy chacie Ogara trop pościgu widocznie się urwał, bo zawrócili, my zaś już nad ranem daliśmy nura głęboko w las. Tam właśnie, w tym lesie rozpoczyna się akcja opowiadania, które jako «prozę autentyczną» wydrukował mi Wyka w «Twórczości». Potem akcja przenosi się gdzie indziej i jeszcze gdzie indziej, bo jest to zbitka kilku różnych wydarzeń połączonych przeze mnie w jedną całość. Dziś też ich nie rozdzielę i nie osadzę w określonych dniach i miejscowościach nie z braku pamięci, bo zdarzenia te pamiętam aż zbyt dobrze, ale dlatego, że chcę, aby to tak i tylko tak pozostało. W opowiadaniu niektóre pseudonimy i nazwy są zmienione, fikcyjne, i dziś nie przywrócę ich prawdziwego brzmienia ani ich nie rozwiążę. Jedyne wyjątek robię dla siebie samego - występuję tu jako Puszczyk, oczywista odmiana Puhacza. Opowiadanie jest dość długie, robię tu jednak tylko niewielkie skróty nie naruszające właściwej treści, lecz usuwające zbyteczny dziś kamuflaż. Wszystko bowiem jest w nim autentyczne: i to, co się działo, i to, co wtedy odczuwałem, i jak to przeżywałem w rok później, kiedy pisałem ów niby nieco odrealniony tekst. Nazwałem go wówczas dość ostrożnie Opowiadanie ze skraju puszczy, ale prawdziwszy byłby chyba tytuł: «Wilkołaki». A dlaczego, to się z tekstu okaże.

Dzień cały paliło się ognisko rozłożone przy pniu ogromnego świerka. Dzień cały znosili kłody co najgrubsze, gałęzie łamali suche i z wysiłkiem ściągali karczce wypróchniałe. Dym płątał się między gałęziami, owijał dokoła pnia, opadał, rozpraszał się pośród krzaków i roztopiał się wreszcie w wilgotnym powietrzu, nie wychodząc wcale ponad wierzchołki drzew. W lesie było bezpiecznie. Obława przesuwała się gdzieś bokiem, rzadkimi strzałami oznaczając kierunek swego pochodu. Dzień cały słu-chali tych odgłosów spierając się, co też może być objęte łapanką: czy Olimpino, czy Rakliszki, czy może aż Lepie Wielkie. Rzucali kartofle do gorącego popiołu, trącąc je dla próby zaostrzonymi kijami i jedli, przekładając z ręki do ręki i parząc sobie nimi usta. Kolejno chodzili z dzbankiem glinianym po wodę. Przeskakując przez kępy, między pożółkłymi trawami, sięgającymi pasa, między karczami i korzeniami drzew porzeczanych docie-

rali do brzegu rzeczki. Nazywała się Gierwinia, płynęła cicho pod nawisami, obmywała czarne korzenie karczcy i odpływała jesienno-żółtym tunelem daleko, bardzo daleko, aż gdzieś za granicę lasu. W chłodnej jej wodzie płukali twarze i ręce, pili z dłoni złożonych, śmiejąc się do niezliczonych czarnych pyłków, okruchów czy żyjątek planktonu, które się na jasnym tle rąk odbijały. Wracali potem do ognia, gadali bez końca, żartowali i przedrzeźniali się nawzajem, przewijając onuce albo czyszcząc zamki automatów.

To było dawno; teraz jest już wieczór wczesny, październikowy, tak czarny, jak tylko noc późnojesienna być może. Ogień nie zagaśł, lecz pełza przytłumiony po kupie węgla, czasami niespokojnym błyskając płomykiem. Potem ognik znów gaśnie i tylko kilka iskier z

delikatnym dymkiem leci hen ku górze, płacze się między gałęziami i gubi poza granicą blasku.

O której wychodzimy?

O ósmej; jeszcze czas.

Węgle szeleszczą i trzaskają. Czerwony odblask pada na kilka kroków w krąg; wyjmuje z cienia pnie drzew, jak filary niezna-nej świątyni; zawiesza chwiejące się, krwawe łapy świerków, ni-by skrzydła podartych namiotów; na ziemi tworzy ruchomą po-sadzkę, co się rozszerza to zbiega prawie do stóp boga-ogniska; żyje na trawach mozaiką barw, jak skóra bajecznego potwora. ...Leżą na posłaniach z traw i siana, z liści, paproci i mchu. Wiankiem ciasnym dookoła ognia grzeją się, drzemią, milczą. W zamkniętej kuli czerwonego blasku czują się pewni, bezpieczni, jak w domu. Wartownik w cień się odsunął, w czarne, lepkie powietrze, i przestał istnieć. Wszystko, co nie jest objęte tajemniczym kręgiem, staje się nierzeczywiste, nieistniejące, nieważne. Świat cały zbiegł się do tej czerwonej, pustej bani, reszta się roztopiła w ciemności, w chłodzie, w śmierci. Na sianie jest miękko, miękko, miękko. Za godzinę trzeba będzie wstawać i iść przez lepłą ciemność: pewnie wiatr wieje na polu. Jeszcze godzina, spać, spać... Z lasu coś jak fala przyplłynęło i uderzyło rozkładające się myśli. Podnieśli głowy i słuchali. Wył wilk, jeden, długim wyciem-skowytem. Z miejsca nieokreślonego, z nie istniejącego może, z nocy jesiennej wprost, z powietrza mglistego, zza drzew leśnych. Wył wilk czy wilkołak, zwoływał czarownice na sabat czy modlił się o światło jakiegokolwiek, o księżyc czy gwiazdy, czy mgły zejście. Głos ten mógł rodzić się gdzieś daleko za lasami i równie dobrze mógł powstawać tuż obok, niemal o kilka kroków za granicą światła. Słuchali w skupieniu, czując ciepło ogniska na twarzach, ciesząc się jego blaskiem, śmiejąc się z wilka, który wyje bezsilnie w gęstwinie. Ale po chwili drwina zakrzepła na ustach. Do wilka-samotnika dołączył się drugi, potem trzeci, potem stado całe. Ogromnym, poważnym głosem wypełniło najcichsze zakątki lasu. I las musiał słuchać. To był głos mocy i panowania, ciężki jak lejący się ołów, wszędzie obecny, wszechpotężny. Małe ognisko, rozłożone pod świerkiem, prawie niewidoczne było w żyjącym, cichym lesie. Śmieszny chłopak, który stał z karabinem na warcie, cofał się pośpiesznie, żeby chociaż na plecach poczuć ciepło błogosławionego ognia. Panowie lasu wyszli ze swych kryjówek. Ucztowali hałaśliwie, spierali się przy jakimś padle końskim, łamali kości z piekielnym łoskotem. Świerki rozszumiały się w górze; szczytami ich przechodziły jakieś stwory, śpiesząc na stypę nocną. Sęk popatrzył na zegarek. Była ósma. - Idziemy - powiedział podnosząc się od paleniska. Szli długo, potykając się i gubiąc w ciemności. Na polach wiatr ich chwycił, okleił mgłą wilgotną, wciskającą się za kołnierz i do rękawów. Nogami macali koleiny, wpadali w kałuże i błoto, uderzali się o kamienie i płoty przydrożne. Nie śpieszyli się zbytnio. Noc jesienna jest długa, tak długa, że może pomieścić w sobie wiele zdarzeń i ukryć je przed świtem i dniem, i przed ludźmi.

Przed wieczorem jeszcze losowali. Ustawili się w krąg i grali w «marynarza» o drobiazg, o zabawkę, o śmierć ludzką. Los padł na Kościę i Dziecioła. Biedak pobladł, skrzywił się, ale milczał. Kością zrobił tylko grymas ustami, ale też nic nie powiedział. Szedł teraz na szperacza, w czarnej kurtce, PPD podgar- nawszy pod ramię, niski, małomówny, najdziwniejszy ze wszystkich chłopaków.

Nocny marsz przedłuża się w jakiś nie kończący się pochód. Monotonność zwięzłego do kilkunastu kroków widnokregu nuży ogromnie. Kilometr każdy wydaje się dłuższy

dziesięciokrotnie; droga układa się pod nogi wciąż taka sama, jednostajna, bez końca, bez końca. Każda zmiana, przejście od łąki do pola, od pola do lasu wywołuje ulgę: znaczy, że się jednak posuwamy. Ci z końca może i tego nie wiedzą i idą ze zwieszonymi głowami, dotykając niemal pleców poprzednika. Nie myślą, gdzie są - może blisko, a może jeszcze daleko; wszystko im jedno. Widocznie jednak już celu dochodzą, bo szperacze stanęli i szepcą coś z Sękiem. Syknięcie; schodzą się wszyscy w gromadę. To tu, o, tamte budynki; ty obstawiasz stodołę, ty tylną ścianę, ty bok, my wchodzimy. Dzieciołowi serce bije mocno. Dla niego ta droga była krótka, o wiele za krótka. Że też to już musi być...

Otoczyć!

Biegną, biegną, rozsypują się gromadą po polu, zeskakują ze wszystkich stron, zamykają oka sieci. Nikt z domu nie wyjdzie, nikt już nie ucieknie. Właściwie wszystko jest skończone, zosta-je tylko wykonać.

Puszczyk ma tylną ścianę do strzeżenia. Dobiegł i drgnął. «Je- go» okno świeciło żółtym, spokojnym blaskiem, nieoczekiwanym w tej chłodnej i niesamowitej nocy. Cicho podszedł pod szybę. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie chciał tych ludzi płoszyć. Przez wpół zasłoniętą firankę widział izbę schludną, oświetloną ciepłym płomykiem lampy naftowej. Stół przykryty wyszywaną serwetą, kilim na ścianie, szafa, kilka krzeseł... Puszczyk patrzy otwartymi oczyma. Pewnie tam zacisznie jest i ciepło. Chciałby wejść, usiąść, odpocząć, zostawić broń gdzieś za ścianą, mieć pewność, że nikt obcy tu nie przyjdzie, że jest spokój sennego, październikowego wieczoru... Przez izbę przeszła dziewczyna, roznegliżowana, nie uczesana, widocznie myła się przed pójściem spać. Puszczykowi nagle przypomina się las sprzed godziny, kula - świątynia czerwonego blasku, w której się czuł tak bezpiecznie - i ta pozorna pustka dookoła. A potem to wycie. Może teraz - myśli - gdyby ujrzała za szybą moją twarz, wzięłaby mnie za wilkołaka.

Słyszy stukanie do drzwi. Aha, zaczyna się; biedny Dziecioł. Co-fa się sprzed okna na dawne swe stanowisko. Trochę, żeby «pa- nować ogniem nad tą ścianą», a trochę, żeby po prostu nie pa-trzeć. Słyszy tupot za drzwiami, ostre, podniesione głosy [to Sęk i Kozak], wystraszone głosy kobiece [to pewnie ta dziewczyna i jej matka], o, wreszcie jest i nieznajomy głos męski [to pewnie «ten gad»]. Po chwili głos Sęka woła: Puszczyk, możesz już zejść z ubezpieczenia, są wszyscy.

Idzie krokiem niepewnym. Więc jednak wypadło mu być przy tym. «Tych troje» stoi w kącie i patrzy otepiałym wzrokiem. Dziewczyna narzuciła na siebie jakąś chustę i trzęsie się, chyba nie z zimna. Chłop milczy, to bełkoce; jest tak głupi, że trudno go nawet najprymitywniej badać. A zresztą po co, i tak to jest już sprawa przesądzona. Dziewczyna próbuje się wyłgać. Stara przybrała na twarz możliwie najbardziej oślizgły uśmiech, obnaża szczerbate zęby, mówi dużo, jednym tchem, jakby czując, że mało ma czasu.

Ja wiem, panowie, to żart, na nią ktoś musiał «podkazać», że się panowie fatygowali. Proszę siadać. Ot, zaraz miodu przy-niosę i na drogę dam dla takich gości; toż «trafunek» u nas. Proszę, bardzo proszę.

Ślini się ze strachu, chce ręce całować; Kozak odtrąca ją szorstko.

A to i barana dam, panowie, drogie moje.

Żółta skóra na twarzy zaczyna drgać, ręce latają jak w febrze. Kością Chojaruk, oparty o stół, gwizdże przez zaciśnięte zęby i obcasem wystukuje takt jakiejś aryjki. Twarz ma spokojną, tyl-ko ciągle ten grymas. Dziecioł zajrzał przez drzwi. Powiedział tylko: -



Kończcie prędzej, bo nie wytrzymam - i schował się znowu w sieni. Blask lampy zdążył oświecić jego twarz, była szara, oszpecona jakimś nerwowym skurczem.

Tak, dosyć - Sęk podnosi się zza stołu. - Dziecioł, wejść tu, zostaniecie z Kością. Reszta wyjść.

Puszczyc granatem rączkowym, jak buławą, tłucze okna. Dźwięczny brzęk szyb doskonale rozładowuje napięte nerwy. Ukradkiem spogląda w bok. Przez wpółotwarte drzwi widzi twarz Chojaruka; wciąż spokojna, z tym jednym grymasem na ustach. Coś mówi, coś rozkazuje. Potem szybkim ruchem podnosi automat do ramienia. Kilka serii. Nawet są cichsze i zwyklesze, niż Puszczyc oczekiwał. I koniec. Jak to, już po wszystkim, tak prosto? Ci dwaj wychodzą z pokoju. Spokój zacięcia, spokój doskonałej równowagi sił z wyrazu Kości ustąpił. Grymas się rozprężył i wylał na całą twarz. W oczach ma ciemne błyski. Nie sprzeciwiaj mu się teraz, bo zabije.

Dziecioł ma w twarzy spokój i depresję. Czuje ohydę, jakby mu ktoś w oczy kałem chlusnął. Przełamał jakąś ogromną zaporę. Stało się, już nie wróci.

Oho, on już «po tamtej stronie» - mówi Zapałka, patrząc na Dziecioła. - Tak, jemu jest teraz już wszystko jedno.

Kością przynagła, głosem cierpkim, niecierpliwym. Jak robić, to dobrze i do końca. Puszczyc wyjmuje głównie z pieca. Papiery, rozrzucone podczas rewizji, chwytają ogień. Przez wybite szyby wieją przeciągi. Kością z palącą się głównią wchodzi raz jeszcze do «tamtego» pokoju. A potem na dwór; drzwi z tyłu zamknęli i patrzą w milczeniu, chłodząc głowy na wietrze. A ogień w środku zaczyna już huczeć. Kłębi się, liże ściany, zagląda do szaf, sięga sufitu. Zaraz wydostanie się na dach i okolicy całej tajemnicę zdradzi. Wiatr chłodzi gorączkę, mgła owilża twarze, uspokaja tętna. Mgła, noc, dom się pali.

W płonącej chałupie drzwi z trzaskiem się otworzyły; wybiegł dziad-upiór, chłop z głową pochodnią. Bosy, w kozuchu, które-go kołnierz stał już w płomieniach, z rękoma rozpostartymi szeroko, ze źrenicami wielkimi jak oczodoły czaszki przebiegł bez krzyku, bez jęku, żywy trup, wilkołak. Rozbiegli się jak szaleni, dając mu środkiem wolną drogę. Lęk - ohyda, żeby którego nie dotknął, nie potracił, rozproszyła ich po całym podwórzu. Kością opamiętał się pierwszy. - Strzelać! - wrzasnął, dając do chłopca długą serię. Posypały się strzały; błękitne, drobne iskierki pogoniły za biegnącą przez mglistą noc pochodnią.

Upadł na murawę i zgasł. Ziemia wessała płomień. Za ręce i no-gi wnieśli go z trudem do chaty, wwalili przez otwarte drzwi do kłębiącego się wnętrza, zamknęli, zatrzasnęli. Ogień wydobywał się już na dach. Płomień huczał, belki potrzaskiwały. Nagle jasny błysk rozszerzył się i padł na twarze. Instynktownie od-wrócili się wszyscy i zaczęli uciekać. Chowali twarze sami nie wiedząc przed kim, uciekali sami nie wiedząc od kogo. Czerwony blask ich gonił, zataczając na polu krąg coraz szerszy. Na chmurach spoczęła luna ruchoma, migotliwa, żyjąca. Pulsowała w takt wiatru chwiejącego płomieniem, wyjawiała całemu swia-tu tajemnicę zbrodni nocnej. Groziła. Sprawcy jej byli teraz bezsilni. Dobywali ostatniego tchu, nie zważając na ślady zosta-wiane na roli, byle prędzej dorwać do granicy cienia. Pod lasem Puszczyc obejrzał się do tyłu: po pogorzeliśku przechadzał się wilkołak, czerwony, krwawy, grzebiąc w żarzącym się popiele. Ścieżką leśną, pokarbowaną korzeniami, odchodzili dalej i da-lej. W milczeniu, wzrokiem przyzwyczajonym do ciemności wy-patrywali zakrety wąskiej dróżki, pochylali się pod nawisają-cymi gałęziami świerków, omijali krzaki i leżące kupy chrustu. Bali się zdradzić wobec puszczy

głośniejszym stąpnięciem, chrząkaniem czy przytłumionym błyskiem latarki. Od dawna nie szli tak równym, bezszelestnym, wyteżonym marszem. Podświadome poczucie, że z lasu patrzą oczy czyjeś, że idzie śladem ich ktoś, komu obojętne są raczej zdrady i sprawiedliwości, potrzeby walki i ojczyzny, że towarzyszy im cień natarczywy i wszystkowiedzący - opanowało ich do głębi. Cicho idąc myśleli, że oszukają tego przybłądę. Każdy nowy zakręt oddalał ich od «tamtego» miejsca, zacierał ślady, zaciemniał nocną tajemnicę. Ludzie jej nie przenikną. Zostanie na zawsze jedną z tych spraw, o których tylko bajki będzie można opowiadać, ale której historia nie zgłębi.

Teraz szli ciężkim marszem, dłużącym się znowuż bez końca. Może była godzina dwunasta, może pierwsza w nocy. Przerazenie ogarniało na myśl, ile taka noc wchłonąć i pomieścić by mogła, gdyby tylko sił ludzkich starczyło. Szli, szli przez nie znany zupełnie las; nigdy jeszcze tak daleko w puszcze się nie zagłębiali. Wreszcie, może było to po godzinie, może po dwóch, może po czterech, natrafili na chatę leśną. Pukali. Otworzono im. Niski człowiek uprzejmie zapraszał, bez okazywania lęku. Kobieta ogień rozpałała na piecu, wydobyla z szafy lampę na-ftową, widocznie tylko na przyjęcie rzadkich gości zapalana.

Zasłonić okna - mruknął Sęk. Kobieta się uśmiechnęła.

Po co, panie. Tu za światem, ludzi nie ma, i tak nikt nie zobaczy.

Zasłonić okna! - krzyknął prawie, wpatrując się w ciemne otwory.

Zawiesiła jakimś kilimkiem, spod oka spoglądając na rozbiera-jące się postacie. Sęk nasrożył się, jak umiał najgroźniej.

Czego, matka, tak patrzysz na nas? Ludzi nie widziałaś, czy co? Uśmiechając się ciągle, mówiła:

Ot, chłopcy, biedne chłopcy, toż wy dzieci. Jakie tam z was rozbójniki. Byli tu kiedyś prawdziwi bandyci, to zupełnie druga rzecz. Nie gniewajcie się, proszę, panowie, że ja tak mówię, ale po prawdzie to wy jak raz możecie być moimi synami. Pewnie teraz będą panowie spać, bo musi być z daleka idą, kiedy takie złe i pomęczone. A cóż tak wam zrobić na śniadanie? Mam kartofli trochę, mam mleko, mam i słoniny kawałeczek; proszę, co panowie każą?

Przy stole Sokół z Chmurą coś dzielili zaciekle.

Dzięcioł, chodź, masz kawałek plastra, należy ci się dzisiaj. Zdziwił się.

Skąd macie miód?

Jak to skąd? Toż ten sam, który ta baba nam wtykała. No, masz, weźże kawałek.

Dzięcioł odsuwa się nic nie mówiąc. Przypomnieli mu znowu o tym, o czym ani na chwilę zapomnieć nie mógł. Widzi żółtą skórę twarzy, wykrzywionej w maskę zwierzęcego, podłacego się strachu. Potrząsa głową.

Nie chcę.

Chmura wzrusza ramionami.

Dziwak! No Puszczyk, bierz chociaż ty prędko swój kawałek. Puszczyk też nie chce. Idźcie do diabła - mówi - z waszym miodem. Sokół zaczyna się nabijać.

Pany, psia ich krew, delikatne, pieski francuskie.

Gospodarz krząta się po izbie. Przyniósł słomy, porządkuje na stole. Jakaś grubą, mocno zacytaną książkę przenosi na półkę.

Co to za książka? Biblia? Gospodarz kiwa głową.

Pokażę wam, panowie, jutro, że tam ta wojna akuratnie była przepowiedziana.

Kładzie księgę z szacunkiem. Kością patrzy na niego przenikliwie.

A wyście, gospodarzu, katolik?

Nie, my baptyści. Nam nie wolno kłamać... ani zabijać. Nie chce dotknąć broni.

Nie, panowie, mnie nie wolno. Sęk patrzy na zegarek.

Puszczyk, pora na wartę. Ubrał się i wyszedł na dwór.

Spokojnie?

Spokojnie.

Został sam w wilgotnej nocy. Do świtu jeszcze godziny trzy, może cztery. Słabo, prostokątnymi zarysami przeświecają się zasłonięte okna. Przez ściany dochodzi gwar rozmowy, potem i ten cichnie. Pies drzemie w budzie, krowa w oborze się rusza. Las szumi, szumi, szumi. Niebo ciemne i puste; ani gwiazdy, ani odbłasku łuny. Widocznie «tam» popiół już szerniał i zgasł. Puszczyk myśli spokojnie i nawet z zaciekawieniem: jak też musi wyglądać rozżarzona czaszka ludzka? Pewnie ma kolor czerwonego złota. Supozycji swoich nie może jednak sprawdzić, więc tylko słucha wiatru. W lesie coś szeleści i trzeszczy. Gałązki pękają jak pod ostrożnym, skradającym się krokiem. Puszczyk wyteżę słuch i medytuje: skąd by można tym lasem dojść tutaj? Ho, ho, to nie byle las, to rdzenna puszcza. Można nią ciągnąć od Oleśnik i aż zza Połukni; można przyjść od Sobakiniec i - dreszcz mu przechodzi przez plecy - można lasami przyjść i «stamtąd». Puszczyk chce zaśmiać się głośno, na odwagę - i nie może. Ścisną rękoma z całej siły automat, choć wie dobrze, że gdyby... nie krzyknąłby ani wystrzelił. Ogląda się na psa: śpi spokojnie. To ulga, ten by poczuł na pewno. Ruszył z miejsca, przechadza się wielkimi krokami po podwórku. Za bramę nie wyszedłby za żadną cenę, ale między płotami jest względnie bezpiecznie. Ten suchy, z chrustu wyplatany «tyn» dobrze jed-nak odseparowuje go od wielkiej nocy. Za płotem wiatr szumi: to nic. Coś trzaska znowu, może wilk albo jakie inne zwierzę. Ej las, las, co tam się w nim nie kryje; wszystko, cokolwiek od ludzi 145

ucieka. Znow trzaska: to nic, to pewnie duchy. Patrzy spokojnie za bramę, w ciemność. Nawet by był rad, gdyby się między drzewami jakie płomyki pokazały. Za oborą cichy, cichy krok. Idzie ktoś, stapa ostrożnie po trawie. Puszczyk w nagłym przyplwywie energii chce biec i robić alarm. Przy ganku, z jedną nogą na stopniu, staje. Czego? O co? Nic nie ma. Krok umilkł gdzieś koło węgła: wtopił się w ziemię czy stanął i czeka? Na fosforyzującym zegarku strzałka wskazuje czwartą. Godzina minęła. Z uczuciem ulgi wchodzi Puszczyk do domu, obudzić Dziecioła. W chwili, gdy trąca go w ramię, pies na podwórzu z gwałtownym szczekaniem wypadł z budy i targa się na łańcuchu. Ujada, jakby go kijem kto drażnił. Potem ze skowyt wcisnął się znow do swej nory, drżał, kulił się, poszczekiwał, jak gdyby poznał swego pana. Puszczyk wybiegł na dwór z automatem gotowym do strzału. Pies już się całkiem uciszył, tylko węszył niespokojnie i ogon kulił, jeżąc sierść na grzbiecie.

Przez drzwi wyszedł Dziecioł i stanął na stopniach ganku. Była godzina 4.04. 2

Ja wiem, ten tekst wbrew moim zapewnieniom o jego autentyzmie nie może być wiarogodny. Wilkołaki i strachy, ta maniera pisarska dobra wiek czy pół wieku temu, dziś nieznośna i nieprzyswajalna tylko drażni i śmieszy. Teraz należałoby opisać zdarzenia inaczej, sucho, brutalnie, z intelektualną refleksją. Ale przecież opowiadanie było pisane właśnie prawie przed półwieczem i przez dwudziestoletniego autora, dla którego ta właśnie konwencja była najbardziej prawdziwa - i dziś nie umiałby się bardziej przybliżyć do prawdy. A gdybym nawet umiał, to bym nie chciał. Wiem też, że tekst ma pewne

niespójności, ale to jest też następstwem jego autentyzmu. Bo moja opowieść jest zbitką różnych wspomnień, którym mimo połączenia jedną nicią narracji nie chciałem odbierać właściwych realiów. A nad tym wszystkim i dookoła wisi jednakowa, jesienna, gęsta noc.

To jeszcze nie koniec tej nocy, tej jesieni ciągnącej się jak zmora. Znow ktoś przyniósł wiadomość, że w chacie siedzi dwóch żołnierzy sowieckich, kto ich wie - dezserterzy, maruderzy czy jeszcze inni, bez znaczenia. Otaczamy, wwalamy się do izby, krzyk, ktoś z naszych strzela kilka serii, upadli na stół, na ławę, z legowiska na piecu wyglądają przerażone dzieci, bo był już późny wieczór. Chłopu mówimy, że ma wywieźć, zakopać trupy - po co to wszystko, czy to jest odruch broniącej się ziemi, konwulsja patriotyzmu, czy rzeczywiście zaczynamy się zmieniać w wilkołaki? Jest już szósty rok wojny, trzecia czy czwarta okupacja, i chyba już nie ma odwrotu.

I znow mamy wiadomość. Jest chłop, podobno straszny gad, coś tam zawinił, nie wiemy wprawdzie co, ale należy go... itd. Więc idziemy znow nocą do chaty na skraju puszczy, bodaj nad brzegiem Wisiń- czy, otaczamy, wwalamy się. Chłop zbudzony, w płóciennych gaciach, coś tam gada, że nie jest winien, bo... itd. Chata jest nędzna, leśna, na łóżku siedzi młoda dziewczyna, chyba jego córka, coś gryzie, jakby korzeń. «Co ty jesz?» - pytam tak z głupiej ciekawości. «To waleriana» - mówi. Widzę jej oczy jakieś dziwne czy ze strachu, czy z nienawiści. Jest i starsza kobieta, żona chłopca, coś mruczy. Byliśmy wtedy wszy-scy trzej ze «starszyny»: Wrzos, Piętka i ja, wyszliśmy na dwór, żeby podjąć ostateczną decyzję. Już nie pamiętam, jakie były dowody winy, a jakich nie było, ale pamiętam nasze głosowanie. Wrzos był «za», Piętka «przeciw» rozstrzelaniu, trzeci głos był więc rozstrzygający. Poczulem skurcz w gardle, bo zupełnie co innego strzelać podczas starcia czy nawet na rozkaz, a co innego wydać wyrok śmierci. Bóg był łaskaw, że powiedziałem «nie». Wyszliśmy, zostawiając chłopca razem z jego żoną i córką, i czulem wielką ulgę, mimo że już po kilometry Piętka powiada: «Aleśmy nawalili, przecież po to tu przyszliśmy, żeby go załatwić i nie wiadomo czemu się załamaliśmy». Ale trudno już było wracać, więc szliśmy dalej w milczeniu, gryząc igły sosen. Podobno ten błąd naszej słabości naprawił w jakiś czas potem inny oddział. My zapadliśmy na dniówkę w samotnej zagrodzie koło wsi Kalitańce nad Solczą, gdzie - jak zapamiętałem - ukończyłem właśnie dziewiętnasty rok życia, rok, w którym przeszedłem przedwcześnie przez rozdroża życia i śmierci.

Był i inny nurt naszych działań tej jesieni. Trudno było wprawdzie atakować wprost oddziały lub garnizony sowieckie, ale zasada walki z okupantem musiała znaleźć wyraz w czymś więcej niż niszczenie jego współpracowników. I tak, zgodnie z partyzancką tradycją, naszą uwagę przyciągnęły tory między Wilnem a Lidą, którymi sunęły transporty kolejowe z żołnierzami i sprzętem wojskowym. Nie zważaliśmy na udział tej akcji w ogólnym bilansie wojny ani nie dostrzegaliśmy politycznych czy choćby propagandowych zagrożeń, które mogła ona spowodować. Dla nas wojna z Niemcami była skończona, daleki front był już mało ważny, natomiast rzeczywistością był najazd i zabór sowiecki, przeciw któremu usiłowaliśmy się bronić wszelkimi dostępnymi środkami. Więc pociąg z wojskiem sowieckim był dziś tym samym co pociąg z wojskiem niemieckim pół roku wcześniej, jeden i drugi należało zniszczyć, bo to był jakby ten sam wróg w dwóch osobach. Ktoś z nas co prawda zauważył, że ta działalność wpłynie tylko na przedłużenie wojny, ale nie był to argument istotny, bo przecież wojna powinna trwać dopóty, dopóki nie pozbedziemy się obu najeźdźców. Podobnie rozumowało widocznie i quasi-dowództwo w Wilnie reprezentowane

przez Licha i chyba stamtąd otrzymaliśmy, nie pamiętam już jaką drogą, trochę ładunków wybuchowych i sprzętu minerskiego.

Pierwsza mina była dość ciężka, bodaj pięć kilo trotylu w prostokątnej obudowie. Nieśliśmy ją na zmianę kilkanaście kilometrów do miejsca, gdzie tor biegnący lasem lekko zakręcał, ponieważ wybuch pod pociągiem jadącym na łuku daje lepszy efekt niż na linii prostej. Tak nas uczono na kursie przed rokiem, ale rzeczywistej praktyki minerskiej nikt z nas nie miał. Łuk okazał się bardzo łagodny, ale tor biegł w tym miejscu po dość wysokim nasypie, a to też był atut.

Ten epizod wtopiłem, ale też wyzyskałem jako jądro opowiadania pt. Cień, drukowanego w «Tygodniku Powszechnym», za które zresztą otrzymałem nagrodę tego pisma. Oczywiście i tym razem wprowadziłem pewien kamuflaż [«Niemcy»], choć i bez tego wskazania nikt chyba nie posądziłby mnie wtedy o to, co rzeczywiście robiłem. Sama relacja jest bardzo krótka, przytaczam ją tu jako rodzaj dokumentacji.

Tor jest tuż. Usiadłszy na pniu odpoczywają chwilę, smarują buty naftą; przecież Niemcy mają psy, będzie pościg. Potem idą po cichu. Nasyp czerni się, rośnie, jest już ponad głowami. Z daleka niesie się gwizd lokomotywy. Wiatr przeciąga po szczytach drzew i jest chłodno.

Roman ma palce pokrwawione od kopania. Pociąg dyszy. Nie wiadomo, jak jest daleko. W każdej chwili może ukazać się z ciemności. Po szynach, niby po srebrnych strunach idzie dźwięk coraz głośniejszy. Nadchodzi [...] Las cały jest pełen łoskotu nadjeżdżających wagonów. Wysadzić! Wysadzić. Wysadzić...

Ten pociąg jednak przejechał. Był zbyt blisko, żebym zdążył leżąc już przy torze prawidłowo zainstalować minę. Więc zsunąłem się z nasypu, żeby mnie nie dojrzeli z wagonów, a potem, gdy przejechali, wczołgałem się znów, dokończyłem grzebanie jamy w kamiennym szutrze i w ziemi, ustawiłem skrzynkę, włożyłem w otwór zapalnik i podkręciłem grzybek tak, żeby się opierał o spód szyny. Silniej czy słabiej docisnąć? - nigdy tego nie robiłem, a jak wiadomo, saper myśli się tylko raz.

Koledzy leżeli w bezpiecznej odległości, no cóż, trzeba w końcu wyciągnąć zawleczkę i albo będzie dobrze, albo źle. Nie huknęło. Trochę spocony zsunąłem się z nasypu i odeszliśmy od toru, bo a nuż będzie jakiś patrol. Niedaleko był most na Wisińcy, podobno pilnowany. Pociągu na razie nie było, więc ruszyliśmy z powrotem, trochę klucząc, żeby w razie pościgu psy miały utrudnione zadanie, nie byliśmy pewni, czy wysmarowanie butów naftą - jak nam doradzono - stanowi wy-starczające zabezpieczenie: a czemuż nie miałyby pójść właśnie za tą ostrą wonią? Gdy byliśmy już dość daleko w nocnej ciszy, przez las dotarł i zaczął się zbliżać odgłos kolejnego pociągu. Słuchaliśmy w napięciu, zwłaszcza ja, bo nie byłem pewny, czy dość mocno docisnąłem grzybek. I wtedy nagle błysnęło, a po chwili doszedł głuchy, głęboki huk i łoskot. Potem znów było cicho i ciemno i oddalaliśmy się coraz bardziej. Po paru dniach doszła nas wiadomość podana przez Licha, że zwała się lokomotywa i dwa wagony, podobno z artylerią, więc cie-szyliśmy się z sukcesu. Zawleczkę, którą wtedy ze strachem wyciągałem, zachowałem na pamiątkę i miałem ją długo po wojnie, jeszcze mym dzieciom, gdy były małe, mówiłem, że to taka pamiątkowa spinka do włosów, z którą wiąże się tajemnicza opowieść - poznają ją, gdy będą duże. Teraz są już duże, ale zawleczka gdzieś się zapodziała, może istotnie córka wpięła ją przez pomyłkę we włosy i zgubiła podczas zabawy. To i lepiej, po co mi taka pamiątka!

W kilka dni później wysadziliśmy następny pociąg. Tym razem mina była mniejsza i efekt nie tak duży. Nie ja ją zakładałem, więc mniej dokładnie pamiętam to zdarzenie. W obu przypadkach rzecz miała miejsce w pobliżu przystanku Stasiły, a traf zrzucił, że w tymże czasie jakiś inny oddział podłożył minę na tej samej linii kolejowej w okolicy Bastun, powstało więc wrażenie, że jest to akcja zorganizowana na dużą skalę, bolszewicy zaczęli ściągać wojsko i pilnować toru, trzeba było odskoczyć. Mieliśmy jeszcze jedną niedużą minę, bodaj kilogram trotylu, którą umieściliśmy na drodze, tam gdzie sowieckie ciężarówki wywoziły drewno wycinane w puszczy: nie będą nam niszczyć i kraść naszych lasów! Nie wiem jednak, czy ta mina wybuchła i z jakim skutkiem, albo czy zamiast sowieckiej ciężarówki nie wyleciał na niej ktoś inny. W kilka miesięcy później, już wiosną inny oddział, z którym spotkaliśmy się koło Rudnik, zniszczył granatami parowóz kolejki leśnej również wywożącej drewno. Obronę naszej puszczy uważaliśmy za szczególnie ważną. Czy chodziło nam tylko o drewno, o zachowanie drzewostanu, czy może podświadomie o ochronę naszej ostoji, w której byliśmy już zadomowieni?

W przytoczonym już fragmencie opowiadania Omyłki leśne znajduje się krótki opis podziemnego schronu, który «niedźwiedzim obyczajem» zbudowaliśmy sobie przed zimą. Doszliśmy do przekonania, że niezależnie od naszych melin, niezależnie od przygodnych chałup, w których się zatrzymywaliśmy, powinniśmy mieć schronisko ostatniej nadziei, nikomu prócz nas nie znane, gdzie w razie konieczności moglibyśmy zapaść jak borsuki w norze, zniknąć z powierzchni ziemi i przetrwać wszelkie oblawy. Studiując długo mapę wyznaczyliśmy miejsce najwłaściwsze, w południowo-zachodniej części naszej puszczy, daleko od dróg, jakieś pięć kilometrów od Solczy, ale z bliskim dostępem do wody z małej rzeczulki. Zdobyliśmy skądś łopaty i siekiery, a nawet żelazny piecyk z rurą kominową, i przez kilka dni twardo pracowaliśmy przy budowie. Ziemię, a raczej piękny, żółty piach, bo to było przy jakiejś wydmie, wynosiliśmy na sporą odległość, żeby nie wzbudzała podejrzeń. Dół był długi na cztery-pięć metrów, szeroki ze trzy, głęboki ze dwa metry. W rogach miał grubsze słupy, przy nich poziome żerdkie przeplecione gałęziami świerkowymi, żeby ściany się nie osypywały. Strop z gęsto leżących żerdek był przykryty ziemią i darniną czy raczej kępami mchów i wrzosów. Niewielki otwór wjazdowy z drabinką zamykała drewniana kwadratowa pokrywa, też osłonięta mchami. Tuż nad ziemię wystawała rura od piecyka przykrywana czapą z mchu. Wewnątrz znajdowało się legowisko z gałęzi i mchów oraz kilka sprzętów: siekiery, łopaty, wiadro do noszenia wody - to chyba wszystko. Starannie oczyściliśmy otoczenie ze śladów pracy, jak drzazgi, obcięte gałęzie, i rzeczywiście, schron znikł, można było przejść po nim niczego nie widząc. Dla nas samych porobiliśmy znaki na drzewach, żeby w przyszłości bez trudu trafić na to miejsce. Skorzystałem z nich po kilku miesiącach, na wiosnę.

Na razie schron nie był potrzebny. Pierwsze przymrozki, poranny szron zniechęcały do koczowania w lesie, korzystaliśmy więc nadal z rzeczywistej lub z wymuszonej gościnności w samotnie stojących zagrodach. To była już rutyna: co dzień gdzie indziej, przejść co najmniej z dziesięć kilometrów od poprzedniego postoju. Chatę, jeśli jej nie znamy, wybieramy z mapy. Ma być samotna, w lesie lub koło lasu, nigdy przy większej drodze. Dochodząc, zawsze w nocy, patrzymy i słuchamy czas jakiś, czy cicho, czy nie ma zasadzki. Potem dobiegamy, obstawiamy drzwi, okna, stukamy: «Otworzyć!» Na ogół otwierają bez protestu, czasem nie chcą, wtedy przez okno świecimy do środka, pokazujemy broń:

«Otworzyć! Prędko!» Wchodzimy, świecimy po wszystkich kątach: «Czy nie ma obcych? A to kto?» - «To brat, przyjechał wczoraj ze wsi» albo: «To syn, tu żyje z nami» - «Dobrze, zostajemy tu na dzień». Przyjmują to czasem życzliwie, czasem w milczeniu lub niechętnie, ale jakże tu protestować. «Oo, nie! - powiedział jeden z chłopów na to nasze oświadczenie, że będziemy u niego spędzać cały dzień. - Oo, nie!» Bar-

dzo nas tym bezsilnym protestem ubawił i powtarzaliśmy później nieraz te dwa słowa jak porzekadło dotyczące nieodwołalnej konieczności. Na ogół jednak po pierwszym zaskoczeniu klimat się poprawia. Widzą, że to swoi, tutejsi, nie Ruscy, którzy przyszli, by wywieźć, nie bandyci, którzy przyszli obrabować. «Matka, nastaw sagan kartofli; a może bliny zro- bisz?» Nastawiła, zrobiła do blinów w misce pomoczkę, jemy maczając każdy swój kęs w misie, na deskach stołu tworzą się promieniste smugi ze skapujących kropli. Ze stodołki przynosimy słomę do spania, ustalamy kolejność wart - pod tym względem nie może być zaniedbania, wartownik jest zawsze na zewnątrz, wewnątrz czuwa rozprawdzający. Czasem przed snem pozartujemy, pośpiewamy. Jeśli są jeszcze lody między nami i gospodarzami, to topi je zwykle głupia piosenka rosyjska: Samolot letiel, kalosy tiorli sia, No my nie zdali was, a wy prypiorli sia... Potem są inne zwrotki, też niezbyt mądre, ale ta pierwsza rozładowuje atmosferę: że to niby o nas, nie czekali nas, a myśmy się wepchnęli. Jest więc już obustronne zrozumienie i zgoda, a jeszcze jakaś modlitwa czy pobożna pieśń dopełniają reszty. Mija dzień w mniejszym lub większym napięciu. Czasem trafi do chaty jakiś sąsiad lub krewniak, wtedy musi pozostać z nami do wieczora, to jest reguła, od której nie ma wyjątku, pamiętamy chociażby tych partyzantów sowieckich pod Litwicą, których chłop wydał Niemcom, więc mimo wszystko nigdy dość ostrożności. Jeśli zaś nawet we wsi czy u sąsiada zauważą, że ktoś jest w zagrodzie, nie będą ryzykować donosu, bo nie wiadomo, kto to taki i czy nie będzie się mścić. Wieczorem wychodzimy, zagłębiając się znów w czerń i w las, znikamy w niewiadomym kierunku, w sobie tylko znanym celu. I tak noc po nocy, wrzesień, październik, listopad. Tak chyba będzie już zawsze.

Późną jesienią snują się mgły, siąpi deszcz. Kiedyś mówiliśmy, że jest to pogoda «zajęcza», bo na Wszystkich Świętych rozpoczynał się sezon polowań na zajęce i w taki właśnie czas chodziliśmy po polach podweryskich ze strzelbami albo stali na stanowiskach wzdłuż skraju lasu, oczekując kolejnego miotu. Las, pole pachniały jak i teraz wilgocią, okrycia jak i teraz czasem przemokły, ale teraz nie było ubrań na zmianę, tyle co się w chałupie podsuszyło. Było jak w tej piosence: «przemoczone pod plecakiem osiemnaście lat», tylko tam nie ma ani słowa o tym, że w wilgoci, gdy nie tylko nie zmienialiśmy odzieży, lecz przeważnie w ogóle nie rozbieraliśmy się do snu, łatwo legły się wszy i jedyny na nie ratunek, poza doraźnym tłuczeniem, stanowiła łaźnia. Prawie w każdej wsi znajdował się taki budynek ustawiony nad byle wodą, w nim stos polnych kamieni przy ognisku, kilka piętowych prycz czy ław przy ścianie i żerdki pod dachem zamiast stropu. Wchodziliśmy na-go do rozgrzanego wnętrza, potem chlust kubka wody na rozpalone kamienie i straszliwe, dławiące uderzenie pary, im wyżej, tym silniejsze. Kto mocny, ten kładł się na wysokiej pryczy, kto słabszy, ten na niższej albo wprost na ziemi, a na żerdziach u samej góry wisiały nasze ubrania i tam właśnie w gorącu i parze powinny były wyginać wszystkie wszy; na jakiś czas więc przycichały, ale widocznie część z nich zostawała przy życiu, bo już na drugi-trzeci dzień znów się dawały we znaki. Zabiegi takie nie mogły być jednak częste, bo trzeba było trafić na łaźnię odsuniętą od wsi, nie na widoku, w warunkach względnego bezpieczeństwa. Kąpiel czyniła nas bowiem bezbronnymi jeszcze i chwilę później, gdy po wyjściu ogarniało wielkie osłabienie. Nie przypadkiem chyba parę zamachów na dawnych polskich księżąt dokonano właśnie w łaźniach. My przestrzegaliśmy zasady, by kąpać się na dwie zmiany, jedni w łaźni, drudzy obok z bronią. Nikt zresztą nas nie zaskoczył.

Przy końcu listopada nastąpiło inne zaskoczenie: niespodziewany koniec jesieni! W ciemnych nocach, we mgle i wilgoci zapomnieliśmy niemal, że czas się posuwa. Nagle pewnego dnia świat stał się biały, nawet w nocy widno. Śnieg na drzewach, na wrzosach, na polach, można dojrzeć człowieka na sto metrów, a co znacznie ważniejsze: człowiek, tak jak zwierzę, zostawia ślady! Jakże teraz będziemy chodzić drogami i na przełaj, gdy będzie się za nami ciągnąć różaniec tropów, niczym za stadem wilków? Co wart teraz nasz schron w puszczy, jak oddalić się niepostrzeżenie od toru, jak zmylić pościg? Nowe warunki wydały się nam tak trudne, że postanowiliśmy zakończyć naszą działalność, rozproszyć się, znów schować broń, zniknąć każdy na własną rękę i czekać - może do wiosny, może dłużej - na coś, co musi nadejść, bo przecież wiedzieliśmy, a raczej mieliśmy poczucie i przeświadczenie, że to jeszcze nie koniec.

### **Wielka sanna**

Rozeszliśmy się i poukrywali, jak kto mógł i umiał. Chłopcy «jodkiscy» zapadli w swoich domostwach i melinach, Wrzos i jego brat Zapalka wrócili do Wilna, mój brat stryjeczny Jerzy [Kobuz] zamieszkał w Jaszunach, gdzie znaleźli się jego rodzice, i tam pracował w tartaku, zresztą niezbyt długo, bo po kilku tygodniach sowieci zgarnęli go stamtąd, wsadzili na Łukiszki, a potem wywieźli do Donbasu, skąd wrócił dopiero w 1947 roku, opuchnięty z głodu. Ja przez pewien czas byłem w Wilnie, ale nie było tam bezpiecznie i wkrótce dzięki staraniom mej Matki trafiłem do domu położonego na obrzeżach Puszczy Rudnickiej, o jakieś pięć kilometrów od Jaszun, należącego do rodziny Kwiatkowskich. Gospodarz, stary kawaler, miał za sobą parę lat studiów uniwersyteckich na wydziale prawa. Mieszkał z matką i dwiema siostrami, z których jedna była od urodzenia kaleką bez obu nóg. Matka moja



wiedziała o tej rodzinie za pośrednictwem pewnej pani z Bieniakoń, o którą ów Kwiatkowski niegdyś zabiegał, i na tej wątej podstawie po-prosiła o przygarnięcie mnie w ich domu. Spotkała się z pełnym zrozumieniem i życzliwością, więc zaraz potem odprowadziła mnie do nich, jako że samotna wędrownica młodego mężczyzny była wtedy bardzo ryzykowna, a idąc we dwoje, w chłopskich kozuchach i okryciach głów nie budziłyśmy szczególnych podejrzeń. Gdy w drodze powrotnej Matka zatrzymała jakąś sowiecką ciężarówkę prosząc o podwiezienie do Wilna, kierowca nie chciał jej zabrać, ale drugi żołnierz powiedział: «Weź ją, eto że nasza sowietskaja żeńszczyna» - i tak szczęśliwie dojechała jako baba wiejska.

Kwiatkowscy przyjęli mnie ciepło i serdecznie. Spędziłem u nich dwa miesiące jak u bliskiej rodziny. Mieszkał tam także ich kuzyn czy siostrzeniec, chłopak w moim wieku lub trochę młodszy, z którym wspólnie pomagaliśmy w gospodarstwie i wszelkich pracach domowych, zwłaszcza przy piłowaniu i rąbaniu drzewa na opał. Domostwo Kwiatkowskich stało na niewielkiej polanie wśród lasu, przy drodze prowadzącej z Jaszun do Popiszek nad jeziorem Popis, których nie należy mylić z Popiszkami na południowym skraju Puszczy Rudnickiej, wsławionymi pojawieniem się tam chłopca-proroka, opisanego przez Józefa Mackiewicza w powieści Droga donikąd. Wzdłuż tejże drogi, ale na ogół w sporej od niej odległości, znajdowały się i inne zabudowania osadników, którzy mieli tam swe zagrody i małe poletka i stanowili swoistą społeczność wtopioną w leśny krajobraz. Opisałem ich w dwa lata później w opowiadaniu pt. Ludzie z polany leśnej, drukowanym w tygodniku Powszechnym». Przytoczę tu tylko krótki fragment tego tekstu zawierający charakterystykę ludzi i miejsca:

Nie są to chłopci, nie jest to także szlachta zagrodowa. Po dwu-miesięcznym pobycie Krzysztof [to znaczy ja] znał już wszystkich prawie sąsiadów, nie umiałby jednak powiedzieć, do jakiej grupy społecznej ma zakwalifikować tych ludzi. Osadnicy z różnych stron Polski, przeważnie półinteligenci, ludzie z przeszłością przedziwną, niekiedy niejasną i zawikłaną, obecnie w większości wypadków dziwacy, przyzwyczajeni do odludzia, ciszy, spokoju rozwieszzonego na porębach i wrzosowiskach.

Jedyną arterią łączącą ich ze światem była droga. Szła przez po-lany szeroka, piaszczysta, rozlewała się wśród sośniaków na kilkanaście metrów wszerek, dzieliła na dwa albo trzy koryta płynące każde parą głębokich kolein. Potem, przeszedłszy pa-sieki, wchodziła w puszcę i tam nagle zwężała się, skakała po twardych korzeniach i z trudem wyrąbywała sobie tunel wśród wielkich sosen. Tą drogą chodzili do kościoła, do stacji, do mia-steczka.

Nie przypadkiem poświęciłem tych kilka zdań leśnej drodze, od niej bowiem szło wtedy zagrożenie, z nią trzeba było wciąż się liczyć. Była już zima, spadł głęboki śnieg, tylko od tej drogi mógł ktoś niespodziewanie nadejść.

Istotnie, nadchodzili i to kilkakrotnie. Bodaj dwa razy zauważyłem ich w porę, zdążyłem wyskoczyć oknem z drugiej strony domu i wpaść w las. Trzeci raz było już za późno, więc tylko schowałem się w szafie i tłumiąc oddech czekałem - znajdą mnie czy nie znajdą. Ryzyko było spore, bo w razie odkrycia los mój, jako oczywistego przestępcy, byłby marny. A oni szukali właśnie takich jak ja. Weszli do sieni, do pokoju, zaglądali do kątów, stali tuż koło szafy, a do środka nie zajrzeli. Siedząc tam nawet nie zdążyłem się bać, a dopiero gdy poszli sobie, zrobi-

ło mi się nieswojo. Za czwartym razem wreszcie mnie przyłapali, stanęli już w drzwiach i nie można było ani uciec, ani się schować. Więc zaraz do mnie: kto jestem, co tu robie?

Pokazałem im dokumenty, oczywiście fałszywe, zrobione w Wilnie na wszelki wypadek - a więc jakiś dowód osobisty, tak zwaną broniówkę, to jest papier z odpowiednią pieczęcią, zwalniający mnie ze służby wojskowej i jeszcze jakieś zaświadczenie. Wobec Niemców taki zestaw stanowiłby żelazny glejt chroniący od wszelkich łapanek, ale jeden z tych dwóch, widocznie starszy rangą, tylko rzucił okiem na te papiery i oświadczył: «D», czem łut- szij bandit, tym łutszyje dokumenty imiejēt. Odiewajsia!» Ociagałem się coś tam mrużąc, ale on tylko ponaglił, a wtedy mój gospodarz wyciągnął skądś butelkę samogonu i prosił: «Zostawcie, to nasz kuzyn, on nam pomaga w gospodarstwie». Ten argument podziałał, wzięli butelkę, mrukneli do mnie: «Ostawaj!» - i wynieśli się. Może w ten sposób pan Kwiatkowski ocalił mi życie, a w każdym razie uratował od wielu złych przygód. W pięć lat później spotkałem go przypadkowo na małej stacyjce na Pomorzu Zachodnim, koło której miał gospodarstwo otrzymane w zamian za tę zagrodę w puszczy. Zaprosił mnie i ugościł, ale to ja byłem jego dłużnikiem i pozostałem nim na zawsze, bo w jakiś czas potem dowiedziałem się, że popełnił samobójstwo, bodaj z jakichś przyczyn osobistych, bo był nieco ułomny, miał zniekształconą dłoń i życie mu się nie ułożyło.

Gdy udało się uciec przed łapaczami sowieckimi, a także w dni, gdy groziło ich najście i trzeba było już o świcie wychodzić z domu, przesiadywałem aż do zmierzchu w lesie osypanym śniegiem, pełnym zasp, zdobnym w sznurki śladów zwierzęcych. I my też, ów siostrzeniec Kwiatkowskich i ja, staraliśmy się zmylić pozostawiane na śniegu ślady: a to szliśmy trop w trop jak wilki, a to schodziliśmy z drogi w głąb lasu tyłem, jak podobno robi niedźwiedź w pobliżu swej gawry, a to kluczyliśmy niby zające. Wprowadzałem w czyn powiedzenie, jakie przejęliśmy przed wojną od naszego gajowego nazwiskiem Jagiełło, który gdy pewnej zimy w lesie podweryskim pojawiły się wilki, tropił je, a potem donosił Ojcu, że «nachodziwszy, nakręciwszy, ale nie rozbierzesz, gdzie poszedzysy». Staralem się więc, żeby i w naszych śladach nikt nie mógł się «rozebrać» ani stwierdzić, dokąd poszliśmy. Wałęsaliśmy się w ten sposób po bliższych i dalszych partiach lasu, bo przecież trudno było usiedzieć w jednym miejscu nie widząc żywego człowieka; jeśli ktoś się pokazał na drodze lub w dukcie leśnym, przypadaliśmy za krzakiem czy pnem, bo nic dobrego po takim spotkaniu nie należało rokować. O zmierzchu zbliżaliśmy się chyłkiem do domu patrząc pilnie, czy lampa w oknie jest odpowiednio ustawiona - znak, że możemy wejść bezpiecznie.

Pewnego wieczoru, było to 14 lutego, po powrocie z lasu zastałem w domu nie znaną mi osobę. Była to dziewczyna, w przybliżeniu w moim wieku, niewysoka, niebrzydka blondynka. Okazało się, że jest łączniczką Wrzosa, który dowodził jakimś oddziałem; usłyszawszy skądś, że mieszkam u Kwiatkowskich, postanowił podjąć mnie z tej meliny, abyśmy znów wspólnie wojowali z bolszewikami. Wyprawił więc najpierw Mewę - takie pseudo miała łączniczka - z wiadomością i propozycją, a w ślad za nią wieczorem miał się zjawić patrol, który doprowadziłby mnie do oddziału. Propozycję oczywiście przyjąłem bez wahania. Już wcześniej dochodziły mnie wiadomości o istnieniu jakichś leśnych oddziałów i mimo całej sympatii dla domu Kwiatkowskich, mimo wszelkich zalet tej meliny miałem poczucie, że jest to tylko etap przejściowy, po którym należy powrócić na front, taki front, jaki nam się ówczesnie rysował w postaci nieregularnych węzłów i splotów wyznaczonych przez pojedyncze napady, starcia i drogi ucieczek. Razem ze mną postanowił wyruszyć też siostrzeniec Kwiatkowskich, który przyjąwszy pseudo Pigułka towarzyszył mi odtąd aż do końca naszej epopei. Odkopaliśmy więc parę automatów, które mieliśmy ukryte w

sąsiedniej, opustoszałej chałupie, i czekaliśmy na przybycie zapowiedzianego patrolu. Mewa drzemiała, odpoczywając po długiej drodze. Nie zwracałem jeszcze na nią baczniejszej uwagi.

Późnym wieczorem zrobił się ruch. Z dwóch par sani wysypała się przed domem grupka młodych ludzi w kozuszkach, z automatami na piersiach; weszli do wnętrza i jeden z nich zameldował mi przybycie patrolu. Rozsiedli się, rozgrzewali, stara pani Kwiatkowska dała im gorącą zupę, ja tymczasem ubierałem się, przedzierzgałem znów w partyzanta, żegnałem z gospodarzami i mówiąc sakramentalne zdanie: «Na moją komendę, powstań! Wychodzimy!» - miałem poczucie, że zaczynam jakiś nowy i ważny okres życia, w którym czeka mnie coś niezwykłego. Ten wyjazd z domostwa Kwiatkowskich opisałem później dość wiernie w cytowanym już opowiadaniu o ludziach z polany leśnej. Przytoczę z niego tylko krótki końcowy fragment:

...zbudzone cienie nikną w drzwiach cicho, bez świateł, jakby się zapadały w pustkę «po drugiej stronie». Coś brzęka jeszcze w ciemności, ktoś biegnie, ktoś półgłosem woła:

Gotowi?

Gotowi... Gotooow...

Potem z cichym szmerem rząd sań wysuwa się na drogę i zaczyna gnać. Kulig czarci, ludziom na radość i przestach. Na dziw, na zdumienie, na nadzieję. Dopada puszczy i ginie w niej. Wije się między drzewami, przebija się lasem, zaroślami, leci przez wądoły i zasy, dowódca chyba jeden wie dokąd. Na trzecich saniach na słomie siedzi Krzysztof. Więcej czuje niż wie, że jedzie znów w jakiś dziwny, arcydziwny kraj, rzeczywisty czy urojony, ciągnący jak bajka, o której wiadomo, że bajką nie jest.

- Nie zostawać... Nie zostawać...

Las, czarne niebo, wiatr na oszronionych twarzach. 3

Początkowo sposób poruszania się saniami był dla mnie niezwykły, bo jesienią zdawało się nam, że razem ze śniegiem możliwości przesuwania się bez pozostawiania śladów zostały bardzo ograniczone. Okazało się jednak, że przeciwnie, dzięki sannie zwiększa się mobilność oddziału, trasy pokonywane w ciągu jednej nocy wzrosły z kilkunastu do kilkudziesięciu kilometrów, tym samym staliśmy się mniej uchwytni, trudniejsi do zlokalizowania i zniszczenia, a zarazem bardziej aktywni i zaczepni. Miałem się o tym wszystkim przekonać w najbliższych dniach, a na razie jechałem głęboką nocą w głęboki las, na drodze były wielkie zasy, sanie huśtały w dół i w górę, w dół i w górę jak na falach, Mewa siedziała przy mnie - czy jeszcze nie zwracałem na nią uwagi? - i już się rozpoczynała moja wielka sanna, trwająca nieprzerwanie prawie czterdzieści nocy, aż do wiosennych roztopów.

Tę zimę, tę sannę starałem się też opisać w Omyłkach leśnych, cytowanym już cyklu czterech obrazów poświęconych czterem porom roku. Czy i ona była w swej istocie omyłką, jak sugeruje ów tytuł? Jest to zresztą tekst bardziej liryczny niż epicki, bo tę zimę musiałem nie tyle opisać, ile wykrzyzczyć. Przytaczam ów ustęp bez zmian w przekonaniu, że lepiej, niż umiałbym to zrobić dzisiaj, przybliży mój ówczesny ogląd rzeczywistości. O realiach opowiem nieco później i z większym dystansem.

Stada białych jaszczurek pod kopytami koni. Z szelestem przebiegają po zbitej wiatrem skorupie śnieżnej. Gnane przez nie kończące się pola w zygzaki, w spirale, uderzają z różnych stron na jadącą kolumnę, zasypują w kilka sekund ślady płóz, wzlatują w powietrze

i wpadają do sań, tną lodowymi okruchami po zeszywniałych kozuchach. Chłodno jest nocą zimową, ale zdro-wo i rześko.

I to jest też partyzantka. Kulig na polach białych od śniegu i błękitnych od księżyca. Wyścig z gwiazdami nad głową i z wła-snymi cieniami przy drodze. Przez pole, przez wieś, przez rzeki zamrożnięte. Wczoraj była bitwa, był napad na załogę uspio-

nego miasteczka. Były strzały kolorowe, czerwone i niebieskie. Poszło echo daleko po polach. Radość zwycięstwa, fala szczęścia. Wszyscy odjechali żywi. Zostawili na śniegu ludzi-szmaty, ludzi-lachmany. Udał się napad. Czerwone głównie tleją, bije z nich swąd pogorzeliska. Usta łączniczki Ewy też są czerwone jak węgle.

Stada białych jaszczurek znikają na skraju lasu. Kolumna wpływa w wielką, miękką ciszę. Na polach była martwota pustyni, tutaj jest spokój dna morskiego. Poprzewracane karczce, jak czatujące kraby czy ośmiornice; zarośla ubrane śniegiem niby krzewy białych koralii. Rząd sani płynie między pniami. Może to jakiś potwór morski przesuwają się po dnie, błyskając zielonym okiem elektrycznej latarki. Na górze, w wierzchołkach drzew, szumi wiatr. Nie mać Wielkiej Ciszy, jak oddechy ludzkie nie mać symfonicznego koncertu. Chyba tylko człowiek złej woli lub głuchy odważy się podnieść tu głos choćby odrobinę powyżej granicy szeptu. Biały las, biały kraj, biały świat. Ślady lisie, gałęzie świerków nachylone pod ciężarem czap śnieżnych. Cisza i bezpieczeństwo to chyba dwa najważniejsze atrybuty nastroju «domowego». Bo w lesie oprócz Wielkiej jest jeszcze i mała Cisza. Zamknięta między świerkami na niewielkich polankach, rozłożona na poduszkach śniegowych, na sofach z zasp. Cisza wnętrza urządzonego, wysłanego miękkim dywanem z ciężkimi kotarami u okien. Prawdziwy i rzeczywisty, nie urojony dom partyzancki.

Konie biegną powolnego kłusa. Sanie suną lekko, czasem uderzą o pień, czasem przechylą się na bok. Bez dzwonek, bez janczarów, bez krzyków. Uważać trzeba wciąż, pamiętać o wszelkich środkach ostrożności. Ludzie są wszędzie, nawet w lesie, a spotkanie z nimi to częściej walka niż powitanie. Homo homilii..., przecież to jest las.

Na drugich saniach jedzie komendant Kłos. Futrzana czapka, kozuszek po kolana, skórzane paski skrzyżowane przez pierś. - Nie spać tam i uważać! I trzymać odstęp pomiędzy saniami! Niech Kłos tak woła, niech przynagła, ale ty, Ewa, oprzyj mi się wygodnie o ramię i śpij. Do świtu daleko i do naszej meliny da-leko...

Noc zimowa jest długa. Konie od zmroku do rana wiele mil ubiec mogą. Granica lasu pozostała gdzieś w tyle o sto zakrętów drogi, za stu tysiącami drzew. Tam, za lasem, jest kraj. Polska. Gdzieś w kraju tym tętni krew podziemna, kraj cały dyszy konspiracją. Walczy o coś, pracuje nad czymś, ale stąd jest do niego bardzo, bardzo daleko. W środku lasów, między błotami znajduje się zamarźle jezioro. Biała kotlina w czarnej puszczy. Ani chaty, ani człowieka, ani ducha. Wiatr nawet tam nie dotarł, zwierzę żadne nie przebiegło po śniegu. Czas chyba od wieków tędy nie przechodził, a może w ogóle nigdy go tu nie było. Księżyc zatracił gdzieś swą lisią czapę i świeci martwym, ostrym blaskiem, nie grzejąc posiniątych rąk ani twarzy. Głos rozsypuje się zaraz po opuszczeniu ust, nikt nie potrafi chyba wywołać tutaj echa. Konie nie chcą wejść na jezioro. Boją się Śmierci czy Pustki. Kto przez kotlinę tę żyw przejechał, będzie ponownie jej szukał, jak bandyta miejsca swej zbrodni. Ale chyba nie zobaczy jej więcej, bo raz tylko jest się w partyzantce całym sercem i raz tylko ma się oczy i duszę tak szeroko, tak zachłannie otwarte.

No właśnie, co tu zrobić z tym tekstem i z tą rzeczywistością? Za chwilę postaram się go przełożyć na język kronikarza czy pamiętnikarza, który ten opis uzupełni, uwiarygodni, ale też zepchnie na margines młodzięczego sentymentalizmu. Nim to nastąpi, przytoczę jednak jeszcze mój ówczesny wiersz, jeden z wielu, którymi próbowałam opisywać tę wielką sanę; dziś służy mi on jako notatka kontrolna, potwierdzająca przedstawioną wizję. Cytuję go z pamięci: Z Gumby na Długą Wyspę Przejedziemy we dwie godziny Byle

Koń się nie ślizgał po lodzie I byle

Księżyc nie zagaś w chmurach jak latarnia w wodzie. Przez Wadaginię

Droga prowadzi tunelem-korytarzem Ośnieżonym, długim i białym. Sosny walczące z wiatrem Na skraju pól pozostały, A my jedziemy tunelem-korytarzem Na Długą Wyspę. I tak nikt nie uwierzy, Że przed godziną były strzały

I że za nami w śniegu Człowiek leży. Za pół godziny, Byle nam konie nie ustały I byle nie zwolniły biegu, Będziemy na naszej melinie. Także fragmenty innych wierszy zostały wtopione w cytowane wyżej opowiadanie, reszta się rozplynęła i mam w pamięci tylko niektóre ich zwrotki. Na przykład taka scena, jak zawsze na śniegu i w nocy: długa jazda, drzemię, marzy mi się powrót do domu, jakieś opowieści w rodzinnym kręgu, ale

Sanie wstrząsły się na grudzie, Koń zachrapał - i znów cisza. To zasypiam, to się budzę - Myśli moich nikt nie słyszał. I oto wjeżdżamy w długą aleję prowadzącą do jakiegoś dworu. Droga jest zawiana, nie przetarta. Podjeżdżamy pod ganek, dom jest ciemny, opuszczony, wchodzę do środka po ośnieżonych stopniach: Drzwi otwarte, puste okna, Niebo nocne w nich ciemnieje. Księżyc wyszedł nad widnokrąg I do nagich ścian się śmieje.

Tyłem, tyłem, przez próg, ganek, I po stopniach, i do sani, I do bramy, i za bramę, Alejami! Alejami! Milcząc jadę, w tył nie patrzę, Głowę wciskam do kozucha, Byle zgubić, w myśli zatrzeć Zawianego w śniegach trupa. Tej notatki nie potrafię już odszyfrować: gdzie to było, jaki to był dwór, ale utrwaliła ona ów obraz, który wtedy bardzo mnie przejął. Są i inne fragmenty zapisane w pamięci, które postaram się spożytkować jako budulec tych wspomnień i jako świadectwo barwy czasu. Przypominają one fragmenty malowideł wyzierające spod warstwy tynku w ruinach dawnej budowli. Widać na nich wciąż las, śnieg, sznur sani, jest i dziewczyna w krótkim kożusku, z przewieszonym przez pierś automatem. Są w tych tekstach strzały hałaśliwe, seryjne, a także dużo gorsze, pojedyncze. Jeden, drugi, trzeci: jak ona to słyszała, jak mogła to słyszeć! Drzewa nagie na wietrze się gną i kołyszą. To były strzały od-dane przez nas w lesie, ale nie w toku bitwy. Bywały też dalekie, samotne wystrzały dochodzące w nocnej ciszy z puszczy czy z za puszczy, dla których nie było wytłumaczenia: kto? po co? do kogo? Odgłos na pół naturalny, nie określony w przestrzeni, podobnie jak huk drzew pękających na wielkim mrozie. Ale przecież naprawdę ktoś musiał wtedy strzelać, czy to do kogoś, czy na postrach, czy tylko dla zabawy. Są w tych tekstach i wilki, a ściślej tylko ich wycie, bo z bliska nam się nie pokazywały. To wycie było inne niż jesienią, bardziej majestatyczne, chóralne, niosło się po niezmiernych, ośnieżonych przestrzeniach, bliskie, dalekie, ale jakoś swojskie - przyjmowaliśmy je z przyjemnością, może nawet z szacunkiem, także konie nie bały się go, czasem tylko za-strzygły uszami i biegły dalej, znad ich kłębów podnosiła się na mrozie lekka mgła - ale to znów fragment tych pamięciowych notatek.

Znajdują się wśród nich i zgoła odmienne obrazy. Oto natrafiliśmy w jakiejś chacie na chłopca-harmonistę, jest i kilka dziewczyn wiejskich, więc rozpoczyna się zabawa. Wartownik oczywiście stoi na posterunku, chociaż raz po raz podchodzi do okna, by chociaż popatrzeć na tany. A w izbie dziewczyny wsiowym, podwileńskim obyczajem: chłopców oburącz za szyję, chłopcy wzięli je pod pachy, i się wiją, i się wiją.

Ale oto:

Muzyk pełny dobył głos: Sam do tańca idzie Wrzos! Rozsunęli się na strony, W środku dali wolny plac. Gra muzykant jak szalony, Dziewki patrzą roześmiane Jak na jakie wielkie dziwo:

Tańczy Wrzos z łączniczką Mewą! Roztętniona gra muzyka, Widzę Wrzosa, Mewy twarz - Nie zważając na zdziwienie Nałożyłem ciepły płaszcz I wyszedłem na dwór zmienić Znudzonego wartownika. Ano, właśnie. Teraz mogę przejść do opisu kolejnych wydarzeń. **Ku Naroczy**

Po opuszczeniu gościnnego domu Kwiatkowskich późną nocą dotarłem do oddziału Wrzosa składającego się z dwudziestu kilku ludzi i sześciu czy siedmiu sań. Był to wydzielony z większego oddziału Tura pluton, który na początku zimy uformował się z niedobitków dawnych brygad wileńskich i innych młodych ludzi ocalałych po rozbrojeniu i obawiających się nowych łapanek i aresztowań. Wrzos, z którym rozstałem się w początkach grudnia, trafił do Wilna, a stamtąd wkrótce dotarł do grupy Tura i - jako doświadczony i kwalifikowany partyzant w stopniu plutonowego - otrzymał stanowisko dowódcy plutonu. Co więcej, Tur powierzył mu trudne i odpowiedzialne zadanie. Przewidując, że nie zdoła utrzymać się długo na Wileńszczyźnie, liczył się z koniecznością przesunięcia całego oddziału na zachód, za świeżo wytyczoną granicę, której nie przychodziło nam nawet do głowy nazywać wschodnią granicą Polski. Traktowaliśmy tę linię tak, jak niedawną granicę z Generalną Gubernią - ot, jedna z zapór w środku kraju, tworzących już od pięciu lat przez jednych lub drugich okupantów. Wrzos ze swym plutonem miał rozpoznać możliwości i warunki przemarszu, miał przetrzeć drogę na drugą stronę Niemna, zorientować się w rozmieszczeniu sowieckich placówek, znaleźć odpowiednich informatorów i najwłaściwsze trasy. Zadanie to zostało wykonane w pełni. W ciągu dwóch czy trzech tygodni pluton Wrzosa przemknął saniami zza Wilna przez Puszcę Rudnicką i Ruską, zwaną też Grodzieńską, na północ od Grodna przekroczył Niemen i dotarł «za granicę», przy sposobności likwidując jakiegoś lokalnego dygnitarza. Zabraną stamtąd koń został nazwany Zaniemnem, bo to była istotna charakterystyka obszarów, skąd go wzięto, widziana w optyce odwrotnej niż w zwrotce piosenki: «hen, precz!» Następnie pluton wrócił w przybliżeniu tą samą drogą, pokonując w sumie co najmniej trzysta kilometrów sanny. Tu jednak czekała ich niespodzianka: w czasie tej eskapady oddział Tura, liczący paruset ludzi, został przez bolszewików rozbitý i zniszczony. Wrzos nie miał już komu złożyć meldunku z wyników wyprawy ani też nie miał kogo przeprowadzać «za Niemen». Pozostał sam ze swymi

dwudziestoma ludźmi i wtedy to właśnie zwiedziawszy się o miejscu mego pobytu, postanowił mnie ściągnąć, by wspólnie działać dalej. Przywitaliśmy się z radością. Jako «stary partyzant», a do tego w stopniu plutonowego z cenzusem, to znaczy po maturze, zyskałem od razu w oddziale niekwestionowaną pozycję zastępcy dowódcy, to jest Wrzosa, którego zresztą zaczęto nazywać nie jak dotąd «plutonowym», ale «komendantem». Istotnie, znalazł się on w roli «pierwszego po Bo- gu», bo władze zwierzchnie, jeśli w ogóle istniały, to praktycznie nie spełniały swych funkcji. Nie wiedzieliśmy zresztą, a w każdym razie nie docierało to do naszej świadomości, że już miesiąc wcześniej Armia Krajowa została rozwiązana, a żołnierze zwolnieni z przysięgi. Dowiedzieliśmy się jedynie, że teraz istnieje organizacja zbrojna zwana Samoobroną, stanowiąca jakby kontynuację dotychczasowych struktur. Nie zmieniało to jednak i nie mogło zmienić naszego faktycznego statusu i położenia, a zmianę nazwy, podobnie jak wcześniejsze zmiany naszych pseudonimów, uważaliśmy za nieistotną formalność związaną z wymogami bezpieczeństwa. Za naszego zwierzchnika i przewodnika uznawaliśmy nadal przebywającego w Wilnie Licha, do którego - po upadku Tura - należało porozumiewanie się z dalszymi ogniwami konspiracji. Kontakt z



nim był wprawdzie tylko dorywczy, utrzymywany przez łączniczki i ograniczony do ogólnikowych instrukcji, dawał nam jednak przeświadczenie, że nie jesteśmy całkiem sami, że ktoś o nas wie i dba, i to wystarczało. Natomiast w naszej codziennej działalności musieliśmy radzić sobie sami, podejmować wszelkie decyzje i ponosić za nie odpowiedzialność.

Oddział nasz składał się z ludzi w moim wieku lub niewiele starszych, po części z Wilna, po części z wsi podwileńskich, w tym oprócz Wrzosa i mnie był jeszcze jeden chłopiec po maturze, inni tylko po szkole podstawowej [zwanej wtedy powszechną] lub po paru klasach gimnazjum. Nikogo też w tym zespole poza Wrzosem nie znałem i musiałem uczyć się nowych pseudonimów, które dziś w większości uszły mi z pamięci. Zaraz po moim dołączeniu zaczęliśmy we dwóch, Wrzos i ja, wspólnie studiować mapy i robić plany dalszego postępowania. To, że nie było już Tura i że byliśmy pozostawieni sami sobie, bez bezpośredniego zwierzchnika, a może w ogóle bez zwierzchnictwa, specjalnie nam nie przeszkadzało, od kilku miesięcy byliśmy bowiem przyzwyczajeni do podobnego stanu, który dawał pełną swobodę działania i bardziej nam odpowiadał niż funkcjonowanie w ramach większych jednostek i w układzie wojskowych zależności. Ponadto przykład oddziału Tura, podobnie jak wcześniej Kotwiczą, potwierdzał raz jeszcze regułę, że w walce z bolszewikami mają szansę tylko grupy niewielkie, ruchliwe i dobrze uzbrojone, takie jak właśnie nasza, a i to nie zawsze.

Kilka tygodni wcześniej zginął Krysia, doświadczony partyzant, który dobrze wiedział, jak postępować. W każdym razie w naszym odczuciu spełnialiśmy wszelkie warunki, by nie tylko nie dać się złapać, ale też by występować zaczepnie.

Uradziliśmy, skoro z okolicą Puszczy Rudnickiej nic nas już nie wiązało, by zrobić dużą wyprawę niejako pod prąd dotychczasowych ruchów i dotrzeć w rejon jeziora Narocz, które obaj znaleźliśmy z harcerskich wycieczek przed wojną i mieliśmy tam jakieś punkty oparcia. Nie wiedzieliśmy wtedy, że właśnie w pobliżu Naroczy parę lat wcześniej sowieci dokonali pierwszej zbrodni na naszych partyzantach, gdy zdradziecko wymordowali tam oddział Kmicica, jedną z najwcześniej uformowanych na Wileńszczyźnie brygad akowskich; także później teren ten był w znacznym stopniu kontrolowany przez bolszewicką partyzantkę, a więc i teraz trudniejszy do penetracji i jako miejsce do pozostawiania. Nim jednak puściliśmy się ku północnemu wschodowi, zdarzyło się jeszcze parę przypadków, z których jeden był na pół komiczny.

Wyżywienie oddziału opierało się po części na objadaniu nieszczęsnych chłopów, u których stawano na dniówki, po części zaś na rekwizycjach prowiantów u różnych upatrzonych «gadów», jak sekretarze tak zwanych sielsowietów, to jest rad wiejskich stanowiących ogniwa sowieckiej administracji, czy inni słusznie lub niesłusznie uznawani za szkodników i współpracowników nowych władz. Takie rekwizycje, czy mówiąc prościej grabieże, w oddziale, do którego dotarłem, zwano potocznie z rosyjska bambiożkami, a samą czynność określano jako «zbombienie» tej lub innej chałupy. Bodaj na drugi dzień po przyjeździe Wrzos powiada mi: «W niedalekiej wsi [już nie pamiętam jej nazwy] jest taki a taki gad [nie pamiętam też, czym się naraził, ale chcę wierzyć, że był winien]. Druga chałupa od wjazdu do wsi na prawo. Weźmiesz dwoje sań, pojedziesz i go zbombisz». Rozkaz rzecz święta: pojedę i zbombię. Pojechałem, była druga chałupa, był i gad, starszy jegomość z bródką, który z początku gwałtownie protestował, ale cóż, musiał ustąpić. Zabraliśmy mu

trochę żywności: mąkę, słoninę, garnek miodu, co dziwniejsze, znaleźliśmy też pudło lekarstw - rzecz cenną i potrzebną, chociaż nikt z nas wtedy nie chorował - a do tego jeszcze nieduże długie buty, które jak nic mogły nadać się Mewie, bo jej własne zaczęły się rozpadać. Gad patrzył złym okiem, gdyśmy to wszystko zabierali, ale nic już nie mówił, a my radzi z tak udanej bambiozki wróciliśmy do oddziału. Buty istotnie się nadały, miodem Mewa kolejno nas obdzielała - i byłoby wszystko dobrze, gdyby po pewnym czasie nie doszła z Wilna wiadomość, że Puhacz z oddziału Wrzosa obrabował do cna Mazepę, ostatniego szefa okręgu czy obwodu wileńskiego AK, który melinował się we wsi [dom «gada» był widocznie nie drugi, lecz trzeci, albo nie z prawej, lecz z lewej strony drogi, a może go wcale nie było]. Wobec tego rozkazem onegoż Mazepy albo też jakiegoś innego szefa oddział Wrzosa zostaje rozwiązany, Puhacz skazany na rozstrzelanie, a wykonanie wyroku porucza się wszystkim oddziałom, które mogą się tego podjąć. Była z tego konfuzja, ale więcej śmiechu, bo rozkaz ten był jawnie niewykonalny, rodem z innej epoki. Świadczył przecież, że jeszcze tliły się jakieś struktury dawnej organizacji, nie mające już jednak ani autorytetu, ani realnej władzy. O tej ciężącej na mnie kondem- natce opowiedziałem później dowódcy jednego z oddziałów, z którym już wiosną spotkałem się w Puszczy Rudnickiej. Coś słyszał o tym, ale jakoś nie zamierzał mnie rozstrzeliwać, więc tylko była okazja do żartów. Sam zaś Mazepa wydał później znacznie głupszy rozkaz, bo wyjeżdżając jako «repatriant» z Wilna polecił, by wszyscy żołnierze, jacy również się «repatriują», spotkali się 31 maja o godzinie 12 w katedrze w Przemyślu, aby podjąć znów jakieś wspólne działania. Nie wiem, czy ktokolwiek tam się stawił, może tylko grupa enkawudystów, którzy niewątpliwie musieli znać ten rozkaz. Było to bodaj jedyne polecenie czy wskazówka, jaką od jesieni aż do wiosny otrzymaliśmy od zwierzchnictwa. Toteż wszystkie decyzje w tym okresie, także dotyczące spraw najważniejszych, podejmowaliśmy sami, a ściślej podejmował je ten, kto dowodził naszą grupą, a więc najprzód Licho, potem nas kilku, potem Wrzos, a w końcu, ale dopiero za kilka tygodni, już tylko ja.

Teraz jest jeszcze druga połowa lutego, jest piękna, mroźna pogoda, ośnieżony las łśni w ostrym słońcu, rozłożyliśmy się na dniówkę w dwóch nieodległych od siebie chałupach, w jednej stoi Wrzos, w drugiej ja z częścią ludzi - i oto widzę, jak do chałupy Wrzosa zbliżają się sanie, a na nich kilku żołnierzy sowieckich. Czy był to patrol, czy łapacze szukający młodych mężczyzn, a jeszcze pilniej samogonu, jak wtedy u Kwiatkowskich? W każdym razie widziałem ze swego podwórka, jak szybko i sprawnie zostali rozbrowieni i pojmani. Gdy przyszedłem do Wrzosa, było już wiadomo, że pochodzą z posterunku znajdującego się gdzieś przy torze kolejowym w okolicy Wołczun. Był tam folwark Zygmunta Kiersnowskiego, kuzyna mego Ojca, wtedy już wywiezionego wraz z rodziną na wschód, gdzie zaginął [dzieci jego ocalały i dziś mieszkają w Nowym Jorku]. Wówczas nie pomyślałem jednak o żadnych sprawach rodzinnych, tylko popatrzyliśmy na siebie z Wrzosem porozumiewawczo: zrobimy ich? Zrobimy! Więc tylko w dwoje czy troje sań, w pełnym słońcu ruszyliśmy na ten posterunek, chcieliśmy z zaskoczenia dopaść go i zlikwidować. Przypomniała mi się oblawa na wilki, w której kiedyś, przed wojną, towarzyszyłem Ojcu w lesie podweryskim. Przyszła wtedy do Wilna wiadomość, że w sośniakach na tak zwanych Daczkach gajowy Jagiełło otropił kilka wilków, które

tam na dzień zaległy [ale to nie te, co to «nachodziwszy, nakrećw- szy»]. Więc gnaliśmy z Wilna - samochodem któregoś z kolegów Ojca [chyba mecenasa Łuczyńskiego], potem

saniami jak i teraz - w mroźną pogodę w głąb lasu i byliśmy rozstawieni wzdłuż duktu, naganka zachodziła od strony Helenowa. Było przykazane: «Pierwszy strzał do wilka» - ale mimo napiętego oczekiwania żaden strzał nie padł, bo wilki były sprytniejsze i wcześniej wyszły za dukt, tak że widziałem tylko ich ślady pozostawione na śniegu. Tym razem, w sześć lat później, upatrzone wilki, na które znów jechałem saniami, były znacznie groźniejsze, ale ponownie skończyło się na łowieckiej emocji, bo dłaczegoś posterunek był pusty, tamci zniknęli «i nie rozbierzesz, gdzie poszedzyszy». Wróciliśmy więc bez trofeów do chałupy, w której czekała reszta oddziału i trzech pojmani z rana jeńcy.

To nie to słowo. Jeńców w tej wojnie nie było, nie było żadnych konwencji ani po jednej, ani po drugiej stronie. Kto dał się schwytać, ten ginął, zginęli także ci trzej, gdy nocą, kiedy ruszyliśmy dalej, Wrzos kazał kolumnie zatrzymać się i wyprowadzić ich z sań. Napisałem już, że najgorsze były te strzały pojedyncze, jeden, drugi, trzeci, z których każdy miał własny, ludzki wymiar. Potem jechaliśmy przez znów cichy, oświetlony księżycem las i milczeliśmy. A tymczasem jeden z tych trzech, źle trafiony, wygrzebał się z krzaków i śniegu i dzięki temu ocaleł, może do czasu, gospodarze, u których się zatrzymaliśmy. Ci bowiem z posterunku, gdy towarzysze nie wracali, ruszyli ich śladem i dotarli do chaty: źle byłoby z chłopem, gdyby ocalały żołnierz nie zaświadczył, co i jak się zdarzyło. Licho, który jeszcze był w Wilnie, gdy dowiedział się o naszych ostatnich poczynaniach, miał się łapać za głowę powiadając, że to już chyba koniec świata, jeżeli Puhacz rabuje, a Wrzos partoli. Podobne «partactwa» zdarzały się zresztą i innym. Sam widziałem jednego z naszych partyzantów, któremu pocisk, gdy go Niemcy rozstrzelowali, przeszedł przez głowę od skroni do skroni pozostawiając dwie blizny - zdrowie i humor mu dopisywały.

Jedna noc, druga, trzecia. Jedziemy na północny wschód, zgodnie z naszym planem, ku Naroczy. Kraj jest pusty, nie natykamy się ani na posterunki, ani na ruchome oddziały sowieckie, jakby zima narzuciła czas rozejmu. W okolicy Ławaryszek mamy kontakt z Wilnem. Dotarły do nas w charakterze łączniczek dwie matki, Wrzosa i moja. Przyjechały jakimiś sankami ubrane jak wiejskie baby, w uprząży - bodaj w pod-siedziółku - miały ukryte grypsy od Licha i jeszcze jakieś. Pojechałem po nie z Mewą na punkt kontaktowy i przywiozłem do oddziału. Dużo było pytań i opowiadań, gościliśmy je jak najwystawniej zacierką, a może blinami. Moja Matka spoglądała nie bez ciekawości na Mewę, której dotąd nie znała, coś jej jednak podszeptęło to zainteresowanie. Prze-

spały się, a rankiem, znowu z grypsami w podsiedziółku, miały ruszyć z powrotem. My odjeżdżaliśmy pierwsi, już w nocy. Matka stała na ganeczku chaty, patrzyła na naszą krzątanicę, wyciąganie sań, konie, broń, patrzyła, jak kolejno znikamy w ciemności, i chyba jeszcze długo nadśluchiwała oddalających się głosów. Pożegnaliśmy się będąc niezłej myśli, nie wiadomo na czym opartej, bo raczej należało się spodziewać wszystkiego najgorszego: dla niej, dla mnie, dla nas wszystkich. I rze-czywiście, niewiele brakowało, abyśmy się już więcej nie spotkali.

Jechaliśmy w pustkę, w kraj jakby wolny od nieprzyjaciela, przez uśpione lub wylęknione wsie, w których kiedyś przejeżdżali, żadne drzwi się nie uchylały, niktnie wyglądał na psie ujadanie. Kiedyś mieliśmy przeciąć tor kolejowy, a szlaban był zamknięty, więc krzyczymy na dróżnika: «Odkrywdj! Poskarej!» Wyszedł w sowieckiej papasze, bo to był chyba żołnierz, otworzył, stał wystraszony, gdy sanie jedno za drugimi przelatowały przez przejazd, aż któryś z naszych wychylił się, zerwał mu tę papachę z głowy, a wcisnął własną

czapkę; zgadywaliśmy potem, co on sobie myślał i co meldował swej władzy: kto jechał, swoi krasnoarmiejcy czy może bielobandyci, czy jeszcze jacyś inni od czorta naprowadzeni.

Właśnie wtedy zaczęły do nas dochodzić wiadomości o «tych trzech». Nie «czerwoni», nie «biali», ale «zieloni» - jakieś oddziały rosyjskie, które podobno walczą z bolszewikami, coś jakby własowcy, ale nie oni, bo ci znikli już razem z Niemcami. Więc jakby nowa antyso- wiecka partyzantka, może załazek i początek przewrotu w tym państwie - na co zawsze mieliśmy nadzieję - może sprzymierzeńcy. Rzecz w każdym razie zasługiwała na bliższe rozpoznanie.

Wiadomości o «zielonych» były wprawdzie dość mgliste, ale właśnie tego dnia, gdy pożegnaliśmy nasze matki, dowiedzieliśmy się, że jakiś ich oddział znajduje się niedaleko, we wsi, której nazwy niestety już nie pamiętam. W każdym razie było to na wschód od Wilna, w okolicy Ławaryszek. Ostrożność i doświadczenia podszeptowały wprawdzie, że może to być mistyfikacja i zasadzka, ale ciekawość przeważała. Ciekawość i szansa na szersze współdziałanie. Więc ruszyliśmy wprost na tę wieś, która zresztą była nam po drodze. I rzeczywiście, u wjazdu zatrzymali nas wartownicy. «Stoj, kto takoj?» - «A wy kto?» Zaczęła się rozmowa w tonie raczej przyjaznym i jakby z obu stron nie było zaskoczenia tym spotkaniem. «Chcemy przejechać przez wieś». - «To poczekajcie, pójdziemy zapytać naszego komandira». - «Dobrze, czekamy». Nasze sanie wyciągnięte długim sznurem stoją na białym polu oświetlonym przez księżyc. Pozycja nie najszcześniejsza, ale czekamy. We wsi coś się rusza, ale komandira wciąż nie ma. Po jakimś czasie Wrzos się decyduje: «Pójdę sam do wsi, zobaczę, co się tam dzieje, ty, Puhacz, obejmuj dowództwo, gdybym długo nie wracał, to...» Nie bardzo wiem, co wtedy, chyba atakować wieś, ale co to jest «długo»?

Poszedł, śnieg mu skrzypi pod butami jak Kmicicowi, gdy szedł na kolubrynę. Poszedł i przepadł. Czekamy w pogotowiu, tak żeby w każdej chwili móc ruszyć tyralierą. Czas dłuży się, we wsi cisza, widać rozmawia z komandirem, mija pół godziny, może już trzy kwadransy - czy to już «długo»? Wreszcie szybkie kroki, Wrzos wraca i każe natychmiast zawracać sanie, odjeżdżamy. «Co się stało?» - pytam. «Sprawa niejasna - mówi. - Doszedłem, mówię wartownikowi, że chcę do komandira. Dobrze, prowadzi mnie do jakiejś chaty, tam leży pełno boj- ców. «Gdzie komandir?» - «Zaraz przyjdzie». Czekam, nic się nie dzieje, więc znów żądam komandira. Prowadzą mnie do innej chałupy, tam też pełno boj- ców. Powiadam im, że jestem tylko wysłannikiem, mój dowódca kazał mi rozmówić się z ich komandirem i przynieść mu wiadomość, a w ogóle nasz oddział to tylko rozwiadka, dopiero daleko za nami idzie całe nasze wojsko. Słuchają, coś gadają, wchodzą, wychodzą. Wreszcie orientuję się, że komandira nie będzie i że chyba grają na zwłokę, może przekazują w tym czasie jakieś wiadomości, może szykują zasadzkę. Więc mówię im, że skoro komandir się spóźnia, to muszę wrócić i powiadomić dowódcę o zwłoce, bo inaczej może się zgniewać. To rzekłszy energicznie wychodzę z chaty, oni próbują zatrzymać, ale już ich nie słucham. Teraz odjeżdżamy prędko, bo jest ich tam wielu, w każdej chacie pełno, a sprawa jest bardzo podejrzana».

Odjechaliśmy parę kilometrów, zbliżamy się do następnej wsi, a oni już jadą za nami. Tylko parę sań. «Poczekajcie - krzyczą - czemu odjeżdżacie? Pogovorim!» Teraz jednak sytuacja jest odwrotna, to my znajdujemy się na brzegu wsi, pod osłoną budynków, a oni stoją na oświetlonym polu. Coś zagadują, tłumaczą. Idę do nich na pertraktacje. Nie wiem, dlaczego nie kazaliśmy im: «odin k'nam», tak jak uprzednio oni żądali. Może pcha mnie ciekawość, dość że idę tam razem z Mewą. Podchodzimy do ich sań, stoi kilku z automatami.

«Zdraivstzvnjtie», co, jak? Zaczyna się rozmowa. «Dlaczego walczyacie z waszą władzą?» - pytam naiwnie i dwoma palcami chwieję lufą pepeszy któregoś z nich. «Płochaja włast'» - odpowiada. Coś tam jeszcze porozmawialiśmy, powtórzyłem, że idzie za nami wielkie wojsko - i to ich widocznie najbardziej zaciekawilo. Wróciliśmy nie zatrzymywani, oni odjechali w jedną, my w drugą stronę, mieliśmy się gdzieś tam znów spotkać. Dotąd ciarki mnie przechodzą, kiedy myślę, że stałem wtedy na księżycowym polu nos w nos z enkawudystami, którzy przecież mogli mnie porwać, żeby wydusić, co trzeba, ale widocznie zmyliła ich bajka Wrzosa o «wielkim wojsku» i nie chcieli się demaskować dla byle rozwiędki, a może oddziałało i to, że byliśmy tam we dwoje, więc trudniej było zacisnąć mi usta i bezgłośnie odjechać w ciemność, bo Mewa też miała automat, taki lekki sowiecki PPS, mówiliśmy o nim «pies», a gdyby tylko zaczęła krzyczeć, Wrzos zamknąłby im odwrót. Skończyło się więc dobrze, a że to było zakamuflowane NKWD, a może inna formacja przeznaczona do zwalczania naszych oddziałów, dowiedzieliśmy się ostatecznie w tydzień później, gdy doszła wiadomość, że złapali jakiś mały oddział, po czym zniknęli z terenu i o żadnych «zielonych» więcej nie było słyhać.

Po tym spotkaniu jechaliśmy dalej na wschód, ku Naroczy, ale po drodze skusił nas posterunek w miasteczku Worniany. Dowiedzieliśmy się o nim, już nie pamiętam, z jakich źródeł, w każdym razie rozpoznanie było dość dokładne: kilkunastu czy kilkudziesięciu żołnierzy zajmujących odosobniony dom obok siedziby sielsowietn czy urzędu rejonowego, a więc: rozbijemy? Rozbijemy! Obaj z Wrzosem przestudiowaliśmy dokładnie mapę [mieliśmy znakomite sztabówki 1:100 000], wyznaczając drogi podejścia, odskoku, kierunki ubezpieczenia. Z reguły też określaliśmy miejsce zbiórki na wypadek rozproszenia, do czego zresztą nigdy nie doszło. Ustaliliśmy plan operacji, podział zadań: Wrzos dowodził całością, ja miałem prowadzić grupę uderzeniową. Emocja narastała w miarę zbliżania się wieczoru. Czas wreszcie dojrzał. Jechaliśmy w napięciu, przed miasteczkiem zostawiliśmy konie i sanie pod opieką paru najmniej bojowych żołnierzy i wchodziliśmy pieszo, chyłkiem, z bronią gotową, z palcami blisko spustów. Tak jak osiem miesięcy wcześniej w Ejszyszkach, znów szedłem pierwszy, te-raz jednak nie było ludzi stojących po opłotkach i w milczeniu oczekujących na swoich. Nikt o nas nie wiedział, nikt nie witał, a miasteczko mimo niezbyt późnej pory wieczornej było jak wymarłe. I tylko nagle główną ulicą z tętentem ostrego kłusa nadjechały sanie, a w nich siedział, oprócz woźnicy, sowiecki oficer w wielkiej papasze. Przyłgnęliśmy do ścian, żeby nas nie zauważył i nie wszczął alarmu, a on przejechał i przepadł na końcu ulicy, i pewnie dalej gnał w stronę Ostrowca, aż go doszedł odgłos naszych strzałów sypiących się w ciszę tej nocy.

Właśnie bowiem doszliśmy, a raczej dobiegli do tego domu i przy bramie zobaczyłem ich dwóch, chyba wartowników, bo krzyknęli: «Stoj!» czy coś podobnego, więc tylko nacisnąłem raz i drugi raz spust i sypnęły się pierwsze dwie serie. W bramie zrobiło się pusto, jakby pod ziemię zapadli, a my bieглиśmy dalej w stronę budynku, może przez park, bo to chyba były zabudowania dworskie, pozostałe po dawnym majątku - podniosły się jakieś krzyki i posypały dalsze strzały, dziś nie pamiętam już dokładnie kolejności i szczegółów tych zdarzeń aż do momentu, gdy z ciemności wyszedł szereg postaci, jakby tyraliera, a my byliśmy między drzewami. Podbiegła do mnie Mewa [dlaczego ona była w grupie uderzeniowej?] i woła: «Puhacz, «pies» mi się zaciał!» Zarepetowałem jej zamek, bo to był po prostu niewypał, widocznie i ona też strzelała lub próbowała strzelać. Tamci się

zbliżają, my leżymy osłonięci pniami drzew w jakiejś alei, widzę ich wyraźnie na białym śniegu, może dziesięć kroków przede mną. Jednego mam na końcu lufy, wystarczy ściągnąć palec wskazujący jak przy składaniu podpisu na wyroku śmierci, dlaczegoś jednak powstrzymuję się i krzyczę, może przypomniał sobie słowa Kotwiczą na leśnej drodze koło Rudnik, a może nocne spotkanie koło Kowańców, kiedyśmy się w ten sposób rozeszli, dość że krzyczę: «Stupajcie nazad iii otkrojem ahoń!» - a ten przede mną - to nie jest żadna fikcja literacka, to rzeczywista fraza wyryta w mojej pamięci - stojąc na śniegu całkowicie odkryty, bez najmniejszej szansy przeżycia, odpowiada, a raczej recytuje: «Niet, sowieckij bojec nikogda nie idiot nazad, no wsio wpieńod i zvpierod!» No cóż, zacisnąłem palec, tamten znikł mi sprzed oczu, zaczerniał na śniegu jak plama inkaustu upadła na białą kartę przy zamaszystym podpisie, którego mógł przecież uniknąć. Drugi zachodził mi z boku, do tego serię dał Bóbr - czyżbym zawdzięczał mu życie? - inni umknęli i znikli. Pobiegliśmy dalej, wpadliśmy do budynku tego sielsoioietu czy innego urzędu, z półek i szaf zwaliliśmy na wielki stos papiery, żeby je spalić, zniszczyć dokumenty władzy, a tym samym jakby obalić samą władzę, której armię na naszym odcinku jużesmy pobili i przegnali. Ale papier palił się wolno, nie mogliśmy czekać, aż spłonie cała kupa, więc pojawiła się tylko na jej brzegach czarna obwódka i trochę popiołu po wierzchu, a Wrzos nakazywał już odwrót.

Strat własnych nie było. Odjeżdżaliśmy radzi z sukcesu, podnieceni, zmęczeni. Bóbr jakoś przeżywał swoją inicjację. Odskok musiał być długi, zawiły, bo wiedzieliśmy, że teraz będzie alarm we wszystkich posterunkach, że ruszą za nami, więc trzeba zniknąć niby nur pod wodą i wypłynąć daleko, w najmniej spodziewanym miejscu. Przekroczyliśmy po lodzie Wilię i o świcie zapadliśmy gdzieś na dniówkę. Mieliśmy krzepiącą świadomość, że nie tylko kryjemy się i uciekamy; pokazaliśmy zęby i w przyszłości chcieliśmy kąsać jeszcze mocniej.

Na razie jednak spotkała nas konfuzja. Na drugi czy na trzeci dzień po tym napadzie dotarliśmy wreszcie nad Narocz. W ciągu ostatniej nocy odbyliśmy długą drogę, ze czterdzieści kilometrów, i już o brzasku dojeżdżaliśmy do Niesłuczy, małej wsi na południowym brzegu jeziora. Tu właśnie mieliśmy przed wojną obozy harcerskie urządzone przez «Błękitną Jedynekę», drużynę żeglarską, do której należałem podobnie jak Wrzos i jak wielu mych kolegów gimnazjalnych. Było tam kilka żaglówek, na których trenowaliśmy wstępne umiejętności wod-niackie, robiliśmy też wycieczki po okolicy i dlatego teren był, a przynajmniej wydawał nam się dobrze rozpoznany. Drużynowym był wówczas Mietek Nietosławski, dziś podobno w Ameryce, jego zastępcą Stefan Bortkiewicz, który znów był kuzynem Małcużyńskich, i z tego powodu Witold Małcużyński, wtedy jeszcze młody, ale już sławny pianista, dał w Wilnie koncert na rzecz naszej drużyny. Wypadło mi wręczać mu kwiaty, co było wielkim przeżyciem i dotąd pamiętam miękki uścisk jego ręki, spoconej po koncercie. Na obozie w Niesłuczy był także mój brat stryjeczny Jerzy, Jurek Wróblewski i jeszcze inni koledzy - teraz rozpamiętywałem sobie te przygody sprzed siedmiu lat, gdy na pół drzemiąc dojeżdżałem do tej miejscowości. I nagle, niespodziewanie: «Stoj! Kto takoj!» - zaskoczenie było zupełne, bo nic nie wskazywało, żeby miał tam być jakiś posterunek. Wskoczyliśmy z sań, rozbiegli w tyralierę po obu stronach drogi, śnieg był głęboki, nogi zapadały po kolana. Nie wiedzieliśmy, ilu ich tam być może, jaką mają broń, a już dniało, byliśmy na gołym polu, mogli nas z chałup wystrzelać jak kaczkę, a wdawać się w walkę o tej porze znaczyło zrobić alarm i mieć przed sobą cały dzień bez osłony ciemności. Konie

były pomęczzone, trudno liczyć na szybki i daleki odskok. Wrzos kazał więc zawracać, nim tamci zorientują się w sytuacji, bo chyba też byli zaskoczeni i nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, chociaż po napadzie na Worniany musieli mieć wyostrzoną czujność. Nawróciliśmy więc sanie, ale pierwszych, które były już blisko domu, nie można było ściągnąć bez ryzyka, więc zostały tam razem ze swą zawartością, a my wszyscy pomieściliśmy się na innych i co szybciej umknęliśmy do tyłu, by w rozjaśniającej się szarówce zniknąć w niedalekim lesie. Ci z posterunku musieli śmiać się, a pewnie także dziwić, widząc nasze manewry, zwłaszcza zaś gdy zajęli porzucone sanie, a w nich znaleźli kilka tłumoczków z ubraniem i jedzeniem - broń i amunicję wyskakując każdy miał przy sobie - a ponadto przedmiot najmniej chyba tu spodziewany: patefon!

Ten patefon został zdobyty, a ściślej «zbombiony» przez oddział Wrzosa w czasie wyprawy za Niemen, bodaj na jakimś urzędniku nowych władz [mówili o nim «tuz»], którego tam zastrzelili. Gdy dołączyłem do oddziału, był w ciągłym użyciu. Na melinach, w czasie dniówek, a zwłaszcza wieczorami, gdy wszyscy już byli wyspani, nastawiano go i słuchano na przemian dwóch tang odtwarzanych z jedynej płyty, którą zabrano razem z aparatem. Płyta była trochę już zdarta, igła tępa, niemniej melodia i słowa płynęły, wypełniały izby, nadawały koloryt i odciskały się w pamięci: «Jesteś piękna, jesteś młoda, przyjdzie inny, zresztą trudno, krew nie woda» - śpiewał po jednej stronie męski głos i było jasne dla wszystkich, że zwracał się do Mewy, i ona chyba czuła, że jest przedmiotem zainteresowania, artykułowanego przez ów głos: «Nie chcę myśleć, że mnie kiedyś zdradzisz, nie chcę myśleć, że porzucisz mnie...». Podobnie po drugiej stronie płyty rozlegało się dramatyczne wezwanie: «Może ktoś da ci więcej, będzie kochał goręcej, owszem idź i przekonaj się. Ja mam czas, ja poczekam...». I tym razem Mewa była świadomie czy podświadomie adresatką tego tekstu, wszyscy iden-tyfikowaliśmy się z osobą śpiewaka i tak ów patefon stwarzał intymną więź, jakże daleką od tej, która wynikała ze wspólnoty wojennego rzemiosła. Gdyby nie było w oddziale Mewy albo jakiejś innej łączniczki, bo przecież chodziło bardziej o mit niż o osobę [czy naprawdę?], to zapewne patefon i płyta nie miałyby takiego wzięcia i nie żałowalibyśmy w równym stopniu jego straty na tych nieszczęsnych saniach pozostawionych przed posterunkiem sowieckim w Niesłuczy. Myśl jednak, że teraz oni puszczać sobie te tanga, była trochę jak świadomość gwałtu na naszej dziewczynie, chociaż Mewa w rzeczywistości wcale nie była «nasza», lecz należała do Wrzosa - i nikt tego nie kwestionował. Jechała wprawdzie na moich saniach, czasem użyczała mnie czy też komuś innemu całusa, ale spała tylko przy Wrzosie, pod wspólnym kożuchem, i była w nim zakochana, czemu nie można się dziwić. Miłość ta, czy ten romans, były zresztą zdumiewająco dyskretne na tle ówczesnych warunków i wydarzeń. Ale też to tło bardziej niż okropności wojny wyznaczały owe dni i noce spędzane w saniach, na leśnych drogach i w chatach, przy łuczywie, wśród ludzi przyglądających się nam z niepokojem, ale i z ufnością, z nadzieją, że skoro tu jesteśmy, to może jeszcze nie wszystko stracone.

Śpiewał nie tylko głos z patefonu. Śpiewaliśmy często i my różne piosenki, ich repertuar był jednak inny niż poprzedniej jesieni, bo przyniesiony głównie z Wilna i z dawnych wileńskich brygad partyzanckich. Więc najbardziej tam popularna pieśń: «Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami», uważana niemal za hymn brygady Szczerbca, a potem całego wileńskiego AK, której kilka wersów przytoczyłem w rozdziale poświęconym akcji na



Wilno. Także ogólnopolska pieśń-hymn, śpiewany jako modlitwa wieczorna: «O Panie, który jesteś w niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń». Tu jeden z wersów zmieniał się w zależności od części kraju. Myśmy śpiewali: «Znad Wisły, Warty, Bugu, Niemna męczeńska do Ciebie woła krew», ale gdzie indziej słowa brzmiały: «Znad Wisły, Warty, Bugu, Sanu» albo

jeszcze inaczej, nie wspominając o Niemnie, jakby nas tam nie było. A Niemen to przecież rzeka wielka i piękna, bliska nam, chociaż płynąca daleko na zachodzie. W każdym razie nie przychodziło nam do głowy, że w pieśni o Polsce można by go w ogóle pominąć. Śpiewaliśmy tę zwrotkę z namaszczeniem, bo była w niej modlitwa o nas, reprezentowanych przez ów Niemen i jego dopływy, do których należały przecież wszystkie nasze rzeki: Wilia i Wilenka, Mereczanka, Wisińcza, Solcza, Żyżma i nawet moja Grażełka.

Były i inne piosenki, partyzanckie i dawne wojskowe, i jakiś folklor z wileńskich przedmieść, czasem też rosyjskie, a zwłaszcza słynny Czubyk kuczerawy, znów, jak w tangach, z podtekstem samoidentyfikacji, nakierowanej trochę na osobę Wrzosa jako dowódcy i watażki, a trochę na każdego z nas, którym też może kiedyś «w żelaza nóżki da ruczki zakn- jut», chociaż w rzeczywistości w razie wpadki znacznie bardziej niż daleki «Sibir, Sibir» groziła nam tu na miejscu kula w potylicę. Ale mimo tej groźby był w piosence przede wszystkim wyraz żywotności i rozpędu - «razwiewaj się czubczyk na wietru!» Nawet teraz, gdy po stracie sań w złym nastroju oddalaliśmy się od Niesłuczy, gdy wstał już pełny dzień i mroźny wiatr wiał z ogromnej, białej pustyni zamrożonej Naroczy, był w tym wietrze i w tym krajobrazie, i w biegu sznura sań - ni to ucieczce, ni kuligu, ni w zbrojnym pochodzie zagłębiającym się w coraz to dalsze obszary bagiennych łąk i zarośli - był w tym łut nadziei i było jeszcze ziarno radości i wiary w przyszłość, jeśli mi wolno sparafrazować w tym miejscu strofę z Beniowskiego: «W tym wietrze wolnym, co we włosy wieje, W tym słońcu złotym, co ci oczy razi...» W co zaś miało się przeobrazić to ziarno, «gdy zwiędnie myśl młoda»? Dla mnie, już wkrótce, tak jak dla Poety, w ziarno tęsknoty, ale i przerażenia zgrozą czasu, dla innych, byli i tacy, w ziarno pychy, zadufania, a także w oślizgłe ziarno ironii i samoudręki. Muszę o tym napisać pokrótce, gwoli prawdzie.

### **Chyba Bóbr**

Wśród partyzantów tworzących oddział Wrzosa byli, jak już wspomniałem, po części chłopcy z Wilna, po części ze wsi, głównie z okolic na południowy wschód od miasta. Nie znałem ich uprzednio, a i dziś pamiętam tylko kilka pseudonimów, kilka osób. Prócz Wrzosa, Mewy i mnie był Pigułka, który razem ze mną dotarł tam od Kwiatkowskich, był Zemsta - kapral dowodzący jedną z drużyn plutonu, Sokół - zwalasty, młody chłop bodaj spod Turgieli i Maharadża - wygadany bufon z przedmieścia wileńskiego zwanego Nowym Światem, a częściej Nowostrojką, słynnego z żulików i oprychów. Z Wilna także pochodził nieprzyjemny cwaniak Sztrom oraz Bóbr, chłopak nieco młodszy ode mnie, nie wyróżniający się cechami szczególnymi poza tą, iż miał ukończoną szkołę średnią i robił wrażenie inteligenta. Toteż stosunkowo szybko znalazłem z nim wspólny język, a w każdym razie zbliżyłem się z nim bardziej niż z innymi, zachowując zresztą formalny dystans. On zwracał się do mnie per «panie plutonowy», ja do niego, jak i do innych per «ty», i dopiero po zakończeniu kampanii, po zakopaniu broni przeszliśmy na obustronne mówienie sobie już nie pseudonimami, ale po imieniu. Wymieniliśmy więc prawdziwe imiona i nazwiska: nazywał się Tadeusz Konwicki, co wtedy oczywiście nic mi nie mówiło. A dzisiaj?

Niewiele niestety zapamiętałem szczegółów z ówczesnych naszych rozmów, z opinii wypowiedzianych przez Bobra, jego zachowań i postępowania, a byłby to cenny materiał dla przyszłego historyka literatury czy doktoranta piszącego rozprawę «Partyzantka na Wileńszczyźnie w świetle twórczości T. Konwickiego», «Ewolucja postaw politycznych»

albo «Źródła kompleksów T. Konwickiego», czy jeszcze inną. Ale i to, co wiem i pamiętam, a także tok wydarzeń, w których obaj braliśmy udział, mogą być interesujące dla biografów i badaczy twórczości tego pisarza. Nie z tą jednak myślą odnotowuję te dane, ale po to, żeby się przeciwstawić, a przynajmniej zdystansować wobec nakreślonej przez niego wizji tamtego czasu i zdarzeń, obrazu kraju i ludzi. Tak się bowiem stało, że jest on głównym i niemal jedynym dziś pisarzem opisującym Wilno i Wileńszczyznę z lat wojny, a także z lat przedwojennych, uznanym w tym względzie autorytetem, przedstawiającym w książkach i na ekranach kin własną wersję faktów i ocen. Ta wersja upowszechnia się i utrwała, rozszerza się wraz ze sławą pisarza i przekładami jego książek, a w miarę wymiany pokoleń staje się też coraz bardziej wyłączna i wiarogodna: im mniej żywych świadków, tym mniej wątpliwości. Ja jednak jestem świadkiem koronnym, byłem razem z Konwickim przez ostatnie dwa i pół miesiąca jego i mojej partyzantki, potem razem z nim odbyłem podróż do Krakowa i tam przez ponad rok mieszkaliśmy w jednej bursie akademickiej przy ulicy Garbarskiej. Następnie rozeszliśmy się, ale przez długi czas obserwowaliśmy się z daleka, ja śledziłem jego twórczość i ideowe ewolucje, on przywoływał mnie w sposób mniej lub bardziej zawoalowany na kartach swych utworów. Chyba jednak jakoś mu przeszkadzałem, bo w jednej z powieści kazał mi, to jest uosabiającej mnie po raz któryś postaci, powiesić się na pasku i mimo że ów bohater [chodzi o Kozłowskiego w powieści *Z obleżonego miasta*] został odcięty i odratowany, autor jak gdyby doznał satysfakcji, bo potem już tylko w niejasnych aluzjach powracał do naszej dawnej znajomości i wspólnych przeżyć.

Wizja partyzantki wileńskiej przedstawiona przez Konwickiego ma dwa wymiary: faktograficzny i emocjonalny. Ten pierwszy, pozornie bardziej poddający się sprawdzianom, w konwencji powieściowej w istocie wymyka się kontroli. Mogę jedynie wypunktować zdarzenia, które posłużyły jako tworzywo opowieści, czasem przedstawione wiernie, czasem amputowane lub uzupełnione z wyobraźni. Zrobię to na dalszych stronach. Drugi wymiar, emocjonalny czy «ideologiczny», w zasadzie trudniejszy do weryfikacji, jest tu chyba ważniejszy. *C'est le ton qui fait la chanson* - a ton oznacza tu ocenę faktów, rzeczywistych czy podstawionych, jest przekąźnikiem tej oceny, ale w istocie więcej mówi o osobie zapiewający niż o opiewanej przezeń rzeczywistości.

W czasie tych dwóch miesięcy wspólnego wojowania wydawało mi się, że Bóbr ma podobne jak i ja spojrzenie na otaczający nas świat. Może był nieco oględniejszy w sądach, może nieco sceptyczny, czasem w tym, co mówił, brzmiał humor zaprawiony ironią - nie odbiegał przecież od wspólnych nam zasadniczych poglądów. Spokojny, raczej flegmatyczny, trochę «łajza», nie wyróżniał się bojowością - chociaż w sytuacjach krytycznych nie nawalał - ani też nie przejawiał szczególnych skłonności do podbojów miłosnych, o których tyle potem pisywał. Miał zresztą wtedy osiemnaście lat, więc może jeszcze nie interesował się tym tak bardzo.

Po wyjściu z lasu trzymaliśmy się razem, mając w przybliżeniu podobne zamiary na przyszłość - nauka, uniwersytet. Wraz z kilku innymi chłopcami z naszego oddziału jechaliśmy pociągiem «repatriacyjnym», w Białymstoku Tadeusz miał jakiś punkt oparcia, gdzie przebyliśmy kilka dni. Tam też zastał nas koniec wojny, żołnierze sowieccy strzelali po ulicach na wiwat, coś tam krzyczeli i śpiewali, ale dla nas ten dzień w niczym nie wyznaczał radosnego przełomu. Raczej przeciwnie, utrwalał okupację, z którą walczyliśmy na Wileńszczyźnie. Po-zostawała jeszcze nadzieja, że teraz, po pobiciu Niemców, zachodni

alianci zwróca się z całą siłą przeciw Rosji, nie demobilizując się wydadzą jej wojnę i nas wyswobodzą. Była to myśl rozpowszechniona, oparta na logicznym rozumowaniu, poniekąd oczywista, bo przecież dla każdego dziecka było jasne, że nadszedł właściwy moment, by zniszczyć sowiecką zarazę zagrażającą światu [a ja pamiętałem, co mówił mi Ojciec w alei lipowej w sierpniowy wieczór 1939 roku: gdy Europa się wykrwawi, oni przyjdą zerować...]. Toteż byłem zaskoczony, gdy w tydzień później w Lublinie pewien poważny pan i dawny kolega mego Ojca mówił mi: «Myślę, że jeśli w ciągu sześciu tygodni wojna nie wybuchnie, to jej już w ogóle nie będzie». Więc jakże, mamy tak pozostać mimo wszystkich naszych wysiłków i nikt się o nas nie upomni? A może by znów do lasu? Wtedy w Białymstoku było właśnie głośno

o zabiciu przez partyzantów w Supraślu jakichś działaczy komunistycznych, były wiece, wołano coś o bandach, miasto było wylęknione

i zszarzałe. Jacyś młodzi ludzie wyrwali się już jednak ciężarówką do nieodległych Prus Wschodnich. Opowiadali, jakie tam bogactwa. «I wiecie, wszędzie asfalt!» - «Jak to, we wszystkich miastach?» - «Nie tylko, wszystkie szosy asfaltowe!» Nie do wiary! Wobec naszych dróg piaszczystych i błotnistych, w najlepszym razie wymoszczonych brukiem lub żwirówką, był to wyznacznik wielkiego, nie znanego nam świata. Nie wyruszyliśmy jednak ani do Prus, ani na powrót do lasu, lecz gdy tylko załatwiłem w kuratorium świadectwo maturalne, wydane mi na podstawie notatek dostarczonych przez konspiracyjną Komisję Egzaminacyjną [że też ocalały i zostały w nienagannym porządku przewiezione do Białegostoku!], ruszyliśmy, już tylko we dwóch - Tadeusz i ja, do Warszawy.

Szliśmy przez słynny most pontonowy na przedłużeniu ulicy Karowej, miałem na plecach worek, który Matka zeszyła mi w Wilnie z kawałka podweryskiego jeszcze dywanika, a w nim zmianę bielizny, ręcznik i mydło oraz trochę żywności - oto bagaż mój cały. Przed nami była wspaniała i groźna panorama ruin Warszawy, wstrząsająca i niewyobrażalna. Wchodziliśmy w ten labirynt ścian i gruzów, przekopanych rowów i nie rozebranych jeszcze barykad, i zaczynaliśmy dostrzegać inne proporcje dopiero co skończonej wojny, wobec których nasza Puszcza Rudnicka mogłaby się zdawać zacisznym ogrodem. «Ale się chłopcy tu dawali po tych barykadach» - powiedział Tadeusz [«dawać się po» znaczyło tyle co biegać, wdrapywać się, walczyć]. Dopiero teraz odebraliśmy w pełni skalę i dramat Powstania Warszawskiego, które uprzednio jawiło nam się z odległości jako jeden ze zwykłych epizodów dogasającej już wojny z Niemcami. Wiadomości docierające w sierpniu przy-mowaliśmy bez szczególnych emocji i bez złudzeń, mieliśmy to już za sobą i rozpoczynaliśmy już tę drugą wojnę, W imię Ojca, i Syna, i Ducha, i ona skupiała całą naszą uwagę, także w Warszawie powinni o tym wiedzieć. A jednak ci chłopcy tak się wtedy po tych barykadach dawali. No, no! Potem z Warszawy okrężną drogą przez Lublin, Rozwadów, Kielce do Krakowa. Byłem tam pierwszy raz w życiu, więc z emocją rozpoznawałem Barbakan, kościół Mariacki, Sukiennice, i ze zdziwieniem patrzyłem na miasto nie zniszczone, na jeżdżące tramwaje, ruch uliczny i otwarte sklepy. Przysiedliśmy na Plantach obok pełnej wody fontanny i - zmęczeni - zaczęliśmy myć w niej nogi, aż ktoś nas ofuknął, nie rozumieliśmy dlaczego. Co gorzej, jakiś starszy, zadbany pan zaczął nas wypytywać, skąd jesteście. «Ach, tak, z Wilna, a po co tu przyjechaliście, czemu nie zostaliście tam u siebie?» Nie dał sobie nic wytłumaczyć, nic nie rozumiał poza faktem, że jacyś dwaj obszarpańcy przyjechali z Wilna i myją sobie nogi w fontannie.

Pozostaliśmy jednak w Krakowie. Dzięki memu cioteczemu bratu, Jerzemu Michalskiemu, późniejszemu profesorowi historii, którego odnalazłem, a który był wtedy studentem, dostałem miejsce w bursie akademickiej przy ul. Garbarskiej, zwanej «pigoniówką», ponieważ opiekował się nią prof. Stanisław Pigoń. Zaraz po Pierwszej Wojnie wykładał on na Uniwersytecie Wileńskim, i gdy mu się przedstawiłem, wspomniał od razu mego Ojca. «Był wtedy przywódcą młodzieży akademickiej, może i pan teraz też będzie» - powiedział mi przyjaźnie. Przywódcą się nie stałem, ale już w parę dni po przyjeździe zostałem przyjęty na Wydział Filozoficzno-Historyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, przeobraziłem się w studenta. Tadeusz początkowo wybrał się gdzieś na Śląsk, ale od jesieni i on zapisał się na polonistykę i znalazł miejsce w «pigoniówce». Zaczynało się nowe życie, ale niedawna przeszłość wojenna nie odchodziła w niepamięć, a nawet przeciwnie, po kilku miesiącach odmiennych wrażeń zaczęła powracać w coraz to bardziej natarczywych i gryzących wspomnieniach. Mieszkaliśmy w różnych pokojach, ale Tadeusz bardzo często wieczorami przychodził do mnie na wspominki. «No, brat - zaczynał - a czy pamiętasz, jak to tam a tam wywróciły się sanki?» albo: «...jak to było, kiedy złapaliśmy tych bojców, czy to trzeba było ich zabić?» Błahe lub dramatyczne przygody i wydarzenia odżywały kolejno w ciągu długich wieczorów, przywoływaliśmy i rozpatrywaliśmy każdy epizod i szczegół, nie po to jednak, żeby go teraz osądzać, ale raczej żeby go utrwalić w pamięci, nie zagubić i w jakiś sposób zaliczyć we wspólnie czynionym podsumowaniu. Pamiętaliśmy wtedy wiele, chyba «wszystko» - wszystkie pseudonimy oraz twarze, nazwy miejscowości, mogłem z pamięci, dzień po dniu, wymienić wszystkie etapy wędrówki, sprawdzaliśmy i podpowiadaliśmy sobie kolejne przypadki, ważne i śmieszne, tragiczne i lada jakie, i w przybliżeniu ocenialiśmy je podobnie. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Wspomnienia wojenne, niczym choroba popromienna po wielkim wybuchu, nękały wtedy bardzo wielu, zwłaszcza młodych, którzy to wszystko, co wchłonęli, musieli teraz przetrwać, a często wypluć. Tadeusz Konwicky i ja przeżuwaliliśmy wspólnie tę materię przez całą jesień i zimę. Prócz tych rozmów zacząłem też «wypluwać» swoje wspomnienia i odczucia w formie wierszy, a następnie opowiadań, których fragmenty już przytoczyłem i jeszcze niektóre przytoczę. Juwenilia te, jak już wspomniałem, były publikowane w «Twórczości» i w tygodniku Powszechnym» w latach 1946-1947, część z nich nie doczekała się druku, ale na tym moja choroba się skończyła. Wygadałem się, wyrzuciłem co dokuczliwsze wspominki i przestałem się nimi zajmować. Trzeba zresztą dodać, że czas nie sprzyjał dalszemu przypominaniu tych wątków biografii, mogły one bowiem, nawet przy różnych kamuflażach, doprowadzić do celi więziennej, jeśli nie do celi śmierci. Dopiero dziś, w czterdzieści pięć lat później, wróciłem do tematu, choć oczywiście w inny sposób. Mimo to, mimo dystansu czasu i dystansu wieku, zasadnicza wizja tamtego okresu wydaje mi się ta sama. Nie odmieniła mi się ani skala ocen, ani paleta wartości. W przypadku Tadeusza Konwickiego sprawy te ułożyły się inaczej.

Początkowo pracowałem w księgarni na Rynku, tuż przy kościele Mariackim, jako sprzedawca. Tadeusz znalazł pracę w czasopiśmie [bodaj tygodniku] pod nazwą «Kultura», nie mającym nic wspólnego z późniejszym pismem o tym samym tytule, lecz - jak głosił podtytuł - «poświęconym kulturze Związku Radzieckiego». Było to nędzne, jawnie propagandowe pisemko, o którym szef mojej księgarni, Antoni Trepieński, znany bibliofil, mawiał, że jest zaprzeczeniem własnej nazwy. Dziwiłem się trochę, że Tadeusz chciał

angażować się w tę pracę, ale rozumiałem, trzeba z czegoś żyć. Po pewnym czasie przeniósł się zresztą na znacznie lepszą posadę w redakcji «Odrodzenia», a o epizodzie z tą «Kulturą» w późniejszych wywiadach dotyczących się jego biografii i kariery całkiem zapomniał. Wkrótce sam zaczął pisywać jakieś recenzje i opowiadania, a pewnego dnia zwierzył mi się, że przygotowuje powieść o swoich i naszych wspólnych przygodach i przeżyciach wojennych. Nie dziwiłem się, bo sam byłem już po okresie najintensyw-

niejszych wypowiedzi pisarskich na ten sam temat i sądziłem, że będzie to coś zbliżonego. Niebawem zresztą Tadeusz wyniósł się do Warszawy i o jego planach literackich zapomniałem aż do czasu, gdy wpadło mi w rękę jego opowiadanie wydrukowane w którymś z tygodników, przedstawiające akcję wileńską w lipcu 1944 roku i udział w niej autora. Opowiadanie było sceptyczno-ironiczne, zjadliwe, odbierające tym działaniom nie tylko sens, ale i walory ideowe. A, tuś mi bratku! To teraz, w 1948 roku nagle przejrzałeś, bo wcześniej ta działalność wcale cię nie mierzyła. Zdarzyło mi się po jakimś czasie być w Warszawie, zaszedłem do Konwickiego, który mieszkał bodaj w «Bristolu», ale rozmowa jakoś się nie kleiła. «A co do tego opowiadania, to wiesz, już mnie pewien ksiądz za nie ochrzanił, tak że byłem długi czas struty, ale jak to sobie dobrze przemyślałem, to uważam, że mam rację». - «No to bywaj!» - «Bywaj!»

Była to nasza ostatnia rzeczywista rozmowa, bo potem zdarzały się już tylko zdawkowe wymiany zdań. Spotkaliśmy się zresztą ponownie dopiero w szesnaście lat później w Paryżu, gdzie byłem na stypendium, a on, wybitny pisarz i reżyser, przyjechał na pokaz jakiegoś filmu. Siedziałem na widowni kina, on stał na podium razem z Iwaszkiewiczem, Putramentem i Jastrunem i razem z nimi zbierał pochlebstwa Francuzów. Potem w foyer podszedłem do niego. «Poznajesz mnie?» - «Ach, tak, oczywiście, co słychać?» Rozmowa się nie składała, była drę-twa, żadna, dopiero gdy zszedłem na niedawną śmierć Wilhelma Macha, znalazł się wspólny grunt: «Ach, tak, niespodziewanie, wypił parę kieliszków i w nocy przyszedł zawał. Wielka strata, a wtedy w bursie...» Koniec antraktu: «No to bywaj!» Także później było parę przypadkowych spotkań, równie jałowych, nawet na specjalnie urządzonej kolacji u Łapickich, z którymi był w wielkiej przyjaźni i których podobno czasami zapytywał, co się ze mną dzieje, bo wiedział, że się zna-my [nasze żony są kuzynkami]. Tylko raz coś mu odbiło z dawnych wspomnień. W początkach stanu wojennego spotkaliśmy się na Krakowskim Przedmieściu. Ucieszył się i pyta: «Czy widziałeś te zapory na szosie przy Wilanowie?» - «Widziałem, i co z tego?» - «To całkiem jak ten szlaban przy torze, gdzie zerwaliśmy strażnikowi czapkę, pamiętasz?» - «Pamiętam». Ale zaraz przypomniały mu się widocznie też późniejsze lata, bo skreślił nagle w Traugutta. «No to bywaj!» - «Bywaj!».

Nie szło już oczywiście o to pierwsze opowiadanie. W ciągu lat narosły dalsze wypowiedzi, powieści - klasyka socrealizmu, których autor sięgał do swych wojennych przeżyć, by służyły jako budulec do konstrukcji wręcz przeciwstawnych tym celom, do których zmierzała nasza działalność. Najpierw ukazała się Władza, wyjątkowo obrzydliwa powieść o krzepnięciu «władzy ludowej» w Polsce; rolę czarnej bestii, uosabiającej wszystko, co najgorsze, odgrywa w tym utworze oddział, a raczej banda wymodelowana po części wedle schematu «reakcyjnego podziemia», łącznie z powiązaniem z «amerykańskim imperializmem®» itd., po części zaś z tworzywa czerpanego z historii naszego oddziału, odpowiednio dobranej i podmalowanej. Kilka scen, kilka epizodów bez trudu rozpoznaje,

widzę także warstwę zniekształceń i przekłamań. Z niektórych stron autor jakby kiwał na mnie wprost palcem: «Chodź no, Puhacz, widzisz, jak ja to opisałem? Co? Że to nie tak? Ale przecież ja opisuję bandę w okolicach Piotrkowa, powiązaną z mikołajczykowskim PSL-em i z prawicowo-nacjonalistycznym odchyleniem Gomułki, więc o co ci chodzi?» Ażebym jednak nie miał żadnych wątpliwości, rzeka, nad którą działa ta straszna banda, nazywa się nie Pilica lub podobnie, lecz... Wisińcza! To sygnał skierowany wprost i tylko do mnie, bo nikt inny chyba nie zareaguje na niego tak jak ja - i ów przyzywający mnie palec układa się w figę: «A widzisz?»

Nie dam się sprowokować i nie przeprowadzę w tym miejscu analizy tekstu, co tam przeszczepione z Wileńszczyzny i z naszej rzeczywistości, a co dodane, ujęte lub skrzywione. Bez takiego zaś komentarza Władza nie może być wyzyskana jako obraz wileńskiej partyzantki. Wątpię też, by dziś lub w przyszłości ktokolwiek jeszcze chciał czytać ów utwór, który dla samego autora już po dwóch latach stał się dość kłopotliwy, gdy okazało się, że Gomułka to nie zdradziecki szef «prawicowo-nacjonalistycznego» odchylenia, ale «ukochany wódz narodu». Trzeba było co rychlej zaktualizować poglądy zgodnie z teorią oblężonego [przez «imperialistów»?] miasta», ale i ta była krótkotrwała. Autor zdążył jednak, jak już wspomniałem, kazać mi się w tej książce powiesić. No i bardzo dobrze - jak zwykł później powtarzać w swych dziełach, a za nim powtarzają jego entuzjaści.

W zbliżonym czasie, w 1956 roku, ukazały się Rojsty, powieść pisana jeszcze w 1947 roku, o czym mi Konwicki wspomniał półgębkiem, a teraz wydana drukiem. Jak to wydana? Na Zachodzie? Nie, w kraju, gdzie nawet w okresie gomułkowskiej odwilży jawne pisanie o udziale w partyzantce antysowieckiej nie było ani bezpieczne, ani tolerowane przez cenzurę. Widocznie jednak na obu tych polach dopuszczono do wyjątkowych decyzji. Inteligentny cenzor i inni zrozumieli, że Rojsty wbrew pozorom nie stanowią ideologicznego ani politycznego zagrożenia. Ogłaszał je zresztą wybitny i doświadczony pisarz, członek partii, autor nie tylko Władzy, ale i innych modelowych utworów, w tym produkcyjniaka Przy budowie, zalecanego do czytania dzieciom w którejś tam klasie, lub powieści Godzina smutku, w której autor «odkrywa miłość», ale konflikt małżeński zażegnaje mądre postępowanie podstawowej organizacji partyjnej. Dziś Konwicki odżegnuje się od swych ówczesnych utworów, a że nie można ich wymazać z katalogów bibliotecznych, przyjmuje postawę cierpiącego grzesznika: «Tak, bracia, zawiniłem ciężko, byłem stalinowcem, pisałem niegodnie, plujcie na mnie» - i na dowód swej ówczesnej nicości publikuje długi, bardzo długi fragment jeszcze jednej powieści socrealistycznej, dotychczas nie wydawanej, nawiązującej jakby do naszej wspólnej podróży z Wilna do Krakowa i do dalszych przygód autora na Śląsku, powieści w równym stopniu jak Rojsty deformującej rzeczywistość, przynajmniej na tym odcinku, który mogę oceniać. Wracam jednak do Rojstów, bo wypada mi, chociaż tak późno, odnieść się do tekstu, który jest i może być w przyszłości traktowany jako cenne źródło historyczne, co prawda powieść, ale... Jest to paszkwil na naszą wileńską partyzantkę, obraz - jak napisał ostatnio jeden z rozmówców Konwickiego - «ociekający jadem»; ja bym określił go raczej jako lepki, niby to realistyczny, a w istocie odrealniony, podporządkowany idei złej rzeczywistości. Niemniej jest to opowieść oparta w znacznej części właśnie na dziejach oddziału, w którym wspólnie byliśmy do końca, opowieść obrazująca tę działalność bez niedomówień co do czasu i miejsca, a więc na pozór rzadki, wiarygodny dokument. Wprawdzie autor w przedmowie zastrzega, że jest to powieść, nie

pamiętnik, ale też sam w wywiadzie sprzed kilku lat stwierdza, że jest to tekst «niemal reportażowy», uwierzytelniając tym niczym pieczęcią jego dokumentalny charakter. Jako historyk wiem jednak, że bywają dokumenty z autentyczną pieczęcią, prawdziwą listą osób i miejscowości, właściwą datą, a mimo to będące falsyfikatami. Takim falsyfikatem są też Rojsty.

Nie wnikam w pierwszą połowę książki, której przedmiotem są losy bohatera, stanowiącego alter ego autora, w okresie przed naszym spotkaniem w oddziale Wrzosa w połowie lutego 1945 roku. Od tego czasu jednak mogę już śledzić dokładnie podstawy narracji. Korzystając z licencji powieściopisarskiej Konwicki traktuje zresztą wydarzenia wybiórczo i zmienia dowolnie ich kolejność. Wprowadza wątki znane mu tylko z opowiadań, a także zupełnie fikcyjne - na przykład cała historia jego ranienia i pobytu w pewnym dworku na rekonwalescencji jest zmyślona. Może przypominała mu się Wierna rzeka i zapragnął wydziergać podobny wątek patriotyczno-erotyczny, wykraczający poza «niemal reportażowy» charakter książki. Czytelnik jednak łącznie w tę historyjkę uwierzy ku chwale autora, który wprawdzie nie umiał strzelać, ale za to... Na dobitkę dlaczegoś nazwał ten dworek «Podwaryszki», czyżby przez przypadkowe skojarzenie? Bo jako żywo jego dworek nie ma z dworem podweryskim nic wspólnego ani pod względem opisu realiów, ani też obyczajowości.

Sporo epizodów przedstawił przecież Konwicki w sposób zbliżony do prawdy, chociaż żadnego z nich nie mogę w pełni zweryfikować. No cóż, powieść. Kilka z nich już opisałem - «zbombienie» Mazepy, utrata patefonu - w dalszym ciągu też wspomnę o paru odpowiednich ustępach powieści. Nazwy miejscowe w zasadzie autentyczne, są z reguły pomyłone, może świadomie, nie ma więc sensu czytanie tej powieści z dokładną mapą w ręku. Pseudonimy są zmienione, ale przeważnie bliskoznaczne, tak więc powieściowy Kwiatek to Wrzos, Sułtan to Maharadża, Żubr to sam Konwicki - Bóbr. Mnie szczęśliwie pominął, a pewne moje działania z czasu, gdy objąłem dowództwo po Wrzosie, przypisał owemu Kwiatkowi, widocznie nie chciał komplikować fabuły, a może mu zawadzałem. Nie ma też Mewy, zapewne psułaby mu programową szpetotę obrazu. Natomiast uwypuklony, choć nieco przerysowany jest portret Maharadży-Sułtana: tchórz i samochwał bardzo mu się nadał. Z siebie zrobił autor nieudacznika: wciąż broń mu się zacina, ma za to sukcesy miłosne. Cóż, licencja twórcy.

Ważniejszy od tych szczegółów jest koloryt, otoczka ideowa i emocjonalna, która wyznacza właściwą funkcję książki. Jest to otoczka szara, plugawa, nierzadko wręcz kłamliwa lub manipulująca odpowiednio dobieranymi faktami. Uderza bezsens walki, jesteśmy przecież, podobnie zresztą jak i podczas akcji wileńskiej, tylko kroplą w morzu, nie uzbrojoną, nieliczną i nie liczącą się grupą, więc po co to wszystko? - A czym jest, zapytam, żołnierz regularnej, milionowej armii, jeżeli nie podobną, a nawet jeszcze mniejszą kroplą? - To była tylko zabawa w wojnę. - Nieprawda, tam gdzie zaczynają ginąć ludzie, czy to po jednej czy po drugiej stronie, tam kończy się wszelka zabawa i wojna jest prawdziwa i śmiertelnie poważna. Z Rojstów przebija bezmyślność, bezideowość oddziału, nękają go konflikty społeczne i narodowościowe, bo należący doń chłopcy to Białorusini i cały kraj - poza Wilnem - jest czysto białoruski, a Polski w ogóle tam nie ma, wyjąwszy tylko ów dworek z chętną do romansów panią. Również w późniejszych powieściach autora, aż po zgoła niedawne, czytamy z rozrzewnieniem, jak to w okolicach Wilna rozbrzmiewały



wonczas śliczne piosenki litewskie albo białoruskie; innych widocznie nie dosłyszał, może zmylił go dialekt kresowy, chociaż jeszcze w Krakowie, w rozmowie z moim bratem ciotecznym, Jerzym Michalskim, Tadeusz Konwicki tłumaczył, że walczyliśmy wtedy o polskie Wilno i Wileńszczyznę. Jak świadectwo Rojstów odebrać mają ci wszyscy, którzy tworzyli brygady i bataliony akowskie w okolicach Wilna i Lidy - chłopcy i ich rodziny spod

Jaszun i Ejszyszek, Mejszagoły i Bieniakoń, Turgieli, Ławaryszek, Dzie-wieniszek i z tyłu innych wsi, miasteczek, dworów i zaścianków, wśród których nie istniały wtedy ani konflikty narodowościowe, ani nawet społeczne, wygaszone wobliczu poczucia polskiej wspólnoty? Ci wszyscy, którzy jak my próbowali przeciwstawiać się obcym, i ci, którzy trafili do Kaługi, Donbasu i dalej, skąd wielu nie wróciło; ci, którzy mu-sieli wyjechać na zachód i zwłaszcza ci, którzy na Kresach pozostali i dotrwali w polskośći do dzisiaj? Czy autor odważyłby się wysłać swoją książkę-«dokument» razem z literaturą przesyłaną tam przez granicę «ku pokrzepieniu serc»?

Czytamy dalej w Rojstach, że napotkani bolszewicy to przemili ludzie. Niby łapią, ciągle gdzieś ktoś strzela, dookoła nieustanna kanonada, nie wiadomo jednak po co, bo do walki jakoś nie dochodzi, chyba że sami siebie zabijamy przez karygodne niedbalstwo. Więc po co ten oddział istnieje? Odpowiedzi brak. Może to zarzut zbyt małej aktywności, przekonanie, iż należało atakować raz po raz, nie szczczędając ofiar, zgodnie z tyłu dawniejszymi i nowszymi wzorcami? Nie dziwiłbym się takiej ocenie ze strony tych, którzy wojnę znają tylko z powieści lub filmu, ale Bóbr? W tamtej rzeczywistości nie było miejsca na akcje choćby takie jak za okupacji niemieckiej, tu reguły gry były inne, piszę o nich i w poprzednich, i w dalszych rozdziałach. Przy tym o rozbiciu bolszewików w Wornianach, w którym przecież sam autor brał udział, nie ma w Rojstach nawet wzmianki. Nie ma też ani słowa o całej warstwie ideowej, która przecież stale towarzyszyła naszym poczynaniom. Bez niej, jak bez tlenu, dawno byśmy zrezygnowali z wszelkich działań i z wszelkiego ryzyka. W tym właśnie wyraża się najgłębsze zakłamanie tej książki, wsparte równie fałszywym obrazem demoralizacji opisywanych w niej ludzi. W ten sposób jeden z ostatnich polskich oddziałów partyzanckich na Wileńszczyźnie, istniejący niemal do ostatnich dni wojny, uzyskał z pozornie miarodajnych ust: od jego uczestnika, wybitnego pisarza, ocenę jak najgorszą, tendencyjną, niezgodną z rzeczywistością. Dlaczego?

W niedawnym wywiadzie, przyciskany pytaniami, Konwicki tłumaczy tę postawę: Pisałem Rojsty w 1947 roku. To było odreagowywanie wojny, właściwe pokoleniu. To był wyraz pacyfizmu, jak u Remarque'a. Bunt intelektualny, rozliczenie, nędza egzystencji, protest przeciw wszelkim nacjonalizmom, niechęć, ba, wstręt do postaw kombatanckich, zafascynowanie marksizmem, przecież cała Europa kierowała się wtedy na lewo... - dziesiątki powodów, które w ustach poważanego pisarza obrastają w maksymy gorzkiej prawdy, zostaną podchwyczone przez krytyków literackich i nieświadomych czytelników. Przecież takie były czasy po wojnie, przecież wszyscy... Nie, Tadeuszu, nie wszyscy.

Potem Konwicki przeszedł kolejne objawienia, oddał legitymację partyjną, zauważył wady ustroju i opisywał je w poczytnych książkach wydawanych legalnie lub nielegalnie w kraju i za granicą. Obraz wileńskiej partyzantki zmieniał mu się z soc-sztampy w senną wizję, coś, co było albo nie było, symboliczne osoby, pejzaże, odgłosy. Można by śledzić te wszystkie znaki i oznaki i rozważać, co autor miał na myśli, co chciał przez nie czytelnikom przekazać. Nie mają one jednak waloru dokumentu lub pseudodokumentu, a mówią już tylko

o osobie pisarza. Zresztą obsesja lasu stopniowo zanikła, nieświadomie czy programowo, i oto w przywoływanym już wywiadzie Konwicki stwierdza, że te dawne dzieje nic go już nie obchodzą, nie chce ich wspominać i właściwie mało z tego pamięta. «A jaki pan miał wówczas pseudonim?» - pyta reporter. Konwicki się zastanawia i mówi z wahaniem: «Chyba Bóbr»<sup>4</sup>. To znaczy, dopowiedzmy, że nie jesteś już pewien własnej tożsamości, którą określiłeś świadomie wybranym imieniem, nie wiesz, kim byłeś przed pół wiekiem, chociaż w nowszych powieściach wciąż kreujesz rzekome swe pochodzenie. Co więcej, tłumaczysz w innym miejscu, że wtedy to nie byłeś ty, to był zupełnie ktoś inny - Bóbr, a może inaczej się nazywał, ten autor Rojstów, Władzy itp., ktoś, z kim nie masz już nic wspólnego, za kogo nie możesz odpowiadać, więc wszystkie pytania o ten okres są bezprzedmiotowe, kierowane pod złym, a co najmniej nieaktualnym adresem. Widocznie po tylu objawieniach i przeobrażeniach wizji tamtego czasu pamięć nie tylko cię zawodzi, ale też stanęła na straży obecnej postawy, pozycji, a może tylko pozy. Pozy starca i mędrca, który ze swej «nyży» w warszawskim mieszkaniu, nie darmo raz po raz opisywanej w książkach, niby Diogenes ze swej beczki głosi zasady moralne cyników, świadomie drwiących z ogólnie uznawanych wartości. Jesteśmy w jednym wieku, mnie też pamięć nieraz zawodzi, mimo to postaram się jeszcze pobudzić ją na tyle, by móc mówić dalej o tym, jak to w rzeczywistości było podczas naszej wspólnej wędrówki po lasach i rojstach Wileńszczyzny. Postscriptum: już po napisaniu przeze mnie tych wspomnień, wiosną 1991 roku ukazało się nowe wydanie Rojstów, nie zmienione, nie opatrzone autorskim ani redakcyjnym komentarzem. A więc chociaż go tamte sprawy już nie obchodzą, chociaż nie chce mieć z dawnym sobą nic wspólnego, Konwicki godzi się na wznowienie i powielenie swego utworu, potwierdza go swym dzisiejszym nazwiskiem, by świadczył wobec nowych pokoleń o obrazie wileńskiej partyzantki. Podobną ekshumację Władzy przeprowadził autor już w początku lat sześćdziesiątych, wprowadzając niektóre jej wątki do swego filmu Zaduszki i starając się w ten sposób przekształcić propagandowy paszkwil w niby to traktat o polskiej dychotomii lat wojennych i powojennych. Poklask kry-tyki, szmer uznania dla dzieła. A może by, na wzór Rojstów, wznowić pełne wydanie i tej książki? Niech młodzi wiedzą, jak to było naprawdę!

### **Pętla**

Powracam nad Narocz, a ściślej do zagrody na południowy wschód od jeziora, do której dobrnęliśmy wreszcie po długotrwałej jeździe i ucieczce spod Niesłuczy. Zapadliśmy w zagrodzie zagrzebanej w śniegach, otoczonej rzadkimi zaroślami; pewnie były tam bagienne łąki, ale musiały być i kawałki pola pod kartofle, zboże i pod len, bo w chacie leżą zwoje bielonego płótna, jest też koń, jest krowa - może przed naszym przybyciem wojna tu w ogóle nie dotarła. Wydaje się, że to koniec świata, zupełnie zacisze, mimo iż gdzieś w okolicy miała miejsce tragedia oddziału Kmicica, a w niedalekiej Szemetowszczyźnie ci sami, a może inni partyzanci sowieccy wymordowali rodzinę Skirmuntów i spalili dwór. Teraz jednak jest tu spokojnie i wydaje się bezpiecznie - kto przez te śniegi zdołałby tu dotrzeć? - więc wyjątkowo odpoczywamy w jednym miejscu całe dwa dni, a potem znów w drogę, już powrotną, bo to był skrajny punkt naszej wyprawy i wypadało myśleć o planie dalszych działań.

Doszliśmy z Wrzosem do wniosku, że wobec pustki, w jakiej się znajdujemy, to znaczy braku współpracy z dowództwem lub z innymi oddziałami, powinniśmy ruszyć przetartą już

drogą za Niemen, żeby znaleźć właściwe kontakty, zorientować się w sytuacji i wrócić, dopóki stoi dobra sanna. Nie braliśmy pod uwagę możliwości pozostania tam na stałe; było oczywistością, że mamy nadal działać na Wileńszczyźnie, u siebie. Jak długo? - ano, zapewne do wybuchu wojny aliantów z bolszewikami i wygnania ich z naszego kraju, a jeśli wojny nie będzie, to... Na razie nie próbowaliśmy odpowiadać na tak postawione pytanie.

Nasze zamiary wzbudziły pewien niepokój w części oddziału. Opisał to Konwicki, jak zwykle nie bez sarkazmu. Chłopcy wiejscy poczuli się zagrożeni. Podejrzewali, że chcemy ich wykorzystać, uciec na ich karkach i, co najgorsze, zostawić ich samych w tym jakimś dalekim kraju zaniemeńskim, skąd nie wiadomo jak wrócić do Turgiel, Talei czy Taboryszek. Był taki wieczór, gdy się zebrali, zaczęli naradzać się i szumieć, i chcieli już odejść do tych Turgiel i Talei, ale nie wiedzieli, jak to zrobić, bo tylko Wrzos i ja mieliśmy mapy, a zresztą nawet mając

mapy, nie potrafiliby ich wykorzystać, drogi zaś były niebezpieczne, nie mogli przecież jechać szosą w stronę Wilna - więc po krótkotrwałym nie tyle buncie, ile kryzysie pozostali razem w gromadzie. Był to jednakże sygnał ostrzegawczy, a dalsze wypadki i tak zmieniły nasze plany.

Chcieliśmy jechać teraz zupełnie inną drogą, omijając Wilno nie od wschodu i południa, lecz od północy i zachodu. Myśleliśmy, że przetniemy dawną granicę polsko-litewską i będziemy «bombić» żywność u Litwinów, a nie u Polaków, w ogóle staniemy się oddziałem, który wkroczył na terytorium wroga. Perspektywa ta podnosiła nas na duchu: to my atakujemy!

Na razie jednak odjeżdżaliśmy dopiero znad Naroczy. Był mróz i księżyc, mijaliśmy okoloną lasami kotlinę jeziora Wiszniew, ogromną białą płaszczyznę, martwą i cichą, o której potem pisałem w przytoczonym już opowiadaniu jako o dziwnej krainie bezruchu i śmierci. Ale w rzeczywistości nie pozostawialiśmy śmierci za sobą, trzymała się oddziału i było tylko kwestią: oni nas czy my ich...? Dotąd wygrywaliśmy stale ten turniej, tak stało się i teraz, gdy wydarzył się jeszcze jeden zły przypadek. Tak, przypadek, a nie zaplanowana akcja, bo zamierzaliśmy tylko zaopatrzyć się w żywność.

Ten przypadek Konwicki opisał w Rojstach stosunkowo najwierniej, choć i tym razem nie ukazał całej prawdy. Zapomniał dodać, że zanim «my ich», to przedtem «oni» próbowali «nas», i to było powodem tych trzech strzałów. Bo było ich troje, a nie dwoje, jak opisuje autor Rojstów, choć nie to jest najważniejsze, oczywiście o ile śmierć pojedynczego człowieka może być bez znaczenia. Więc istotnie, była mleczarnia gdzieś w okolicy Żodziszek, do której zajechaliśmy, żeby zagarnąć masło i śmietanę. Akcja banalna, krótka, tak en passant. Ale zastaliśmy tam trójkę Rosjan, gości, a może jakieś władze - dwóch mężczyzn i kobietę, którymi nawet nie zaciekawiliśmy się bliżej, tyle że na czas zabierania zdobyczy postawiliśmy przy nich wartownika, żeby się nie wymknęli, bo jak zwykle przestrzegaliśmy reguły kotła. Gdy wartownik, młody i ślamazarny chłopak, został z nimi sam na sam, jeden z mężczyzn, ten młodszy, powiedział mu, że chce wyjść na dwór za potrzebą. Chłopak przystał, miał wyjść razem, żeby go pilnować. Rosjanin włożył spokojnie płaszcz, który wisiał na kołku, wsunął rękę do kieszeni i już mieli wychodzić, gdy przypadkiem nadszedł Maharadza. Zorientował się błyskawicznie w sytuacji i: «Ręce do góry! Ruki wwierch!» - krzyknął kierując w nich erkaem. Trzymał ich tak, aż nadszedł Wrzos i inni, w kieszeni płaszcza był rzeczywiście nagan, nasz wartownik miałby już kulę w

brzuchu, gdyby wyszedł na dwór, a Rosjanin byłby daleko w ciemnościach. Więc dokładna rewizja i niespodzianka: legitymacja oficera jakiegoś oddziału partyzanckiego na Lubelszczyźnie, po polsku i po rosyjsku, a w klapie duża, pokryta czerwoną emalią pięcioramienna gwiazda. Ah, to tak... Dalej jak w książce Konwickiego, nie będę już tego powtarzał i uściślał, tylko dodam, że odczepiłem mu tę gwiazdę, a on mówił: «Da, ja znaju, ja popal...» - i nie miał wątpliwości, może sam wiedział dobrze, co się w takich przypadkach zwykło robić. Także Wrzos nie miał chwili wahania. Tuż za budynkiem był taki parów nadrzeczny. Kapral Zemsta popatrzył na mnie zmrużonymi oczami: «Panie plutonowy, a może pan chce?» Nie chciałem. [Zemstę w rok czy dwa później spotkał któryś z kolegów we wrocławskim tramwaju w mundurze milicjanta. «O, czołem!» - ale tamten odwrócił się i zmył jak najspieszniej]. Nosilem jednak potem w kieszeni kozucha tę gwiazdę i przyszedłem z nią, choć już bez broni, do Wilna nie myśląc jakoś, że gdyby ją ktoś znalazł przy mnie i przyszłoby mi tłumaczyć, skąd ją mam, to los mój byłby marny. Znalazła ją dopiero moja Matka i roztropnie wyrzuciła do studni czy do śmieci. Ja też nie wyjaśniałem jej dokładnie, skąd wzięłem to trofeum. Wiedziała: zdarta bolszewikowi, a mówiła o tym takim samym tonem, jakim czytając mi niegdyś Potop wypowiadała słowa o klejnotach zdartych z bojarskich kołpaków, które Kmicic chciał ofiarować w Częstochowie. Ale czy wiemy, jak Kmicic zdobył te kamienie, gdy Chowańskiego podchodził?

Jechaliśmy dalej, teraz na zachód, drogami na północ od Wilii. Lasów było tu mniej, teren nam dotąd nie znany, tym większa potrzebna ostrożność, zwłaszcza że znów zostawiliśmy za sobą krwawy trop, więc pewnie nas szukają. Zaczęła się odwilż, sprawa ważna, bo jeśli lód puści na rzekach, trzeba będzie korzystać z mostów, a te są rzadkie i nieraz pilnowane, więc jak się przeprawimy, zwłaszcza przez wielki Niemen? Zaczęliśmy snuć plany zdobycia ciężarówki i sforsowania nią mostu, na razie jednak jechaliśmy ciągle w pięć czy sześć sani i lód zdawał się mocny, jak będzie dalej - zobaczymy.

Dotarliśmy wreszcie do granicy polsko-litewskiej w miejscu, gdzie Wilia robi wielką pętlę na południowy zachód od Mejszagoły. Przejechaliśmy rzekę po łodzi i stanęliśmy na dniówkę w folwarku Ponary położonym w zawężeniu rzecznej pętli. Miejsce nie było zbyt dogodne, bo z jednej strony mieliśmy Wilię, z drugiej niedaleko przebiegał tor oraz szosa łącząca Wilno z Kownem, były na nich jakieś posterunki i duży ruch, więc w razie wpadki w krótkim czasie mogliśmy mieć na karku bolszewików czy to z tych posterunków, czy z sąsiednich Trok, a nawet z Landwarowa i z Wilna. Wycofanie się byłoby wtedy bardzo trudne. Mieliśmy jednak nadzieję, że nic takiego się nie zdarzy, że przebedziemy ten dzień w spokoju, a wieczorem ruszymy już w głąb Litwy, realizując plan naszego przejścia na zachód.

To było 15 marca. Staliśmy w niedużym dworku, przyjmowani ogromnie serdecznie przez gospodarza - nazywał się, jak mi się zdaje, Mickiewicz. Nie wiem, w jaki sposób ostał się do tego czasu nie wywieziony ani nie zamordowany czy to przez bolszewików, czy przez Niemców, czy przez Litwinów. Obawiam się jednak, że nasza bytność, a zwłaszcza to, co się podczas niej wydarzyło, skrupiła się ciężko na tym gościnnym, jowialnym człowieku i jego rodzinie. Czy przeżyli - nie wiem.

Dom był spory, chyba z pięterkiem, wewnątrz trochę starych mebli. Przed oszklonym gankiem był dziedziniec, za nim budynki gospodarcze, w których schowaliśmy nasze konie i sanie. I oto około południa wartownik dał znać, że zbliżają się jakieś sanie, a na nich trzech

mężczyzn. Jeśli tu wjadą, to oczywiście trzeba będzie ich zatrzymać i nie wypuszczać do wieczora, zabieg prosty, banalny, nie nasuwający trudności. «Gdy będą na dziedzińcu, weźmiecie ich» - polecił Wrzos. To chyba jacyś chłopci, ale na wszelki wypadek wzięliśmy do rąk automaty. Sanie wjechały na podwórze, ci którzy ich mieli zatrzymać, wyszli z bronią przed ganek: «Stać! Ręce do góry!» Zatrzymali się, ale zamiast podnosić ręce, wyskoczyli, rzucili się za sanie. Co to? «Stać!» - ale tamci już strzelają. Nasi skoczyli gdzieś w tył, my do okien, brząk szyb, strzelanina. Wpadłem na ganeczek, położyłem się przy progu, zacząłem pruć jedną serię, drugą - cel jest blisko, o kilkanaście metrów, ale widzę, że nie trafiam, od moich serii idą poniżej bryzgi topniejącego śniegu, strzelają i inni, ale tamci wciąż odpowiadają, chyba tylko z pi-stoletów, jacy odważni! Bronią się, jeszcze strzelają, ale wolniej, aż ucichli. Dwaj leżeli, trzeci, chyba woźnica, tylko mignął daleko za bramą uciekając co sił. Wrzos podbiegł do mnie: «Puhacz - krzyknął- obejmuj dowództwo! Jestem ranny w rękę».

Pocisk trafił go z przodu w ramię i ugrzązł pod łopatką. Cała ręka zaczęła drgać i rzucać się jak zarżnięta kura, automat wypadł, krew na ubraniu. Widzę, że jest zszokowany. «Obejmuj dowództwo!» - tak, rozumiem, w jednej chwili zbiegły mi się w świadomości wszystkie dane: były głośne strzały, jeden z przyjezdnych uciekł, więc jest alarm. Tor, szosa, posterunki, blisko do Trok, do Wilna. Pętla Wilii, odwilż, czy lód wytrzyma? Jest południe, do zmroku ze sześć godzin. Dużych lasów brak, do naszej puszczy ze czterdzieści kilometrów, i które? Tor, szosa, Troki, Landwarów. Wrzos jest ranny, może ciężko. To chyba wszystko, z czym muszę się uporać, prawie wszystko. Więc krzyczę znów sakramentalne: «Na moją komendę!» - i już wiem, najpierw musimy jak najszybciej wyjść z pętli, potem dostać się jakoś do Puszczy Rudnickiej. O planach wkroczenia na Litwę zupełnie zapomniałem.

Chłopcy zaprzęgali w pośpiechu konie. Mewa obandażowała ramię Wrzosa. Zostawiliśmy dom w nieładzie, szyby powybijane, dwa trupy na dziedzińcu i chyba wyrok na naszych gospodarzy, bo jak się wytłumaczą, że u nich staliśmy? Ruszyliśmy w głąb pętli z nadzieją, że lód wytrzyma, gdyby trzasnął pod koźmi, to dalej już tylko pieszo, ale wtedy doszliby nas bez trudu; a co z rannym, który teraz leży na saniach i zaciska zęby? Lojalnie, całkowicie zdał się na mnie i nie wtrąca się do moich decyzji. Najwyżej pyta: «No jak, Puhacz, co postanowiłeś teraz zrobić?»

Dotarliśmy do Wilii, jest pokryta lodem, ale nie wygląda to zbyt pewnie. Pierwsze sanie spuszczają się z brzegu, ostrożnie, ludzie idą w szerokiej rozsypce, tylko woźnica blisko konia. Trzaśnie - nie trzaśnie, no, nie trzasnęło, więc następne sanie i potem wszystkie kolejno przeszły i pną się na wysoki prawy brzeg rzeki, to już pierwszy sukces. Potem zaczynamy kluczyć, tu, tam, żeby zmylić ślady, żeby doczekać wieczoru. A gdy ściemniało, znów przekroczyliśmy Wilię, teraz już śmieiej, bo lód sprawdzony, ale oczywiście nie z powrotem do wnętrza pętli, tylko gdzieś na wschód od niej. Chodziło o to, żeby brać się ku Puszczy Rudnickiej, a ponadto liczyłem, że skoro stwierdzą bez trudu, że odjechaliśmy z folwarku w głąb pętli i że przekroczyliśmy rzekę, to będą nas szukać raczej na prawym brzegu, a nie ponownie na lewym. Do puszczy było jednak jeszcze kilkadziesiąt kilometrów wcale nie łatwej drogi.

Przeskoczyliśmy nie zauważeni przez szosę i tor łączące Wilno i Kowno, ale widocznie w okolicy był alarm i pogotowie, bo gdzieś w pobliżu Trok ktoś nas ostrzelał z daleka, nocą

zaczęły się krzyki po rosyjsku, jakby gonili za nami, ale właśnie wpadliśmy do lasu, z ostatnich sań ktoś z naszych pociągnął krótką serię z erkaemu i tamci się zatrzymali. Jechaliśmy dalej ku puszczy.

Czy trwało to dzień, czy dwa, a raczej czy jedną, czy dwie noce? Powinniśmy byli jednym tchem dotrzeć na bezpieczniejszy teren, ale chyba to się nie udało. W każdym razie stanęliśmy po drodze w jakiejś chacie i tam Mewa zmieniła opatrunki Wrzosa, którego ręka zaczynała niepokojąco puchnąć. Zapamiętałem taką scenę ujętą w moim wierszowanym notatniku: Mewa pierze bandażę i chusty płócienne, Czerwoną wodę w rękach przelewa, przelewa, Włosy w nieładzie, wzrok ma znużony i senny. O, jakim wzrokiem patrzy w krew łączniczka Mewa!... Widocznie i wtedy, mimo wszystko, reagowałem na

wyraz jej oczu, a może właśnie w zmieniającej się sytuacji widziałem tym więcej. Być może była to cała dniówka, a może tylko postój w czasie pierwszej nocy [ale wtedy Mewa nie urządziła prania bandaży i ręka jeszcze nie byłaby obrzęknięta]. W każdym razie wreszcie wylądowaliśmy w północnej części Puszczy Rudnickiej, w dużym, odosobnionym domostwie w osadzie noszącej nazwę Dworzec. I to miejsce nie było całkiem pewne, bo niedaleko przebiegała duża droga, a przy niej, może o kilometr lub nieco dalej, znajdował się znów jakiś sowiecki posterunek, tak nas przynajmniej zapewniano, może licząc, że pojedziemy sobie gdzie indziej. Nie było już jednak wyjścia. Przybyliśmy tam nie zauważeni, konie zmęczone daleko by nie uciągnęły, a przede wszystkim ręka, a raczej ramię Wrzosa wyglądało coraz gorzej, obrzęknięte, czerwone, pocisk siedział w środku, baliśmy się, że zaczyna się gangrena, więc konieczny był lekarz, i to zaraz.

Rankiem Mewa wyruszyła sama saniami do Wilna z grypsem skierowanym do matki Wrzosa i mojej, bo innych kontaktów nie było. Prosiłem o natychmiastowe znalezienie i przysłanie do nas lekarza, obiecując mu złote góry. Pisałem, że może dostać świnie, krowę, buty, kozuch, co zechce, byle przybył, a była to propozycja w tych warunkach ogromnie nietaktowna i mam nadzieję, że nie została powtórzona lekarzowi, który przełamując strach przyjechał, chyba nazajutrz, a z nim ku wielkiej złości Wrzosa zjawiała się jego matka. Zaraz zaczęła się operacja. Wystawiłem wokół domu silną osłonę z poleceniem, że w razie czego musimy się bronić na miejscu do zakończenia zabiegu, dopiero potem można by myśleć o wycofaniu się - szczęśliwie jednak do takiej sytuacji nie doszło. Sam byłem przy operacji. Lekarz naszpikował obrzęknięty bark jakimiś zastrzykami, potem rozciął go od tyłu, szczypcami wydłubał pocisk, posmarował czymś ranę, założył klamry i zabandażował. Wrzos ani jęknął, chociaż gryzł w zębach jakieś drewno. Były przy tym jego matka i Mewa, może ktoś jeszcze. Mewa zabrała i schowała sobie ten pocisk - to nie literatura, to samo życie, proszę panów prześmiewców. Lekarz zebrał narzędzia i zaraz odjechał. Wrzos też musiał jechać do Wilna, żeby się kurować. Miał ruszyć nieco później, razem ze swą matką, przebrany za wiejską babę. Twarz miał okrągłą, po ogoleniu i w chuście na głowie rzeczywiście wyglądał po babsku. Przedtem jednak było pożegnanie. Cały oddział [oczywiście prócz wartownika] zebrał się w dużej izbie i wtedy «baczność!» i «na prawo patrz!», i z trzaskiem butów zameldowałem pluton do odprawy. Był to jedyny raz, gdy stanąłem przed Wrzosem na baczność i mówiłem «panie komendancie». Chłopcy też byli wzruszeni. Lubili go i szanowali, miał posłuch. Potem przez wiele dni, gdy odmawialiśmy zwykłą modlitwę, a raczej śpiewali ów hymn «O Panie, który jesteś w niebie...», dodawali z własnej potrzeby serca: «za zdrowie komendanta Wrzosa Ojciec nasz, Zdrowaś Mario...» Teraz pożegnał się z wszystkimi, powiedział parę słów na mój temat i odjechał z matką - dwie niepozorne baby na sankach z nędznym konikiem. Nie pamiętam, czy zabrał ze sobą jakąś broń, ale przypuszczam, że pod spódnicą miał jednak ukryty pistolet.

Dowiedziałem się później, że do Wilna dojechał cało, ale tam po jakimś czasie byłby wpadł, bo zdradził go bodaj felczer, który robił mu opatrunki. Przyszli do ich mieszkania w nocy, Wrzos wraz z bratem ledwo zdążyli schować się na strychu, cudem udało się ukryć zakrwawione bandaże, tak że szczęśliwie ocalał. Potem został przeniesiony na melinę w mieszkaniu mej ciotki Anny Reszkowej na Pośpieszce, gdzie tak w czasie okupacji niemieckiej, jak i teraz znajdował się niezawodny punkt oparcia dla konspiratorów, uciekinierów i rannych. W drewnianym domu pełnym zakamarków i stryszków ukrywali się,

przechowywali i kontaktowali różni ludzie, odbywały się zabiegi, a nawet operacje. Ciotka miała pseudonim Matka - i było to wśród naszych imion żołnierskich może najpiękniejsze i najtrafniej przybrane. Wrzos, jak i wielu innych, doznał jej macierzyńskiej opieki, przeżył i przetrwał, ale do lasu już nie wrócił. Zostałem teraz całkiem sam, z dwudziestu uzbrojonymi ludźmi i z Mewą - a przede mną otwarte pole dalszego postępowania. Nigdy w życiu nie miałem równie ciężkiej odpowiedzialności, ale też nigdy nie czułem się równie wolny.

### **Jedna taka wiosna**

Śnieg topniał. W lesie była jeszcze dobra sanna, ale na polach pojawiały się i powiększały ciemne plamy, więc wiedziałem, że za kilka dni trzeba będzie powrócić do wędrowek pieszych, a tym samym zmienić zasięg i sposób działania. Na razie znurkowaliśmy w puszcę. Do Wielkanocy było już niespełna dwa tygodnie, należało więc postarać się o księdza, zgodnie z nakazem: «raz w rok około...» Jedna taka próba, nie pamiętam już, gdzie podjęta, skończyła się niepowodzeniem i zgorzeniem. Ksiądz stanowczo odmówił posług religijnych, tłumacząc, że gdyby spełnił nasze życzenie, to jego owieczki zostałyby bez pasterza, do czego nie może dopuścić. Nie i nie! Bał się potwornie, nie dał sobie nic wyperswadować, gdy mówiłem o obowiązkach kapłańskich czy patriotycznych. Cóż było robić, na siłę trudno było go wlec i domagać się rozgrzeszenia, ręce trochę swędziały, oj, warto by mu przylać, skończyło się jednak na powiedzeniu mu kilku nader cierpkich uwag, a Konwicki ze smakiem opisał później ten przypadek w Rojstach. Podał jednak tylko pół prawdy, bo zapomniał o drugim księdzu, bodaj z Rudnik, przez co ta półprawda zniekształciła obraz rzeczywistości.

Ten drugi, młody ksiądz, jakoś tam zawiadomiony i wezwany, też się bał, ale przyjechał sankami do chaty w puszczy, gdzie spędzaliśmy dzień, i spowiadał, a potem udzielał komunii. Klęczałem podczas tego obrzędu, choć sam w nim nie uczestniczyłem, bo już wcześniej dokonałem wyboru. Odczuwałem jednak silnie emocję jeśli nie samych sakramentów, to scenerii i okoliczności ich przyjmowania. Poprosiłem też księdza, by zechciał dokonać poświęcenia naszej broni - wydawało mi się to jakimś dodatkowym sakramentem, uzupełnieniem tej leśnej eucharystii, umacniającym nasze poczynania. Ale, jak już wspomniałem w jednym z pierwszych rozdziałów, ksiądz wymówił się brakiem stosownych tekstów liturgicznych i mimo nalegań stanowczo odmówił, może nie chciał sankcjonować w ten sposób grzechów, których wysłuchał i które odpuścił, ale które, jak mógł przypuszczać, będziemy za-pewne w przyszłości nadal popełniać.

Wkrótce potem dotarliśmy w okolice domu Kwiatkowskich i tam znajomym sąsiadom proponowałem rozdanie, gdy śnieg stopnieje, naszych koni i sani. Jedni byli chętni, inni bali się, bo źle by z nimi było, gdyby się wydało, że mieli z nami kontakty. Po dwóch dniach, gdy płozy szorowały już po ziemi, trzeba było jednak ostatecznie pożegnać się z sanną. Chłopu, u którego staliśmy, kazałem, by po naszym wyjściu odprowadził kilka koni do tych osadników w puszczy, którzy mieli na nie ochotę, inne pozostały na miejscu, ktoś je tam pewnie wzięł sobie, a my już pieszo odchodziliśmy długim szeregiem, niosąc broń, amunicję, trochę żywności i rzeczy osobistych, które mieściły się w chlebakach. Ja miałem też zawieszony na szyi mapnik i latarkę elektryczną - najważniejsze wyposażenie dowódcy. Wszystko, co nie było niezbędne, pozostawiliśmy z saniami.



Na następnej lub jednej z następnych dniówek przyszła do mnie gospodyni ze skargą: ktoś rozbił jej ul, wyrwał plastry z miodem z zimującego roju, zniszczył więc pszczoły. Zakipiałem: «Powstań! W dwuszeregu zbiórka! Kto to zrobił?» Cisza. «Czy rozumiecie? Świństwo, chamstwo! Tak zrobić swoim, Polakom! Przecież to nasza kobieta, mogłaby wam być matką! Wstyd, polscy partyzanci, złodziejstwo! No, kto to zrobił?» Cisza. «Jak tak, to wieczorem karne ćwiczenia dla wszystkich!» Milczeli, ale czułem ogólną aprobatę, nawet zgodę na te ćwiczenia. Rozumieli, że zniszczenie pszczół to zbrodnia znacznie gorsza niż złodziejstwo. Mógł to zrobić tylko któryś z chłopców z miasta, nigdy wiejski. Wiedziałem, że wśród nich jest ta czarna owca, może kilka, stoją tuż przede mną, ale jak wykryć winnego? - I co dalej? Sprawca miał chyba rację, że wtedy milczał i dopiero w miesiąc później, gdyśmy się rozchodzili i broń była już zakopana, Maharadża powiedział mi ni to ze skruchą, ni z szyderstwem: «A ten miód, to ja wtedy wydarłem». «Powiniennem cię za to rozstrzelać» - odpowiedziałem, bo dla mnie była to nie tyle zbrodnia na pszczołach, chronionych odwiecznym zwyczajem, ile przede wszystkim wstyd przed gospodynią i nie wiem, jak bym zarea-gował, gdybym go wtedy rozpoznał. Może zrobiłbym jakieś głupstwo, może tylko skończył na moralach, w każdym razie nie byłoby to dobre. Karne ćwiczenia urządziłem zaś pod wieczór w lesie: «Pluton w tyralierę! Biegiem! Padnij! Powstań! Biegiem! Na stanowiska!» Nie sarkali, biegli, padali, a mnie już minęła złość o te pszczoły i widziałem tylko dwudziestu chłopców z automatami leżących na stanowiskach w linii liczącej ze sto metrów, i wołałem do nich przebiegając od końca do końca: «No widzicie, jaka to siła, kto może nam cokolwiek zrobić». Pamiętałem nasze nędzne uzbrojenie sprzed roku, a dzisiaj? Dwadzieścia automatów to przecież potęga, możemy z nimi zrobić wielkie rzeczy! Właśnie zaczynała się wiosna, marcowy powiew uderzał do głowy, las pachniał.

Złudzenie trwało krótko. Nocny marsz, błoto, ciężar broni i amunicji, niepewność. Podobnie jak obawa, że śnieg zachowa nasze ślady, przyczyniła się do rozwiązania dawnego oddziału na przełomie jesieni i zimy, tak obecnie brak śniegu, konieczność długich marszów, a pewnie i większa łatwość ukrycia się przy domu przyniosły zbliżony kryzys. Słyszałem w czasie marszu rozmowy i wyrzekania, potem coraz wyraźniejsze protesty. Na dniówce już było jasne, że szykuje się rozpad oddziału, zdałem sobie sprawę, że żadne wezwania i namowy nie mają sensu i że jeśli nie chcę całkowitej rozsypki, muszę sam przeciąć sprawę. Zrobiłem formalną zbiórkę i powiadam: «Wiem, że jest tak a tak. Wobec tego kto chce chodzić dalej - wystąp!» Naumyślnie nie pytałem, kto chce odejść, ale kto chce zostać, żeby to był wyraźny akt woli. Wystąpiła połowa, w tym Bóbr, Zemsta, Pigułka, Maharadża, Sokół. Pozostała też Mewa, chociaż jej związek z oddziałem po odjeździe Wrzosa był już jakby luźniejszy. Nie potępiałem tych, którzy chcieli odejść, kazałem tylko, by zamienili z zostającymi broń i buty, jeśli mieli lepsze, a także by zostawili zapasy amunicji. Zrobili to bez szemrania, potem w izbie siedziały już dwie grupy: «my» i «oni» i powstał nagle dziwny mur niechęci. Prawie nie rozmawialiśmy między sobą, «oni» też nie trzymali już warty, czekali tylko, aż się ściemni, by ruszyć w swoją drogę, głównie do wsi, niektórzy do Wilna. W ostatniej chwili jeden z tamtych oświadczył, że jednak zostaje, więc radość z powrotu zabłąkanej owcy, ale to był podstęp, bo Sztrom wziął tylko od któregoś z odchodzących lepsze buty, a potem też zniknął, pozostawiając w kącie swój erkaem. Pozostało nas bodaj dziesięciu, noc była ciemna, wietrzna, marcowa.

Wielkanoc w tym roku wypadła 1 kwietnia. Spędzaliśmy ją na Długiej Wyspie lub w jej pobliżu, w południowej części puszczy, gdzie było kilka zabudowań. Spotkaliśmy się tam z oddziałem partyzanckim dowodzonym przez Myśliwego. Był to człowiek znacznie ode mnie starszy, mógł mieć około trzydziestki, pewny siebie i zamaszysty, ale nie budził we mnie zaufania. Jego oddział liczył ze dwudziestu ludzi, może więcej, dobrze uzbrojonych, ale zachowujących się swobodnie, bez wart, bez widocznej organizacji. Początkowo myślałem, że dobrze by było utrzymać z nimi kontakt, może podjąć jakąś wspólną, poważniejszą akcję, ale szybko minęła mi ta ochota. Myśliwy był przyjazny, lecz daleki od chęci współdziałania, a może w ogóle działania zaczepnego. Zapraszał mnie na samogon. Nie chciałem, natomiast moi chłopcy dostali czy wyhandlowali od nich butelkę, więc mimo iż dotychczas tak Wrzos, jak i ja nie dopuszczaliśmy w ogóle do picia, tym razem ze względu na Wielkanoc zgodziłem się na opróżnienie flaszki. Swoją porcję jednak ostentacyjnie wylałem na ziemię, ku słusznym żalom: «Jak sam nie pije, to niechby oddał innym, a nie wylewał» - byłem jednak pod tym względem nieznośnie pryncypialny.

Nieznośnie, ale słusznie. W tym samym dniu dostaliśmy wiadomość, że wzdłuż puszczy posuwa się duża obława. Być może była to akcja wyłapywania takich jak my oddziałów, a może tylko łapanka młodych ludzi, na których sowieci wciąż polowali. W każdym razie były nią objęte wsie na południowym skraju puszczy. Jak zwykle wsłuchiwałem się w dochodzące z daleka szczekanie psów i po nasileniu i przesuwaniu się tych odgłosów wnioskowałem, gdzie już są, w którą stronę idą. Zapewne nie zawsze była to rzeczywista oznaka zagrożenia, psie głosy miały przecież i inne przyczyny, jednak mimo iż strach ma wielkie uszy, oznak tych nie wolno było nigdy lekceważyć.

Przypomina mi się w związku z tym historia późniejszej o rok ucieczki Licha z kolejowego transportu, o której sam mi opowiadał, gdyśmy się spotkali wkrótce potem w Krakowie. Licho został aresztowany latem 1945 roku w Wilnie i po dłuższym śledztwie skazany na ileś tam lat łagru. Wywozili go, wraz z innymi, w wagonie bydlęcym linią na Dyneburg. Tuż przed Dźwiną udało mu się wyrwać deskę z boku wagonu i wyskoczyć w biegu. Jeszcze wisiał przy otworze, a już doń strzelano z budki strażniczej na końcu pociągu. Szczęśliwie spadł na ziemię i zaczął uciekać, pociąg jednak zahamował i zaraz ruszył pościg. Był tam jeszcze śnieg, a więc i ślady. Gdy przebiegał koło jakiejś zagrody, zaczął szczekać pies. Licho przytomnie zbliżył się i zaczął ciskać śniegiem, kamieniami, czym się dało, w budę i w uwiązane kundla. Potem pobiegł dalej, ale rozwścieczony pies długo rzucał się i ujadał, więc goniący myśląc, że zbieg ukrył się w tej zagrodzie, wpadli tam, zaczęli szukać, zmitrężyli czas jakiś, Licho zaś zdołał dopaść lasu, znikł, a po tygodniu ciężkiej drogi dotarł do Wilna - i tak ocalał. Był to arcyrzadki przypadek udanej ucieczki z sowieckiego transportu.

Psie głosy nie były więc bez znaczenia. Zastępowały syreny alarmowe, biły na trwogę, ostrzegały, czasem zwodziły. Tym razem, na Wielkanoc, sytuacja wydawała się groźna. Liczyliśmy się, że obława może sięgnąć w głąb puszczy, a w żadnym razie nie mogliśmy dopuścić do bezpośredniego starcia, bo to byłby koniec - gdyby nas nawet nie wybili na miejscu, to ścigaliby aż do skutku. Jedyną szansą naszego istnienia i działania było całkowite ukrycie i nagłe pojawianie się w miejscach przez siebie obranych. Ponieważ nie podobał mi się ani Myśliwy, ani jego wojsko, wołałem teraz odsunąć się od nich i pomyślałem, że można

by wykorzystać podziemny schron, który wykopaliśmy w puszczy jesienią. Tylko ja wśród obecnych wiedziałem o nim i znałem do niego drogę, o ile jej nie pomylę w szczerym lesie.

Miałem nosa. Oddział Myśliwego został później rozbity czy rozpedzony, on sam podobno ocalał w jakimś schowku, tak przynajmniej mi opowiadano. Była też inna wersja wydarzeń, którą łączono z Myśliwym, ale może w istocie chodziło o kogo innego albo też jest to samoistna legenda, topos, dopasowywany do różnych postaci. Miał więc być dogovor, porozumienie z jakimś oddziałem sowieckim czy antyso- wieckim. Obie strony miały spotkać się w pewnej chacie w lesie, była tam przyjacielska uczta dla umocnienia umowy, aż w pewnej chwili Myśliwemu, czy też jego odpowiednikowi, przyniesiono czerwoną koszulę. Był to znak, że ma zginąć i istotnie wszyscy zostali wybici. Symbolika lokuje tę opowieść w rzędzie baśni, ale w istocie ma ona podkład realny. Dogovor to była ulubiona i niemal niezawodna broń sowiecka, oparta na odmiennym niż u nas etosie walki. W ten sposób w lipcu został ujęty generał Wilk, w tenże sposób uwięzili pod Warszawą generała Okulickiego i innych, tak też mogli ginąć dowódcy drobnych oddziałów, którym się wydawało, że nawet z przeciwnikiem można się dogadać i że zawarte z nim pacta sunt sewanda. Była to jednak zasada prawa rzymskiego, według norm wschodnich oszukanie nieprzyjaciela było i jest świadectwem żołnierskiej cnoty oraz rozumu dowódcy.

Mnie rozum podyktował ukrycie się w naszym schronie, zniknięcie na czas niebezpieczeństwa z powierzchni ziemi. Było mało prawdopodobne, żeby nas tam znaleźli: musieliby przeczesywać całą puszcę, a i to schron był tak zamaskowany, że mogliby nawet przejść po nim i niczego nie zauważyć. Gdyby jednak coś dostrzegli, jeden granat załatwiłby wszystko. Wielkość schronu była odpowiednia na dziesięciu ludzi, choć spać było trochę za ciasno. Nie pamiętam już, jak to było z żywnością, chyba coś mieliśmy ze sobą, bo przecież żeby żyć, trzeba jeść. W środku był piecyk, wiadro. Odnalazłem ten schron z pewnym trudem, szczęśliwie były znaki na drzewach porobione jesienią. Właziliśmy w czarny, kwadratowy otwór. Rozpaliliśmy piecyk, wewnątrz schronu stopniowo się rozgrzewało, ale wilgoć została. Spaliśmy tuż przy sobie, na gałęziach świerkowych, na zewnątrz oczywiście był wartownik. Było ciasno. Wszy, które zawsze nam towarzyszyły, teraz w ciepłe i wilgoci ożywiły się, zaczęły harcować i gryźć coraz mocniej. O biciu ich trudno było myśleć, bo ani się rozebrać, ani dojrzeć po ciemku. Ile się dało po omacku zgarnąć z szyi czy z brzucha i ubić, tyle sukcesu. Z jedzeniem też nietęgo. Leżymy, gadamy, rozważamy. Jesienią było tu jednak jakoś milej. Teraz zaczynają się kwasy. To źle, tamto niedobrze. Także Mewa w złym humorze, po co jej właściwie ta nora, skoro Wrzosa w niej nie ma, coś tam mi dogryza. Po wyjściu z jamy też nieprzyjemnie. Las, ziemia wilgotna po roztopach, drepczemy w miejscu.

Jak długo mamy tu tkwić i po co? Obławy jakoś nie widać, nie słychać, a zresztą niechby nawet już była, coś by się działo. Przesiedzieliśmy w tym schronie bodaj dwie doby i wiem, że dłużej nie można, bo jak wszy nas nie zjedzą, to sami siebie pozagryzamy. Więc postanawiam: idziemy na akcję poza puszcę, w stronę obławy. Akcja niewielka, przepędzimy tylko pewnego Litwina, ale warunki trudne, dość ryzykowne, to powinno wszystkich otrzeźwić. Rzeczywiście, kwasy ustały, pod wieczór odchodzimy od schronu.

Ten Litwin to był nauczyciel w którejś z wiosek leżących na południe od puszczy, za Solczą. Ktoś mi naopowiadał, że jest bardzo zajadły i prześladuje w szkole polskie dzieci. No, to ja mu pokażę! Szliśmy długo przez las, przemoczeni, bo lunął deszcz i przeleciała wczesna burza wiosenna. Noc była bardzo ciemna, po twarzach uderzały mokre gałęzie

krzaków. Przeprawiliśmy się jakoś przez Solczę, doszliśmy do wsi, chyba gdzieś w pobliżu Ogrodników - to był rejon, w którym było sporo ludności litewskiej - znaleźliśmy szkołę czy dom tego nauczyciela, weszliśmy. Najpierw kazaliśmy dać jeść, bo byliśmy wygłodzeni. Litwinka patrząc złym okiem zrobiła jajecznicę, był też chleb. Początkowo udawaliśmy ruskich, potem przeszedłem na polski. «To tak - mówię nauczycielowi - prześladowasz polskie dzieci? To won stąd i wynoś się na Litwę, żeby cię tu jutro już nie było!» A on milczy, coś tam mruczy, i powiada, że nie wyjedzie, nie ma dokąd. «Jak to nie wyjedziesz? Masz jutro wyjechać, bo jak cię tu drugi raz zastanę, to rozwałę!» A on znowu, że nie, nie wyjedzie. Srożę się, pokazuję na broń, straszę, że go zaraz zastrzelimy, a on nic. To dopiero był uparty Litwin! No, myślę, powiedzże na odczepnego, że wyjedziesz, a wezmę to za dobrą monetę, dam ci święty spokój i na pewno nie będę tu wracał, a tak co mam zrobić? Zemsta przysunął się do mnie i mrużąc oczy pyta: «To co, panie plutonowy, mam go wziąć na dwór?» Potrzęsam głową - nie! Przecież jedliśmy jego jajecznicę, a teraz mielibyśmy go rozwalić? Więc świadom, że to na nic, powtarzam już tylko, że wkrótce wrócimy i jeśli nie wyjedzie, to rozstrzelamy, potem wychodzimy, jak się zdaje w ostatnim momencie, bo ulicą szedł jakiś patrol sowiecki, czy przypadkiem, czy zawiadomiony, ledwo odskoczyliśmy w pole, minęli nas, a my z powrotem ku puszczy, pokrzepieni nieco na ciele, mniej na duchu.

Te dni, ten nocny deszcz przełamały ostatecznie granicę między zimą i wiosną. Musiałem ten czas opisać w kolejnym obrazie cytowanego opowiadania o porach roku i muszę teraz powtórzyć ten opis, bo bez niego część moich wspomnień byłaby niepełna i - co ważniejsze - nieprawdziwa. Więc przepisuję z «Tygodnika Powszechnego» następujący fragment.

W końcu marca śnieg leży jeszcze w lesie albo bieli się gdzie-niegdzie w załamaniach pola. Gwiazdy świecą po nocach jakieś czyste, niby wyjęte wprost z wody. Odbijają się w kałużach sto-jących na łąkach, w rowach, w strumieniach szeroko rozlanych. Za miesiąc, za półtora puszcza będzie kwitła: biało, różowo, du-ru pełna. Mgły będą wstawiały wieczorami znad bagien, osłonią wszystko, co w puszczy dzieć się będzie. Tylko szmer dojdzie z głębi lasu; trzask krzewów, szelest traw, głosy zwierząt. W maju cała noc, ze wszystkim, co w niej się mieści, żyć będzie. I ludzi chodzących po lasach wir ten w siebie wciągnie i pochłonie. Byleby dotrzeć do maja.

Niemiecka obława [to kamuflaż, chodzi oczywiście o sowiecką] pozostała na granicy pól. Odchodzili od niej coraz dalej, zapominali prawie o jej istnieniu. Cóż ich obchodzić mogło to wszystko, co działo się za lasem? Nic, tak jak pijaka nie wzruszyłyby dalekie hałasy poza ścianami gospody. Powietrze marcowe bije do głowy jak trunek pełen korzennych zapachów. W żadnym innym miesiącu nie szumi tak pod czaszką ani tętna nie biją tak mocno. Na łąkach, na polanach odbywa się sabat żywiołów. Sa-ma Ziemia, sam Wiatr, sama Woda. Potem dopiero ustąpią miejsca pomniejszym istotom. Człowiek, który zobaczył noc taką, może się czuć dumny, jak gdyby znalazł czerwony kwiat paproci. Może krzyczeć z radości albo biec przed siebie przez las, rozchlapując wokoło kałuże, może błogosławić wojnę za to, że go tu zagnała, albo przekleństwami powstrzymywać świt, by nie nadchodził zbyt prędko.

Po łące, po polanie, idzie oddział. Cień za cieniem; błyski błękitne na broni, woda na ziemi czarnosina, powietrze niebieskie i srebrne, jakby się księżyc w nim roztopił. Nie ma komendanta Kłosa. To nic, to może i lepiej. Nietoperz sam prowadzi oddział. Ujął pod rękę łączniczkę Ewę i idzie z nią przed szperaczami. Po polanie, poprzez cienie sine samotnych

drzew, pod bezlistnymi jeszcze gałęziami, po darni gnącej się miękko pod stopą. Zdarł czapkę z głowy i zatknął ją za pas. Po twarzy, po włosach przesuwają się wiosenny wiatr. Taki wielki pan, a takie ma delikatne i pachnące dłonie. Daleko w tyle ledwo słyszalny krok.

- Ewa, to nasz oddział, rozumiesz, to własny nasz oddział leśny. Przerywam ten cytat na rzecz komentarza. To był nocny marsz wzdłuż Mereczanki, między rozlaną rzeką a ścianą lasu, gdy po wyjściu z leśnej nory i po kontuzji z upartym Litwinem odchodziliśmy na północ w dyszącą wiosną puszcę. Było to około 5-7 kwietnia. Daleko na rzecznych rozlewiskach pokazało się światło, takie mocne, nie przytłumione żadną zasłoną, jakimi już od lat usiłowano zakryć w nocy każde okno, nawet ogniska palone wśród zarośli. Jeszcze niedawno, tego samego wieczoru, widziałem z daleka światła w miasteczku Olkieniki, które omijaliśmy łukiem, bo był tam znaczny sowiecki posterunek, i gdzie lampy, bodaj nawet latarnie elektryczne, były świadectwem i wyrazem panowania tej nowej władzy, jej pewności siebie i poczucia bezkarności. Zatrzymałem się wtedy na chwilę i przez lornetkę przypatrywałem się ze skraju lasu tym jasnym punktom, mając poczucie naszej bezsily, ale też i wrażenie, że oto oni są w jarzącym się kręgu jak w fortecy, a dookoła rozciąga się na wszystkie strony ogromny, ciemny kraj, który przynajmniej nocą jest nasz, że ja, my wszyscy, całą puszcza otaczamy ich i grozimy z ciemności. Aż tu niespodziewanie w środku lasu to światło na rozlewiskach. Kto mógł tak bezwstydnie nie lękać się ani nocy, ani wojny? Bo przecież to nie mogli być «oni». Blask zbliżał się stopniowo przez kilka kilometrów marszu, aż doszliśmy do rybaka, który z łodzi przy blasku pochodni łowił ryby ością. Tutaj czas jakby się zmienił, nawrócił ku dawnemu albo w ogóle stąd się nie ruszał. Miałem poczucie, że i my znaleźliśmy się w jakimś innym wymiarze i czasie, w potrzasku zastawionym przez samą naturę. Napisałem o tym nieco później wiersz, który teraz z pamięci usiłuję odtworzyć: Co czują ludzie wśród lasu zgubieni, Z wzrokiem na gwiazdach, na lśniącym kompasie, W jakiejś niezmiernej zamknięci przestrzeni, Żyjący w jakimś nieruchomym czasie? Opuszczam kilka zwrotek z mniej lub bardziej trafnymi porównaniami i przechodzę do konkluzji:

Usta zamarły i mówić nie śmieją, Czas zegarowe zatracił rachuby, Gwiazdy spadają i wiatry gdzieś wieją, Coś się z wiekowej podnosi zaguby, Coś rośnie, wchodzi na pierś, oddech tłumi, Krtań dusi, patrzy wprost w twarz -  
puszcza szumi.

W ten sposób, może niezbyt właściwy dla dowódcy oddziału partyzanckiego, reagowałem na niepowtarzalną wiosnę mojej młodości. Nie wiem, czy i jak odbierali to inni, może wcale nie zauważali tego wszystkiego, na co ja byłem wyczulony: wiosny i puszczy, i naszej wędrówki, bo przecież już chyba nie wojny, która jak gdyby stopniała wraz ze śniegiem, choć to nie była prawda. A Mewa? Wątek mej Dułcynei powinienem tutaj zakończyć, bo jak wspominałem, po odjeździe Wrzosa duchem była ona już poza oddziałem, a wkrótce, po paru doraźnych wy-jazdach całkiem się wycofała, zresztą w sposób poprawny i bez zgrzytów. Ostatnie dni jej obecności to były właśnie te marsze przez puszcę w wiosennej ulewie i przy księżycu nad rozlaną jak srebro Mereczanką. Dlatego napisałem, a raczej ułożyłem, bo na czym miałbym pisać, jeszcze jeden wiersz, już tylko o niej:

Bezwiednie zbieram rymy do Twego imienia, Dźwięk jeden, wiatr w nim szumi, co włosy rozwiewa. Składałem słowa bez związku, zdania bez znaczenia: Jak szemrze nocą w lesie wiosenna ulewa, Niebo się nad głowami ogniem rozplomienia, Na jego tle czernieją

chwiejące się drzewa, W blasku czerwienia świecą pni starych zwałiska - Jaka burza, jak huczy, jak lśni się i błyska! Po twarzach uderzają zlane wodą krzewy, Przeszła burza i grzmoty za lasem gdzieś głuchną. Niebo snadź zakończyło już z ziemią swe gniewy I teraz się mgłą nocną osnuło leciuchną. To wszystko piszę po to, by był rym do Mewy, By słowa te świeciły jak ponocne próchno, A blaskiem tym się bawię i cieszę, i pieszczę. Zła zabawa i próżna, lecz jeszcze jej, jeszcze! Nie, nie będzie jej więcej, tej mojej pierwszej miłości wplecionej w największą życiową przygodę i poniekąd przez tę przygodę wykreowanej. Opowiedziałem o niej, bo inaczej przygoda ta byłaby niepełna, co więcej, nieprawdziwa. Przeżyliśmy ją razem, choć nie wspólnie. Potem Dulcynea wróciła do Toboso.

### **Lituania: «Przy Krzyżu»**

Ten rozdział zacznę znów od cytatu: będzie to fragment pierwszego opowiadania, które wydrukował mi «Tygodnik Powszechny» już w lipcu 1946 roku, a więc zaledwie w rok i trzy miesiące po opisywanych w nim zdarzeniach. Nie o zdarzenia - dość błahe - zresztą chodzi, ale o autentyczny obraz i nastrój tego kwietnia, gdy już byliśmy po tamtych wiosennych marszach i ulewie, i po roztopach. Opowiadanie nosi tytuł Ko-ścielna Góra.

...Przeszli przez mostek połamany i podchodzili wolno pod wzgórze. Rozsypani w szeroką tyralierę, ledwie widoczni we mgle księżycowej szli, ciągnąc za sobą cienie, które wsiąkały cicho w ciemną, siną prawie darń łąki; na bruzdach i rozorach pola bezkształtne te plamy stały się nagle twarde, wyraźne, o zdecydowanie zarysowanych konturach, łamiących się w szparach i rozpadlinach czarnej roli. Potem, na żółto-srebrnym ściernisku cienie te się wyprostowały, uspokoiły i bezszelestnie sunęły z tyłu, jak psy trzymające się butów. Zbocze było łagodne, bezdrzewne. Ostatnie zarośla pozostały na dole, za rzeczulką grząską, i teraz zlały się w jedną ciemną masę, która im dalej, tym wydawała się podobniejsza do błotnistej, czarnej powierzchni, niby kałuży ogromnej otaczającej wzgórze do-okoła.

Na szczycie stała chata.

Podchodzili coraz spieszniejszym krokiem, w coraz szerszy rozciągając się łańcuch. Wreszcie zaczęli biec; z lekkim szczękiem broni i amunicji w chlebakach, z tłumionym tupotem bu-tów otoczyli zagrodę, zczaili się w cieniach budynków i czekali. Pies z budy zawarczał, szczeknął krótko i schował się tuląc ogon z powrotem. Widocznie znał takich gości i wiedział, że lepiej jest po cichu przyglądać się ich poczynaniom. Dwóch podchodzi do okna chałupy. - Otworzyć - stukają w szybę - otworzyć!

Rażący, natarczywy blask latarki bada przez okno wnętrze cha-ty. Znad barłogu podnosi się brudna, rozspana twarz starej kobiety; odgarnia znad oczu pasma siwych włosów.

Kto taki? Czego? Nikogo u nas nie ma, nic u nas nie ma, idźcie dalej.

Snop światła elektrycznego nie ma litości. Wynajduje na posła-niu drugą głowę z jasnymi włosami, odwróconą w tył, udającą, że śpi ciągle mocno.

Otworzyć, matka, nie bać się, swoi. Zza szafy wyłazi wreszcie kudłata głowa chłopca. Marudzi, ogła-da się, namyśla. Może pójdą...

Gospodarz, prędzej, bo wybijemy szybę i będzie szkoda. - Chłopcy...

Rad nie rad otworzył drzwi, kobieta zapala łuczywo, latarki śli-zgają się oślepiającym światłem po kątach i zakamarkach.

Nikogo obcego nie ma?

Nikogo. Jest chłop, jego żona i córka, pies w budzie. Nikogo. Dokoła jest las, błota, ścieżki z pni układane, kładki spróchniałe.

Gospodarz, jak się to miejsce nazywa?

Że to niby jak, że jak pan powiedział...

Jak się nazywa to miejsce, ta miejscowość?

Aha, tak, o, teraz to ja zrozumiał. To wszystkie mówią na nią Kościelna Góra...

Kościelna Góra, to tu. Mapa nie zawiodła, kompas dobrze wskazał. To ta biała plamka na ogromnej plamie puszczy. Puszczyk siedzi na ławie oparty o ścianę i patrzy, patrzy na mapę. Mapa jest najbardziej podniecającą książką, najciekawszą lekturą. Zna ją na pamięć, zna każdy szczegół, każdą literkę, każdą kreskę. To wszystko takie ważne, takie ogromnie ważne; to ma wagę życia i śmierci.

Gospodyni, a poświecić mi tu bliżej łuczywem. Czerwony blask na zielonej powierzchni lasów. Wioski gdzieś u brzegów jak wielkie, czarne żuki z długimi wąsami napisów. A pośrodku zielono, zielono, zielono. Błękitne niteczki rzek, delikatna siatka drózek i tryb leśnych... ale to nieprawda, te ścieżki idą zupełnie inaczej. Tam trzeba być, trzeba to widzieć. Kartograf nigdy tam pewnie nie dotarł, nie sprawdził, jak się idzie z Poszyżeń na Długą Wyspę ani z Aszkąlejt do Kiermasyna.

A skrajem puszczy idzie tor. To ważna granica. Czasem las zielonymi plamami go przekracza, czasem pola jak białe zatoki wlewają się za szyny. A ten zakręt, to właśnie «ten». Tu leżą wagony kołami do góry, cha, cha... Ale tor to słaba osłona, każdy go zawsze przejść może. Co innego Solcza. To jest nasza granica naturalna, nasza «wierna rzeka». Niemcy nie znają wszystkich brodów i kładek, nie wiedzą, gdzie są łódki w zaroślach ukryte, cha, cha... A jest jeszcze i druga rzeka, przez sam środek puszczy płynąca. Tajemnicza rzeka, Święta Rzeka puszczy. Wie o wszystkim, co się w lesie dzieje, sama jest sinobłękitna, milcząca, księżycowa. Nazwy jej szargać nie wolno. Ona ciągnie. Dziwna, Błękitna, Magnetyczna. [Dzisiaj, po latach, dopowiem: ta rzeka-symbol to Wisińcza. Wspominałem już o tym poprzednio, wspominałem też, że Konwicki jawnie nadużył tej nazwy, tak zresztą jak całe ówczesnej symboliki i wierzeń. Wisińcza wpada do Solczy. Płynie przez las podmokły, mija Długą Wyspę - niewielką suchą wyniosłość, na której pobudowano osadę].

A dalej jest moczar, na nim są kładki biegnące długie mile. Nikt go nie zna. Podobno jest na tych błotach wyspa sucha, ale nikt nie wie gdzie. Jeden Żemojtel chyba by trafił, ale jego tu nie ma. Gdzie może być ta wyspa, gdzie ona może być?

Panie komendancie - Zemsta trąca rękaw Puszczyka - panie komendancie...

A co takiego? - ocknął się i patrzy dokoła. Trochę mu wstyd, że się tak «zaczytał». Ale to nic, wszyscy pewnie myślą, że układał plany.

...co takiego?

Gospodyni pyta, na którą godzinę ma robić śniadanie?

Mówiłeś już z nią o tym? Na dziesiątą. Kto teraz na warcie?

Bóbr. Można już kłaść się?

Można.

Wyszedł przed chatę, żeby posłuchać, czy spokojnie. Zobaczył wartownika. Bóbr stał o płot oparty i patrzył przed siebie. Starał się przebić wzrokiem gdzieś za błota, za las, szukał jakiegoś widnokregu, na który opadają i gdzie gasną gwiazdy. Po błotach szedł powiew rzeźwy, świeży, ledwie dosłyszalny. Nawet psy nie szczekały ani strzałów słyszeć nie było. Od strony rzeczki coś chrobotalo.

Bóbr...

Drgnął i odwrócił się.  
Co tam za szelest?  
A nic, dziewczyna z chaty poszła po wodę.  
Jak to poszła? Sama? Kto ją puścił?  
Nie wiem. Wyszła przez drzwi z pustymi wiadrami, myślałem, że jej wolno.  
Puszczyk pobiegł w dół pagórka. Dogonił, gdy przeprawiała się przez mostek.  
Stój, gdzie idziesz?  
Stała zmieszana, uśmiechała się bezmyślnie.  
Czego, głupia, uciekasz? Boisz się? Czego?  
Starła się tłumaczyć nieporadnie: że ona, że tylko, że brat...  
Co brat? Chciałaś ostrzec, nie wierzysz nam jeszcze? Bierz wodę i chodź z powrotem.



Zanurzyła w bezdennej czerni wiadra i wyciągnęła je pełne srebrnych błysków. Szli pod górę powoli, chwilami przystając. Puszczycowi przyszła nagle pewna myśl.

Słuchaj - zapytał - dlaczego to miejsce nazywa się Kościelna Góra?

Spojrzała ze zdziwieniem.

Jak to, pan nie wie? Toż tutaj był kościół... Puszczyka coś tknęło.

Jak to kościół? Co za kościół? Mów...

Tu rosła - mówiła - dawniej wielka sosna, o tu, gdzie teraz róg naszej stodoły. Jak była tu kiedyś w lesie wielka wojna, to pod tą sosną wtedy nabożeństwa odprawiali...

Kto odprawiał?

Jak to kto? Leśni...

Kiedy?

Dawno. Dziad opowiadał.

Puszczyc nie pytał więcej. Na szczycie wzgórza tylko zagadnął ją jeszcze:

A... a co potem z tą sosną się stało?

Odpowiedziała, wzruszając ramionami na taką niedomyślność. -Jak to co? Ścieli...

I weszła do chaty, rozpryskując na progu srebrną wodę. Bóbr odszedł od płotu i patrzył teraz w drugim kierunku, w stronę północną.

Słyszałeś, Bóbr? Modlili się tutaj, modlili się i wierzyli, słyszałeś? Skinął głową, patrząc jak Wielki Wóz wisi na niebie «do góry kołami», niby przypięty do małej, ledwie widocznej Gwiazdy Polarnej.\*

Tekst ten jest zbeletryzowany, ułożony w literacki dialog, ale nie oddałem na rzecz literatury nic z rzeczywistości. Tak było, tak to widzia-

łem. Do Kościelnej Góry szedłem nie tylko ze względów praktycznych, jak na dobrze usytuowaną melinę, ale i z ciekawości, którą - jak widać - zaspokoilem. Był jeszcze drugi punkt na tej samej mapie, który budził we mnie podobną, a nawet większą ciekawość. Była to Polacka Polana w północno-zachodniej części puszczy, niedaleko od Inklaryszek. Przy nazwie tej umieszczony był krzyżyk i napis «Mogiła Powstańców 1863». Musiałem tam dotrzeć.

Dochodziliśmy długim duktem od strony Merezanki, marszem dziennym, bo nie było potrzeby kryć się w ciemności, wokoło tylko las. Przed rokiem było tam jednak obozowisko sowieckich partyzantów. Pozostały po nim długie bunkry mieszkalne z solidnych pni przykrytych ziemią, na pół zagłębione, na pół wznoszące się nad powierzchnią gruntu, jak kopce ziemniaczane, osłonięte jednak od widoku z powietrza przez wielkie drzewa i porastającą je roślinność. Partyzanci przebyli w nich chyba kilka lat nie niepokojeni przez Niemców, którzy ich albo nie wypatrzyli, albo nie chcieli zaczepiać. Teraz pomieszczenia te były oczywiście opuszczone, ale ktoś tu jeszcze zaglądał. Dochodząc natrafiliśmy na dwa stosunkowo świeże groby, na nich były zatknięte maleńkie krzyże z paru gałęzi i napisy chemicznym ołówkiem na niewielkich deszczułkach: na jednej «Mężczyzna», na drugiej «Kobieta». A więc jakaś para ludzi zapuściła się nie tak dawno w to pustkowie, może jesienią zbierali tu grzyby, może zimą przyjechali po drzewo, a może - co chyba najprawdopodobniejsze - ukrywali się w bunkrach. Ktoś ich tu zabił i ktoś pogrzebał, ten ostatni na pewno Polak i chrześcijanin, skoro postawił te krzyże i napisał po polsku to, co o zabitych wiedział: mężczyzna, kobieta, nic więcej.

To była właśnie Polacka Polana, bo zaraz obok zobaczyłem mogiłę powstańczą, do której szliśmy. Stał szary, betonowy krzyż. Wzniesiono go tu, pewnie w miejsce spróchniałego już drewnianego, niewiele przed wojną. Jak się dowiedziałem, była tu wtedy wielka uroczystość, mowy, sztandary. Na krzyżu była niegdyś figura Chrystusa, teraz tylko ślad po niej, bo została odstrzelona, na całym krzyżu pełno było dziur od pocisków. Widocznie był to dogodny cel dla mieszkańców bunkrów, bliski, dobrze widoczny, a przede wszystkim odpowiedni pod względem politycznym i światopoglądowym. Może dzięki temu, że służył za strzelnicę, nie został po prostu zwalony, ocalała też część ogrodzenia otaczającego mogiłę. Podeszliśmy do niej. «W szeregu, baczność! Prezentuj broń!» - zakomenderowałem i sam stanąłem salutując palcami do czapki. Trwaliśmy tak chwilę, potem: «Spocznij! Rozejść się!» Chłopcy przyjęli ten gest z powagą i zrozumieniem. Nie musiałem i nie chciałem nic mówić, ale miałem świadomość, że jest to kolejna, może końcowa już scena dodana do Grottgerowskiej Lituanii, cyklu, który pamiętałem dobrze ze ściany stołowego pokoju w Podwierzyskach, oprawionego w czarne, grube ramy, łukowate u góry. Obrazów tych, jak wiadomo, było sześć: Puszcza, Znak, Przysięga, Bój, Duch... Ostatni, W kopalni, jakoś mi się nie komponował w tym ciągu, może dlatego, że pojawia się w nim Matka Boska Częstochowska, a nie Ostrobramska. W tym miejscu Grottger popełnił nietakt, nie wyczuł naszego kraju.

Tradycja Powstania Styczniowego istniała w naszej partyzantce już w czasach niemieckich, chociaż wtedy analogie nie były zbyt bliskie. Przypominał je przede wszystkim oddział Krysi, działający głównie w okolicy Puszczy Nackiej, tam gdzie były rodzinne strony i pole działalności powstańczej Ludwika Narbutta. Krysią nawiązywał chętnie do swego poprzednika, nawet gazetka wydawana w jego batalionie miała tytuł «Szlakiem Narbutta». Czy był to tytuł najwłaściwszy? - przecież szlak bojowy Narbutta zakończył się w puszczy pod Dubiczami, gdzie w bagnach dopadli go Moskale. To było blisko jego rodzinnego dworu w Szawrach - widocznie i oni najlepiej czuli się na własnym terenie - 11 kwietnia, a więc taką samą jak dziś wiosną, która tak samo musiała szumieć i pachnieć w tej puszczy. Podobnie, jakże blisko od Dubicz zakończył się w Surkontach szlak Kotwiczą, a wreszcie i sam Krysią zginął w styczniu 1945 roku pod Kołwalkami, tam właśnie, gdzie osiemdziesiąt dwa lata wcześniej Narbutt stoczył swą ostatnią zwycięską bitwę. Analogie z Powstaniem, mało widoczne podczas wojny z Niemcami, w czasach sowieckich stawały się więc bliskie i przemawiały do wyobraźni. Byliśmy ich świadomi i nieprzypadkowo szukałem wtedy drogi na Polacką Polanę i do Kościelnej Góry. Po części były to zapewne analogie pozorne, których sami chcieliśmy się dopatrywać i które uwydatnialiśmy dla określenia i dowartościowania własnej tożsamości wedle uznanego i wręcz uświęconego modelu. Po części jednak na pewno było jakieś podobieństwo sytuacji, wrażeń i postaw, zwłaszcza w porównaniu ze schyłkowym okresem tamtego Powstania. I te same miejsca, ten sam las. Ten sam nieprzyjaciel. Ten sam brak racjonalnej nadziei i - być może - ten sam irracjonalny instynkt. Więc jeśli godzi się porównywać ze sobą rzeczy wielkie i małe, to te nasze gesty przy powstań-czym krzyżu, podobnie jak gest Mewy chowającej wydobytą z rany Wrzosa kulę, to nie była literatura ani poza - to było samo życie.

Polacka Polana znajdowała się w tej części Puszczy Rudnickiej, gdzie były też tokowiska głuszców, ptaków nie znoszących bliskości osad ludzkich. Jak już wspomniałem, przed wojną polował tu mój Ojciec i gdy mu po latach opowiadałem o swojej wędrówce tamtędy,

ożywił się i mówił z przejęciem o tych głuszcach, tokach, o lesie i o gajowych, którzy przed świtem doprowadzali myśliwych na stanowiska. Działo się to zwykle około połowy kwietnia, i teraz ja też o tej porze trafiłem do chaty jednego z gajowych, kiedyś może przewodnika Ojca. Zaczął mi zaraz mówić o głuszcach i o polowaniach i był tym poruszony jak stary żołnierz na myśl o nadchodzącej bitwie. Ja jednak, jak już napisałem, nie mogłem zostawić oddziału, a i on chyba by nie poradził, bo był już stary, wychudły, ledwo na piec włąził, sam powiadał, że błota, wśród których żył, wszystkie mu siły wyssały, ale mówił o nich jak o czymś czy o kimś bliskim, może jak rolnik o swych polach; miał białą brodę, na nogach łapcie - nie wiem, w jaki sposób uchował się tak długo w lesie.

W łapciach, a raczej w jednym łapciu ja też chodziłem przez kilka dni w tym okresie, ponieważ otarłem sobie czy skaleczyłem nogę i nie mogłem wkładać buta. Nosilem go więc za pasem, a stopę miałem owiniętą onucą, ściśniętą łykowym łapciem z rzemykiem skórzanym [może dał mi go właśnie ów gajowy?] i było to bardzo wygodne, tyle że przy każdej kałuży noga była zupełnie mokra. Ale za to jakie wyczucie ziemi pod tak obutą stopą! Może był w tym jeszcze jeden, dziś nie do-ceniany czynnik związku człowieka z jego ziemią, bezpośredni, naturalny kontakt przy każdym kroku. Dobrze, że go choć trochę, chociaż przez parę dni i tylko jedną nogą doświadczyłem, a przecież inni chodzili tam w łapciach całe życie.

Potem szliśmy na wschód. Wypadało przeprowić się przez rzeczkę Krępę koło wsi o podobnej nazwie, ale most był spalony, a sama rzeka szeroko się rozlała zatapiając okoliczny las, pełen jakichś karczycy i wykrotów. To była znów noc, dziś pamiętam obraz, który utrwaliłem w wierszu-nie wierszu:

Czarną łodzią koło szkieletu mostu,  
Niesie woda bezdenna, ciemna, z złotymi gwiazdami.  
Potem w puszcze, srebrną od księżyca,  
Gęstą i tajemniczą:  
Olbrzymy, maczugi, prawice,  
Szpony sępie,  
Zakrzywione, czarne palce!  
Bez szelestu,  
Ścieżkami, drózkami, kładkami,  
Jak w bajce -

Pokrępie. Obrazy, scenerie, skojarzenia. Strzałów nie słysząc, nikt nas nie goni, o rzeczywistej wojnie jakbyśmy zapomnieli, jakby się zakończyła albo uległa zawieszeniu. Nie trwało to jednak długo.

### **U kresu**

rzeczywistości przypomniał żołnierz sowiecki zbliżający się do chaty, w której staliśmy dzień czy dwa dni później. Chałupa była odludna, puszczańska, w kwietniowe, słoneczne popołudnie było tu zacisznie

spokojnie, zdawało się, że nic nie zagraża i nikt tu nas nie tropi, aż tu nagle: bolszewik. Nie wiadomo skąd znalazł się w głębi lasu, może pracował czy doglądał jakichś wyrębów, wywoził drzewo, może należał do oddziałów patrolujących puszcze w poszukiwaniu takich jak my, a może był to łazik, maruder, węszący za jakąś zdobyczą. Zauważyliśmy go dopiero wtedy, gdy już podchodził do chaty. A może jest ich więcej? Wyskoczyłem przed drzwi z

automatem w rękę, a on był tuż. Krzyknąłem: «Ruki w wierch!» Stał o kilka kroków przede mną, też chyba zaskoczony, przez chwilę jakby się wahał, już rozkładał i podnosił ręce, aż raptem dał susa w bok, za ścianę. Nie zdążyłem strzelić, pobiegłem za nim, a on gnał w dół z pagórka, na którym stała chata, śmigał między drzewami. Puściłem za nim serię, jedną, drugą, ale tak z biegu, na stojąco, to żadne strzelanie. Nie miałem nawet otwartej składanej kolby w mym empi, pozwalającej na oparcie go o ramię [chodziłem już nie z pepeszą, ale z niemieckim pistoletem maszynowym, bo był lżejszy i bardziej poręczny]. Bolszewik wpadł między krzaki, zniknął w lesie, nie było sensu go gonić, bo ten, kto ucieka, ma zwykle więcej sił w nogach niż ten, kto go goni. Więc umknął, teraz podniesie alarm, może jest ich tu wielu w pobliżu. Skończyło się poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Trzeba było opuścić chałupę i iść dalej.

Ponownie otarliśmy się o bolszewików podczas dniówki na kolonii niedaleko od Jaszun. Była to zagroda na skraju lasu w pobliżu wsi Gaj zamieszkaną przez starowierów, dziś nazywanych po polsku sztucznie utworzoną nazwą staroobrzędowców. Stanowili oni z reguły element bliski Rosjanom, także w ich sowieckim wydaniu; wieś Gaj była od dawna w zatargach z dworem w Jaszunach i jej mieszkańcy rozgrabili go we wrześniu 1939 roku. Byłem w tym dworze miesiąc wcześniej, jeździliśmy tam z Matką samochodem, pamiętam piękny park i pięknie urządzone wnętrza, a zwłaszcza moment, gdy dziedziczka Jaszun, Hanna z Balińskich Sołtanowa, wyjęła z szufladki w sekreterze i odczytywała przechowywany z pietyzmem list Słowackiego do Ludwicy Śniadeckiej. Wkrótce potem do szufladki tej sięgnął pewnie któryś z sąsiadów-starowierów, może jednak nie użył tego listu do zrobienia skręta z machorką, bo - jeśli się nie mylę - surowe zasady religijne nie pozwalają starowierom palić. Widocznie jednak nie mówią nic o grabieży, bo dwór został doszczętnie spustoszony. Być może zagroda, w której stanęliśmy, też należała do członka tej wspólnoty, w każdym razie ktoś zrobił donos. Nie wiem już, czy było to przez moją niedostateczną czujność [bodaj pozwoliłem komuś oddalić się z chałupy pod pretekstem choroby], czy też zasygnalizowali naszą bytność w inny sposób, dość że pod wieczór pojawiła się grupa żołnierzy sowieckich, pewnie z miasteczka Jaszuny, ale szczęśliwie zauważyliśmy ich dość wcześnie i zdążyliśmy wymknąć się, biegnąc schyleni za krzakami, i tak rozminęliśmy się z nimi. Potem przemyślałem nawet o pokaraniu kolonii i wsi, ale nic z tego nie wyszło.

Natrafialiśmy także na swoich, będących w podobnej jak my sytuacji. Napisałem już o spotkaniu z oddziałem Myśliwego. W zbliżonym czasie, koło Wielkanocy, spotkałem też Piętkę, który z kilku ludźmi chodził zbrojnie po skraju puszczy. Wyrazu «chodzić» używaliśmy za czasów sowieckich na określenie naszej działalności. Zawierało się w nim wszystko: i marsz, i postój, i potyczki - dziś «chodzić z kimś» ma równie pojemne, ale jakże inne niż wtedy znaczenie. Potem, w połowie kwietnia natknąłem się na niewielką grupkę prowadzoną przez Kmicica. Był to jeden z partyzantów z naszej dawnej kompanii «Solca», trochę starszy ode mnie, bardzo miły człowiek. Opowiadał mi, jak zniszczył kolejkę leśną, wywożącą wycinane drzewa. Bronił puszczy.

Oprócz starych znajomych trafiali się i inni, a spotkania z nimi nie zawsze były fortunate. Jedno zdarzyło się w okolicy wsi Lepie. Staliśmy na kolonii w drodze na południe, o czym jeszcze opowiem. W nocy poderwał mnie krzyk wartownika: «Alarm!» Wyskoczyłem z automatem na ganek, nie wkładając nawet butów. W ciemności jakieś głosy: «Kto tam?» -

«Nie strzelać! Swoi!» Okazało się, że jakiś inny polski oddział zmierzał na tę samą kolonię. Zobaczyli, że w chacie się świeci, widocznie okna nie były dobrze zasłonięte, zorientowali się, że ktoś w niej jest. Otoczyli chatę, ustawili na nią erkaemy i ostrożnie podchodzili. «Macie szczęście - mówili później - że wasz wartownik krzyknął «alarm», a nie «trwoha», bo wtedy byśmy wszystkich was wystrzelali». Było mi głupio, że dałem się tak obejść, że nie dopilnowałem zasłonięcia okien, bo gdyby to byli bolszewicy... Ci nasi rozlokowali się w sąsiedniej chacie, w dzień poszedłem do nich pogadać - a może byśmy coś razem? Dobrze, dobrze, ale nic konkretnego nie wyszło. Było ich kilkunastu,

może dwudziestu. Dalsze plany? «Na razie chodzimy, zobaczymy». Do zaczepiania bolszewików nie kwapili się. Wieczorem my poszliśmy w swoją, oni w swoją drogę.

I jeszcze jedno spotkanie, raczej zderzenie w rejonie Puszczy Rudnickiej. W czasie nocnego marszu odpoczywaliśmy siedząc czy też leżąc przy polnej drodze. Nagle powstał krzyk: kto? co? - i zaraz strzały. Zobaczyłem jakichś ludzi biegnących między nami, strzelających z automatów tuż nad głową. Rzuciłem się na ziemię i puściłem w ich stronę, ale na oślep, jedną i drugą serię. Może ktoś z naszych też strzelał. Było ciemno, widziałem błysk serii z lufy mego automatu, ale nikogo nie trafiłem, a oni w susach przebiegli i znikli w ciemności. I nagle po jakimś ich krzyku zorientowałem się, że to swoi. «Nie strzelać! - zacząłem wrzeszczeć. - Swoi, Polacy, nie strzelać!» - ale oni umknęli i nie odpowiadali. Byli pewnie tak jak i my zaskoczeni, gdy natknęli się na nas w drodze, i jak widać, nie mieli ochoty rozmawiać z nami, mimo iż musieli słyszeć moje nawoływania. A może nie byli pewni, kim w rzeczywistości jesteśmy, może też znali różne zasadzki i podstępny. Nie było ich wielu, może z dziesięciu, jak i nas. Znikli, a my obeszliliśmy najbliższe pole sprawdzając, czy ktoś nie leży zabity albo ranny. Nie było, tylko jeden z naszych się zawieruszył, uciekł i bał się odezwać, tak że dłuższy czas musieliśmy go nawoływać, nim się odnalazł. Tak się złożyło, że pierwsze strzały, jakie oddałem w czasie wojny, 17 grudnia 1943 roku, były skierowane omyłkowo do swoich. Tak też było z ostatnimi oddanymi wtedy, około 20 kwietnia 1945 roku. Szczęśliwie w obu tych przypadkach chybiłem. Następne dni obyły się już bez strzelania, chociaż nie bez wrażeń wojennych.

Po przygodach w okolicy Jaszun posuwaliśmy się ku południowi skrajem puszczy, a potem już poza nią. Dotarliśmy aż w okolice Gieranon. Nie pamiętam już, jakie miałem zamiary przesuwając się w tym kierunku, bodaj że myślałem o dojściu do Puszczy Nalibockiej lub Zaniemeńskiej i pozostaniu tam czas dłuższy. Nie przenikało do naszej świadomości, że to już ostatnie tygodnie wojny, że trzeba będzie jakoś się odnaleźć w nowej, zmienionej na trwałe sytuacji. Co prawda kilka dni wcześniej na terenie naszej puszczy odnalazły nas jakieś łączniczki i brały od nas dane potrzebne do dokumentów umożliwiających wyjazd na zachód w charakterze «repatriantów». Ktoś w Wilnie pomyślał więc o tym i przygotowywał drogę odwrotu, my jednak nie braliśmy tych za-biegów nazbyt poważnie. Owszem, podaliśmy łączniczkom nasze personalia, prawdziwe lub zmyślane, każdy mógł przecież wybrać sobie dowolne nazwisko, i zapomnieliśmy o tym. Teraz ruszyliśmy na południe i po drodze, w Gieranonach, zrobiliśmy małą akcję. W miasteczku tym nie było posterunku, a władzę sprawował, niczym amerykański szeryf, uzbrojony prezydent sielsowietu czy też inny miejscowy dygnitarz. Postanowiłem go rozbroić, nie z potrzeby broni, ale żeby pokazać, «kto tu rządzi». Weszliśmy do miasteczka w dzień, doszliśmy do tego sielsowietu, jakby siedziby gminy, a on właśnie nadjechał na rowerze.

«Zdrawstwuji!» - «Zdrawstwuji». Powiedziałem mu, że jesteśmy oddziałem z «Is-Be-Try», za który podawaliśmy się już jesienią, i że potrzebujemy we wsi kwatery. Mówiłem po rosyjsku, tak mi się przynajmniej wydawało, ale wątpię, czy słysząc ten język i widząc nasze wyszargane kozuchy ów szeryf uwierzył, że ma przed sobą przedstawicieli regularnej armii sowieckiej czy wręcz jej formacji specjalnych. Poprosił nas przecież do wnętrza urzędu i tam zażądał, żebyśmy okazali dokumenty. «Da - powiadam - wot nasze dokumenty - i wszyscy skierowaliśmy na niego lufy. - Ruki wwierch!» Podniósł ręce nie okazując nawet zdziwienia. Zabraliśmy mu nagan, który miał przy sobie, także pepeszę, która leżała w szafie, coś tam mu nagadałem i poszliśmy. Widząc, że nie zamierzamy go zabijać, a musiał chyba liczyć się z tą możliwością, zhardział i zaczął molestować, żeby mu zostawić broń, bo będzie musiał odpowiadać za jej utratę. A nam chodziło właśnie o to, żeby już bez strzelania chociaż na krótko zniszczyć to małe ogniwo sowieckiej władzy. Powinien więc być szczęśliwy, że tak się to skończyło, bo gdyby był tam wtedy jeszcze Wrzos, byłoby gorzej. Zabraną broń gdzieś wyrzuciliśmy, a ja zacząłem myśleć o dalszych planach podobnej działalności.

Byliśmy wtedy o dwadzieścia kilka kilometrów od Podweryszek i Bieniakoń i coś mi podszeptało, żeby zamiast iść dalej na południe, zawrócić w tamtą stronę. Świadomie czy nieświadomie zamykałem wielką i splątaną pętlę, jaką od wyjścia z domu ponad rok temu przebyłem pieszo lub saniami po Wileńszczyźnie. Wprawdzie jeden raz, gdy w końcu czerwca napadliśmy tu na Niemców, droga ta przebiegła przez Podweryszki, ale był to tylko krótki moment. Także i teraz nie spodziewałem się i nie planowałem wejścia do dworu, przekształconego w jakiś sowchoz, lecz pomyślałem o najściu na Bieniakonie jako ośrodek władzy.

Zbliżyliśmy się drogą okrężną, z jakichś względów zrobiwszy wielki łuk aż na przedpola Puszczy Rudnickiej. Dniówkę mieliśmy w okolicy Świeńca, a potem przecięliśmy szosę w pobliżu Helenowa i już przez las podweryski szliśmy do Rymszyszek, gdzie chciałem zapaść na dzień następny. Moi chłopcy dziwili się, że idąc po ciemku przez las nie zatrzymuję się jak zwykle co parę kilometrów, żeby popatrzeć na mapę. A ja szedłem bez chwili wahania przez Daczki i koło Jeziorka, potem za traktem gojcieniskim skrajem pola koło Iliszek, i wreszcie wprost z lasu wyszedłem na dom rymszyski, o którym miałem już wiadomość, że jest opustoszały. Był to duży dom, murowany, lecz bez zewnętrznych tynków, kryty gontem, z dużą, drewnianą, obrośniętą winem werandą, przy której stopniach leżały dwa ociosane głazy, pozostałe widocznie od budowy. Jak już wspomniałem na wstępie, dom ten był zbudowany przed Pierwszą Wojną dla Marii Rymszanki, jako siedziba położona pomiędzy dworami dwóch jej braci: Gojcieniszkami Edwarda i Podweryszkami Romana, mego Dziada. W okresie międzywojennym mieszkał tam mój stryj Gustaw z rodziną. Rymszyszki znajdowały się w szczerym lesie: zbliżał się on na kilka kroków do ganku, przed którym był tylko niewielki gazon. Prosta droga wycięta w lesie stanowiła «okno na świat» skierowane w stronę odległych o dwa kilometry Podweryszek. Z drugiej strony znajdował się warzywnik, studnia i podwórze z czworakami, w których mieszkał gajowy Pleśniewicz i jeden z fernali; stało tam też kilka budynków gospodarczych.

Wspominałem także o mieszkańcach Rymszyszek w okresie okupacji niemieckiej. Gajowego już wtedy nie było, tak Pleśniewicz, jak i siedzący w Heleno wie Jagiełło byli w 1940 roku wywiezieni przez bolszewików, którzy - może nie bez racji - upatrywali w służbie

leśnej element szczególnie im nieprzyjazny i w pierwszej kolejności deportowali między innymi właśnie leśników. Za czasów niemieckich słyszałem piosenkę, śpiewaną przez kobiety z czworaków: Ach wy bolszewiki, ach wy bezbożniki, Czemuż wyważali polskie osadniki, Ach wy bolszewiki, ach wy durne głowy, Czemuż wyważali wy polskie gajowe... Teraz nie było już ani gajowych, ani innych mieszkańców Rymszyszek. Dom był opustoszały i spustoszony, drzwi i okna powyrywane, piece rozbite, próbowano stąd zabrać wszystko, co mogłoby się nadać jako budulec lub do innych celów, a może po prostu wszystko, co dało się wyszarpać dla samej uciechy niszczenia. Potem dom ten został całkowicie rozebrany, łącznie z fundamentami, cały obszar porósł las, tak że mój brat stryjeczny Jerzy, który tam wiele lat mieszkał i znał każdy kamień i drzewo, gdy dotarł w to miejsce w kilkadziesiąt lat później, nie mógł odnaleźć nawet śladu, ani kamienia, ani wzgóрка, i dopiero rosnące w lesie leszczyny pozwoliły mu określić dawne położenie domu. W podobny sposób nie pozostało śladu po Starych Bieniakoniach, z tą różnicą, że nie porósł ich las, lecz trawa.

Teraz zapadliśmy w na pół zrujnowanym domu, odpoczywając jak się dało. Z rana do dawnego warzywnika przyszło kilka wiejskich dziewczyn, może z Podweryszek, może innych, coś tam kopały czy zbierały, widocznie jednak zauważyły, że ktoś jest w domu, bo zaczęły przyglądać się z niepokojem i zaraz odeszły. Nie dziwiłem się, niczego, a raczej nikogo dobrego nie mogły się tam spodziewać.

Kolo południa przysła z Bieniakoń Cętka, z którą miałem nawiązany kontakt, nie pamiętam już jaką drogą. Była to Rysia Skotnicka, bliska kuzynka mego stryjecznego brata Jerzego. W czasie wojny trafiła do Podweryszek po tym, jak jej młodszą siostrę Niemcy bestialsko zamordowali w Nowogródku. Przebywała też jakiś czas w Czombrowie, należącym do jej krewnych Karpowiczów, i była świadkiem, jak partyzanci sowieccy spalili ten piękny dwór, uważany - słusznie czy niesłusznie - za pierwowzór Soplicowa. Teraz mieszkała w Bieniakoniach i przyniosła mi wiadomości o sytuacji w miasteczku. Dowiedziałem się, że jest spory posterunek sowiecki na stacji kolejowej i jeszcze jakaś milicja, której wartownik kręci się koło budynku gminy, czyli sielsowietu, do którego zamierzaliśmy się dostać. Cętka mówiła też, że jest tam jakiś wredny sekretarz sielsowietu czy innego komitetu, którego warto by zlikwidować, mieszka w domu obok, na pięttrze. Omówiłem z nią plan działania. Miała czekać na nas późnym wieczorem na bieniakońskim cmentarzu.

Na razie, że to było jeszcze dość czasu, wybrałem się na nasz własny cmentarz, o niespełna kilometr od Rymszyszek. Leżał tam mój dziad Rymsza, jego brat i siostra, a także partyzant Zyg poległy w akcji na Podweryszki. Cmentarz położony w lasku, na nieznacznym wzniesieniu, był jeszcze w porządku, choć oczywiście zaniedbany. Krzyże i kamienie nagrobne jeszcze stały, zniszczono natomiast wysoką bramę wejściową z drewnianych sztachet tworzących po zamknięciu znak krzyża. Poza tą bramą nie było ogrodzenia, a tylko dookolny rów i niski mur kamienny, ledwo wychodzący nad ziemię. Przykląłem przy grobie Dziada, coś tam uprzątnąłem, a ten zwykły odruch opisał potem z ironią i drwiną w jednej ze swych książek Bóbr-Konwicki, którego niepotrzebnie wzięłem wtedy ze sobą. Obok cmentarza była kolonia Zaleskiego, do którego zaszedłem prosząc o dalszą opiekę nad cmentarzem. Obiecał chętnie, nie dziwiąc się mojej obecności, ale po paru miesiącach i on wyjechał na zachód, a cmentarz, jak i kolonia, zostały później zrównane z ziemią.

Z Rymszyszek, a zwłaszcza z cmentarza widać było dobrze Podweryszki, tworzące wyodrębniający się masyw drzew i budynków. Nie było już wśród nich stodoły [mówiliśmy raczej: gumno], która spaliła się jesienią. Dom odbijał się czerwienią cegły i dachówki i był na wyciągnięcie ręki - tylko przejść przez łąki, przez Grażełkę i już byłbym przy nim. Ale po co? Zrobiłby się szum, alarm, pościg jak za wilkiem, a ja miałem właśnie cicho podejść pod Bieniakonie i tam jeszcze ukąsić nowe władze.

Wyruszyliśmy wieczorem 25 kwietnia. Przeszliśmy polem i łąkami pod same Podweryszki, aż do Grażełki. Gdyby był wiatr, słyszałbym pewnie szum lip w parku, ale było pogodnie, od dworu dochodziły jakieś obce głosy. Łakami wzdłuż rzeczki szliśmy w kierunku Bieniakoń, ominęliśmy wieś podweryską i polami doszliśmy do bieniakońskiego cmentarza. Syknąłem i zza nagrobka wysunęła się Cętka. Ostatnie wiadomości: bez zmian, tylko na stacji większa grupa sowiecka i trochę łażą, trzeba być ostrożnym. Cętka znikła, odczekaliśmy, by zdążyła dojść do domu, potem koło cmentarza wyszliśmy na główną drogę Bieniakoń, stanowiącą odcinek szosy Wilno-Lida, i szliśmy nią podzieleni na trzy grupy po trzy osoby, żeby nie wzbudzać podejrzeń i wzajemnie się ubezpieczać. Jedna grupa miała wejść do gminy i popalić urzędowe papiery, druga miała załatwić sekretarza sielsowietu, trzecia stanowiła osłonę. Doszliśmy do środka miasteczka, blisko kościoła. Wszedłem razem z kilkoma chłopcami do domu sekretarza. Stukaliśmy, nie chcieli wpuścić, tłumaczyli, że nie ma go w domu, wreszcie wpuścili, ale jego istotnie nie było, widocznie zdążył się schować. Na gruntowne szukanie nie było czasu ani warunków, więc machnąłem ręką i pobiegłem pod gminę. Całe jego i moje szczęście, że się schował - taki był to czas i tak się ferowało wyroki! - a że strachu się najadł, to na pewno dobrze.

W gminie udało się wyjąć cichcem szybę i otworzyć okno. Wartownika nie było widać, podobno stał z drugiej strony budynku, ale może wołał oddalić się i niczego nie zauważyć. Wleźliśmy w kilku przez okno i co prędzej papiery z biurka, z szaf pozgarnialiśmy, wsadzili do pieca i podpalili. Zdążyły się porządnie rozpaść. Co to mogło być? - liczyłem, że jakieś spisy podatków czy innych świadczeń, dane o ludziach, to co w siedzibie sielsowietu mogło stanowić o sprawowaniu sowieckiej władzy tu, w Bieniakoniach, w Podweryszkach, w całej okolicy. Wrzuciliśmy do ognia wszystko, co udało się znaleźć, przymknęliśmy drzwiczki pieca, żeby był dobry ciąg, i znów przez okno wyskoczyliśmy z budynku. Od strony stacji zbliżały się jakieś głosy, więc nie czekając dłużej ogrodami wyszliśmy do przejazdu pod torem kolejowym, za którym byliśmy już bezpieczni. Potem zrobiliśmy długi odskok - koło Brażelców przez Solczę na skraj Puszczy Rudnickiej i dalej puszcza ku północy na kolonię w okolicy Jaszun. Na następny, czy raczej na trzeci dzień doszła mnie podawana z ust do ust wiadomość: na Bieniakonie napadł oddział polskich partyzantów, coś tam rozbił, zniszczył sielsowiet, musiało ich być wielu i pewnie rozbiją też inne urzędy. Fala, jaką wywołał rzucony do wody kamyk, zataczała więc coraz szerszy krąg i rosła wraz z odległością. Był to jednak ostatni już kamień, jaki rzuciłem w czasie mojej wojny ze Związkiem Sowieckim.

W tychże dniach w puszczy odnalazły nas znów wileńskie łączniczki przynosząc nam wszystkim fałszywe dowody osobiste i nielegalnie wydane karty repatriacyjne. Dopóki były tylko luźne plany wyjścia z lasu i przerzutu na zachód, nie przejmowaliśmy się nimi. Teraz, gdy

nagle zobaczyliśmy te papierki, przepustki do normalnego życia, a może w ogóle do życia, sytuacja radykalnie się zmieniła. Wiedziałem, że nie ma już sensu i że nie ma odtąd



możliwości dalszego pozostawania z bronią w lesie. Wiedziałem, że uzbrojeni w te dokumenty wszyscy stąd pójdą, ale nie chciałem, by była to rozsypka, lecz moja świadoma decyzja. Zrobiłem formalną zbiórkę, w szeregu, jak należy. «Jest tak a tak - powiadam - są papiery na wyjazd, możemy z nich skorzystać albo też dalej chodzić. Otóż, chłopcy, postanowiłem, że rozchodzimy się. Czołem». I mimo że wybór dawał praktycznie jedną tylko możliwość, miałem dziwne poczucie, że znalazłem się na rozdrożu i skierowałem się w stronę kapitulacji. Ale także poczucie ulgi. Doszliśmy tu wszyscy żywi i zdrowi, już za chwilę nie będę za nikogo z nich odpowiadał, niech robią co chcą. Kazałem jednak porządnie zapakować i ukryć broń, bo a nuż będzie jeszcze potrzebna. Potem jak ślimaki bez skorup, jak psy bez zębów odchodziliśmy po dwóch w stronę Wilna. Poszedłem ostatni, sam jeden. Dzień był ciepły, 28 kwietnia, a ja wędrowałem do miasta i przez miasto w kozuchu. W kieszeni miałem wciąż tę czerwoną, emaliowaną gwiazdę pięcioramienną, ale nikt mnie nie zatrzymał i tak doszedłem na Zwierzyniec, do drzwi, które otworzyła mi moja Matka.

W tydzień później, 5 maja, byłem już w wagonie pełnym tak zwanych repatriantów. Byli w nim wszyscy moi koledzy z ostatnich dni lasu. Dla bezpieczeństwa mieliśmy udawać, że się nie znamy, ale gdy pociąg stał całą noc na stacji, a potem wolno toczył się na zachód, umowa prysła, zaczęliśmy niby to do siebie zagadywać, potem już wręcz rozmawiać, wreszcie śpiewać te i inne piosenki dość oczywistego pochodzenia. Współtowarzysze podróży początkowo się zlekli, próbowali nas mitygować, odsuwali się jak najdalej. Ale pomału i oni się dołączyli, rozmawiali z nami, śpiewali, i tak cały wagon porozumiał się: sami swoi, wszyscy swoi. Przejechaliśmy przez wysoki most nad Niemnem i wkrótce pociąg zatrzymał się na jakiejś stacyjce. Była to Sokółka. Do drzwi wagonu podszedł strażnik czy urzędnik i powiedział do nas: «To już jest Polska». I coś jeszcze o wymianie rubli na złote. Zdziwiłem się, bardzo się zdziwiłem i nagle poczułem się obco. «To już jest Polska», a więc to znaczy, że przyjeżdżamy skądinąd. A więc skąd? Może z Księżyca? Może z kraju księżycowego, nierzeczywistego, wytworzonego z wyobraźni, istniejącego już tylko w pamięci, który był i którego już nie ma. A więc skąd? Chciałbym, żeby to pasmo wspomnień ułatwiło znalezienie odpowiedzi na to pytanie.

**Pisałem w Warszawie, październik 1990 - luty 1991.**